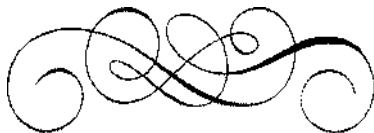


RUTH LANGAN

Korsarska
rapsodia



PROLOG

Land's End, Kornwalia, 1665.

- Przywożę wiadomość od naszego wspólnego przyjaciela.

Dwie osoby z trudem mieściły się w małej okrętowej kabine. Okręt nie był oznakowany żadną flagą. Nie paliła się ani jedna świeca. Wszystkie zdmuchnięto. Jedyne źródło światła stanowił księżyc, którego blask sączył się przez mały iluminator.

- Mam nadzieję, że dołączy on do niej także złoto. - Głos szorstki i ochrypy zdradzał wilka morskiego.

Wytwornie odziany mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzaną sakiewkę. Zadźwięczały monety.

- Rób tak, jak prosi nasz przyjaciel, a będziesz bogatym człowiekiem.

- Albo trupem. - Zgrubiałe od pracy palce schwyły pieniądze. Woreczek natychmiast zniknął w czeluści przepastnej kieszeni.

- A teraz, powiedz mi, czego nasz przyjaciel żąda w zamian?

- Chce tego samego co my wszyscy, czyli dalszego osłabienia pozycji obecnego monarchy, króla Karola. W odpowiednim momencie nasz wspólny przyjaciel opuści swój dotychczasowy azyl i wystąpi jako pretendent do tronu. Przedtem musi jednak zrzucić z niego Karola. My, jego przyjaciele, możemy wtedy liczyć na wdzięczność nowego władcy. Król zapewni nam dobrobyt. W tej chwili naszym głównym zadaniem jest przechwycić

statek, który płynie do Londynu z ładunkiem złota dla Karola. W żadnym wypadku to złoto nie może trafić w ręce Jego Królewskiej Mości.

W odpowiedzi rozległ się ochrypy śmiech.

- Dla mnie i moich ludzi to żaden problem. Od lat jesteśmy panami tych wód. Grasowaliśmy na nich już wtedy, kiedy Karol był jeszcze w powijkach.

- Czasy się zmieniły. Król obecnie posiada także własne, dobrze uzbrojone statki korsarskie, które potrafią stawić wam skuteczny opór. To dlatego nasz wspólny przyjaciel jest dla was taki hojny. Jeśli zajdzie potrzeba, zatrudnijcie do tego zadania dodatkowe siły. - Wyciągnął rulon pergaminu.

- Oto lista statków, których kapitanowie postanowili trwać lojalnie przy obecnym królu. Wkrótce dostarczę wam dalszych nazwisk. Postarajcie się zniszczyć ich okręty.

- Z przyjemnością.

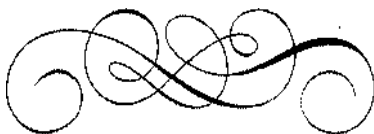
Wyciągnięto butelkę i rozlano trunk. Dwaj mężczyźni podnieśli pełne szklanice.

- Za Anglię - wzniósł toast wytwornie ubrany mężczyzna.

- I za nowego monarchę.

Jego kompan roześmiał się hałaśliwie.

- Za złoto w mojej sakiewce. Tylko temu majestatowi służę.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ambrozjo! - Bethany Lambert i Darcy weszły do pokoju najstarszej siostry i stanęły w miejscu jak wryte.

- Wyglądasz prześlicznie. - Bethany z podziwem oglądała nową toaletę Ambrozji. Suknia miała czerwony kolor, zaokrąglony dekolt oraz długie rękawy, zwężające się przy nadgarstkach.

- Czy to materiał z tej beli, którą tatuś przywiózł nam z Paryża?

- Zgadza się. - Ambrozja odwróciła się od okna, przy którym stała od przeszło półgodziny. Mimo swych siedemnastu lat, nie przywiązywała zbyt dużej wagi do ubioru. Dzisiaj też tak było. Zazwyczaj wkładała to co ich ochmistrzyni, pani Coffey, przygotowała. - Wciąż ani śladu „Nieustraszonego” - zauważyła z troską.

Bethany, młodsza od Ambrozji o rok, ujęła ją za rękę i zaczęła odciągać w stronę drzwi.

- Przypłynie. Jeżeli nie dzisiaj wieczorem, to jutro rano, na pewno. Nie martw się. Tatuś i James wkrótce będą w domu.

Najmłodsza z nich, piętnastoletnia Darcy, nie ukrywała zniecierpliwienia.

- Dziadek i pozostali siedzą już w powozie - nagliła.

Trudno o siostry, które by bardziej różniły się od siebie nie tylko pod względem wyglądu, ale i osobowości. Czarnowłosa Ambrozja wzrostem i silną budową ciała przypominała mężczyznę, mimo to długie nogi, wiotka kibić i kusząco zaokrąglona figura czyniły ją bardzo kobiecą. Jako najstarsza, była nie-

kwestionowanym autorytetem w rodzinie. Co więcej, odznaczała się również szaleńczą odwagą.

Bethany miała rude włosy, zielone oczy oraz tak ponętne kształty, że nawet w zgrzebnej szacie zwracałyby uwagę. Harmonizujący z kolorem włosów ognisty temperament, przyciągał ku niej oczy wszystkich mężczyzn, bez względu na wiek. Ale też trzeba przyznać, że chętnie przyjmowała wszelkie hołdy. Jej ojciec twierdził, iż przyszła na świat, trzepocząc rzęsami i starając się okręcić wszystkich wokół małego paluszka.

Darcy była drobną, subtelną blondynką o wiecznie roześmianych niebieskich oczach i niezwykle ujmującym usposobieniu. Wszyscy ją kochali. Zjednywała sobie ludzkie serca niezwykłą delikatnością.

Ambrozja niechętnie i z ociąganiem zeszła na dół. Stary Newton Findlay podał jej rękę, pomagając wsiąść do powozu.

- Ślicznie wyglądasz, Ambrozjo.

- Dziękuję, Newtonie. - Uśmiechnęła się z przymusem do starszego mężczyzny. Przez wiele lat żeglował z jej ojcem po morzach, dopóki rekin nie odgryzł mu nogi. Teraz zastępowała mu ją drewniana kula, z pomocą której kuśtykał, niezdarnie stawiając chwiejne, nierówne kroki. Po wypadku z morskim drapieżnikiem porzucił żeglowanie i zatrudnił się jako woźnica w ich domu, który w okolicy nazywano MaryCastle. Bezustannie krzątał się po terenie posiadłości malowniczo położonej na skrawku łądy stykającym się z wybrzeżem Atlantyku. Dziewczęta wzrastały karmione wspomnieniami jego morskich przygód i podróży do dalekich, egzotycznych krajów świata.

Newton ubierał się na co dzień jak zwykły marynarz, ale dzisiaj na swój żeglarski strój włożył jeszcze odświętny surdut. Domagała się tego ochmistrzyni, pani Coffey, która należała do osób ściśle przestrzegających ogólnie obowiązujących konwensansów.

Gdy Ambrozja weszła do powozu i zasiadła obok sióstr, pani Coffey spojrzała na nią z dezaprobatą. Ta wysoka, koścista kobieta zawsze ubierała się na czarno. Zaczęła nosić ten kolor, od kiedy została wdową, ponad dwadzieścia lat temu. Jej dzisiejsza czarna suknia miała długie rękawy i była wysoko zapięta pod szyją. Materiał zaś tak mocno wykrochmalono, że wydawało się, iż sztywne fałdy załamia się przy najmniejszym ruchu. Ani jeden siwy włos nie wystawał spod starannie upiętego koczka ochmistrzyni.

- Ruszajmy, Newtonie. Nie należy się spóźniać na herbatkę u Edwiny.

Ambrozja się obruszyła.

- Herbatka u Edwiny to tylko marnowanie czasu, pani Coffey. Edwina Cannon jest to głupia, bezmyślna i niegodziwa dziewczyna.

- Ambrozjo - odezwała się z oburzeniem panna Winifred Mellon. Przybyła do ich domu w charakterze guwernantki wiele lat temu, by zaopiekować się dziećmi kapitana Johna Lamberta po niespodziewanej śmierci jego ukochanej żony. Dzieci kapitana dorosły, ale panna Winifred wciąż otaczała je swoją troskliwością. Wiedzano, że miła starsza pani nie ma rodziny ani własnego domu i postanowiono ją zatrzymać. Kierowała edukacją swych podopiecznych i wpajała im zasady dobrego wychowania. Na każdym kroku przypominała, jak szlachetnie urodzone panienki powinny postępować. Kiedy, jej zdaniem, zachowanie sióstr stawało się szczególnie naganne, robiło jej się słabo. Omdlenia zdarzały się tak często, że domownicy przestali się już nimi przejmować. Każdy robił swoje i nie zwracał uwagi na starszą panią, która widząc, że nikt nie spieszy na ratunek, w krótkim czasie sama przychodziła do siebie. Winifred Mellon była starą panną. Fakt, że jest dziewczą, stanowił dla niej powód do dumy. Jak na niezamężną niewiastę przystało, ubierała się wyłącznie w biały kolor. Dzisiaj miała na

sobie suknię z białej wełny, na którą narzuciła śnieżnej białości, ciężki wełniany szal. Siwe włosy, miękkie niczym u dziecka, powiewały wokół twarzy jak bawełniany puch. Głowę przyozdobiła białym, koronkowym czepcem. Darcy pomyślała, że to nakrycie przypomina nocny czepeczek. - To brzydko z twojej strony tak się wyrażać o Edwinie, Ambrozjo - ciągnęła karcąco Winifred. W głosie guwernantki siostry usłyszały tak im dobrze znany od dzieciństwa ton nagany. - Twój ojciec będzie bardzo zmartwiony, gdy się dowie, że jego córka wyraża się w taki sposób o przyjaciółce. A co powie na to twój brat? Z pewnością nie pochwali podobnego zachowania.

- James na pewno mnie poprze, Winnie. - Oczywiście Ambrozji rozbłyły. - W ubiegłym roku towarzyszył Edwinie na majówce. Powiedział mi po tym, że w tej małej, pustej głowie nie gościła ani jedna sensowna myśl. Jedyne, co ją obchodziło i o czym wciąż mówiła, to jej piękny czepiec. Czy ktoś to może sobie wyobrazić? Przez cały dzień mówić tylko o głupim czepku! James nie chce więcej o niej słyszeć.

Winifred spojrzała na panią Coffey. Obie westchnęły. Ilekroć ktoś odważył się skrytykować ich starszego brata, trzy siostry Lambert, niczym lwice, stawały w jego obronie. Ich zdaniem, żadna kobieta na niego nie zasługiwała. Na punkcie ojca, kapitana Johna Lamberta, córki były jeszcze bardziej przewrażliwione. Absolutnie nikt nie miał prawa do jakiegokolwiek krytycznej uwagi. Uwielbiały go, a on z nawiązką odpłacał ich miłość. Jako żeglarz i kapitan okrętu, często przez długie miesiące przebywał poza domem. Handlował egzotycznymi towarami. Rozstania nie osłabiały więzi między ojcem i córkami. Dziewczęta tęskniły za nim i zawsze z niecierpliwością wyczekiwały jego powrotu. Kiedy przypląwał z dalekich podróży, cały dom rozbrzmiewał radosnym śmiechem. Jego mądrość i urok osobisty zyskały mu miłość i szacunek mieszkańców nie tylko jego ro-

dzinnego Land's End, ale i całej Kornwalii. John Lambert cieszył się powszechnym autorytetem.

Co do dziewcząt, to one również darzyły się ogromnym przywiązaniem. Być może wynikało to z faktu, że prawie nie znały matki, a ojciec i brat większość czasu przebywali poza domem, na morzu. Ludziom czasami wydawało się, że nikt z zewnątrz nie jest im potrzebny. Wystarczały sobie nawzajem w zupełności - były dla siebie najlepszymi przyjaciółkami i powiernicami. Ta niezależna postawa martwiła ich starsze opiekunki.

- Powinnaś nauczyć się powściągać swój ostry język, Ambrozjo - raz jeszcze napomniała ją panna Winifred. Kiedy Bethany roześmiała się, piastunka powiedziała do niej surowo: - Tobie też przydałoby się posłuchać. Niewyparzony język może wam utrudnić zawarcie dobrego małżeństwa.

Ambrozja zmarszczyła czoło.

- Jeżeli tak ma wyglądać prawda, to po prostu nie wyjdę za mąż. Zostanę starą panną. Wystarczy mi moje własne towarzystwo, Winnie. Zapewniam cię, że nie wyrzeknę się niezależności dla żadnego mężczyzny.

- Ja również - powtórzyła za nią jak echo Bethany. - Albo mężczyzna pokocha mnie taką, jaka jestem, albo nie warto marnować czasu na zdobywanie względów kogoś takiego.

Darcy poparła obie siostry.

Pani Coffey pokiwała głową, strąpiona.

- Skoro tak, to ostrzegam was, że w pewnym momencie może się okazać, iż jesteście jedynymi starymi pannami w Land's End.

Widząc urażoną minę Winifred Mellon, pani Coffey zarumieniła się. Pragnąc złagodzić nietaktowną uwagę, jękając się lekko ze zmieszania, dodała:

- Przynajmniej pani zachowuje się jak prawdziwa dama, panno Mellon. Jaki mężczyzna będzie chciał wziąć za żonę ko-

bietę, która przedkłada żeglowanie po morzach nad tradycyjne kobiece zajęcia, takie jak szycie i gotowanie?

Stary Newton parsknął śmiechem z wysokości siedzenia na koźle.

- Mężczyzna to mężczyzna, oto kim jest. To człowiek morza.

- Co mówicie? - Geoffrey Lambert ubrany w wyjściowy kapitański płaszcz i kapelusz przyłożył zwiniętą w trąbkę dłoń do ucha, by lepiej słyszeć słowa Newtona. - Co widzicie ciekawego?

Geoffrey należał do najbardziej znanych żeglarzy w całej Anglii, ale w wyniku nieszczęśliwego wypadku z niesprawną armatą stracił słuch. Teraz siedział w domu, w MaryCastle, i rządził wnuczkami; godzinami opowiadał im o morskich przygodach i uczył trudnej sztuki żeglowania i zachowania się na morzu.

Pani Coffey podejrzewała, że starszy pan wcale nie jest taki głuchy, za jakiego uchodzi. To była jego metoda, aby zwieść otoczenie. Słyszał tylko to, co chciał usłyszeć.

- Widzę starego głupca - odezwała się półgłosem. - A oto i posiadłość Cannonów. Spójrzcie, ile wspaniałych powozów przed nami.

Ambrozja wymieniła z siostrami porozumiewawcze spojrzenie. Pani Coffey nie znosiła się spóźniać.

- A teraz zapamiętajcie, co wam powiem - odezwała się surowo do dziewcząt. - Lord Silas jest znaną postacią w kołach londyńskiej elity. Podobno doszedł do wniosku, że czas się ożenić, i w tym celu przyjechał w nasze strony. Ma nadzieję znaleźć sobie odpowiednią kandydatkę wśród miejscowych pańien. Zachowujcie się odpowiednio, a być może i wam trafi się dobra partia.

Siedzące rządkiem, jedna przy drugiej, siostry westchnęły z rezygnacją. Wiedziały, że czeka je godzina męczącej nudy.

- Ambrozjo, Bethany, Darcy. - Ostry głos Edwiny Cannon prześwidrował im uszy, gdy tylko weszły do salonu. - Koniecznie musicie poznać lorda Silasa Fenwicka.

Siostry spojrzały z uwagą na wysokiego, wytwornie ubranego młodego mężczyznę. Miał jasne włosy i urodziwe patrycjuszowskie rysy.

- Lordzie Fenwick. Pozwól, że ci przedstawię siostry Lambert. Oto Ambrozja, Bethany i Darcy.

- Bardzo mi przyjemnie. - Mężczyzna kolejno ujmował rękę każdej z sióstr i podnosił do ust z uwodzicielskim spojrzeniem. Wyraźnie chciał zrobić na pannach Lambert dobre wrażenie.

Edwina kurczowo trzymała go za ramię.

- Lord Fenwick pragnął wypić z nami herbatę i obejrzeć naszą piękną posiadłość, jak powiedział. Muszę wam koniecznie opowiedzieć historię naszego poznania.

- Czy to naprawdę konieczne? - Ambrozja spostrzegła, że jej uwaga wywołała zdziwienie na twarzy lorda, ale, prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Nie interesował jej ani lord Silas Fenwick, ani Edwina Cannon, ani to, jak się poznali. Myślała tylko o jednym: statek przypłynie, a ojciec i brat nie zastaną ich w domu. Nie wybiegnie, jak zwykle, na ich spotkanie.

- Cóż to za przystojny młodzieniec - zauważyła pani Coffey, zwracając się do matki Edwiny.

- Odkąd przyjechał do Land's End, ciągle u nas bywa. Jest wyraźnie zainteresowany Edwiną. Piękna z nich para, nie uważa pani? - Widząc, że ochmistrzyni Lambertów nie zrozumiała aluzji, pani Cannon pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Uroda Edwiny będzie doskonałym uzupełnieniem dla majątku lorda Silasa. Czeka ich świetna przyszłość. Czy wspominałam już pani, że on chce, aby jego żona opuściła Land's End i przeniosła się do Londynu?

- Jak można porzucić Kornwalię dla Londynu? - zauważyła ze zdziwieniem Ambrozja.

W salonie zapadła cisza. Geoffrey Lambert uniósł dłoń do ucha.

- O czym mowa?

- O Londynie, dziadku! - wykrzyknęła Bethany prosto w jego drugie ucho.

- A... o Londynie. Paskudne miejsce - wymamrotał starszy pan.

Lord Silas odchrząknął, zastanawiając się, w jaki sposób przywrócić swobodny nastrój.

- Kornwalia jest bardzo piękna o tej porze roku. Zauważyłem w porcie wiele statków.

Ambrozja wzięła do ręki filiżankę z herbatą oraz kawałek apetycznie wyglądającego ciasta.

- Oczekujemy, że statek naszego ojca, „Nieustraszony”, również zawita doń lada chwila.

- Słyszałem o pani ojcu, kapitanie Johnie Lambercie. Pani brat James również pływa razem z nim, o ile mi wiadomo.

- Owszem. - Oczy Ambrozji rozbłysły z zadowolenia. - Czy pani ich zna, lordzie Fenwick?

- Niestety, nie miałem okazji ich poznać. Muszę wyjaśnić, że mój dziadek założył jedną z największych firm importowych w Anglii. Odziedziczyłem ją po nim w spadku. W moim interesie leży wiedzieć jak najwięcej o angielskich statkach handlowych oraz ich kapitanach.

- A pan, lordzie Fenwick, czy zna się pan na sztuce żeglowania? Potrafi pan sterować?

Uśmiechnął się.

- Zajmuję się głównie swoją firmą, żeglowaniem trochę mniej. Mam jednak piękny żaglowiec. Nazywa się „Morski Diabeł”. Miałem zaszczyt nawet gościć na jego pokładzie samego króla. Zaprosiłem go kilka razy na wycieczkę po Tamizie.

Oczy Edwiny Cannon zaokrągliły się z wrażenia.

- Naprawdę przyjmowałeś króla na swoim statku, Silasie?
- Tak jest. - Poklepał ją po ręku i uśmiechnął się pobłaźliwie. - Pewnego dnia przedstawię cię Jego Wysokości. Nie wątpię, że podobnie jak ja, uzna cię za czarującą osobkę.

Edwina zachichotała, uszczęśliwiona. Ambrozja z brzękiem odstawiła na bok filiżankę z herbatą.

- Pani Coffey, wydaje mi się, że powinniśmy już wracać do domu.

- Do domu? - Ochmistrzyni była niemile zaskoczona. - Ależ, Ambrozjo. Przecież dopiero co przyjechałyśmy.

- Dziadek jest już zmęczony. - Spojrzała na Geoffreya, który patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

- Dziadku, chcesz już wyjść?

- Co mówisz? - Zerknął na swoje ubranie. - Czy mam coś na rękawie?

- Mówimy o powrocie do domu, dziadku! - wykrzyknęła Darcy. - Czy chcesz już wracać do MaryCastle?

- Tak, tak. Zjadłem już ciasto. Herbatę też już wypilem. - Ziewnął szeroko. - Chętnie się zdrzemnę przed kolacją.

Ambrozja natychmiast skorzystała ze sposobności. Ujęła dziadka pod łokieć i pomogła mu podnieść się z fotela.

Edwina wstała i odprowadziła gości do drzwi, ciągnąc za sobą lorda Fenwicka.

- Nawet nie usłyszeliście, jak poznaliśmy się z Silasem, a tak bardzo chciałam wam opowiedzieć naszą historię. - Po-nownie uczepliła się jego ramienia i zajrzała mu zalotnie w oczy.

Ambrosję olśniła nagła myśl. W oczach Silasa dostrzegła bezbrzeżne znużenie. Duchem wyraźnie był gdzie indziej, daleko od tej głupiej gąski. Ten mężczyzna musi rzeczywiście bardzo potrzebować żony, skoro marnuje czas na zalecanie się do Edwiny Cannon.

Z trudem zmusiła się do uśmiechu.

- Porozmawiamy na ten temat przy najbliższej okazji, Edwino. Oczywiście rozumiesz, że chodzi o dziadka. Jego wygoda liczy się dla nas przede wszystkim.

- Rozumiem, oczywiście. - Edwina podsunęła im policzek i trzy siostry posłusznie musnęły wargami skórę przesyconą natrętnym zapachem różanego olejku.

Silas z zainteresowaniem odprowadzał wzrokiem towarzysztwo zmierzające w stronę powozu. Następnie, widząc baczne spojrzenie Edwiny, z przebiegłym uśmieszkiem zauważył.

- Ciekawa rodzinka.

- Wszyscy w Land's End uważają je za dziwadła. Żeglarze twierdzą, że te trzy siostry potrafią radzić sobie ze statkiem nie gorzej od doświadczonych sterników. Słyną również z tego, że świetnie posługują się bronią.

- Bronią? Żartujesz chyba.

- Nie. To prawda. Ambrozja włada szpadą równie dobrze, jak mężczyzna. Widziano też, jak Bethany strzałem z pistoletu trafiła w rzuconą monetę. Darcy tak posługuje się nożem, że potrafi ugodzić ptaka na drzewie.

- Ambrozjo. - Bethany i Darcy weszły na szeroki taras biegnący wzdłuż całej długości ich domu. Widać było z niego morze aż po daleki horyzont. Ostry wiatr przenikał na wskroś. Dość częste zjawisko w tych stronach. Atlantyk nie oszczędzał skalistych wybrzeży Kornwalii, chłostząc je niemiłosiernie wiatrami i ulewami. Dwie młode kobiety otuliły się szczelniejszalami, które narzuciły na ramiona. Wichura smagała ich twarze, rozwiewała włosy i okręcała spódnice wokół nóg. Podeszły do najstarszej siostry, stojącej nieruchomo na tarasie i wpatrującej się w morze.

- Pani Coffey stanowczo przykazuje ci wejść do środka. -

Głos Bethany przebijał się z trudem przez wycie wiatru i łoskot rozbijających się o brzeg fal. - Zaziębisz się.

- Powiedźcie pani Coffey, że zamierzam tu stać dopóty, dopóki tatuś nie wróci.

Bethany pokręciła głową.

- Proszę cię, Ambrozjo, wejdź do środka. Dziadek nie chce bez ciebie zasiąść do stołu.

Ambrozja odwróciła się. Z jej ciemnych oczu wycierał niepokój.

- Okręt tatusia powinien już dawno zawinąć do portu.

- Nie mów tak. To po prostu jakiś pech. - Bethany ujęła siostrę za rękę. Chciała jej dodać otuchy, chociaż sama szukała u niej wsparcia. Niepokój targał sercem trzech dziewcząt, ale aż do tej chwili żadna z nich nie odważyła się wyrazić głośno swoich obaw.

- Wiesz jak to jest, kiedy tatuś i James wypływają w dłuższe rejsy. To trwa, muszą wyładować towar i załadować nowy. Muszą uzupełnić załogę, a także zaopatrzyć się w jedzenie i wodę na powrotną podróż.

Ambrozja zacisnęła ręce na biodrach.

- Idź i wytłumacz mnie przed panią Coffey i dziadkiem. Pobędę tu jeszcze przez jakiś czas. Mam nadzieję, że wkrótce ujrzę na horyzoncie maszty naszego ukochanego „Nieustraszonego”.

Młodsze siostry spojrzały na siebie, a następnie, jak na komendę, ustawiły się po obydwu bokach Ambrozji. Zapomniały o ogniu wesoło trzaskającym na kominku i roztaczającym miłe ciepło w obszernej jadalni i o smacznej kolacji przygotowanej przez panią Coffey.

- Zostaniemy z tobą. - Darcy poszukała ręki najstarszej siostry.

- Tak jest. Poczekamy razem. - Bethany uściśnęła drugą dłoń Ambrozji.

Stały murem na tarasie, tak jak to robiły od dzieciństwa. Wy-

dawało się, że chcą w ten sposób ustrzec dom przed wrogimi siłami. Serca dziewcząt rozdzierała obawa i niepokój, ale nic nie mogło zachwiać ich decyzją, by wspólnie stawić czoło nieznanemu. Postanowiły być razem, bez względu na to, co się stanie.

Niedługo było im dane trwać na posterunku. I to nie zimno zmusiło w końcu trzy siostry do opuszczenia tarasu.

Zrobił to stary Newton, który pojawił się niespodziewanie. Wyłonił się z mgły, która przed zmierzchem okryła ziemię białym tumanem. Teraz tak zgęstniała, że dziewczęta dostrzegały jedynie słabe zarysy poręczy.

- Proszę, niech panienki natychmiast wejdą do środka. Jeżeli nie posłuchacie, wyprowadzę was stąd siłą! - wykrzyknął. Mówił tonem tak ostrym i szorstkim jak wtedy, kiedy na okręcie ich ojca wydawał rozkazy majtkom.

Dziewczęta bez słowa protestu opuściły stanowisko na tarasie i weszły do domu. Nikt poza Newtonem nie odważyłby się do nich zwracać w ten sposób. Stary żeglarz znał je od niemowlęctwa. To on pokazywał im, jak rozwijać i składać żagle, jak sterować okrętem, wspinać się na maszt i wykreślać kurs według położenia gwiazd na niebie. Uczył je tak jak niegdyś przed laty ich ojca.

Szedł teraz przed nimi, kuśtykając tym swoim dziwnym, kołyszącym się krokiem. W drzwiach zwrócił się raz jeszcze do dziewcząt.

- Wypatrywanie oczu we mgle nie sprowadzi do domu ani waszego ojca, ani brata. Siadajcie do kolacji, nim starej paninie Mellon zaczniesz robić się słabo.

- Winnie mdleje tylko wtedy, kiedy jej zdaniem nie zachowujemy się jak dobrze ułożone panienki - wyjaśniła półgłosem Bethany.

- Wobec tego wchodźcie i zachowujcie się tak, aby panna Winifred nie miała powodu do narzekań.

Złajane, posłusznie opuściły taras. Nie mogli jednak powstrzymać się, aby nie pożartować między sobą na temat guwernantki. Panna Mellon stała się ostatnio najwierniejszą słuchaczką ich dziadka. Z zapartym tchem chłonęła opowieści o morskich podróżach, chociaż słyszała je po wielokroć i znała niemal na pamięć. Walczyła też ze starym Newtonem, usiłując go przekonać, że władanie bronią i nawigacja nie są właściwymi zajęciami dla młodych panienek. Wszystko to razem dawało pani Coffey jeszcze jeden powód do utyskiwań na trójkę starszych ludzi, którzy kręcili się bez zajęcia po domu, utrudniając pracę jej i służbie.

W tej chwili ochmistrzyni krzątała się wokół zamyślonych dziewcząt jak kwoka, usiłując rozproszyć ich smętne myśli opowiadaniem nowinek, których dowiedziała się podczas herbatki u Edwiny Cannon.

- Czy słyszałyście, jaką suknię Edwina Cannon zamówiła sobie na najbliższy bal w naszej okolicy? Ma być uszyta ze złotogłowiu; podobno z takiego samego wykonano toaletę królowej na bal maskowy w ubiegłym roku. - Mówiła coraz głośniejszym głosem, jak zwykle, gdy temat ją pasjonował. - Pomyśleć tylko, jak wspaniale będzie się żyło Edwinie Cannon w stolicy, jeżeli, jak daje do zrozumienia matka Edwiny, lord Fenwick rzeczywiście poprosi o jej rękę. A ona ma za ledwie - tu pani Coffey wymownie zawiesiła głos - szesnaście lat. - Zatrzymała wzrok przez dłuższą chwilę na Ambrozji w nadziei, że te słowa wywołają u dziewczyny pożądaną reakcję.

Kiedy nikt się nie odezwał, obeszła stół dookoła, nalewając herbatę do filiżanek.

- Czy dziś wieczór wybieracie się na plebanie, na cotygodniowe czytanie psalmów?

Ambrozja spojrzała na siostry pytającym wzrokiem.

- Chyba nie mamy innego wyjścia. Pastor nie przebaczyłby nam nieobecności.

- Byłby bardzo rozczarowany.

Pani Coffey nie chciała dłużej nalegać. Wiedziała jednak, że młody wikary, Ian Welland, który dwa lata temu przyjechał do Land's End, nie ukrywał swego zainteresowania Ambrozią. Ochmistrzyni zauważyła, że często, kiedy chór śpiewał lub stary pastor, Thatcher Goodwin, wygłaszał kazanie, uporczywie wpatrywał się w Ambrozię siedzącą z siostrami w rodzinnej ławie. Wprawdzie ten temat drażnił dziewczynę, która nie chciała słyszeć o wikarym, uważając go za nieciekawego słabeusza, niemniej pani Coffey uważała, że jeszcze nie wszystko stracone. Bądź co bądź, Ambrožia wchodziła w lata. Jej matka była zaledwie piętnastoletnią dziewczyną, gdy przybyła tutaj jako młoda mężatka. Być może, kiedy okoliczne przyjaciółki Ambrozji powychodzą za mąż i założą własne rodziny, wtedy i ona zmieni zdanie i pomyśli poważnie o małżeństwie. Skoro nie trafia się jej bogaty londyński lord, czyż istnieje lepszy kandydat na męża niż łagodny duchowny, który nie pije, nie przeklina ani się nie awanturuje?

Pani Coffey podniosła głowę, słysząc pukanie do drzwi.

- Kto to może być? Przecież to pora kolacji.

Odstawiła czajniczek z herbatą i poszła sprawdzić, co to za gość dobija się do nich o tak niedogodnej godzinie.

Wróciła za chwilę, poruszona, z pobladłą twarzą. Zaciśnięte kurczowo ręce wsparła na biodrach.

- Przybył jakiś obcy. Chce widzieć się z panienkami.

- Czy się przedstawił, pani Coffey? - Ambrožia odstawiła na bok filiżankę z herbatą.

- Nazywa się kapitan Spencer. Mówi, że przywozi wieści od waszego ojca i brata oraz ... - Głos uwiązał jej w gardle. Wargi zdrząły lekko, ponieważ rozumiała, jakie skojarzenie wzbudzą w zebranych jej następne słowa. - Towarzyszą mu pastor i wikary.

- Ach tak. - Serce Ambrozji waliło jak młotem, ale jako naj-

starsza z sióstr postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Otoczyła ramieniem barki ochmistrzyni i powiodła towarzystwo do salonu.

Stary pastor i jego młody pomocnik siedzieli na krzesłach z wysokimi oparciami i nerwowo spoglądali na drzwi. Ręce splekli sztywno na kolanach.

Rodzina przedstawiała niecodzienny widok. Geoffrey Lambert owinał się szczelniej szalem, pomagając przejść przez pokój bladej jak ściana pannie Mellon. Stary Newton uplasował się w drzwiach z twarzą przypominającą zacięte oblicze anioła zemsty. Pani Coffey, zrobiwszy dwa kroki do wewnątrz, zatrzymała się niepewnie.

Nieznany mężczyzna stał przy kominku, grzejąc się, zaparty w ogień.

Kiedy siostry weszły do salonu, pastor odchrząknął.

- Szanowne panie. Ten oto dżentelmen nazywa się Riordan Spencer.

Nieznajomy odwrócił się. Był to słusznego wzrostu mężczyzna, o ciemnej, bujnej czuprynie, aż proszącej się o nożyczki. Rozwichrzone kosmyki opadały na czoło. Ogorzała od wiatru i słońca twarz przybysza wydawała się sympatyczna i interesująca, ale malujące się na niej zmieszanie i niepokój do pewnego stopnia deformowały szlachetne rysy. Duże i spracowane dłonie, zaciśnięte w pięści, spoczywały na biodrach.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Ambrozja pierwsza przełamała milczenie.

- Kapitanie Spencer. Jestem Ambrozja Lambert. - Wyciągnęła rękę.

- Witam, panno Lambert. - Ujął jej rękę, spoglądając w oczy z denerwującą otwartością.

Wstrząsnęła się pod tym dotknięciem. Uścisk był taki silny! Czowała w nim także z trudem hamowane zdenerwowanie. Męż-

czyzna jest napięty niczym struna, pomyślała. Patrząc z bliska w jego oczy, zauważyła, że są szare jak Atlantyk podczas sztormu. Wyzierał z nich ból i jakaś głęboko skrywana tajemnica.

- To są moje siostry, Bethany i Darcy, oraz nasz dziadek, Geoffrey Lambert. A to nasza piastunka i guwernantka, panna Winifred Mellon i ochmistrzyńni, pani Coffey. A to nasz przyjaciel, pan Newton Findlay.

Kapitan skłonił się wszystkim uprzejmie, po czym znowu zwrócił się do Ambrozji.

- Przywożę wiadomości o pani ojcu i bracie.

Na ułamek sekundy zachwiała się. Kapitan wyciągnął ramię, aby ją podtrzymać. Czuł, jak drży, więc nie cofał ramienia. Trzymał ją dłużej, niż było to konieczne, tak jakby chciał przekazać jej część własnej siły, aby lepiej zniosła to, co ją czeka.

- Czy oni?... - Nie mogła zdobyć się na to, aby dokończyć pytanie. W tym momencie знаła już prawdę. Wyczytała ją ze smutnych oczu mężczyzny, z jego burkliwego tonu, z twarzy, na której malowały się żal i ból.

- Przeżyliśmy... - spojrzał na zgromadzonych, którzy wpatrywali się z napięciem w jego usta, i znowu odwrócił się do Ambrozji - ...straszliwy sztorm. Pierwszy raz w życiu spotkało nas coś takiego. Straciliśmy wielu ludzi. Między innymi pani ojca i brata.

- Nie! O nie! - Bethany opadła na krzesło i zaniosła się płaczem.

Darcy uklękła u jej stóp i ukryła twarz w dłoniach. Pani Coffey zalała się łzami, a bliska omdlenia panna Mellon sięgnęła drżącą ręką po sole trzeźwiące.

Pozostali nie wymówili słowa. W dalszym ciągu wpatrywali się w nieznajomego ze stężalymi z przerażenia twarzami i oczami, w których malowała się niewymowna boleść.

Ambrozja spłótła ręce, a dłonie zacisnęła tak mocno w pięści, że skóra pobieliała na kostkach.

- Czy pan był przy tym, kapitanie?

Skinął twierdząco głową, żałując, że poza słowami nie może ofiarować jej innej pociechy.

- Mój żaglowiec, „Wojownik”, poszedł na dno, ale statek pani ojca, „Nieustraszony”, ocalał. Przyprowadziłem go do macierzystego portu wraz z ocalałymi członkami załogi. Zgodnie z ostatnią wolą kapitana Lamberta.

Ambrozja słyszała, jak siostry płaczą, ale nie miała odwagi na nie spojrzeć. Nie w tej chwili. Sama musiała walczyć z bólem.

- A ich ciała?

Pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro, panno Lambert. Nie wiem, czy to panią pocieszy, ale znaleźli grób na dnie morza.

- Rozumiem. Morze. Tak je obaj kochali. - Zamilkła i odwróciła się, nie chcąc, by nieznajomy dostrzegł jej słabość. Z trudem się opanowała i ponownie weszła w rolę parli domu.

- Przebył pan długą i niebezpieczną drogę, kapitanie. Musi pan być głodny.

- Zbyteczny kłopot, panno Lambert - odpowiedział gniewnie. Jej uprzejmość w takim momencie wydała mu się cokolwiek niestosowna. - Zjem w tawernie, a potem wrócę na statek.

- To niemożliwe. Nie pozwolę panu na to przy takiej pogodzie. - Wyjrzała przez okno. Gęsta jak mleko mgła okrywała szczelnie całą okolicę. - Dziwię się, jak pan w ogóle zdołał dotrzeć do brzegu przy takiej wichurze.

- Nie było to łatwe zadanie. Nie mogłem jednak czekać z taką wiadomością do jutra. Domyślałem się, że panie bardzo się niepokoją.

- To prawda. Dziękuję panu. To bardzo miło z pana strony. Rzykował pan dla nas nie tylko wygodę, ale i własne życie.

Zwróciła się do pani Coffey, która do ociekających łzami oczu przyciskała wykrochmaloną chusteczkę.

- Proszę przygotować posiłek dla kapitana Spencera. Proszę również podać piwo dla rozgrzewki.

Odwróciła się do pastora i młodego wikarego.

- Czy panowie jedli kolację?

- Tak jest. - Pastor Goodwin postąpił naprzód i położył rękę na jej ramieniu, ściskając je lekko.

- Musimy wracać na plebanie na czytanie Biblii. Jeśli zechcesz, Ambrozjo, to pomodlimy się teraz za dusze twego ojca i brata. Jestem pewien, że modlitwa przyniesie ulgę tobie i twojej rodzinie.

Skinęła szybko głową i dała znak siostrom, aby się zbliżyły. Wszystkie trzy zebrały się wokół dziadka, a gdy stary pastor zaintonował pieśń za umarłych, pochyliły głowy i wzięły się za ręce. Kiedy skończył, kiwnął na swego pomocnika, który również odmówił stosowną modlitwę. Zrobił to jednak w sposób bardziej egzaltowany i podniosły, aby wywrzeć większe wrażenie na słuchaczach.

Bethany i Darcy płakały na głos, nie kryjąc dłużej swej rozpaczy. Ambrozja przyciągnęła je do siebie i ucałowała w policzki.

- Idźcie na górę. Zabierzcie ze sobą dziadka i Winnie. Później tam do was przyjdę.

Siostry zawahały się. Widząc to, Ambrozja uśmiechnęła się do nich.

- Idźcie już. Nie martwcie się o mnie. Obiecuję, że będę się trzymać.

Kiedy dziewczęta posłusznie udały się do swych pokojów, Ambrozja odprowadziła pastora i wikarego do drzwi. Na pożegnanie uściśnęła ich dłonie.

- Dziękuję panom za uprzejmość.

- Przyjdź jutro na plebanie, Ambrozjo - polecił stary pastor.

- Musimy omówić sprawę pogrzebu. Powinno się to odbyć uroczysto, nawet jeżeli nie będzie ciał twego ojca i brata.

- Tak jest. - Mężnie wytrzymała współczujące spojrzenie młodego wikarego. Patrzyła za nimi dopóty, dopóki ich ciemne sylwetki nie zniknęły w nocnej mgle, po czym wróciła do salonu.

Newtona już nie zastała. Ambrozja domyśliła się, że zaszył się w swojej izbie nad wozownią i tam, z butelką piwa, w samotności, żegnał się ze swoim kapitanem.

Ich gość, jak poprzednio, stał zwrócony twarzą do kominka i wpatrywał się w ogień. Kiedy pokojówka Libby zjawiała się z piwem, Ambrozja wzięła z jej rąk tacę i kazała wrócić do kuchni, pomagać pani Coffey.

Napełniła duży kufel i podeszła do kapitana.

Odwrócił się i wziął napój z jej ręki.

- Dziękuję. - Wskazał na tacę. - Bardzo proszę, niech się pani ze mną napije, panno Lambert. Mały łyczek w takiej chwili jak ta dobrze pani zrobi. Doda pani sił.

- Dobrze. - Nalała sobie piwa, lecz zamiast pić, tylko wpatrywała się w szklanicę, jak gdyby szukając na jej dnie odpowiedzi na dręczące pytania.

- Proszę, panno Lambert. - Ujął ją za łokieć i podprowadził do krzesła przy kominku.

Dotknął jej ramienia po raz drugi i po raz drugi doznała uczucia mrowienia. Odniosła wrażenie, że ten mężczyzna przeżywa tragedię jej rodziny równie mocno, jak ona sama, że łączy ich jakaś wspólna, bolesna więź.

Kiedy usiadła, usadowił się naprzeciwko i wyciągnął długie nogi do ognia, aby je ogrzać.

- Ogromnie mi przykro, że to ja musiałem być zwiastunem smutnej wiadomości. Ciężko mi patrzeć na wasz ból.

Ponieważ nie odpowiedziała, w milczeniu zaczął popijać piwo.

- Teraz, kiedy jesteśmy sami, proszę mi powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło na statku, kapitanie. Muszę znać szczegóły. Czy widział pan... śmierć mego ojca i brata?

Skinął głową twierdząco.

- To stało się na moich oczach. Statek zalewały fale. Zostali zmieceni z pokładu, podobnie jak wielu ludzi z załogi. Nie było sposobu, aby ich ocalić. Wszyscy walczyliśmy o życie i staraliśmy się za wszelką cenę uratować „Nieustraszonego”. Istniała groźba, że statek się rozpadnie pod naporem wody i wichru. Ciała pochłoneło morze.

Zamknęła na chwilę oczy, starając się zapanować nad uczuciem niewyobrażalnej straty. Ogarnęło ją rozpaczliwe pragnienie ujżenia raz jeszcze ukochanych twarzy ojca i brata. Zapragnęła je zobaczyć, dotknąć, ucałować na pożegnanie. Ale to już nigdy nie będzie możliwe. Jej natomiast zostanie tylko żal i bolesna pamięć szczęśliwej przeszłości. A kto wie, czy te dobre wspomnienia nie okażą się trudniejsze do zniesienia niż strata ukochanych osób.

Otworzyła oczy i napotkała badawczy wzrok kapitana Spencera. Obserwował ją.

- A statek mego ojca? Czy bardzo ucierpiał podczas sztormu?

- Owszem. Jutro rano przekona się pani, że to cud, iż przetrzymał tak potężną nawałnicę i dotarł do celu. Ładownia została zalana, dziób rozdarty, ale kadłub nie doznał szwanku. Nadal jest to okazały statek. Trzeba będzie jednak włożyć dużo pracy w jego naprawę.

Do salonu weszła pani Coffey. Oczy miała czerwone i Zapuchnięte od płaczu, ale mimo to oznajmiła rzeczowo.

- Kolacja gotowa.

- Dziękuję, pani Coffey. - Ambrozja wstała i wyciągnęła rękę do gościa.

- Wybacz pan, ale muszę wrócić do rodziny, kapitanie. Mam nadzieję, że zgodzi się pan spędzić noc w naszym domu.

Ucisnęła jej dłoń.

- Będzie to dla mnie zaszczyt, panno Lambert.

- Kiedy pan skończy jeść, pani Coffey zaprowadzi pana do pokoju mego brata. Znajdzie pan tam zapewne niezbędne dla siebie wygody.

W dalszym ciągu trzymał jej rękę. Zniżył głos.

- Chcę pani o czymś powiedzieć, panno Lambert. Pani ojciec przeczuwał, że zginie. Kiedy ramię przy ramieniu walczyliśmy ze sztormem, opowiadał mi o swoich trzech córkach i o tym, jaki jest z nich dumny. Mówił o nadziejach, jakie łączył z wami na przyszłość, i prosił o jedną przysługę. Sądziłem, że nigdy nie będę musiał jej spełnić, ponieważ kochałem go jak własnego ojca. - Wzruszenie tamowało głos kapitana. Mówił chrapliwie i urywanie. - Kapitan Lambert zobowiązał mnie, że jeśli wyjdę cało z tego wodnego piekła, to przyprowadzę „Nieustraszonego” do macierzystego portu i przekażę paniom ostatnie ojcowskie słowa. Kazał mi powiedzieć, że ogromnie kocha was wszystkie i że jest przekonany, iż będziecie dzielne i nie ugniecie się pod ciężarem przeciwności. Dodał też, że liczy na to, iż będziecie kontynuować jego dzieło.

Ambrozja westchnęła spazmatycznie.

- Mamy być dzielne? Tak powiedział?

- Tak jest.

Łzy zakręciły się w oczach dziewczyny, ale zamrugała kilkakrotnie powiekami, żeby je powstrzymać. Mobilizowała wszystkie siły, aby nie załamać się pod ciężarem bólu.

- Dziękuję, kapitanie Spencer, za... wszystko.

Odwróciła się i pobiegła po schodach na górę, zostawiając Riordana Spencera z panią Coffey, która płakała cicho z twarzą ukrytą w dłoniach.

ROZDZIAŁ DRUGI

Riordan sączył powoli gorącą herbatę, którą pani Coffey przyniosła mu do kolacji. Nawet nie pamiętał, jakie podano mu potrawy. Podczas jedzenia rozmyślał o wielu sprawach.

Przyjechał do MaryCastle, oczekując zupełnie czegoś innego, niż zastał. Był przygotowany na płacze i histerię, na to, że dziewczęta zemdleją na wiadomość o stracie ojca i brata i trzeba je będzie cucić. Spodziewał się spotkać grupę bezradnych starych ludzi i być może rozhisteryzowaną służbę. Z tego też względu postanowił poprosić miejscowego pastora, aby mu towarzyszył.

Córki przyjęły tragiczną wiadomość z ogromnym bólem. Żałość dziewcząt i domowników była wielka i autentyczna, ale siostry, a zwłaszcza najstarsza, Ambrozja, wykazały niespodziewany hart ducha. Jej zachowanie naprawdę mu zaimponowało.

Ambrozja wiedziała. Zobaczył to w oczach dziewczyny, kiedy po raz pierwszy napotkał jej wzrok. Wyczuła od razu, z czym do nich przyjeżdża. Jednocześnie widział, jak dzielnie walczy z cierpieniem i jaka jest opanowana. Ogarnęła go przemożna pokusa, aby wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Pragnął szepnąć jej do ucha, że wszystko się jeszcze dobrze ułoży, chociaż wiedział, iż egzystencja dziewcząt będzie teraz wyglądać zupełnie inaczej.

Odstawił ze stukiem filiżankę. Nie miał ochoty na herbatę, chciał czegoś mocniejszego. Odszedł od stołu. W tym momencie do pokoju weszła pani Coffey.

- Życzy pan sobie czegoś, kapitanie? Przyszłam wskazać panu jego pokój.

- Chętnie napiję się jeszcze piwa.

Skinęła głową i zadzwoniła na służącą.

- Zaraz przyniosą, kapitanie. A teraz proszę za mną.

Powiodła go szerokimi schodami na górę, na drugie piętro. Przechodząc koło zamkniętych drzwi jednego z pokoi, usłyszał stłumione kobiece głosy. Jedna z kobiet płakała. Druga pocieszała ją cicho.

Ze zmarszczonym czołem szedł za panią Coffey po schodach. W pewnej chwili ochmistrzyni zatrzymała się, otworzyła jakieś drzwi i odstąpiła na bok.

- Służąca zaraz przyniesie panu piwo. Mam nadzieję, że znajdzie pan tu wszystko, co potrzebne dla pańskiej wygody. Jeżeli ma pan jakieś życzenie, wystarczy powiedzieć o tym Libby.

- Dziękuję, pani Coffey.

Ochmistrzyni wyszła, a on rozejrzał się po pokoju. Łóżko zostało już pościelone, na kominku buzował ogień. Z miednicy nad umywalką unosiła się gorąca para. Pomimo żalu i wstrząsu, rodzina Lambertów i służba zapewniła niespodziewanemu gościowi podstawowe wygody.

Pod jedną ze ścian stało biurko i krzesło. Na biurku stała oprawiona w ramki miniatura. Przedstawiała młodego przystojnego mężczyznę, piękną kobietę oraz czworo małych dzieci. Riordan wziął obrazek do ręki i przyjrzał się uważnie twarzom. Jego wzrok przyciągnęła natychmiast postać dziewczynki o ciemnych włosach i wielkich oczach. Malowidło świadczyło, że Ambrozja od maleńkości zapowiadała się na bardzo urodziwą kobietę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał Riordan.

Weszła służąca z tacą. Postawiła ją na nocnym stoliku. Podobnie jak ochmistrzyni, dziewczyna miała oczy czerwone i Zapuchnięte od płaczu.

- Życzy pan sobie jeszcze czegoś, kapitanie Spencer?
- Nie, dziękuję ci, Libby.

Dziewczyna dygnęła i wyszła.

Z westchnieniem zdjął surdut oraz sztywno wykrochmaloną koszulę i nalał sobie szklankę piwa. Następnie podszedł do kominka i popijając piwo, z zadumą wpatrzył się w ogień.

Odbył długą i ciężką podróż. Dzień dzisiejszy był szczególnie uciążliwy. Mgła spadła na morze niespodziewanie, utrudniając utrzymanie kursu. Poruszali się w tej mgle jak ślepcy. Dotarli jednak do celu - szczęśliwie doprowadzili „Nieustraszonego” do macierzystego portu. Zrzucili kotwicę tuż przy brzegu, ale i tak musieli zrobić kilka kursów łodzią, aby przewieźć na brzeg ocalałą załogę.

Riordan zabrał żeglarzy do wiejskiej gospody, gdzie wypłacił im pensję, a w ramach nagrody zafundował nocleg i kolację. Uraczyli się pewnie doskonałym angielskim piwem oraz zabawili w towarzystwie chętnych angielskich dziewcząt. Zakopani po uszy w pierzynach chrapali teraz jak wieloryby na plaży. Po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się na tę myśl. Wypił trunk do dna i po raz drugi napełnił sobie szklanicę, stawiając ją na tacy.

Usiadł na krawędzi łóżka i ściągnął buty. Następnie rozebrał się do naga i wsunął między koce. Usiadł wsparty o poduszki, założywszy jedną rękę pod głowę. Drugą unosił szklanicę do warg. Popijając piwo, podświadomie czekał, aż jego umysł i ciało przywykną do niezwyklej ciszy domu.

Zawsze podczas pierwszych dni na łądzie, po dłuższej wyprawie, czuł się podobnie. Nawykły do kołysania i huśtania statku oraz huku fal rozbijających się o burtę, z trudem przyzwy-

czają się do nowych warunków. Niezwykły spokój panujący na ładzie wydawał mu się dziwnie denerwujący.

Spróbował zastanowić się nad swoją przyszłością. Jest kapitanem, ale nie ma statku. Jego własny żaglowiec zatonął. Musi postarać się o drugi, jak też i o załogę. Mógł to zdobyć tutaj, w Land's End, gdzie kotwiczył „Nieustraszony” Lambertów i zesłała na ład jego załoga - ludzie sprawdzeni, wierni, odważni. Nie upłynie wiele czasu, a będą mieli dość odpoczynku na ładzie. Zechcą zaciągnąć się na statek w poszukiwaniu następnej morskiej przygody. Każdy mądry kapitan skorzysta chętnie z okazji, by zatrudnić takich doświadczonych marynarzy. To prawdziwe wilki morskie. Podobnie jak on, czekają tylko, by stawić czoło kolejnym morskim wyzwaniom. A statek po remoncie będzie jak nowy.

Dla Riordana wyzwaniem mogła stać się Ambrozja Lambert.

Jej brat James wyznał mu kiedyś w sekrecie, że jego siostra włada szpadą nie gorzej od niejednego doświadczonego szermierza. Riordan uważał wtedy, że James żartuje. Teraz jednak, gdy ją poznał, zaczynał wierzyć, że młody Lambert nie przesadzał. W tej dziewczynie tkwiła prawdziwa siła. To nie jest wiotka brzoźka, która gnie się i chwieje pod naporem wichury. Ona przypomina majestatyczny dąb. Trwa jak to drzewo, wysoka, wyprostowana i nieugięta, przyjmując na siebie impet burz, które przetaczały się przez jej rodzinny dom.

Każdy mężczyzna, zdobywszy taką kobietę, może uważać się za szczęśliwca. Przedstawiała rzadkie połączenie urody i silnego charakteru. Była również inteligentna. Mądrość przebijała jej z oczu. Mężczyzna może przemierzyć kulę ziemską wzdłuż i wszerz wiele razy i nigdy nie natrafić na swój ideał kobiety. Mężczyzna powinien o tym wiedzieć. Riordan spędził na morzu wiele lat, widział wiele dalekich krajów, ale nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która wzbudziłaby w nim żywsze uczucia.

A przecież rozpaczliwie tęsknił za dziewczyną o gorącym sercu i zimnej głowie, takiej, przy której miałby gwarancję, iż go nie znudzi po jednej wspólnej nocy.

Być może w osobie Ambrozji Lambert spotkał wreszcie wymarzoną partnerkę.

Na myśl o tym odstawił na bok szklanicę z piwem. Zaraz jednak skarcił się w duchu za te niemądre rojenia. Spędził w towarzystwie tej panny zaledwie niecałą godzinę, a już zaczyna fantazjować. To fakt, że już od dłuższego czasu żył w celibacie. Poza tym znał również dobrze jeszcze jedną prawdę: mężczyzna, który pokochał morze, nie ma już w sercu dużo miejsca na inne uczucia.

Zdmuchnięciem zgasił świecę i zamknął oczy. Postanowił nie myśleć dłużej o córce przyjaciela, tylko starać się zasnąć. Przeżył wiele podczas ostatnich dni i sen był mu bardzo potrzebny.

Ambrozja nie mogła usiedzieć na miejscu. Niespokojnie krążyła po pokoju ojca, biorąc do ręki po kolei różne przedmioty, którymi zarzucone było jego biurko. Napotkała tam między innymi dziennik pokładowy kapitana Lamberta, a także sekstans, z pomocą którego jako mały chłopiec wykreślał kurs swej pierwszej wyprawy wzdłuż wybrzeży Kornwalii. Wzięła przyrząd do ręki i zamknęła oczy. Z całych sił pragnęła sobie przypomnieć ciepły dotyk ojcowskiej ręki, ale jedyne, co poczuła pod dłonią, to nieprzychylnie zimno metalu.

Z westchnieniem rozłożyła mapę świata, przyciskając ją na rogach ciężkimi przedmiotami, aby się nie zwijała. Następnie podniosła do góry świecę, aby prześledzić trasy, które przemierzał ojciec po morzach i oceanach świata. Ze ściśniętym sercem czytała jego staranne pismo. Tak bardzo kochał dolę marynarza i taki był dumny, że służył monarsze.

Spostrzegła płaszcz z kapturem, który ojciec zawsze nosił

podczas krótkich pobytów w domu, między jednym rejsem a drugim. Zdjęła go z wieszaka i zanurzyła twarz w szorstkich fałdach, wdychając znajomy zapach.

- Och, ojciec, nie mogę znieść myśli, że już nigdy więcej cię nie zobaczę, ani ciebie, ani Jamesa. Tak mi jesteś potrzebny. Wszyscy cię potrzebujemy. Proszę, nie zostawiaj nas samych, błakających się bez kompasu po drodze życia. - Poczowała łyzy pod powiekami, powstrzymała jednak płacz. Chociaż z trudem, ale podniosła głowę do góry i aby się uspokoić, odetchnęła głęboko kilka razy. Kiedy się odwróciła, zobaczyła w drzwiach czyjąś wysoką postać. Wzdrygnęła się.

- Przepraszam, panno Lambert. - Riordan postąpił naprzód w stronę światła. - Zapomniałem pani to przekazać. Specjalnie wsadziłem ją do kieszeni płaszcza, aby nie zgubić. - Wręczył jej grubą książkę. - To jest dziennik pokładowy „Nieustraszonego”. Pani ojciec polecił mi go wam oddać. - Cofnął się o krok, niezadowolony z siebie. - Nie miałem zamiaru zakłócać pani samotności. Szanuję pani ból. A teraz pozwoli pani, że odejdę.

- Nie, kapitanie. - Ambrozja przycisnęła książkę do piersi i wyprostowała ramiona. - Proszę, niech pan zostanie. Czuję potrzebę porozmawiania z kimś o ojcu i bracie.

Skinął głową ze zrozumieniem.

- Domyślam się. - Pocierając ręce, spojrzła na wystygły kominek. - Jeżeli pani sobie życzy, rozpalę ogień w palenisku, żeby było cieplej.

- Świetny pomysł. Zrobię herbatę. A może woli pan piwo?

- Szczerze mówiąc, wolę piwo.

Wyszła i wkrótce wróciła z tacą. Widok Riordana wstającego właśnie od kominka na moment pozbawił ją tchu. Bez surduta wydał jej się jeszcze przystojniejszy. Miał szczupłe, muskularne ciało i szerokie ramiona. Odwracając się, niecierpli-

wym ruchem ręki odrzucił opadające na czoło włosy i spojrzał na Ambrozię. Zauważył, że go obserwuje.

- Pozwoli pani, że to od niej wezmę. - Przeszedł przez pokój i wziął tacę z jej rąk.

- Gdzie ją mam postawić?

- Tutaj. - Wskazała okragły stolik z dwoma krzesłami, stojący w pobliżu kominka.

Kiedy już zasiedli wygodnie przed ogniem, napełniła szklanicę piwem i wręczyła ją Riordanowi. Sobie nalała filiżankę herbaty.

Wypiła kilka łyków, po czym odezwała się miękko.

- Brat często wspominał o panu, kapitanie. Miał dla pana wiele szacunku i przyjaźni. - Umyślnie nie wspomniała, że James wyrażał się o Riordanie Spencerze w sposób, w jaki mówił zazwyczaj tylko o bohaterach.

- James był moim przyjacielem. Kapitana Lamberta kochałem zaś jak własnego ojca. Nasze drogi często się krzyżowały. Zdarzało się, że zawijaliśmy w tym samym czasie do jednego portu. Nigdy wówczas nie obyło się bez spotkania w jakiejś tawernie i wypiciu razem kilku piw. Pani ojciec i brat zawsze przy takich okazjach opowiadali o swoim domu i trzech pięknych, młodych kobietach, które kochali. Teraz, kiedy panią poznałem, rozumiem, dlaczego darzyli was takim uczuciem.

- Proszę mi opowiedzieć o ostatnim dniu mego ojca.

- Już pani opowiadałem.

- Nie. - Pokręciła głową tak gwałtownie, że ciemne loki rozsypały się wokół twarzy i opadły na ramiona. - Chcę wiedzieć, co mówili i co robili, kapitanie. Czy pan mnie rozumie?

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Widział jej cierpienie. Spadł na nią wielki cios, a mimo to potrafiła zachować spokój i opanowanie. Była niewiarygodnie dzielna. Zastosował się do jej prośby i starannie dobierając słowa, by nie powiększać

jej bólu, opowiedział, jak przebiegł ostatni dzień, zanim straszliwy sztorm nie zmiotł ich z pokładu. Ambrozja słuchała w skupieniu, nie przerywając.

Kiedy skończył, odezwała się. Miękkim, łagodnym głosem zaczęła wspominać dzieciństwo swoje i Jamesa. Jej brat, mówiła, od dziecka marzył o tym, aby towarzyszyć ojcu w wyprawach na morze. Gdy skończył jedenaście lat, nic nie było w stanie go powstrzymać. Ojciec w końcu uległ i zabrał go ze sobą. James wrócił z tej pierwszej podróży pełen wrażeń. Usta mu się nie zamykały, bez końca opowiadał o swoich przeżyciach i przygodach. Straszliwie mu wtedy zazdrościłam, dodała.

- Trudno mi w to uwierzyć, panno Lambert.

- To prawda. Moje siostry i ja jesteśmy doskonałymi marynarzami. Statek nie ma dla nas tajemnic. Potrafimy robić na nim wszystko nie gorzej od doświadczonych wilków morskich. - Zobaczyła zdziwienie w jego oczach, ale szybko odwrócił wzrok i spojrzał w ogień, by je ukryć. - Często, kiedy brakowało rąk do pracy, ojciec zezwalał nam towarzyszyć sobie w krótszych wyprawach wzdłuż wybrzeży Kornwalii. Gdy skończyłam jedenaście lat, błagałam go, aby wziął mnie ze sobą w charakterze majtki, tak jak Jamesa. Wpadłam w rozpacz, ponieważ odmówił.

Riordan spojrzał uważnie na Ambrozię.

- Praca pani ojca była bardzo niebezpieczna. Mężczyźni uprawiający ten zawód ocierają się o śmierć. Dlatego też często stają się brutalni i bezwzględni. Dobrze rozumiem, dlaczego wasz ojciec pragnął uchronić córki przed takim życiem. - W jego głosie zadźwięczało wzruszenie, kiedy dodał: - Ten zawód wielokrotnie wystawia ludzi na różne próby. Bywa niewdzięczny i niemoralny. Z pewnością nie jest to zajęcie dla osób o słabych nerwach.

Ambrozja zerwała się gwałtownie z krzesła. Oczy jej roz błysły.

- Zapewniam pana, kapitanie Spencer, że ani ja, ani moje siostry nie należymy do osób słabych i tchórzliwych.

Uśmiechnął się i także podniósł się z miejsca. Gdy tak stał, wysoki i ciemnowłosy, wydał się Ambrozji urodziwy niczym grecki bóg. Pomyślała jednak, że w jego urodzie jest coś złowieszczego.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lambert. Nie miałem na myśli ani pani, ani jej sióstr. Stwierdziłem jedynie fakt: życie na morzu naprawdę tak wygląda.

Bezwiednie wziął ją za ramię. Nie powinienem tego robić, pomyślał, czując, jak pod wpływem tego dotyku dreszcz podniecenia przebiega mu po krzyżu. Zrobiło mu się gorąco.

Ostrożnie cofnął rękę i zrobił krok do tyłu.

- Teraz dopiero rozumiem, dlaczego pani ojciec był taki dumny ze swoich dzieci, panno Lambert.

- Rzeczywiście tak mówił o nas? - W oczach Ambrozji Riordan dostrzegł zachłanną ciekawość. Chciała wiedzieć wszystko o ojcu, którego już nigdy nie zobaczy.

- Tak jest. Bardzo często. Mówił o paniach z takim samym uczuciem, z jakim opowiadał o swej pracy.

- To znaczy?

- Z przejęciem, które tylko prawdziwy żeglarz jest w stanie zrozumieć. - Riordan nie zdawał sobie sprawy, że w tej chwili również przemawia w podobny sposób, z taką samą tłumioną żarliwością. - Kiedy mężczyzna raz zakosztuje życia na morzu, nie ma już dla niego odwrotu. Ten żywioł na zawsze owładnie jego duszą i odbierze spokój. W sercu prawdziwego człowieka morza niewiele zostaje miejsca na inne uczucia. Morze jest jego domem, azylem, jego panią i miłością, chociaż ta kochanka bywa często kapryśna i okrutna.

Słowa Riordana wstrząsnęły Ambrozją. Przypomniała sobie, jak jej ojciec opowiadał o swej miłości do morza. Mówił w podobny sposób.

- A pan, kapitanie Spencer? Teraz, kiedy stracił pan swój statek i połowę załogi, czy zamierza pan powrócić na morze? Czy też ma pan już dość śmierci i klęsk, jakie spadły na pana z przyczyny tej kapryśnej i okrutnej kochanki?

- Zapewniam panią, panno Lambert, że nic nie zdoła mnie zniechęcić do powrotu na morze.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

- Spodziewałam się takiej odpowiedzi.

Kiedy zrobiła ruch, żeby odejść, ponownie zacisnęła palce na jej ramieniu. Wiedział już, czego się może spodziewać i trzymał zmysły na wodzy.

- Wiem, że nie jest to najwłaściwsza pora, ale chciałem z panią pomówić o planach związanych z dalszym losem „Nieustraszonego”, panno Lambert.

Dreszcz przeniknął ciało Ambrozji. Raz czuła zimno, raz gorąco. Co takiego było w tym mężczyźnie, że jego dotyk sprawiał na niej tak silne wrażenie?

- Co pan ma na myśli?

- Będę bardzo szczęśliwy, jeżeli pozwoli mi pani kierować jego remontem. Postaram się zakończyć go jak najprędzej. Powinien możliwie szybko wyruszyć na morze.

- Jest pan gotów to zrobić? - Odwróciła ku niemu głowę z oczami rozszerzonymi z przejęcia.

Serce biło mu tak gwałtownie, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie był w stanie oderwać wzroku od jej błyszczących, ciemnych oczu. Zatonął spojrzeniem w ich przepastnej głębi.

- Mój własny statek poszedł na dno. „Nieustraszone” po remoncie, który, moim zdaniem, nie powinien potrwać dłużej niż dwa tygodnie, będzie jak nowy. Wytrzyma wszystkie próby. Wówczas, jeżeli panie wyrażą zgodę, chętnie go od was odkupię.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Dziękuję, ale „Nieustraszone” nie jest na sprzedaż. .

- Ależ, panno Lambert...
- Za żadną cenę, kapitanie Spencer.
- Nie rozumiem. Będzie tu stał na kotwicy w charakterze świątyni ku pamięci waszego ojca i brata? Taką mu wyznaczacie rolę?

- Tak pan myśli? Uważa pan, że nie potrafimy inaczej wykorzystać „Nieustraszonego”? Że stanie się kapliczką wspomnień?

- To jest statek, panno Lambert. Dobry statek, który świetnie spisuje się na morzu i doskonale nadaje do długich, oceanicznych rejsów.' Byłoby profanacją trzymać go tylko po to, aby urządzać na jego pokładzie wykwintne herbatki dla miejscowego ziemiaństwa.

- W ten sposób nas pan ocenia, kapitanie Spencer?

- Oceniam, że... - Nie zdawał sobie sprawy, że ponownie zacisnął palce na jej ramieniu. Jak również z tego, iż przyciągnął ją do siebie tak blisko, że gdy uniosła głowę, aby na niego spojrzeć, poczuł jej oddech na policzku. Głos Riordana zmiękł, stał się teraz prawie pieszczotliwy. Pochylił się nad Ambrozią - ...mam przed sobą osobę zbyt przytłoczoną ciosem, jak i na nią spadł, aby mogła logicznie myśleć.

- Zapewniam pana, że myślę bardzo trzeźwo w sprawie...

Nie dokończyła zdania, ponieważ przycisnął ją do siebie z całej siły i nakrył wargami jej usta.

Nie chciał tak postąpić. Nawet nie zamierzał jej dotknąć. Ale jedno spojrzenie w roziskrzone gniewem oczy Ambrozi wystarczyło, aby zalała go fala gwałtownego pożądania. To ono kazało mu tak zareagować. A teraz z ustami na jej wargach pograżył się bez reszty w przeżywaniu upojonej chwili.

Nigdy nie całował takich warg. Były zimne jak angielska mgła, ale kryły w sobie żar, który go zaskoczył. Smakowały słodko i podniecająco, jak łąka po wiosennym deszczu.

Zdusił pocałunkiem spazmatyczne westchnienie, jakie wydarło się z piersi Ambrozji i mocniej przycisnął wargi do jej ust. Odetchnęła prawie niedosłyszalnie i przytuliła się do niego całym ciałem.

Zanurzył ręce w jej włosach, chociaż zupełnie nie pamiętał momentu, w którym to uczynił. Szeptał jej do ucha tkliwe słowa, obsypując łagodnymi pocałunkami policzki, czoło i nos, by po chwili ponownie zagłębić się w jej ustach.

Ambrozja nigdy w życiu nie straciła do tego stopnia panowania nad sobą. Jeszcze przed chwilą myślała i mówiła przytomnie i logicznie. Teraz w jej głowie zapanował kompletny chaos. Umysł miała zamglony. Było to niewiarygodne uczucie. Miała wrażenie, jakby jakaś nieznaną siłą sparaliżowała jej wolę.

Wargi nabrzmiały i miękkły pod pieszczotą ust mężczyzny. Skóra różowiała od ciepła jego dotyku. Wydawało się, że krew gęstnieje i przepływa przez żyły jak ciekła lawa. Serce waliło w piersi jak młotem i rozsadzało skronie. Resztkami sił trzymała na wodzy zmysły rozhuśtane magiczną pieszczotą jego rąk i ust.

Riordan wiedział, że osiągnął już granicę wytrzymałości. Rozumiał, że nie ma prawa wykorzystywać słabości i bezbronności dziewczyny złamanej tragiczną wiadomością o śmierci ojca i brata. Musiał zakończyć miłosne igraszki. Ale jeszcze nie w tej chwili, nie teraz, kiedy ona tak chętnie ofiaruje mu swoje wargi i kiedy jej ciało łączy się do niego z taką ufnością.

Jej oddech przeszedł w lekkie westchnienie. Riordan jeszcze przez chwilę delektował się jej ustami, nim wreszcie oderwał się od nich ostatecznie i podniósł głowę.

Opanowując się resztkami woli, zrobił krok wstecz.

- Pójdę już. Porozmawiamy na temat „Nieustraszonego” innym razem.

- Przedstawiłam już swoje stanowisko. Nie ma o czym mówić więcej, kapitanie Spencer.

- Na imię mi Riordan. - Niepewny uśmiech przemknął mu po twarzy. - Po tym, co przed chwilą zaszło między nami, „kapitan Spencer” brzmi zbyt oficjalnie, Ambrozjo.

Odwrócił się, by odejść, świadom, że musi natychmiast znaleźć się jak najdalej od dziewczyny. Roziskrzone oczy za bardzo go kusiły, a gniewnie wygięte usteczka przyspieszały gwałtownie bicie jego serca.

Ambrozja Lambert była jak ocean w pogodny letni dzień. Na zewnątrz spokojna i opanowana, ale w środku czaił się niebezpieczny wir, który, nie powstrzymywany, mógł pociągnąć na dno zarówno statek, jak i mężczyznę.



ROZDZIAŁ TRZECI

Ambrozja weszła na taras i zaczęła się przechadzać energicznym krokiem. Potrzebowała ruchu, aby się uspokoić. Od nadmiaru wrażeń kręciło jej się w głowie.

Nikt nie całował jej tak jak Riordan Spencer. Różnił się on całkowicie od znanych jej dotychczas mężczyzn. Była w nim jakaś nieokiełznana namiętność, która podniecała ją, ale jednocześnie przejmowała obawą. Być może to ją właśnie najbardziej niepokoiło. Nie tyle jego pocałunki, co sposób, w jaki na nie reagowała, jak odbierała tajemniczą i nieco groźną aurę otaczającą tego dziwnego, obcego mężczyznę, który poczynił z nią sobie tak obcesowo.

Pomyślała o wikarym, Ianie Wellandzie, który przez dwa lata zbierał się na odwagę, aby uścisnąć jej rękę po niedzielnej mszy. Fakt, że pozwoliła na to, skłonił duchownego do dziwnego przypuszczenia, że Ambrozja jest śmiałą osobką. Co by sobie pomyślał, gdyby wiedział, że dała się całować mężczyźnie, którego znała zaledwie od kilku godzin. Przy czym nie tylko na te pocałunki pozwalała, ale w nich także czynnie uczestniczyła.

Gdyby prawda o tym rozniosła się po okolicy, przypuszczalnie uznano by ją za nierządnicę. Rzecz dziwna, Ambrozja wcale nie czuła wyrzutów sumienia z tego powodu. Przeciwnie, miała wrażenie, że przeżyła rodzaj cudu, iż odkryła właśnie jakąś nieznaną, utajoną część swej osobowości, drzemającą dotąd w uspieniu.

Przystanąła na chwilę, by dotknąć palcami warg. Wydały jej się jakieś inne, miększe. Czuła jeszcze na nich usta Riordana. Ich smak przywodził na myśl ciemne skłębione wody i napór wysokich, nieustępliwych fal. Pachniały egzotycznymi lądami. A także zapowiedzią podniecającej, zmysłowej przygody.

Ambrozja zawsze kochała ryzyko. Na dobrą sprawę wszyscy w jej rodzinie uwielbiali mocne przeżycia, choćby się nawet miały łączyć z całkiem realnym niebezpieczeństwem. Przygody działały pobudzająco na ich wyobraźnię i nadawały życiu sens.

Podjęła przerwany spacer. Odrzuciła myśl o Riordanie Spencerze i zaczęła rozważać sprawy, które dotychczas uporczywie od siebie odpychała.

Czas najwyższy spojrzeć w twarz nieubłaganej rzeczywistości. Ich świat już nie będzie taki jak dawniej. Ukochani ojciec i brat nie wrócą z morza. Nigdy więcej ich nie zobaczy. Naza jutrz czeka ją spotkanie z pastorem; należy omówić sprawy związane z pogrzebem. Ich ukochani muszą być pożegnani odpowiednio uroczyście. Poza tym jest dom, który trzeba utrzymać. Trzeba pomyśleć o przyszłości sióstr. Jest dziadek, który potrzebuje wygody i opieki. Odpowiedzialność za byt starszych domowników i służby również spoczywa wyłącznie na jej barkach. Musi zrobić wszystko co w jej mocy, aby na starość nie cierpieli niedostatku.

Ale jak to zrobić? Ambrozja zatrzymała się i wzniosła oczy do nieba, patrząc na ciemny baldachim wysoko nad głową. Mgła przeredziła się i spłynęła do morza, odsłaniając usiany gwiazdami firmament. Jak sobie poradzi z tymi wszystkimi problemami, teraz, gdy ojciec ich opuścił, a jedyne, co im po nim zostało, to MaryCastle i „Nieustraszony”?

Na razie jakoś sobie dadzą radę. Wiosna w Kornwalii szybko przechodzi w lato. Spizarnia jest pełna, a wielki ogród zapewni dostatek jarzyn i owoców na długie miesiące. Głód nieprędko

zajrzy im w oczy. Trzeba jednak pomyśleć o zimie, o tym, jak przeżyć tę nieprzyjazną porę roku, a także p wszystkich następnym zimach.

Oczywiście może wyjść korzystnie za mąż za kogoś, kto zapewni utrzymanie rodzinie i rezydentom. Taką pewnie radę usłyszysz od pani Coffey. Myśl o wyjściu za mąż wyłącznie z wyrachowania budziła w Ambrozji odrazę. Pamiętała jeszcze małżeństwo rodziców, czułość i przywiązanie, jakie okazywali sobie na każdym kroku. Rodzice kochali się wiernie do końca, do śmierci matki. Przedwczesne odejście żony pozostawiło w sercu ojca pustkę, której żadna kobieta nie była w stanie zapełnić.

Ambrozja przypomniała sobie ciemne, niezgłębione spojrzenie Riordana Spencera. Krew żywej zaczęła krążyć w jej żyłach. W gardle poczuła nagłą suchość. Nie wyjdzie za mąż tylko po to, żeby *zapewnić sobie bezpieczny i dostatni byt*. Pragnęła mężczyzny, który potrafi rozniecić w niej płomień prawdziwej miłości. Mężczyzny, który potrafi wyczuć najmniejsze drgnienie jej duszy i odczyta najskrytsze pragnienia serca.

Odrętwiała z zimna i wyczerpana dręczącymi myślami, uniosła spódnicę i udała się do swego pokoju. Tam przebrała się w nocną koszulę, a potem rozpuściła i wyszczotkowała długie włosy. Zanim wsunęła się pod kołdrę, jej wzrok padł na dziennik pokładowy ojca, który położyła na nocnym stoliku. Miłośnie przeciągnęła palcami po wytartej skórzanej oprawie. Przy tym ruchu spomiędzy pożółkłych kartek wypadł na podłogę gruby list. Nosił na sobie królewską pieczęć.

Ambrozja schyliła się, podniosła kopertę i zaczęła czytać słowa skreślone ręką panującego obecnie monarchy.

„Dla niektórych jesteś korsarzem, ale dla mnie jesteś kimś więcej. To dzięki twojej odwadze, mój przyjacielu, Anglia jest wciąż wolnym krajem. W przeciwieństwie do szlachty, którą

wdzięczny król zwykł nagradzać połaciami żyznej ziemi i wspaniałymi posiadłościami, ludzie twego pokroju nie mogą publicznie chełpić się pracą dla kraju i Korony, tylko muszą działać w ukryciu. Twoją nagrodą niech będzie zatem ten osobisty list od wdzięcznego króla, w którym dziękuje za twe usługi i lojalność, a także świadomość, że służysz Anglii ofiarnie i z honorem, mój przyjacielu".

Ambrozja przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w list. Rozpierało ją uczucie takiej miłości, dumy i żalu, że wydawało jej się, iż nie wytrzyma naporu zmiennych uczuć. Jej ojciec, jak się okazuje, nie był zwykłym kapitanem, żeglarzem ani handlarzem kolonialnych towarów. Był lojalnym i zaufanym przyjacielem Karola, króla Anglii, i ryzykował życie dla dobra Korony i kraju. Na życzenie króla, w imię wyższych politycznych racji, został korsarzem. Jego wyposażony w dobre armaty statek skutecznie bronił wód Anglii przed atakami wrogiej floty, przyczyniając się do bezpieczeństwa ojczyźnych wybrzeży.

Pomyślała o pięknych jedwabiach i satynach oraz o innych cennych towarach i przedmiotach, które ojciec przywoził do domu ze swych licznych zamorskich podróży w ciągu tych lat, kiedy służył królowi. Przywoził wyborowe trunki, kryształ, a od czasu do czasu również srebro i złoto. To stanowiło jedyną nagrodę za ciągłe narażanie życia.

Odpowiedź na wszystkie nurtujące ją dotąd pytania stała się nagle tak jasna i oczywista, jak słowa skreślone królewską ręką. Ona i jej siostry, jak przystało na córki wielkiego człowieka, podejmą szlachetne dzieło ojca i będą je kontynuować.

Zarzuciła szal na ramiona i pobiegła obudzić Bethany i Darcy. Nie miały czasu do stracenia.

- A zatem, zgadzacie się. - Wcześniej Ambrozja szarpnięciem wyrwała Bethany ze snu i zaprowadziła ją do pokoju Darcy. Tam wszystkie trzy ulokowały się pośrodku miękkiego łoża najmłodszej siostry.

- Oczywiście. - Bethany tak energicznie pokiwała, aż jej płomieniste loki zatańczyły wokół twarzy.

- Czy tatuś to właśnie miał na myśli, gdy prosił przez kapitana Spencera, byśmy kontynuowały jego działalność?

Darcy roześmiała się.

- Ojciec nie bez kozery uczył nas żeglowania. Miał w tym określony cel; chciał przekazać nam „Nieustraszonego”. Nikt nie ma większych kwalifikacji od nas, jego córek, by kierować tym statkiem. Czy jednak załoga będzie chciała słuchać naszych rozkazów? Wicie, co żeglarze myślą o obecności kobiet na pokładzie.

- Wzięłam to pod uwagę. - Ambrozja zniżyła głos. - Musimy znaleźć kogoś na stanowisko kapitana. Musi to być mężczyzna silny i stanowczy, który potrafi utrzymać posłuszeństwo wśród załogi, ale jednocześnie zechce podporządkować się naszym rozkazom. Wierzę, że ojciec go przysłał na pomoc w tej krytycznej godzinie naszego życia.

- Kapitan Spencer. - Bethany spojrzała na siostrę z zainteresowaniem. - Przecież nic o nim nie wiemy. A co będzie, jeżeli okaże się, że on ma jakieś... nieprzyjemne cechy?

Ambrozja wzruszyła ramionami.

- Zrobimy tak jak nasz ojciec w takiej sytuacji. Zdamy się na intuicję. Jestem jednak przekonana, że kapitan Spencer naprawdę kochał naszego ojca i Jamesa. Poza tym miałam okazję słyszeć, w jakich słowach James się o nim wyrażał. Nasz brat darzył go wielkim szacunkiem i poważaniem.

- Dobrze. - Bethany uspokoiła się.

- Czy sądzisz, że on przyjmie naszą propozycję?

- Potrzebny mu jest okręt i załoga. Jesteśmy w stanie zapewnić mu jedno i drugie, ale tylko pod warunkiem, że zgodzi się na nasze żądania. Na to, że przede wszystkim my będziemy decydować w sprawach „Nieustraszonego”.

- W jaki sposób zdołasz go do tego nakłonić?

- Nie wiem. Do tej pory jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Najpierw chciałam się upewnić, czy przystajecie na mój plan.

- Moim zdaniem, on się zgodzi - zauważyła cicho Darcy. Siostry spojrzały na nią pytająco.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz? - zapytała Bethany.

- Ponieważ, jak powiedziałaś, kapitan Spencer kochał tatusia i Jamesa. Myślę, Ambrozjo, że najlepszym sposobem osiągnięcia naszego celu jest odwołać się do jego uczciwości i lojalności. Powiedz mu, że przez pamięć na naszego ojca i brata oczekujesz od niego zgody na naszą propozycję.

Ambrozja zmarszczyła brwi.

- Trudno to uznać za uczciwe postawienie sprawy.

- No, wiesz. - Darcy wybuchnęła głośnym śmiechem. Siostry poszły za jej przykładem.

- Nie tak trudno. - Bethany pochyliła się i ucałowała Darcy w policzek, po czym zwróciła się do Ambrozji. - Postaraj się zaapelować do jego honoru człowieka morza. Założę się, że ci wtedy nie odmówi.

Ambrozja zmrużyła oczy.

- Jesteście bardzo przebiegłe, jak widzę.

- To oczywiste. Jesteśmy także dwulicowe i bardzo bystre. Te cechy będą nam potrzebne w przyszłej pracy na „Nieustraszonego”. Chodzi przecież o bezpieczeństwo wybrzeży naszej ojczyzny.

- Obłuda również się liczy w tych sprawach. - Bethany przestała się nagle śmiać, ponieważ nowa myśl przyszła jej do głowy.

- Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że z konieczności zaczniemy prowadzić podwójne życie? Nocą, jako korsarze, a w dzień natomiast jako przykładne, dobrze ułożone, nobliwe mieszkanki Land's End.

- Jak sobie z tym poradzimy? - Darcy spoglądała kolejno to na jedną, to na drugą siostrę.

Ambrozja namyślała się przez chwilę.

- To jest możliwe, chociaż będzie wymagało sporo trudu. Każda z nas otrzyma zakres obowiązków. Gdy jedna wypłynie w morze, pozostałe zajmą się domem, by udawać, że życie w MaryCastle toczy się zwykłym trybem.

- Musimy wtajemniczyć kogoś w nasze plany - wtrąciła Bethany z zakłopotaną miną. - Nasz plan nie uda się bez pomocy służby i domowników.

- Newtonowi na pewno możemy zaufać.

- Będzie przeciwny - zauważyła Darcy.

- To prawda - Ambrozja uśmiechnęła się - ale w końcu nas poprze. Stary korsarz nigdy nie przestał kochać morza. To samo z dziadkiem. On żyje nadzieją, że tradycja rodzinna nie zaginie. Tą nadzieją jesteśmy dla niego my.

- Zostaje Libby...

Darcy potrząsnęła głową.

- Ona za bardzo lubi paplać. Kiedy zabraknie jej tematu do plotek, natychmiast rozpowie o naszej tajemnicy wszystkim dookoła.

Ambrozja i Bethany skinęły głowami twierdząco.

- A co z Winnie i panią Coffey? Bez ich pomocy nie da się zrealizować naszych zamierzeń.

- Winnie jest bojaźliwa jak myszka. - Bethany pokręciła głową. - Ona albo zemdleje, albo nas opuści i zacznie rozpowiadać każdemu, kto zechce słuchać, że jesteśmy niespełna rozumy.

- Co do pani Coffey natomiast, jestem pewna, że nas potępi. Stwierdzi, że to wariactwo. Znać jej poglądy. Według jej wyobrażeń, prawdziwa dama postępuje zupełnie inaczej niż my.

- Darcy przeniosła spojrzenie z jednej siostry na drugą, szukając na ich twarzach potwierdzenia swych wątpliwości.

- Chyba masz rację. - Ambrozja ześlizgnęła się z łóżka i skierowała do wyjścia. - Jak na razie, musimy zachować tajemnicę przed Winnie i panią Coffey. Powiemy im o naszych planach dopiero w ostateczności. Newtonowi przedstawię je po południu, po powrocie z plebani. - Rozprostowała ramiona i wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

- Odpocznijmy teraz trochę przed wizytą u pastora. Trzeba omówić sprawy pogrzebu. Musimy pożegnać tatusia i Jamesa ze wszystkimi honorami, tak jak na to zasłużyli.

- A co z kapitanem Spencerem? - zapytała Darcy.

Ambrozja wzruszyła ramionami.

- Poczekamy, zobaczymy. Kiedy nadejdzie właściwy moment, zwrócę się do niego z propozycją.

Wychodząc z pokoju, Ambrozja zetknęła się oko w oko z człowiekiem, o którym przed chwilą rozmawiała z siostrami.

- Dzień dobry, Ambrozjo. - Riordan zatrzymał się zaskoczony jej wyglądem. Bose stopy wзираły spod rąbka nocnej koszuli. Zarzucony niedbale na ramiona szal tylko częściowo zasłaniał gibkie kształty młodego ciała rysujące się pod lekką, przezrystą tkaniną. Ciemne, rozwichrzone loki spadały na plecy, sięgając poniżej pasa.

Przypomniał sobie jedwabistą miękkość tych splotów i poczuł nieprzepartą ochotę, by dotknąć ich ponownie. Zacisnął rękę w pięść, żeby nie ulec pokusie.

- Ranny ptaszek z ciebie.

- To samo mogę powiedzieć o panu, kapitanie.

- Mam na imię Riordan. - Błysnął białymi zębami w uśmie-

chu, próbując oderwać wzrok od cienistej rozpadliny widocznej w okrągłym wycięciu nocnej koszuli. - Kiedy jestem na morzu, wstaję bardzo wcześnie, razem ze słońcem. Pomyślałem sobie, że pójdę na brzeg, wezmę łódź i popłynę do „Nieustraszonego”.

- Popłynę z tobą.

Zdziwił się, ale pomysł podobał mu się bardziej, niż chciał się do tego głośno przyznać.

- Zaczekam na dole. Służba jeszcze śpi, więc zejść do kuchni i przygotuję sobie coś do jedzenia na drogę.

- Zrób kanapki dla dwojga. Ubiore się raz-dwa. - Ambrozja oddaliła się, czując na sobie jego wzrok. Stał w miejscu i obserwował jej ruchy w migocącym świetle kaganków osadzonych w metalowych uchwytych wzdłuż ścian. Podążając śpiesznie do swego pokoju, poczuła mrowienie przebiegające wzdłuż kręgosłupa.

Kiedy już znalazła się u siebie, odetchnęła pełną piersią. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymała na chwilę oddech, czując jego spojrzenie. Koniecznie musi starać się przewyciężyć te dziwne doznania, których doświadcza, ilekroć znajduje się w pobliżu tego mężczyzny. Bądź co bądź, jeżeli zgodzi się na jej plan, będą ciągle obok siebie, zmuszeni przebywać we wspólnych pomieszczeniach. Ta profesja wymaga bezwzględności, zaufania do partnera. Nie ma w niej miejsca na wątpliwości, wahania czy napięcia. Wzajemne zaufanie będzie decydować o ich bezpieczeństwie i życiu.

Włożyła szybko białą koszulę. Po krótkim namyśle odrzuciła halki jako zbyt krępujące ruchy. Pomyślała, że pani Coffey bardzo by się tym zgorszyła, ale postanowiła się nie przejmować. Ubrała się w bawełnianą bluzkę oraz długą, granatową spódnicę. Nogi obuła w skórzane sznurowane buciki. Na koniec zwinęła włosy na karku w ciasny węzeł. Zamiast szala, postanowiła włożyć na siebie stary ojcowski płaszcz z kapturem. Był cieplejszy i bardziej praktyczny.

Kiedy wyszła z gabinetu ojca, Riordan czekał już z nią z koczkiem przerzuconym przez ramię.

- Jesteś naprawdę bardzo szybka. Dopiero co skończyłem pakować jedzenie. - Obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem, po czym otworzył przed nią drzwi. - Płaszcz to dobry pomysł. Może wiać silny wiatr.

Poprowadził ją przez kamienistą plażę do miejsca, gdzie czekała wielka drewniana szalupa - ta sama, która przewiozła na brzeg ocalałą załogę „Nieustraszonego”.

- Uwaga - rzucił ostrzegawczo Riordan, podając jej rękę.

Znajomy dreszcz podniecenia przebiegł po ciele Ambrozji, gdy pomagał jej dostać się do środka.

Usadowiła się na dziobie i patrzyła, jak zdejmuje z siebie surdut i bierze wiosła do ręki. Wiosłował szybko i rytmicznie, wydawało się, że bez żadnego wysiłku. Wyrobione mięśnie krzyża i barków, widoczne nawet przez grube płótno koszuli, przeżyły się przy każdym ruchu. Ambrozja nie mogła oderwać od nich wzroku.

Z każdym ruchem wiosła podpływali bliżej do „Nieustraszonego”. Stał kilkaset jardów od brzegu, zanurzony dość głęboko, z powodu zalanych wodą ładowni.

Riordan przywiązał szalupę, a następnie ujął sznurową drabinę, która zwisała z boku statku.

- Czy mam cię wnieść na pokład, Ambrozjo?

Obruszyła się z irytacją.

- Sama sobie poradzę, dziękuję. Od dzieciństwa wspinam się bez żadnej pomocy.

Po wargach Riordana przebiegł lekki uśmiech.

- Rób, jak uważasz. Na wszelki wypadek jednak przytrzymam ci stopnie.

Postawiła nogę na pierwszym szczeblu, przeklinając z cicha długą spódnicę, która krępowała jej ruchy. Mimowolnie odsto-

niła dość wysoko zgrabną łydkę. Nie bez satysfakcji spostrzegła podziw w oczach Riordana.

Pomimo nieodpowiedniego stroju, szybko wspinała się po drabince, by następnie zręcznym ruchem przerzucić ciało przez burłę. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że Riordan podąża za nią z koszykiem jedzenia przerzuconym przez ramię.

Zeskoczył na pokład i w milczeniu patrzył, jak Ambrozja, stojąc przy sterze, przeciągnęła po nim dłonią, a następnie dotknęła lin podtrzymujących żagle. Po chwili zniknęła w luku. Riordan wiedział, że poszła do kajuty ojca.

Bez słowa postawił koszyk na pokładzie. Postanowił nie przeszkadzać Ambrozji. Niech w samotności przeżywa swoje cierpienie.

Znalazszy się w kajucie ojca, Ambrozja przez moment zamarła w bezruchu. Wchłaniała w siebie znajome otoczenie, dźwięki i zapachy. Wsłuchiwała się w skrzywienie wręg i chlupot fal rozbijających się o kadłub statku. Ze stolika przytwierdzonego do podłogi wzięła ojcowską fajkę, wciągając z lubością w płuca słodki zapach tytoniu. Następnie usiadła w starym ulubionym fotelu Johna Lamberta. Wysłużony mebel zachował jeszcze kształt drogiego ciała, odcisnięty w trakcie długoletniego w nim przesiadywania. W szafkach wiszących na ścianie znajdowały się starannie zwinięte mapy, którymi ojciec Ambrozji posługiwał się w czasie podróży. W górze, nad koją, znajdował się mały, okrągły świetlik.

Ambrozja zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że ojciec jest obok, że właśnie zbudził się ze snu i wyziera przez okienko, aby zobaczyć, jaką pogodę zwiastuje szary świt.

W pewnym momencie zorientowała się, że płacze. Aż do tej chwili skutecznie tłumiła żal i boleść przepełniające jej serce. Teraz te uczucia wybuchły w niej ze zdwojoną siłą, szukając ujścia w potokach łez. Przebiegła przez kajutę, rzuciła się na ko-

ję i zanosła spazmatycznym łkaniem. Płakała, dopóki nie zabrakło jej łez.

Ambrozja nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy weszli na pokład. Była otępiała z rozpacz i całkowicie nieświadoma otaczającej ją rzeczywistości. Jedyne, co czuła, to przenikliwy, szarpiący ból. Teraz, gdy już się trochę uspokoiła, obeszła pokład w poszukiwaniu Riordana. Znalazła jego buty i koszulę rzucone niedbale obok drabinki prowadzącej do ładowni.

Zajrzała w dół, przyłożyła zwinięte w trąbkę dłonie do ust i wykrzyknęła:

- Halo, jest tam kto?!

Odpowiedziała jej cisza. Ambrozię ogarnął strach. Może utonął? A może wypadł za burtę?

- Riordanie! - Niewiele myśląc, podwinęła spódnicę i zeszła po drabinie w dół.

W pomieszczeniu panował mrok. Przed oczami Ambrozji majaczyły jedynie niewyraźne kształty przedmiotów unoszących się na ciemnej powierzchni wody. W powietrzu wyczuwało się odór śmierci i zgnilizny. Wstrząsnęła się z obrzydzeniem, gdy coś otarło się jej o nogę.

Kiedy już miała zejść stopień niżej, woda nagle zabulgotała i wytrysnęła do góry fontanną kropel. Ambrozja zamarła z przerażenia, po chwili jednak westchnęła z ulgą.

- Riordan, co za szczęście.

- Nie powinnaś tutaj schodzić.

- Wołałam, a kiedy się nie odezwałeś, poszłam cię szukać.

- Wszystko w porządku. Chciałem tylko sprawdzić kadłub.

Idź na górę.

Podpłynął do drabinki i patrzył, jak Ambrozja wchodzi na schodki i znika w otworze. Po kilku minutach ruszył za nią.

Kiedy się wyłonił, spostrzegła, że jest nagi do pasa. Czarne spodnie ociekały wilgocią i oblepiały ciało jak draga skóra. Woda strumykami ściekała po torsie. Poruszył energicznie głowę, żeby strząsnąć z włosów jej nadmiar.

Przez sekundę Ambrozja nie mogła złapać tchu. Nigdy nie widziała równie wspaniałego mężczyzny. Był silny i zgrabny, cały złożony z prężnych, gładkich mięśni i grubych mięśni. Przypominał greckiego boga wynurzającego się z morskich odmętów.

- Proszę, weź to. - Widząc gęsią skórę na ramionach Riordana, zdjęła płaszcz ojca.

- Dziękuję - powiedział z wdzięcznością, wkładając na siebie ciepłe okrycie. Następnie pochylił się, podwinął nogawki mokrych spodni i wsunął buty na nogi.

- Czy jadłeś już coś, Riordanie?

Pokręcił przecząco głową.

- Czekałem na ciebie.

- Wobec tego zabierajmy się do jedzenia. Zaraz ci będzie cieplej.

Ambrozja poszła po koszyk z żywnością, a Riordan tymczasem rozniecił ogień w małym żelaznym trójnogu. Za chwilę siedzieli już naprzeciwko siebie, grzejąc się z rozkoszą przy ognisku i ze smakiem zajadając kanapki. Były to grube pajdy chleba posmarowane masłem i przełożone cienkimi plastrami rostbefu.

- Miałeś czas obejrzeć szkody, więc powiedz, co o nich myślisz? Czy uszkodzenia „Nieustraszonego” dadzą się szybko naprawić?

- Myślę, że tak. Sprawdziłem kadłub. Nie znalazłem śladów przecieku. Woda w ładowni to skutek fal, które zalewały statek podczas sztormu.

Ambrozja rozejrzała się wokół.

- Pokład wygląda tak, jakby się na nim toczyła jakaś walka.

Co to jest? - Wstała i obejrzała nadpalone drewno barierki. - Czy na pokładzie wybuchł pożar?

Pochylił głowę, aby nie zobaczyła wyrazu jego twarzy.

- To wina trójnoga, musiał przewrócić się podczas burzy i płomień ogarnął drewniane części.

- To mi raczej przypomina... - Przyjrzała się uważnie burcie statku. Znowu podniosła na niego wzrok. - Co to za dziura?

Podszedł do niej i stanął obok.

- Musieliśmy w coś uderzyć... prawdopodobnie wpadliśmy na rafę podczas mgły.

- Rafa? Przewrócony trójnóg z węglami? - Spojrzała ponad jego głową w kierunku dziobu. - A tam na dziobie? Tam też się paliło. Co było przyczyną pożaru?

Nic nie odpowiedział.

- Riordanie, czas najwyższy, abyś powiedział mi prawdę.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Woda w ładowni może rzeczywiście być skutkiem sztormu, ale pożar na pokładzie powstał z zupełnie innych powodów. - Zniżyła głos. - Czy to skutek armatniego wystrzału?

- Skąd taka myśl przysłała ci do głowy?

- Czytałam list, który znajdował się w okładce dziennika pokładowego mego ojca. List od króla. Dziękuję w nim ojcu za jego rzemiosło korsarza. Mój ojciec swymi czynami dobrze zasłużył się krajowi. Powiedz mi teraz prawdę, Riordanie. Muszę ją znać. Czy „Nieustraszonego” trafiła armatnia kula?

Odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Czy dla ciebie i twoich sióstr ma jakieś znaczenie, w jaki sposób zginęli wasi najbliżsi?

Ambrozja zbierała siły, aby się przygotować na to, co usłyszy.

- Muszę znać prawdę. Niezależnie od tego, jak bardzo będzie bolesna. Teraz, kiedy już wiem, w jakim charakterze mój

ojciec służył ojczyźnie, i znając rodzaj uszkodzeń na jego statku, podejrzewam, że musiała mieć miejsce jakaś bitwa i że „Nieustraszony” wziął w niej udział.

Riordan milczał. Cóż to za zadziwiająca kobieta. Boleść i żal nie zdołały zmącić jej umysłu. Myślała jasno i logicznie i żaden szczegół nie uchodził jej uwagi. Zrozumiał natychmiast, chociaż bronił się wewnętrznie przed ujawnieniem tajemnicy, że nie pozostaje mu nic innego, jak wyznać Ambrozji prawdę. Przynajmniej tyle jest jej winien.

- Masz słuszność. Była ciężka bitwa. Zaatakowali nas piraci. Jak ci wiadomo, są statki, które nie używają bandery. Ich kapitanowie nie służą żadnemu królowi, żadnej ziemi. Włóczą się po morzach i czyhają na statki handlowe, żeby przechwycić ich ładunek. Żyją z tego, co zrabują. Ich załogi składają się z przestępców i rozmaitych wyrzutków społeczeństwa. Podobnie też określa się ich statki - nazywa się je włóczęgami i rozbójnikami.

Czekał na reakcję Ambrozji.

Skinęła głową w milczeniu. Riordan zatem mówił dalej.

- Wyłonili się nagle spoza gęstej mgły. Na maszcie powiewała angielska flaga, co nas zmyliło. Oni już o nas wiedzieli i szykowali się do ataku.

- Płynąłeś wspólnie z mym ojcem i bratem?

- Tak jest. Razem wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu z portu w Walii. Mój okręt, „Wojownik”, pierwszy stał się celem piratów. Stawiliśmy opór. Nie wiedziałem jednak, że tamci mają na pokładzie armaty oraz ponad stu zbrojnych żołnierzy. Ja dysponowałem zaledwie czterdziestoma ludźmi. W pewnym momencie pocisk armatni uszkodził mój statek, który zaczął tonąć. Wtedy nadpłynął twój ojciec i ocalił mnie i moich marynarzy.

Riordan umilkł i zapatrzył się przed siebie, wspominając zaciętą walkę, którą stoczyli z napastnikami.

- Początkowo przewaga była po naszej stronie. Również mieliśmy armaty, więc odpowiedziliśmy ogniem. Widzieliśmy z naszego statku, jak napastnicy bezskutecznie usiłują stłumić pożar, który nasza kula wzniciła na ich pokładzie. Statek piratów zaczynał niebezpiecznie przechylać się na bok. Wtedy przystąpiliśmy do abordażu i wdarliśmy się na pokład, aby na miejscu rozprawić się z załogą. Twój ojciec i brat, niech spoczywają w spokoju, walczyli bardzo dzielnie. W pewnym momencie na odsiecz zbójom przyszedli żołnierze, którzy do tej pory ukrywali się pod pokładem, ale poradziliśmy sobie i z nimi. Wtedy jednak rozszalał się sztorm i powstała groźba, że nasz żaglowiec rozpadnie się na kawałki, jeżeli nie odczepimy go w porę od pirackiego statku. Przenieśliśmy naszych rannych i poległych na pokład „Nieustraszonego” i odpłynęliśmy w stronę macierzystego portu.

- Czy mój ojciec i brat żyli jeszcze, kiedy rozszalał się sztorm?

- Niestety, nie. Zginęli, chociaż bronili się bohatersko do samego końca. Kazałem przenieść ciała na pokład ich własnego okrętu. Gdy sztorm przybrał na sile, fale zmiotły ich zwłoki do wody. Nie było żadnej możliwości, aby wydostać ciała z morskiej kipieli. Musieliśmy oddać je morzu.

Przymknęła powieki, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Wiem, że chciałybyście zobaczyć ich ciała. Robiłem, co mogłem, aby je przywieźć do domu. Jeżeli to może być dla ciebie jakąś pociechą, Ambrozjo, to wiedz, że umarli jak bohaterowie.

Odwróciła wzrok.

- Wszyscy, którzy umierają za Anglię są bohaterami.

- To prawda, ale jest jeszcze coś. - Ujął ręką jej podbródek i uniósł do góry, zmuszając, by spojrzała mu prosto w twarz.

W oczach miał smutek. - Gdyby twój ojciec i brat nie pośpieszyli z pomocą mnie i moim ludziom, już dawno świętowaliby szczęśliwy powrót do MaryCastle. To nie oni byli celem zbójckiego ataku. To ja nim byłem. To przeze mnie zginęli twoi najbliżsi. - W głosie Riordana brzmiała rozpacz. - Do końca moich dni będę musiał żyć ze świadomością, że przyczyniłem się do śmierci dwóch wspaniałych ludzi, moich najlepszych przyjaciół.

Ambrozja bardzo pragnęła go pocieszyć. Nie znalazła jednak w sobie dość siły, aby się na to zdobyć. Cierpienie nazbyt ją przytłoczyło. Ogarnęła ją tak ogromna żałość, że z trudem wydobyla z siebie głos.

- Jak nazywał się piracki statek i jego kapitan?

- Statek nosił nazwę „Pogromca”. Nazwisko kapitana brzmiało Eli Sledge. Dlaczego o to pytasz?

Nadeszła chwila, aby zwierzyć się Riordanowi z planów. Dał jej właśnie doskonałą broń do ręki. Starła się odsunąć na bok myśl o jego cierpieniu. Przede wszystkim liczyło się zadanie, jakie ona i jej siostry przed sobą postawiły.

- Gdy tylko „Nieustraszony” będzie gotów do drogi, wyruszymy na poszukiwanie zabójców. Nie spoczniemy, dopóki „Pogromca”, jego kapitan i załoga nie znajdą grobu na dnie morza.

Riordan spoglądał na nią podejrzliwie.

- Czyżbyś zmieniła postanowienie? Zamierzasz sprzedać mi wasz statek?

- Nie, Riordanie. Źle mnie zrozumiałeś. Z tobą, jako kapitanem „Nieustraszonego”, ja i moje siostry pomścimy śmierć naszego ojca i brata. Postanowiłyśmy przejąć spuściznę ojca i kontynuować rodzinne tradycje.

- W charakterze marynarzy?

- Tak. Marynarzy handlowego statku „Nieustraszony”. A także w jeszcze innym - jako załoga korsarskiego żaglowca pozostającego w służbie króla Anglii.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Riordan spoglądał na Ambroję z niedowierzaniem.

- Cóż to za głupi pomysł?

- Nazywaj to, jak ci się podoba! - Zachnęła się gniewnie i odstąpiła kilka kroków. Chciała być od niego jak najdalej. - Uzgodniłam już wszystko z siostrami. Dzisiaj wysłałyśmy list do Londynu, do króla Karola.

Drżała ze zdenerwowania, ale nie zwracała na to uwagi. Postanowiła zastosować mały wybieg.

- Jeżeli odmówisz zostania kapitanem na moim statku, znajdziemy kogoś innego na twoje miejsce.

- Nie znajdziecie na tyle niemądrego mężczyzny, który by chciał powierzyć swoje życie trzem nierozumnym kobietom.

- Chcesz powiedzieć, że to płeć decyduje o rozumie człowieka?

- Oczywiście, że nie, ale...

- Uważasz też pewnie, że jako niewiasty nie potrafimy władać szpadą tak zręcznie jak mężczyźni, czy tak?

- Co do zręczności, to mogę się z tobą zgodzić. Ale wasz wzrost...

- Dorównuję wzrostem niejednemu mężczyźnie, Riordanie, a zręczność we władaniu bronią pozwala mi pokonać fizyczną przewagę. Może chcesz się ze mną spróbować?

- Spróbować z tobą? - Zaniemógł na chwilę z wrażenia. Potem zaczął się śmiać.

- Niewielu mężczyzn jest w stanie dorównać mi w walce na

szpady. Wątpię, czy istnieje kobieta, która mogłaby mnie pokonać.

- Bardzo dobrze. - Ambrozja odwróciła się i zaczęła pakować resztki jedzenia. Kiedy załadowała już wszystko do koszyka, powiedziała: - Mam spotkanie u pastora. Potem uzgodnimy miejsce pojedynku.

Schwycił ją za ramię.

- Nie mówisz chyba tego poważnie.

Wyrwała się i stanęła przed nim, spoglądając mu prosto w twarz.

- Mówię najzupełniej poważnie.

Zaklął pod nosem. Przez moment miał ochotę ją udusić. Tłumiąc gniew, oddał jej płaszcz i odwrócił się, mruknąwszy pod nosem:

- Zobaczymy, jak to będzie.

Wciągnął na siebie koszulę i surduty. Kiedy podszedł do sznurkowej drabiny, zobaczył, że Ambrozja zeszła już na dół i czeka na niego w łodzi.

Bez słowa ujął za wiosła. Był to dobry sposób na wyładowanie kipiącej w nim złości. Cóż to za dziwny typ z tej Ambrozji, nie ma chyba drugiej takiej kobiety na świecie. Najpierw zamierza spotkać się z pastorem, żeby omówić szczegóły pogrzebu ojca i brata, a zaraz po tym planuje pojedynek. W jej poczynaniach brak logiki.

Kiedy przybyli do brzegu, wszedł do wody i wciągnął szalupę na plażę. Następnie wziął Ambrozię za rękę, aby pomóc jej wydostać się na suchy ląd.

Postanowił dać jej jeszcze jedną szansę. Starając się przybrać możliwie najłagodniejszy ton, zwrócił się do niej prosząco:

- Posłuchaj, porzuć ten głupi zamiar.

Jak poprzednio, jego dotyk sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Postanowiła jednak na to nie zważać.

- Nazywaj to, jak chcesz, Riordanie. Siostry i ja podjęliśmy już decyzję.

- Powiedz, co mam zrobić, aby cię przekonać. - Odruchowo, nie zdając sobie sprawy z własnych poczynań, objął ją za ramiona i przytulił.

- Puść mnie.

Odpowiedzią był namiętny pocałunek wyciśnięty na jej wargach. Pomyślał, że to dla niej najlepsza kara. Byli jak para wojowników, którzy szepili się w walce na śmierć i życie. Oczy ciskały gromy, a rysy ściągnęła rozpaczliwa zaciętość. Przyciągnął Ambrozię jeszcze bliżej, ale ona go odepchnęła. Riordan był jednak wyższy i silniejszy i po krótkim zmaganiu pokonał jej opór.

Oprzytomniał, gdy usłyszał jej spłoszony okrzyk. Jak gdyby chcąc siebie ukarać za zbytnią natarczywość, puścił ją i odstąpił krok do tyłu. Opamiętanie Spencera przyszło jednak za późno. Bezwiednie wczepiła palce w przód jego koszuli i przyciągnęła z powrotem do siebie. Westchnęła lekko, gdy wargi Riordana przyłgnęły do jej ust.

Przestał już nad sobą panować. Wszelkie wyrzuty sumienia, jakie czuł z powodu pochopnego zachowania, poszły naraz w zapomnienie. Zacisnął ramiona wokół jej barków i przycisnął do siebie z całej mocy. Musnął najpierw delikatnie jej wargi, a potem wpił się w nie głębiej, zachłanniej.

Riordan miał uczucie, że porwał go potężny prąd. Był jasny ranek, a oni stali na pustej plaży, zapatrzeni w siebie, niepomni, że ktoś z pobliskich chat może ich dostrzec. Wydawało im się, że na całym świecie jest tylko ich dwoje. Myśl, że może ją ułożyć na ziemi i wziąć tutaj, na tym łożu z sypkiego piasku, sprawiła, że z trudem panował nad wzbierającą żądzą.

Pomimo wiatru, który chłostał ich twarze oraz targał włosami i ubraniami, żar oblewał ciała i tamował oddechy. Zaczęli dyszeć spazmatycznie, jak ryby wyrzucone na brzeg.

W końcu, jak gdyby budząc się z narkotycznego snu, oprzytomnieli i odstąpili od siebie. Ich rozwarte szeroko oczy płonęły gorączkowo, a piersi unosiły się i opadały przyspieszonym rytmem.

Ambrozja próbowała opanować urywany oddech. Kiedy uprzytomniła sobie swoją rolę w tych miłosnych igraszkach, poczuła, że rumieni się ze wstydu. W równej mierze ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało.

Poczuła nagle rozpaczliwą chęć udowodnienia mu, że namiętność, która na moment złączyła ich usta i przeniknęła za rem trzewia, jest dla niej tylko przejściowym kaprysem. Głosem, niewiele tylko głośniejszym od szeptu, rzuciła słowa, które były jak symboliczne ciśnięcie rękawicy pod stopy wroga.

- Po powrocie z plebani spotkamy się w gabinecie mego ojca. Nie zapomnij przynieść ze sobą broni.

- Ambrozjo, na wszystko co dla ciebie najświętsze, zaklinam cię, porzuć ten pomysł.

- Nigdy.

Odwróciła się i odeszła pośpiesznie plażą w kierunku domu. Wiatr owijał jej spódnicę wokół nóg i rozwiewał na wszystkie strony gęste, ciemne i tak już rozwichrzone włosy.

Spoglądał na nią ponurym wzrokiem. Jego myśli były równie posępne, jak chmury, które zbierały się nad pofałdowaną powierzchnią morza. Ta cholerna, uparta dziewczyna zasługuje na surową lekcję. Z niechęcią myślał o zadaniu jej fizycznego bólu, niemniej uważał, że jest to jedyne wyjście, aby tej zwariowanej kobiecie przywrócić rozsądek. Ambrozja musi porzucić głupi pomysł zostania korsarzem i staczania walk z doświadczonymi wilkami morskimi.

Kiedy powóz, którym Ambrozja i jej siostry wracały z plebani, zajechał przed dom, Riordan znajdował się w ogrodzie.

Z ich bladych, posmutniałych twarzy wywnioskował, że wizyta u pastora była ciężkim przeżyciem. Wzniosłe pienia i wzruszające modlitwy zanoszone przez obu duchownych musiały sprawić, że pogrążone w głębokiej żałobie młode kobiety przechodziły tortury, by zachować spokój i nie rozsłochać się na oczach obecnych.

Newton pomógł pannom wysiąść z powozu, po czym odprowadził wehikuł do wozowni. Ambrozja zatrzymała się przez chwilę i popatrzyła na ogród, na wysoką postać stojącego tam mężczyzny. Następnie, z butnie zadartym do góry podbródkiem, ujęła siostry za ręce i wraz z nimi weszła do domu.

Riordan postanowił dać Ambrozji czas na wypicie herbaty, którą przygotowała dla nich pani Coffey. Wiedział, że starsi domownicy czekali z niecierpliwością na powrót sióstr. Ich stary dziadek, niania i ochmistrzyńni będą chciały dowiedzieć się o każdym najmniejszym szczególe planowanego nabożeństwa. Riordan bał się, że boleść, którą Ambrozja do tej pory tak dzielnie w sobie tłumiła, może przy tej okazji wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Po godzinie udał się do dawnego gabinetu Johna Lamberta. Miał nadzieję, co prawda nikłą, że rozsądek zwycięży i dziewczyna zrezygnuje z pojedynku.

Kiedy stanął na progu gabinetu, zobaczył Ambrozię pogrążoną w myślach i wpatrującą się w ogień płonący na kominku. Spozrzegła go i gdy wszedł do środka, starannie zamknęła drzwi i zasunęła rygiel. Następnie przeszła na drugą stronę pokoju. W ręku trzymała szpadę.

- Czyżbyś się obawiała, że zmienisz nagle zamiar i zechcesz opuścić pole walki?

Spojrzała na zaryglowane drzwi.

- Zrobiłam to, aby nikt nie usłyszał odgłosów naszych szpad. Klingi wydają ostry dźwięk, a to może wzbudzić niepo-

trzebnie czyjaś uwagę. Może ktoś zechce tu zajrzeć, powodowany ciekawością.

- Jeżeli myślisz, że z mojej strony będzie to walka na niby, grubo się mylisz. - Wziął szpadę i zamachnął się nią groźnie. Miał nadzieję, że Ambrozię obleci strach. - Jest tylko jeden powód, aby brać broń do ręki; konieczność zlikwidowania przeciwnika. Czy ty to rozumiesz?

- Owszem. - Wytarła ręce o spódnicę, następnie uniosła szpadę i stanęła naprzeciwko niego.

Riordan nie mógł pojąć, jak ta wysoka, elegancka, starannie uczesana i modnie, choć skromnie ubrana dziewczyna mogła wpaść na pomysł pojedynkowania się na szpady z silnym mężczyzną. Jeżeli ta próba ma szansę ją przekonać o bezsensowności zaplanowanych poczynañ, to niech się stanie według jej życzenia.

Dotknął klingą jej szpady, przez cały czas bacznie ją obserwując.

- To ty wyzwalałaś mnie na pojedynek, Ambrozjo. Wobec tego zaczynaj pierwsza.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo uprzejmy.

- Staram się tylko być uczciwy.

- Uczciwy, mówisz?

Zaatakowała go bez zwłoki, wytrącając mu prawie broń z ręki silnym uderzeniem.

Zaskoczony, oniemiał na chwilę. Nieustannie nakazywał sobie ostrożność. Nie chciał jej drasnąć. A ona przez cały czas czekała tylko na okazję, aby go okpić. I nie tylko okpić, także upokorzyć.

Ambrozja skorzystała z jego rozterki, aby przyprzeć go do ściany. Brzeszczotem dotknęła jego barku.

- Gdyby to była prawdziwa walka, byłbyś już ranny, Riordanie. Twoje ciało rozrywałby ból, a rękaw nasiąkał krwią.

- Bardzo to uprzejmie z twojej strony, Ambrozjo. - Zmrużył oczy, nacierając na nią z taką siłą, że poczuła, jak jej ręka i całe ramię zawibrowało od tego ciosu.

- Gdyby to była prawdziwa walka - dodał z wymuszonym uśmiechem - a nie tylko głupawe igraszki bronią, przekonała-byś się, że mam dosyć siły, aby błyskawicznie cię rozbroić.

Mięśnie miała napięte jak struny, ale trzeba przyznać, że zdołała utrzymać szpadę w ręce, chociaż nie czuła palców. Były kompletnie zdrętwiałe.

Starając się ukryć zmieszanie, uskoczyła zręcznie w bok, unikając zasięgu jego szpady. Natarł naprzód, a ona, aby ująć przed ciosem, przechyliła się trochę za bardzo w jedną stronę; w rezultacie niewiele brakowało, by upadła. W ostatnim momencie zdołała jednak odzyskać równowagę i zrobiła obrót, stając do niego przodem.

Metaliczny dźwięk broni wypełnił pokój. Klingi ich szpad spotkały się i ścierały ze sobą. Za każdym uderzeniem Riordana, Ambrozja czuła, jak jej siły słabną. Riordan miał znacznie lepszą formę niż ona. Będąc na morzu, na pokładzie „Wojownika”, pracował od świtu do nocy, podczas gdy jej wysiłek fizyczny w zasadzie ograniczał się do podniesienia do ust filiżanki z herbatą, kiedy gościła u siebie znajomych z Land's End. A nie było to, przyznajmy, zbyt obciążające zajęcie. Taki tryb życia sprawił, że kondycja dziewczyny nie mogła sprostać dużemu wysiłkowi.

- Zmęczyłaś się, Ambrozjo?

W odpowiedzi wykonała pchnięcie, rozdzierając mu koszulę na ramieniu.

- Czuję się świetnie, jak nowo narodzona.

Zamachnął się szpadą, i to tak sprawnie, że zmuszona była cofnąć się na tyle daleko, iż w pewnym momencie poczuła za sobą już tylko ścianę.

- A teraz co zrobisz, Ambrozjo? - Złowieszczy uśmiech przebiegł mu przez wargi.

Szpada w jej ręku mignęła niczym błyskawica, o włos tylko mijając jego palce.

- Ach, tak. - Spojrzał na nią z uznaniem. - Chcesz mnie zranić, prawda? - Zrobił gwałtowny ruch do przodu.

Zręcznie uniknęła ciosu i puściła szpadę w ruch. Brzeszczotem trafiła go w ramię. Poczował ból i gniew. Krew pociekła z rany lepkim, ciepłym strumieniem.

Ten widok nią wstrząsnął.

- Przebac mi, Riordanie. Nie chciałam cię zranić...

Roześmiał się krótko.

- Oczywiście, że chciałaś. Oboje wiemy, że to nie jest zwykła zabawa. - Był prawie rad, że go zraniła. On sam zmierzał jedynie do tego, by wytrącić jej broń z ręki. Nie chciał zranić Ambrozji.

Teraz zamachnął się ostro, ale i tym razem skupił uwagę tylko na klindze jej szpady. Szkoda mu było kaleczyć delikatną skórę dziewczyny.

Początkowo Ambrozja przyjęła atak z uśmiechem pobłażania. Wiedziała, że Spencer jest zdziwiony jej szermierczymi umiejętnościami i że wywarły na nim duże wrażenie. Wkrótce jednak, gdy zaczęły wymieniać ciosy i krzyżować szpady, zmęczenie zaczęło dawać się jej we znaki. Oddychała szybko i z trudem. Na twarzy malował się wysiłek połączony z napięciem. Walczyła rozpaczliwie, aby nie ustępować pola mężczyźnie, który władał bronią tak, jak robił wszystko inne w życiu - lekko i z niewymuszonym wdziękiem.

Przesuwali się bezustannie po całym pokoju. Riordan atakował, Ambrozja się broniła. Każdy jego krok do przodu oznaczał dla niej konieczność cofania się. W pewnym momencie spostrzegła, że ma za plecami płonące głownie, na lewo wielką ła-

wę, a na prawo dwa krzesła z wysokimi oparciami - sytuacja bez wyjścia. Nie miała dokąd się już cofać. Zrozumiała, że znalazła się w pułapce.

- Poddajesz się, Ambrozjo?

- Nie.

Zaciskając wargi, zamachnęła się szpadą, ale on przewidział ten ruch. Koniuszkiem klingi dotknął jej rękawa. Tylko wielkiej wprawie zawdzięczał, że zdążył cofnąć broń, zanim ostrze wbiło się w miękkie ciało.

Uderzyła ponownie, ale raz jeszcze jego szpada okazała się szybsza. Tym razem zaciął ją po palcach, ale tylko po wierzchu. Nie pokazała się ani jedna kropla krwi.

Wydała okrzyk bólu i o mało nie wypuściła szpady z ręki. W ostatniej chwili schwyciła za rękojeść i cofnęła ramię. W tej sekundzie Riordan dotknął koniuszkiem szpady jej piersi.

- Poddaj się, Ambrozjo. Na miłość boską, poddaj się, nim cię naprawdę zranię.

- Nigdy. - Chciała złapać szpadę w obie ręce i unieść ją do góry nad głową, ale nim zdążyła to zrobić, Riordan uderzył ją płazem po ramieniu. Zaskoczona, wypuściła broń z ręki, która z brzękiem upadła na podłogę.

Okręcił Ambrozię dookoła i przyciągnął do siebie, a następnie przyłożył klingę do gardła. Zniechęconym głosem powiedział:

- Posłuchaj, gdybyś była moim wrogiem, przejechałbym tą klingą po twojej pięknej szyi i byłoby po tobie.

Widziała, że jest bardzo spięty i z trudem trzyma nerwy na wodzy. Przez dłuższą chwilę nie poruszyła się. Kiedy wreszcie odetchnął głęboko i puścił ją, obróciła się szybko. W jej rękę błysnął niewielki ostry nóż.

Przeniósł wzrok na jej oczy, błyszczące dziko w świetle rozjarzonego kominka.

- Skąd go masz?

- Trzymałam go za paskiem spódnicy. Nauczono mnie zawsze chować dodatkową broń w zanadrzu, w razie bójki. To była jedna z pierwszych lekcji, jakich udzielił mi dziadek. I gdybym rzeczywiście była twoim wrogiem, ten nóż już by znalazł drogę do twego serca.

Po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Daję ci za to wysoką ocenę. A także za umiejętność władania szpadą.

Zmarszczyła brwi.

- Czy to ma być komplement? Z ust aroganckiego kapitana Spencera?

- Tak, w pełni zasłużony. Ale przypominam ci, Ambrozjo. Nóż jest za mały i zbyt późno go wyciągnęłaś. W prawdziwej walce byłabyś już nieżywa lub co najmniej śmiertelnie raniona.

- Tobie się tak wydaje. Trzymałam ten nóż na ostatek, wiedząc, że się tego nie spodziewasz. Przynaj, zaskoczyłam cię.

- Rzeczywiście. - Wykonał ręką szeroki łuk, wytrącając jej sztylet z garści. I ta broń również z brzękiem potoczyła się po podłodze.

Nastała pełna napięcia cisza. Kiedy Riordan wreszcie przemówił, jego głos chrypiał od tłumionego gniewu.

- A teraz co zrobisz? Poddasz się?

- Nigdy. Jeżeli nie będzie innego wyjścia, będę walczyć paznokciami i zębami. Czy mam ci udowodnić, jak skuteczna to jest broń?

- Nie ma potrzeby. Pamiętaj jednak - paznokcie i zęby mogą zranić, ale nigdy nikogo nimi nie zabijesz. I jeszcze jedno ostrzeżenie. Gabinet twojego ojca jest mały i ograniczony ścianami. To zamknięta przestrzeń.

- Podobnie jak kajuty na pokładzie statku.

- Na pokładzie jest dużo przestrzeni; wróg może uciekać,

robić uniki, kryć się. Usiłując pokonać przeciwnika w takim miejscu, zapomina się czasami o tym, że zamiast stałego gruntu ma się pod nogami kołyszący się, podskakujący na falach, chybotały statek. A deski pokładu bywają często śliskie od morskiej wody i krwi walczących. W takim przypadku nie wystarczy sama tylko umiejętność posługiwania się szpadą czy nożem. Musisz mieć także zwinne nogi, giętkie ciało i zawsze o krok wyprzedzać swego przeciwnika.

Podniósł z podłogi jej szpadę i nóż. Zamiast oddać Ambrozji broń, położył ją poza zasięgiem jej ręki, obok swej własnej broni.

Utkwił w Ambrozji wzrok.

- Myliłem się co do ciebie. Jesteś o wiele lepszym szermierzem, niż sądziłem.

Przyłożyła rękę do serca szyderczym gestem.

- Uważaj, kapitanie, bo jeszcze dam się złapać na lep twoich słodkich słówek.

- Niech cię moje słowa nie zwiódą. Choć jestem zaskoczony twoimi szermierzymi zdolnościami, nadal jestem zdania, że nie masz co robić na pokładzie statku. To, co ty i twoje siostry wymyśliłyście, jest zupełnym szaleństwem. Poza tym, jest to również bardzo niebezpieczne zajęcie.

Milczała. Wyczuwała w jego głosie nutę, która uprzednio uszła jej uwagi. Czyżby to była niechętna zgoda na jej propozycję?

Postanowiła postawić wszystko na jedną kartę.

- Nie musisz się wiązać z nami, Riordanie. Jeżeli uważasz, że jestem głupia, możesz odejść. Żadna z nas nie będzie miała o to do ciebie żalu, nawet, jeżeli, jak twierdzisz, kochałeś naszego ojca jak własnego. - Wyciągnęła do niego rękę. - Proszę o odpowiedź. Czy dojdziemy do zgody? Czy też wolisz odejść?

Spoglądał na jej dłoń przez dłuższą chwilę w milczeniu. Am-

brozji serce stanęło w piersi. Zdenerwowała ją własna głupota. Powinna poczekać jeszcze trochę, aby dać mu więcej czasu do namysłu. Za szybko zaczęła na niego naciskać, zbyt natarczywie.

Czyż ojciec nie ostrzegął, że niecierpliwość jest jej najłabszą stroną?

Riordan spojrział w oczy dziewczyny i wyciągnął rękę, ale nie potrzęsął jej dłonią na zgodę, tak jak oczekiwała. Ujął ją po to tylko, aby przyciągnąć Ambrozię do siebie. Stali teraz przed sobą, prawie stykając się twarzami.

- Mała wiedźmo. Już za późno dla mnie na odwrót. Dobrze o tym wiesz.

Westchnęła z ulgą, a po chwili uśmiechnęła się. Darcy miała rację. Jej metoda odniosła skutek. Pozyskała go.

Jednak jego następne słowa przejęły ją zdziwieniem.

- Ale układ zawrzemy na moich warunkach - powiedział i zanim zdążyła zareagować, przyciągnął ją bliżej i zamknął w ramionach.

- Nie. - Odepchnęła się od jego torsu, ale Spencer po raz kolejny pokazał, że jest od niej silniejszy.

- A właśnie że tak. - Jedną ręką odebrał jej swobodę ruchu, a drugą zanurzył we włosy i odciągnął głowę dziewczyny do tyłu. Przez cały czas nie odrywał od niej oczu. - Wiesz dobrze, co robisz, prawda, Ambrozjo?

- Nie wiem - gwałtownie wciągnęła powietrze W płuca - co masz na myśli.

- Och, myślę, że wiesz. - Ciagle na nią spoglądając, ujął jej twarz w swe wielkie dłonie.

Próbowała wyrwać się z jego objęć, ale on przewidział jej ruch i uniemożliwił go, przytrzymując silniej. Kiedy usiłowała odwrócić twarz, jeszcze bardziej wzmocnił uścisk. Uniosła wzrok i dostrzegła w jego oczach znajomy złowieszczy błysk.

Widziała go już przedtem, kiedy się ze sobą pojedynkowali. Teraz też, pomyślała, toczy my podobny pojedynek. W tym starciu również chce zostać zwyciężcą.

Gdy zniżył usta do jej warg, nie zamknęła oczu, tylko czekała na moment, aby wyrwać się z jego ramion. Ale on ją zaskoczył. Z szelmowskim uśmiechem przeciągnął jedynie wargami po jej ustach, w pieśszczocie będącej jedynie słabą namiastką pocałunku.

Pod wpływem tych karesów Ambrozię oblała fala gorąca. Żar, który ogarnął jej ciało, był tak wielki, że czuła, jak różowi skórę. Riordan stopniowo pogłębiał pocałunek, a ona nie miała siły mu się dłużej przeciwstawiać. Bojąc się, że straci równowagę, objęła go w pasie i trzymała kurczowo. Niewiele to pomagało; Ambrozja wciąż miała uczucie, jakby podłoga usuwała się jej spod nóg.

W końcu z ciężkim westchnieniem uległa i poddała się jego żądaniom. Ale on nie poprzestał na jej ustach. Lekki mi pocałunkami zaczął obsypywać teraz jej policzki, podbródek i kąciki ust.

Zawiedziona, uchwyciła go za przód koszuli i przyciągnęła bliżej, proponując wzniesione usta. Namiętnie pragnęła raz jeszcze poczuć na nich słodki nacisk jego warg.

- No i co, poddajesz się teraz, Ambrozjo?
- Poddać się? - Na dźwięk znieprawionego słowa Ambrozja zeszywniała. - Nie, Riordanie Spencerze. Nigdy się nie poddam.

- Wobec tego ogłaszam, że zostałem zwyciężcą i jako taki mam prawo wziąć to, co chcę. - Tym razem jego pocałunek nie był już czuły ani delikatny. I chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, nawet przed sobą, nie miała nic przeciwko tej obywatniającej gwałtowności.

Usłyszała jakiś dźwięk i zrozumiała, że jest to jej własny

głos, szorstki z pożądania. Wbrew swej woli oplotła ramionami szyję Riordana, nie broniąc się już dłużej i ofiarując wszystko, co miała do ofiarowania.

Nigdy nie przeżyła równie upojnego pocałunku. Riordan pieścił ją nie tylko ustami, wprawiając w coraz większe podniecenie; jego ręce również nie próżnowały. Wolno przesuwają się po plecach i wzdłuż boków, aż napotkały miękkie i pełne piersi.

Drgnęła gwałtownie i próbowała wyrwać się z jego objęć, ale on po raz wtóry uprzedził jej ruch. Wzmocnił pocałunek, tak że poczuła się omdlała i bezwolna. W głowie miała kompletną pustkę. Wiedziała jedynie, że z całej siły pragnie, aby robił z nią to, co robi, żeby trzymał ją właśnie tak jak w tej chwili, i całował tak, jak całuje, w podobny sposób dotykał i nigdy nie przestawał.

Kiedy jego ręce przesunęły się znowu po jej bokach, nie miała już siły opierać się dłużej. Jego kciuki napotkały jej sutki i głaskały dopóty, dopóki westchnienia rozkoszy nie przeszły w jęk pożądania.

Riordan wiedział, że musi przestać. Zamierzał przecież jedynie dać jej nauczkę. Dał się jednak ponieść namiętności i jego umysł uległ zmaczeniu. Napawał się rozkoszną chwilą i nie myślał o konsekwencjach. Zapragnął posiąść Ambrozię. Teraz, natychmiast.

Myśl była tak kusząca, że odwlekał moment rozłąki. Chciał jeszcze, choćby przez sekundę, delektować się smakiem jej ust i bliskością ciała. Wreszcie rozsądek zwyciężył. Riordan z najwyższym wysiłkiem oderwał usta od warg Ambroзии i ochrypłym z emocji głosem powiedział:

- Niech to będzie dla ciebie nauczką, Ambrožio. Jest czas walki i jest czas rozejmu.

- Nie poddam się żadnemu mężczyźnie, Riordanie Spence-rze. A już tobie szczególnie.

- A więc tak. - Cofnął się o krok, schylił, podniósł z podłogi szpadę i nóż, wręczając je Ambrozji. - Sądząc po twym zachowaniu, gdy się całowałem, nie sprawiało ci to przyjemności.

Ambrozja zaczerwieniła się. Strzał był celny. Pragnąc ukryć zakłopotanie, schwyciła podaną broń, modląc się w duchu, aby nie spostrzegł drżenia ręki.

Pośpiesznie ruszyła do wyjścia. Nogi miała jak z waty. Odsunęła rygiel u drzwi.

- Czy mam powiedzieć pani Coffey, że zostajesz z nami?
- zapytała, przystając w progu.

- Tak jest. - Widząc błysk triumfu w jej oczach, dodał jednak pośpiesznie: - Przynajmniej dotąd, dopóki „Nieustraszony” nie będzie gotowy do ponownego wyjścia w morze.

- Zawarliśmy układ. Zgodziłeś się na moje warunki.

- Mam nadzieję, że złagodzisz je nieco, kiedy odzyskasz rozsądek. Zostanę choćby z tego jednego względu. Tyle przynajmniej jestem winien twemu ojcu.

Wzrok, jakim na niego spojrziała, powiedział mu, że trafił w sedno. Wybiegła z pokoju, zatrząskując za sobą z łoskotem drzwi.

Zostawszy sam, Riordan podszedł wolnym krokiem do kominka i stanął przed nim, wpatrując się w ogień.

W co on się wpakował? Upłynie kilka tygodni, zanim „Nieustraszony” zostanie naprawiony. Jest nadzieja, że do tego czasu znajdzie sposób, aby przekonać Ambrozię i jej siostry do porzucenia bezsensownego planu.

Niezależnie od tego, nie powinien zbliżać się zanadto do tej denerwującej młodej kobiety, która budziła w nim tak wielkie pożądanie. Jeżeli jeszcze raz zdarzy się podobna sytuacja, a on nie wykrzesze z siebie dość silnej woli, aby zapanować nad emocjami, obydwójce zginą niechybnie w płomieniach spalającej ich namiętności.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Ambrozja siedziała z siostrami w powozie. Naprzeciwko siebie miała dziadka. Staruszek milczał, pogrążony w smutnych myślach. Oto miał dziś na zawsze pożegnać swego syna i wnuka. Czy człowieka może spotkać bardziej okrutny cios?

Obok niego siedział Riordan Spencer. Minę miał tak smutną i zgnębiającą, że przypominała oblicze anioła śmierci. Ambrozja spojrzała na niego tylko raz, na początku, po czym odwróciła wzrok. Nie chciała go oglądać.

Kierowany przez starego Newtona powóz, zaprzęgnięty w dwa ręce konie, pomykał wiejską drogą. Ambrozja wyglądała przez okno, patrząc na kojąco znajome okolice - nierówny, pofałdowany teren i zielone łąki, na których pasły się stada owiec. Kochała ten krajobraz. Widok lesistych pagórków i dzikich plaż, upstrzonych skalnymi głazami, a także nieskończony przestwór oceanu zawsze poruszała ją do głębi. Dzisiaj jednak ogromny ciężar uciskał jej serce. Wraz z siostrami miała ostatecznie pożegnać dwie najdroższe istoty - ojca i brata. Na dodatek, dobre wychowanie nie pozwalało ujawniać ogromnego bólu, jaki je przepełniał. Sąsiedzi i przyjaciele z Land's End nie mogą zobaczyć twarzy zalanych łzami. Siostry muszą zachować dumę i godność, pokazać oblicza wprawdzie smutne, ale spokojne.

Powóz zajechał przed kościół, gdzie już stało kilkanaście innych pojazdów. Pastor i wikary, ubrani na czarno, czekali już na żałobników przed wejściem do świątyni.

Riordan wysiadł z powozu i podał rękę pannom Lambert. Kiedy ujmował dłoń Ambrozji, musiał skupić całą wolę, aby nie pokazać po sobie wrażenia, jakie to na nim wywarło.

Nie rozmawiali ze sobą od czasu spotkania w gabinecie kapitana Lamberta. Podczas kolacji nie widzieli się, ponieważ Riordan, aby uniknąć spotkania z Ambrozią, poszedł do tawerny, gdzie wychylił kilka głębszych w towarzystwie marynarzy z „Nieustraszonego”. Kiedy wrócił do swego pokoju, wszyscy w domu spali.

Dziś rano, gdy domownicy ubierali się na pogrzeb, udał się na plażę. Chodził po piasku i wciągał głęboko w płuca rześkie, przesycone solą powietrze, zbierając siły na czekające go przeżycia.

Teraz wchodził za Ambrozią i jej rodziną do kościoła, kierując się do głównej nawy. Do jego uszu dobiegały szepty zgromadzonego w świątyni tłumu.

- Co za strata - ubolewała młoda kobieta. - James mógł się tak dobrze ożenić, tutaj, w Land's End. Ale czy jakakolwiek dziewczyna miała u niego szansę? On żył tylko morzem, to była jego jedyna pasja.

- A czy jego ojciec postępował inaczej? - odezwała się trochę głośniejsza starsza niewiasta. - Owdowiał przecież tak dawno, a do głowy mu nie przyszło, żeby się ożenić powtórnie. A wszystko przez te jego córuchny. Tylko one się dla niego liczyły. Świata poza nimi nie widział.

- One zawsze uważały się za coś lepszego - odezwała się Edwina Cannon, ubrana w zbyt strojny, jak na taką smutną okazję, czepiec. Z wydętymi ustami spoglądała na osieroconą rodzinę. - Kiedy byłyśmy dziewczynkami, nigdy nie chciały bawić się z innymi dziećmi. Stale miały jakieś inne zajęcia, a to żeglowanie z ojcem po morzu, a to pojedynkowanie się na szpady ze swoim bratem.

Riordan miał nadzieję, że Ambrozja i jej siostry nie dosłyszały uwagi przyjaciółki. Rozejrzał się wokół i zdumiał, widząc, ile ludzi zebrało się w kościele. Przy wyjściu stała nawet spora grupa marynarzy. Jak przystało w takich razach, zdjęli czapki i pochylili nisko głowy.

Na żądanie Ambrozji, w przednich rzędach zasiadła nie tylko najbliższa rodzina, ale także domownicy, służba oraz członkowie załogi „Nieustraszonego”. Wielu z tych ludzi spędziło na służbie u Lambertów prawie całe życie i to wyróżnienie bardzo ich wszystkich wzruszyło.

Zahartowani trudami morskiej służby marynarze maszerowali teraz przez kościół z powagą na twarzach, by zająć wyznaczone im honorowe miejsca, obok kucharek, pokojówek i pomocy kuchennych.

Kiedy uderzono w dzwon, pastor i jego młody pomocnik wstąpili na podwyższenie, na którym znajdował się ołtarz, i zaczęli odmawiać tradycyjne modlitwy za zmarłych. Na zbolące serce Ambrozji te słowa podziały jak balsam. Zamknęła oczy, wsłuchując się w kojący szmer modlitewnych szeptów. Gdy całe zgromadzenie podniosło się z miejsca, aby podjąć chóralny śpiew, wzruszenie uniemożliwiło jej wydobyć głosu.

Stojąca obok Bethany wsunęła rękę w jej dłoń. Z drugiej strony Darcy zacisnęła palce wokół ręki najstarszej siostry. Wszystkie trzy były zanadto pochłonięte bólem, aby przyłączyć się do chóru. W wyobraźni widziały ojca i brata, jak śpiewali z przejęciem te same hymny podczas swych rzadkich pobytów w MaryCastle. Zawsze wówczas uczestniczyli z rodziną w niedzielnej mszy.

Riordan widział, jak siostry tulią się do siebie, szukając oparcia we wzajemnej bliskości i jak dzielnie starają się ukrywać ból. Bardzo chciał je pocieszyć, ale uświadomił sobie, że w tej ciężkiej chwili potrzebowały tylko siebie.

Nabożeństwo za dusze kapitana Lamberta i jego syna trwało. Pastor we wzniosłych słowach oddał hołd zmarłym. Ambrozja przeżywała męki; przy każdym słowie duchownego z coraz większym trudem zachowywała samokontrolę, ale nie chciała okazać swej słabości ludziom zebranych w kościele. Na okazanie bólu może sobie pozwolić jedynie w zaciszu własnego domu, ale nie tutaj, na oczach całej wsi. Za nic w świecie nie życzyła sobie, by się nad nią litowano; była na to zbyt dumna.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, Ambrozja z dziadkiem i siostrami ruszyli wzdłuż nawy do wyjścia. Za nimi postępowali marynarze oraz domownicy. Kiedy znaleźli się na dziedzińcu, sąsiedzi i przyjaciele rzucili się ku nim, by złożyć kondolencje i wyrazić słowa współczucia.

Riordan stał z boku, patrząc i przysłuchując się.

- Ach, moje drogie biedulki. - Niewielka, podobna do ptaka kobieta, wsparta na ramieniu siwowłosej córki przepychała się przez tłum. Ludzie rozstępowali się przed nią z szacunkiem, ponieważ była najstarszą mieszkanką Land's End.

Pochwyciła Ambrozię za ramię.

- Co teraz poczniecie ze sobą? Jaka szkoda, że wasz ojciec nie miał więcej synów. Kto teraz zaopiekuje się trzema bezradnymi kobietami? Morze zawsze było okrutne, mimo to oni je tak kochali.

- Poradzimy sobie, pani Clay. - Ambrozja próbowała zapomnieć na chwilę o własnej boleści i niepokoju i serdecznie podziękowała staruszce za współczucie. Musiała zresztą i tak zakończyć rozmowę, ponieważ kolejna znajoma już się zbliżała.

Kobieta płakała tak głośno, że słyszała ją chyba cała wieś.

- Co za okropna strata. Straszliwa, straszliwa strata. A co z twoim domem, Ambrozjo? Czy zamierzasz go sprzedać?

- W żadnym wypadku. - Odwróciła się w samą porę, aby kiwnąć uspokajająco do Bethany, która na to pytanie zawrzała

gniewem. Jeszcze chwila, a dobre maniery, wpojone siostrą przez pannę Mellon, niechybnie poszłyby w zapomnienie.

- Ale z czego będziecie żyły? Kto was utrzyma?

- Same się utrzymamy, pani Heathrow.

- Ach, tak, oczywiście. Myślałam tylko... - Kobieta przełknęła ślinę, ale nie dawała za wygraną i ciągnęła: - Szkoda, że nie macie w rodzime więcej mężczyzn. Zatoszczyliby się o was.

- Niepotrzebni nam mężczyźni. Same się o siebie zatroszczymy.

- Ambrozjo, Bethany, Darcy.

Riordan zobaczył młodą pannę w strojnym czepcu, przeciskającą się przez tłum, piskliwie nawołującą siostry Latimar.

- Edwina. - Ambrozja starała się nie okazać niechęci, gdy dziewczyna silnie uchwyciła ją za ramię, zmuszając do zatrzymania się w miejscu. Wiedząc, jak bardzo Edwina lubi znajdować się w centrum uwagi, czekała z rezygnacją na jej słowa, przygotowana na najgorsze.

- Tak mi przykro z powodu ciosu, jaki was spotkał. - Głos Edwiny przebijał się nawet przez gwar zgromadzonego tłumu. - Przykro mi także, że mój narzeczony nie doczekał do końca nabożeństwa i wyszedł przed czasem. Czy ci wiadomo, że Silas Fenwick i ja jesteśmy po słowie?

- Teraz już wiem. Nie mogłaś wybrać stosowniejszego momentu do ogłoszenia tej wiadomości. Jestem pewna, że wszyscy mieszkańcy Land's End podzielają twoją radość.

- Dziękuję ci, Ambrozjo. Silas prosił mnie także, abym przekazała w jego imieniu najserdeczniejsze wyrazy współczucia z powodu śmierci twoich bliskich.

- Bardzo to uprzejmie z jego strony. - Ambrozja widziała, że Edwina Cannon pęcznieje z dumy. Chciała, żeby wszyscy wokół wiedzieli o szczęściu, jakie ją spotkało.

- Silas mówi, że dla niego śmierć twego ojca i brata to oso-

bista strata. Jest właścicielem firmy handlującej zamorskimi towarami. Powodzenie jego interesów zależy w dużej mierze od statków, które przywożą artykuły kolonialne do Anglii. - Zniżyła głos. - On również dużo wie o człowieku, który przyprowadził wasz statek po śmierci ojca do portu w Land's End.

- Masz na myśli kapitana Spencera? - Ambrozja spojrzała na stojącego samotnie Riordana, po czym znowu zwróciła się do Edwiny.

- Tak jest.

Riordan usłyszał swoje imię. Dostrzegł uniesione do góry brwi Ambrozji. Zmarszczka na jej czole wydawała się pogłębiać z każdym słowem Edwiny, która zniżywszy głowę, tłumaczyła jej coś zawzięcie.

- Silas powiedział, że powinniście się strzec Riordana Spencera. Jest najstarszym synem znanego i bogatego lorda, właściciela ogromnych dóbr.

Darcy zatchnęła się ze zdziwienia, a Edwina napuszyła się z radości jak paw. Rozsadzała ją duma, że wie więcej na temat tajemniczego gościa Ambrozji niż ona sama.

- To Riordan, jako najstarszy syn, powinien dziedziczyć majątek po śmierci ojca. Ale jego ojciec, niezadowolony z prowadzenia się pierworodnego, wydziedziczył go na rzecz młodszego syna, nawiasem mówiąc, wielkiego nicponia...

Ambrozja lodowatym tonem przerwała rewelacje panny Cannon.

- Dziękuję ci za troskę, Edwino. Można by sądzić, że utrata naszych bliskich jest niczym w porównaniu z małostkowymi ploteczkami z Londynu.

- Małostkowymi? - Edwina zaczerwieniła się z oburzenia. - Po prostu myślałyśmy z mamą, że teraz, kiedy zostałyście same, bez męskiej opieki, należy was ostrzec przed typem, którego przyjęłyście pod swój dach.

- Dzięki przynajmniej, że nie odmawiacie nam prawa do naszego domu, Edwino. Wybacz jednak, ale muszę już zakończyć rozmowę. - Ambrozja pochwyciła siostry za ręce i odwróciła się tyłem do nielubianej sąsiadki. - Wiele osób czeka, aby nam złożyć kondolencje.

Edwinie nie pozostało po tych słowach nic innego, jak odejść.

Siostry blisko godzinę stały na dziedzińcu kościelnym, przyjmując wyrazy współczucia od mieszkańców wioski. W końcu mieszkańcy Land's End rozeszli się do domów, a Lambertowie wsiedli do powozu z zamiarem powrotu do MaryCastle. Za nimi ciągnął sznur innych pojazdów. Po przybyciu na miejsce wszyscy domownicy wraz z załogą „Nieustraszonego” wsiedli w szalupy i popłynęli do stojącego na kotwicy statku Johna Lamberta. Kiedy już znaleźli się na jego pokładzie, paru zasłużonych marynarzy kapitana Lamberta uczciło jego pamięć, wygłaszając okolicznościowe wspomnienia o swoim dowódcy.

Następnie załoga „Nieustraszonego” odśpiewała kilka ulubionych pieśni Johna i Jamesa Lambertów, a Ambrozja, Bethany i Darcy rzuciły na wodę wiązanki kwiatów. Przez chwilę śledziły wzrokiem, jak fale unoszące w dal, po czym podeszły do stojącego w zadumie dziadka i objęły go serdecznie.

Riordan, obserwujący tę scenę z dziobu okrętu, poczuł, jak ogarnia go wzruszenie. W przeciwieństwie do ceremonii w kościele, która jego zdaniem była sztywna i oficjalna, słowa, które padły tutaj, wydały mu się pełne treści i prawdziwego uczucia. One rzeczywiście płynęły z głębi serc. Łzy marynarzy były szczere i nieudawane. Winifred Mellon, pani Coffey i stary Newton stali obok siebie, ocierając oczy i mrużąc powieki przed odbijającymi się na wodzie rażącymi promieniami słońca.

Riordan zrozumiał, że kapitan John Lambert i jego syn James mogli uważać się za ludzi szczęśliwych; mieli lojalnych,

oddanych przyjaciół i kochającą rodzinę. Człowiek nieraz przewędruje cały świat, a nie napotka na swej drodze równie bezcennego skarbu. Riordan słuchał pieśni marynarzy i nim ostatnia melodia wybrzmiała do końca, nabrał pewności: nie wolno mu opuszczać tych ludzi. Musi pomóc tej rodzinie.

Powiedział Ambrozji, że planuje zdobyć nowy statek, ponieważ chce nadal pływać po morzach. Ale to tylko część prawdy. Riordan potrzebował statku nie dlatego, aby zapomnieć o strasznych przeżyciach - przede wszystkim powodowała nim chęć zemsty. Chciał ukarać człowieka, przez którego stracił swój dorobek oraz dwóch najlepszych przyjaciół. Człowieka, który pozbawił opiekunów trzy piękne młode kobiety i którego szatańskie plany i działalność mogły stanowić zagrożenie dla ich bezpieczeństwa i życia.

- Idziesz, Riordanie?

Był do tego stopnia pochłonięty myślami, że niemal podskoczył, kiedy Ambrozja dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam.

Obejrzał się i zobaczył, że ostatni członek załogi schodzi po drabinie do oczekującej przy burcie szalupy. Wielu marynarzy wysiadło już na brzeg i szło w kierunku MaryCastle.

- Przyślij po mnie Newtona, kiedy już wszystkich ugościsz.

- Dobrze. - Zostawiła go spoglądającego na morze i podeszła do barierki. Po chwili odwróciła się.

Riordan wciąż stał w tym samym miejscu, pogrążony w zadumie. Czy rozmyślał o rodzinnym majątku, którego został pozbawiony? A może zastanawiał się, w jaki sposób się od nich uwolnić? Może chciał jak najszybciej wyjechać i znaleźć się gdziekolwiek bądź, byle jak najdalej stąd?

Nie zeszła do szalupy. Zawróciła, przeklinając w myślach Edwinę Cannon i jej podłe plotki. Ambrozja wołałaby nic nie

wiedzieć o przeszłości Riordana Spencera. Ale teraz, kiedy już się o niej dowiedziała, chciała by poznać trochę szczegółów, i to z własnych ust Spencera. Zastanawiała się, czy przyjął jej propozycję, ponieważ chciał tego samego co ona, czy też dlatego, że nie miał innego wyboru.

To nie ma żadnego znaczenia, mówiła sobie. Absolutnie żadnego. Nic nie ma znaczenia. Ani Riordan Spencer, ani głupia Edwina Cannon i plotki, które wokół rozsiewa. Jedyne, co miało teraz znaczenie dla Ambrozji i bezustannie zaprzętało jej umysł, to problem, w jaki sposób prowadzić dalej dzieło ojca - niezależnie od tego, ile to przysporzy im cierpienia.

Zeszła pod pokład, kierowana pragnieniem ujżenia i dotknięcia rzeczy, które kochał jej ojciec. Gdy znalazła się w kajucie, zatrzymała się, jakby w nadziei, że zaraz usłyszy jego tubalny głos lub grzmiący, wesoły śmiech. Do jej uszu dochodził jedynie skrzyp desek starego okrętu oraz głuchy chlupot wody uderzającej o kadłub.

- Odnajdę statek, który sprowadził na was to nieszczęście, tatusiu. A także tych ludzi. A kiedy ich odnajdę, zapłacą mi za to. Obiecuję ci.

Pomyślała o bracie i przypomniał jej się gniew i zazdrość, jakie czuła, gdy ojciec pozwolił mu wyruszyć w morze.

- Przepraszam cię, Jamesie. Myślałam, że mamy przed sobą wiele długich lat i że długo jeszcze będziemy się razem śmiali, żartowali. Wierzyłam, że wspólnie będziemy zmierzać przez życie do starości. Nie dane nam było długo cieszyć się sobą. Byliśmy razem tylko przez krótki czas, a na dodatek nawet i tego daru nie wykorzystaliśmy odpowiednio. - Gruba łza stoczyła się po jej policzku. Objęła się ramionami, ponieważ poczuła się sama i opuszczona. Poczowała się naraz bardzo samotna. - Boże, ileż bym dała za to, żebyście do nas wrócili. Dałabym wszystko ... - Szlochała coraz boleśniej. Łzy strumieniem toczyły się

teraz po jej policzkach. - Wszystko na świecie, żebyście tu znowu byli razem z nami.

- Ambrozjo, szalupa jest... - Riordan zatrzymał się w progu kajuty.

Stała odwrócona do niego tyłem. Płacz wstrząsał jej ciałem. Przyszło mu na myśl, że jego widok może tylko pogorszyć sytuację, ale nie zważał na to. Koniecznie chciał ją pocieszyć i tylko to było dla niego istotne.

Podszedł do niej i otoczył ramionami.

Zesztywniała na ułamek sekundy.

- Nie potrzebuję...

- Ależ odwrotnie, Ambrozjo. Potrzebujesz. Każdego nadochodzi czasami taka chwila, że pragnie zapłakać.

Jego słowa podziały jak magiczny klucz, otworzyły jakąś tamę w jej duszy. Nie walczyła już dłużej ze swą słabością i pozwoliła płynąć łzom. Pozwoliła mu być silnym za dwoje.

Przywarła do niego całym ciałem. Płakała dopóty, dopóki starczyło jej łez.

- Czuję się już dobrze - powiedziała Ambrozja i uniosła głowę.

Riordan bez słowa wręczył jej czystą lnianą chusteczkę.

- Dziękuję.

Wiedziała, ile kosztowały ją te słowa. Była wdzięczna, że mogła wypłakać się w jego kojącym uścisku, ale nadal uważała, że to z jej strony tylko oznaka przejściowej słabości.

- Możesz już wrócić?

- Tak. - Wyprostowała się, skinęła głową i wyszła za nim z kajuty, a następnie wspięła się po schodkach na pokład. Ze zdziwieniem stwierdziła, że słońce zatoczyło już krąg na niebie i powoli zapadał zmierzch. Cały dzień upłynął im wszystkim pod znakiem żałoby.

- Newton już czeka. - Podprowadził ją do sznurowej drabinki, zaczepionej na burcie.

Zeszła po stopniach, a Riordan za nią. Kiedy obydwójce znaleźli się w łodzi, Newton ujął za wiosła i pożeglował w kierunku brzegu.

- Dobrze być na morzu w taką noc. - Stary żeglarz spojrzął na zaczerwienione oczy Ambrozji i odwrócił wzrok.

- Morze dziś spokojne i gładkie jak stół - zauważył Riordan.

- Tak jest. - Newton zauważył także jeszcze coś innego. Młodzi wprawdzie siedzieli obok siebie, ale starannie unikali dotykania się ciałami. Coś się dzieje, pomyślał, chociaż nie bardzo wiedział co. Uznał z żalem, że szkoda, iż tych dwoje młodych czuje do siebie taką niechęć.

- Myślisz, że jutro będzie padać, Newtonie?

Stary marynarz spojrzął na niebo.

- Nie. Przeciwnie, będzie nawet cieplej niż dziś.

- To dobrze. Zatem od jutra przystępuję do naprawy „Nieustraszonego”.

- Będiesz remontował okręt pana Lamberta?

Riordan skinął głową.

- Obiecałem, że skompletuję załogę i naprawię uszkodzenia. Zamierzam dotrzymać słowa.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chętnie ci pomogę.

Riordan uśmiechnął się.

- Z wdzięcznością przyjmę pomoc pod warunkiem, że nie ucierpią na tym twoje inne obowiązki.

- Nie martw się. Nie ucierpią. - Newton sprawnie przybił do lądu i wyszedł na brzeg swym charakterystycznym, chwiejnym krokiem. Następnie pomógł Riordanowi wyciągnąć łódź na piasek.

- Dziękuję ci, Newtonie. Do zobaczenia jutro rano. - Riordan podał rękę Ambrozji, aby ułatwić jej opuszczenie szalupy.

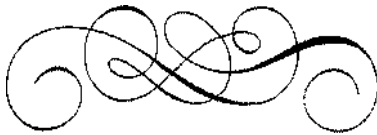
Gdy tylko dotknęła stopą ziemi, cofnęła rękę jak oparzona.

- Dobranoc, Newtonie.

- Dobranoc, panienko. - Przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem. Znał Ambrozię Lambert od niemowlęstwa. Zawsze była bardzo odważna. Newton nie spotkał odważniejszej od niej kobiety, ale w tej chwili wyczuwał w dziewczynie niepokój. Przypominał mu on zachowanie ławicy śledzi, gdy w pobliżu znajduje się wygłodniały rekin. Ambrozja nie zwykła cofać się przed niebezpieczeństwem, przypuszczał więc, że to jakiś inny czynnik jest powodem jej dziwnego zachowania. A może przystojny kapitan podobał się jej bardziej, niż by sobie tego życzyła?

Newton uśmiechnął się. A więc tak się sprawy mają... Miłość do mężczyzny może zawrócić w głowie kobiecie takiej jak Ambrozja. Zwłaszcza do mężczyzny takiego jak Riordan Spencer, który dorównywał jej zarówno siłą, jak i odwagą.

Newton dotknął ręką małego ostrego noża, który chował za pasem. Nigdy się z nim nie rozstawał; był pamiątką z najlepszych dni jego życia, kiedy u boku Johna Lamberta pływał po morzach i oceanach świata. Skoro tak, trzeba będzie mieć oko na tego kapitana Riordana Spencera. Jeżeli przybysz ma jakieś złe zamiary wobec Ambrozji, posmakuje ostrza niezawodnego sztyletu morskiego wygi, zaprawionego w bojach.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jeszcze nie dość gładka. - Riordan przeciągnął dłonią po desce, którą podał mu pomocnik zatrudniony przy remoncie statku. - Newtonie? - Odwrócił się, szukając go wzrokiem. Stary marynarz nadzorował prace robotników. - Gdzie jest Newton?

- Powiedział, że ma dzisiaj jakąś pilną robotę. Będzie dopiero jutro, kapitanie! - odkrzyknął jeden z marynarzy.

Riordan westchnął z niezadowoleniem.

- Weź to i wygładź raz jeszcze, ale dokładnie. Potrzebujemy więcej gorącej smoły do uszczelniania spojeń.

- Rozkaz, kapitanie. - Pomocnik powtórzył polecenie. Marynarze położyli deskę na kilku kamieniach i zaczęli od nowa heblować ją i wygładzać.

Jeden z robotników, rozebrany do pasa, smarował gorącą smołą kadłub „Nieustraszonego”.

Riordan również był bez koszuli, wystawiając na słońce nagi tors. Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej. Wiosna w Kornwalii szybko przeszła w pełnię lata. Riordan bez trudu znalazł ludzi do pracy. Marynarze chętnie zatrudnili się przy remoncie „Nieustraszonego”. Wiedzieli, że im szybciej statek zostanie naprawiony, tym prędzej wrócą do ukochanego zajęcia. Po tygodniach spędzonych na lądzie, nie mogli się już doczekać chwili, kiedy poczują pod nogami chwiejne deski pokładu, a na twarzach ostre igiełki słonego morskiego wiatru.

Riordan uniósł dłoń, aby otrzeć pot z czoła i spojrzał na mo-

rze. W dali na horyzoncie dojrzał niewielki statek płynący w kierunku brzegu. Był dużo mniejszy od „Nieustraszonego”, ale zwrotny i bardzo dobrze utrzymany. Rozwinięte żagle wzdymały się pod podmuchami wiatru. Riordan spostrzegł, że jeden z marynarzy wspiał się na maszt i poluzował żagle, po czym zeskoczył z powrotem na pokład z gracją linoskoczka. Drugi stał przy kole sterowym. Musiał być niezłym sternikiem, ponieważ zręcznie omijał płycizny i podwodne skały, którymi utkane było całe wybrzeże Kornwalii. Wielu kapitanów nie zdawało sobie sprawy, jak niebezpieczne są przybrzeżne wody tego rejonu. Często dowiadywali się o tym po fakcie, kiedy doszło już do katastrofy, gdy ostra skała rozpruła kadłub ich statku na całej długości, od dziobu do rufy.

Riordan nadal obserwował żaglowiec. Dwóch majtków wspięło się na maszt i zaczęło spuszczać żagle. Na ten widok serce drgnęło mu w piersi.

Po spuszczeniu żagli statek zmniejszył szybkość, kierując się powoli w stronę zatoczki odległej o kilkaset jardów. Kiedy przepływał obok, Riordan zamrugał oczami, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Ubiór trzech marynarzy nie różnił się od strojów pozostałych członków załogi. Obcisłe spodnie wetknięte były w wysokie buty. Włosy ściągnięte do tyłu i przewiązane kolorową apaszką. Koszule obszerne, o szerokich bufiastych rękawach, które powiewały na wietrze. Zajęci pracą na brzegu robotnicy nie interesowali się mijającym ich statkiem, ale uwagi Riordana nie uszedł fakt, że załoganci różnią się od przeciętnego wilka morskiego wzrostem. Trzej żeglarze byli znacznie niżsi od dwóch siwowłosych mężczyzn, również znajdujących się na pokładzie. Po drugie, lekki wiaterek rozpłaszczający im koszule na torsach ujawniał okragłości, których w tym miejscu nie ma żaden mężczyzna.

Riordan donośnym głosem rozkazał załodze nie przerywać pracy, a sam puścił się pędem wzdłuż brzegu. Kiedy dotarł do zatoczki, stateczek kołysał się już na kotwicy. Załoga przeskoczyła przez burłę i przedzierała się teraz mozolnie przez skalne rafy w kierunku plaży.

- Właśnie tak myślałem. - Z rękami skrzyżowanymi na torsie patrzył, jak Ambrozja podaje rękę Darcy, która po kolana w wodzie walczy z wartkim prądem.

Siostry Lambert zatrzymały się i spojrzały na siebie wyraźnie zakłopotane.

Riordan nie spuszczał wzroku z Ambrozji. Jej ubranie ociekało wodą, oblepiając ciało niczym druga skóra. Zwłaszcza kształtne piersi, rysujące się kusząco pod grubym płótnem koszuli, przyciągały uwagę. Twarz Ambrozji była zaczerwieniona od słońca, a na policzku widniała szeroka brudna smuga. Na dłoniach miała odciski od obracania ciężkiego koła sterowego. Walka z naporem fal nie jest łatwym zadaniem. To Ambrozja bowiem stanęła za sterem, gdy przyszło do przedzierania się przez niebezpieczne mielizny i ostre rafy. Musiał przyznać, chociaż niechętnie, że jako sternik spisywała się doskonale.

Bethany, postępująca za siostrami, zatrzymała się nagle i rzuciła na piasek pełną naręcz szpad.

Spojrzał na rozrzuconą w nieładzie broń, a następnie przeniósł wzrok na twarze trzech sióstr.

- Co to ma znaczyć?

- Pracowaliśmy. - Stary Newton z trudem dobrnął przez wodę do brzegu i tam opadł kolanami na piasek. - Jeżeli panienki zamierzają kontynuować dzieło ojca i brata, to muszą być do tego odpowiednio przygotowane.

Riordan z trudem pohamował śmiech.

- Uważacie, że te kilka godzin porannych ćwiczeń wyszkoli was dostatecznie?

Ambrozja nie raczyła odpowiedzieć na pytanie, w którym pobrzmiwała kpina. Zrobiła jedynie wyniosłą minę.

Ostatni dotarł na łód Geoffrey Lambert. Posapując z wysiłku, usiadł na rozgrzanym piasku. Odpocząwszy nieco, powiedział:

- Trochę wyszły z wprawy, to prawda. Za mało ćwiczą. Myślę, że nim „Nieustraszony” zostanie naprawiony, odzyskają w pełni dawną formę.

- Tak pan sądzi? - Riordan przestał się uśmiechać. Słowa starszego pana rozgniewały go nie na żarty. - A jeżeli nie będą w formie? Jeżeli zgina? Co wtedy? Będziemy grzebać kolejnych Lambertów? Myślałem, że przynajmniej pan, Geoffreju Lambercie, okaże tyle zdrowego rozsądku, aby wytłumaczyć tym nierozważnym niewiastom, jak szaleńczy i absurdalny jest ich pomysł.

Oczy Ambrozji rozbłysły gniewem.

- Przypominam ci, kapitanie, że jesteś gościem w domu tych niemądrych kobiet.

Zamachał jej wskazującym palcem koło nosa.

- A ja ci przypominam, Ambrozjo Lambert, że jestem tutaj z własnego wyboru. I zostanę tak długo, jak mi się spodoba.

Stary Newton stanął między nimi.

- Nie czas teraz na kłótnie, kapitanie. Panienka jeszcze nie ochłoneła po walce. Miała dziś rano niełatwe zadanie. Ćwiczyła z wprawnym zawodnikiem. - Zwrócił się do Ambrozji.

- A ty, panienko, nie zatrzymuj kapitana. Ma dużo pracy przy remoncie „Nieustraszonego”.

Zamierzała coś odpowiedzieć, ale Newton tylko pokręcił głową i popatrzył na nią wymownie. Zrozumiała to spojrzenie. Od dzieciństwa wiedziała, że nie należy się z nim spierać, gdy spogląda na nią w ten sposób.

Bez słowa zacisnęła usta i odwróciła się, aby podjąć z ziemi porzuconą szpadę. Następnie, w ślad za siostrami, ruszyła plażą w stronę domu.

Riordan stał i odprowadzał ją wzrokiem. Nadal wszystko się w nim gotowało ze złości. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że widok jej pupy w obcisłych spodniach jest w równym stopniu odpowiedzialny za podwyższoną temperaturę jego krwi, jak ich niedawna sprzeczka. Była najpiękniejszym marynarzem, jakiego widział w życiu.

Kiedy odwrócił się, zobaczył, że dwaj starsi mężczyźni obserwują go w milczeniu. Bez słowa zawrócił i odszedł.

- Gdzie jest Ambrozja, pani Coffey? - Odświeżony po kąpieli Riordan zdecydował się raz jeszcze podjąć próbę przemówienia do rozsądku upartej dziewczynie.

- W salonie, kapitanie.

- Dziękuję. Czy byłaby pani tak uprzejma i przysłała tam przez Libby trochę piwa?

- To chyba nie jest dobry pomysł, kapitanie. One piją właśnie herbatę. Może pan chce...

Zaniechała protestu, ponieważ się oddalił. Wzruszyła ramionami i zadzwoniła na służącą. I tak się zaraz dowie, że Ambrozja nie jest sama.

Riordan wszedł do salonu i zatrzymał się na progu; siostry miały gości.

- Przepraszam panie. Sądziłem, że jesteście same.

Ambrozja w pierwszej chwili spojrzała na niego groźnie, ale widząc rozjaśnioną twarz Edwiny Cannon, postanowiła się trochę zabawić.

- Proszę, wejdz, Riordanie. Jestem przekonana, że nasze sąsiadki z przyjemnością porozmawiają z kimś, kto zwiedził tyle interesujących miejsc na świecie.

- Nie miałem zamiaru przeszkadzać... - Odwrócił się i zobaczył, że za jego plecami stoi Libby, trzymając w ręku tacę z dzbanem i kuflami.

- Oto piwo, kapitanie Spencer. - Minęła go i postawiła trunek na bocznym stoliku.

Widząc jego wahanie, Ambrozja podeszła i ujęła go za ramię.

- Riordanie Spencerze, pozwól, że ci przedstawię Edwinę Cannon i jej matkę.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Miło mi poznać panie. - W młodszej kobiecie rozpoznał osobę, która na dziedzińcu kościelnym po mszy za dusze Johna i Jamesa Lambertów głośnym zachowaniem starała się zwrócić na siebie uwagę otoczenia.

- Kapitanie - Edwina poklepała ręką miejsce na kanapie obok siebie - proszę, niech pan usiądzie i opowie nam o tych wszystkich fascynujących miejscach, które pan zwiedził.

Udał, że nie zauważył jej zapraszającego gestu. Nalał sobie piwa i stanął przy kominku.

- Większość moich podróży wcale nie była interesująca.

- Nie może być nic nudniejszego niż życie w Land's End. - Edwina wygięła kapryśnie usta. - Proszę, kapitanie. Niech pan nam opowie, jak wygląda świat poza Kornwalią. - Wyciągnęła rękę. Riordanowi nie zostało nic innego, jak tylko ująć ją i usiąść między Edwiną a jej matką.

- Czy był pan w Indiach?

- Owszem. - Pociągnął łyk piwa i zdecydował się. Dobrze, weźmie udział w tej grze. Filuterna mina Ambrozji zaważyła na jego decyzji.

W stylowej jasnoróżowej sukni wyglądała nadzwyczaj elegancko. Lśniące włosy związane z boku głowy opadały wdzięcznie na ramię i pierś. W dłoni trzymała filiżankę z herbata.

Herbata. Miał ochotę parsknąć śmiechem. Te same dłonie jeszcze kilka godzin temu dzierżyły ciężkie koło sterowe.

Siostry Ambrozji wyglądały równie ponętnie. W niczym nie

przypominały teraz mokrych urwisów, choć brudne i zmęczone, brnęły dziś rano przez wodę do brzegu.

Domyślał się, że spotkanie z Edwiną i jej matką musiało im być bardzo nie w smak. Z min trzech siostr wynikało, że wizyta sąsiadek była niespodziewana i że bardzo musiały się śpieszyć, aby wystąpić przed gośćmi odpowiednio ubrane i uczesane.

Zwrócił się uprzejmie do Edwiny.

- Indie na pewno by się pani spodobały, panno Cannon. To fascynujący kraj, pełen wielkich kontrastów społecznych i ekonomicznych. Na ulicach roi się od lektyk, w których siedzą bogaci radzowie. Siłą pociągową są ramiona służby. Na każdym kroku spotyka się sprzedawców handlujących jedwabiami i różnymi delikatesami. Z bazarów unoszą się zapachy ciężkich korzennych przypraw. Twarze pięknych kobiet są zawoalowane, by oko obcego mężczyzny nie skaziło ich pożądanym spojrzeniem.

- Ogromnie panu zazdroszczę, kapitanie. - Edwina uśmiechnęła się doń uwodzicielsko. - Czy dotarł pan również do Nowego Świata?

- Owszem. - Przechylił się do tyłu, wyciągając długie nogi i krzyżując je w kostkach.

Edwina przysunęła się bliżej, tak by otrzeć się ramieniem o jego ramię. Kiedy zobaczył charakterystycznie zwężone oczy Ambrozji, uśmiechnął się szelmowsko. Jeżeli w taki sposób chciała się *na nim zemścić, to on może postąpić podobnie*, a w dodatku wykorzystać sytuację na swoją korzyść.

- Muszę się pochwalić, że brałem udział w bitwie morskiej z Holendrami, w której zdobyliśmy dla Anglii ich kolonię New Niderland. Po zwycięstwie nadaliśmy jej nową nazwę. Obecnie ta ziemia nazywa się New York.

- Naprawdę, kapitanie? - Opowieść sprawiła wrażenie nawet na matce Edwiny.

Siedząca naprzeciwko niego, po drugiej stronie, Ambrozja wyprostowała się. Dlaczego jej o tym nie opowiedział? Może dlatego, pomyślała z żalem, że nigdy go o to nie pytała. Nie interesowały jej sprawy z jego przeszłości. Była tak zaabsorbowana własnymi problemami, że nie miała czasu zastanawiać się nad przeżyciami Riordana Spencera.

Edwina dotknęła jego ręki.

- Jakie to wspaniałe. A co pan myśli o Nowym Świecie?

- To nadzwyczajny kontynent. Dziki i bardzo piękny. Chciałbym tam jeszcze kiedyś popłynąć. Myślę, że za jakiś czas dorówna Anglii i Francji.

- Pan chyba żartuje, kapitanie. Słyszałam, że jest to zupełnie barbarzyńska kraina. Nie ma tam śladu cywilizacji.

- To prawda, ale tamten kontynent z każdym rokiem przyciąga coraz więcej ludzi. Przywożą swoje zwyczaje i kulturę i przeszczepiają je na nowy grunt. To kraj przyszłości. Będzie zbudowany na zupełnie innych zasadach niż wszystkie inne znane nam państwa. Proszę sobie tylko wyobrazić - Francuzi, Anglicy, Hiszpanie - wszystkie te narodowości będą żyły w jednym państwie, będą miały jeden rząd i jedną, wspólną ojczyznę. Nie będzie monarchii, a prawa stanowić będą sami obywatele.

Edwina zacisnęła rękę na jego dłoni i spojrzała mu w oczy.

- Proszę, kapitanie. Niech pan dalej opowiada. Musi pan znać mnóstwo interesujących szczegółów na temat miejsc, w których pan był, i ludzi, których pan widział.

Zmusił się do uśmiechu. Prawdę mówiąc, chociaż cieszyło go zdenerwowanie widoczne na twarzy Ambrozji, miał już dość Edwiny Cannon. Dźwięk jej głosu działał mu na nerwy. Nie lubił takich wysokich, piskliwych tonów - wolał niskie brzmienie. Słodki i duszący zapach wody różanej był tak intensywny, że nawet zapach piwa nie zdołał go stłumić. A z zapachów najbardziej podobała mu się nikła woń polnych kwiatów.

Riordan podniósł się i podszedł do tacy. Nalał sobie kolejny kufel piwa.

- Obawiam się, panno Cannon, że nie prowadziłem takiego interesującego życia, jak pani sobie wyobraża.

- Mój narzeczony, lord Silas Fenwick, mówi co innego. On twierdzi, że pańskie życie było bardzo kolorowe.

Riordan spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem.

- Pani jest narzeczoną Silasa Fenwicka?

- Mają się pobrać w Londynie - oznajmiła triumfalnie jej matka.

- A kiedy to pamiętne wydarzenie nastąpi? - zapytał Riordan, popijając piwo w nadziei, że jego cierpki smak przytłumi gorycz, którą nagle poczuł w ustach.

- Silas uważa, że należy poczekać do zimy, ponieważ wtedy większość jego przyjaciół wraca ze wsi z letniego wypoczynku.

- Bardzo mądra decyzja. - Riordan spojrzał ponad głowami gości na siedzącą w milczeniu Ambrozię.

Edwina powiodła oczami za jego wzrokiem.

- Wspominałam już Ambroźji i jej siostrom, że Silas zna pańską rodzinę, kapitanie. Ta sprawa ze spadkiem jest bardzo nieprzyjemna.

Riordan nie zareagował na tę uwagę.

Ambrozię ogarnęło współczucie. Nie powinna swojego gościa narażać na tak nieprzyjemną sytuację. Postanowiła skierować rozmowę na bardziej neutralny temat, mniej drażliwy dla Riordana.

- Jestem przekonana, że kapitan wolałby raczej opowiedzieć o swoich podróżach, niż poruszać czysto osobiste sprawy.

- One wcale nie są takie osobiste, zapewniam cię. - Edwina zakryła usta ręką i zachichotała. - Silas twierdzi, że wie o nich cały Londyn.

- Nawet jeżeli to prawda, Edwino - Ambroźja odstawiła

z brzękiem filiżankę na stolik i wstała się ze swego miejsca - jestem przekonana, że większość ludzi ma na tyle taktu, iż nie poruszy ich w obecności zainteresowanego. - Złapała młodą kobietę za łokieć i prawie podniosła z krzesła. - Wybacz mi, lecz nie będziemy mogły dotrzymywać wam dłużej towarzysztwa. Miło nam było was gościć, ale pani Coffey pilnie potrzebuje naszej pomocy w jadalni.

Edwina wyrwała się Ambrozji i zwróciła do Riordana.

- Do widzenia, kapitanie Spencer. Jestem bardzo szczęśliwa, że miałam okazję poznać tak ciekawego mężczyznę jak pan, którego na dodatek otacza aura nadzwyczajnego męstwa i tajemniczości.

Spojrzał na wyciągniętą dłoń i uniósł ją do ust.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Cannon. Wydaje się, że Silas znalazł w osobie pani... idealną partnerkę.

Zachichotała uszczęśliwiona, opuszczając wraz z matką salon. Gdy tylko odjechały, Riordan sięgnął po kufel z piwem i wychylił go do dna, po czym napełnił go po raz trzeci. Kiedy po chwili Ambrozja zajrzała do salonu, zastała kapitana stojącego przed kominkiem i spoglądającego w płomienie. Minę miał ponurą.

- Przepraszam, Riordanie. Nie chciałam narażać cię na przykrości.

- Nie musisz mnie przeproszać, Ambrozjo. To nie twoja wina.

- Niestety tak. Chciałam się zemścić na tobie za tę małą scenę na plaży. I myślałam... - Wzruszyła ramionami. - Nie ma nic gorszego niż być zmuszonym do rozmowy z Edwiną Cannon. Zawsze uważałam, że jest głupia, ale nawet ja nie posądzałam ją o taką bezmyślność.

- Nic złego się nie stało. To, co powiedziała, jest szczerą prawdą. Rodzina wyrzekła się mnie. Nie aprobowała życia, które prowadziłem. Wina jest całkowicie po mojej stronie. - Od-

wrócił się i odstawił kufel na tacę. - Powiedz, proszę, pani Coffey, że nie będzie mnie dziś na kolacji.

- Dokąd idziesz? - Nie podobał jej się smutny wzrok Riordana. Jeszcze bardziej irytowała ją świadomość, że sama doprowadziła do tej niemiłej sytuacji.

- Pójdę na wieś, porozmawiam z marynarzami.

Wyszedł z salonu. W chwilę później usłyszała, jak frontowe drzwi otwierają się i zamykają.

Teraz ona z kolei zaczęła wpatrywać się w ogień, a także zastanawiać, dlaczego ta scena, która przecież powinna dać jej upragnioną satysfakcję, sprawiła, że poczuła głębokie niezadowolenie. Wmawiała sobie, iż to dlatego, że należy do osób, które nie lubią nikomu sprawiać przykrości, nawet mimowolnie. Na dodatek, dręczyło ją jeszcze inne, bardziej zasadnicze pytanie.

Czy przypadkiem nie interesuje się Riordanem Spencerem bardziej, niż powinna? A jeżeli nawet, to czy nie nazbyt wyraźnie to manifestuje? Kapitan jest stanowczo przeciwny jej planom, nie kryje się ze swoim zdaniem na temat obecności kobiet na statku i ich udziału w niebezpiecznych eskapadach. Czyżby sądził, że czułe słówka i upojne pocałunki są w stanie odwieść ją od zamiaru kontynuowania dzieła ojca? Kapitan Spencer zrobiłby wszystko, aby wybić jej z głowy pomysł wyruszenia na morze. Tym bardziej że ukoronowaniem tych wysiłków byłoby samodzielne stanowisko kapitana „Nieustraszonego”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dni mijały pod znakiem wyętej pracy. Okres ten od świtu do nocy wypełniała Riordanowi i jego pomocnikom robota przy „Nieustraszonym”. W krótkim czasie usunięto nadpalone części, zastępując je nomi, mocnymi belkami. Z ładowni statku wyczerpano wodę, a szpary zalano gorącą smołą. Naprawiono poszarpane żagle, które teraz leżały, bielejąc w słońcu. Na koniec sprawdzono stan masztu i olinowania.

Newton ześliznął się po maszcie w dół na pokład. Był zadowolony z inspekcji. Uśmiechnął się szeroko.

- Jest jak nowy, jeżeli nawet nie lepszy, kapitanie.

- Myślę, że masz rację, Newtonie. Sądząc po wyglądzie statku, jest on zdolny wytrzymać trudy nawet najdłuższej podróży.

Stary marynarz zmrużył oczy przed rażącymi promieniami zachodzącego słońca i spojrzał przed siebie na zgrabną sylwetkę żaglowca o nazwie „Morski Zew”, kołyszącego się na falach.

- Nie tylko „Nieustraszony” jest gotowy do drogi. Dziewczęta również.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Najzupełniej poważnie. Tak się wyszkoliły w ostatnim czasie, że dorównują sprawnością najlepszemu żeglarzom.

- Jeżeli chodzi o sterowanie statkiem, to przyznaję ci rację.

- Patrzył, jak stojąca za sterem Ambrozja zręcznie omija podwodne rafy i mielizny. Okazały się niesprawiedliwy, gdyby od-

mówił jej uznania - była rzeczywiście niezrównanym sternikiem.

- Ty i ja wiemy dobrze, że „Nieustraszony” to nie tylko statek handlowy. Ma jeszcze inne zadania. Czy trzy młode kobiety są w stanie stawić czoło silnym, zaprawionym w boju mężczyznom?

- Na własnej skórze przekonałeś się, kapitanie, jak Ambrozja włada szpadą.

- Nie pokazałem wszystkiego, na co mnie stać, Newtonie. Z łatwością mogłem jej dosięgnąć, ale nie chciałem. Oszczędzałem ją.

- Ona mówi to samo o tobie.

Riordan uśmiechnął się lekceważąco. Widząc to, Newton dodał:

- Teraz jest w jeszcze lepszej formie. Szkolimy je z dziadkiem systematycznie w posługiwaniu się szpadą, nożem i pistoletem. Panienki miały okazję zmierzyć się z najlepszymi fachowcami, nie wyłączając żołnierzy króla. - Spojrzał w kierunku zatoki, gdzie „Zew Morza” właśnie zarzucał kotwicę. - Obiecałem panienkom pomóc, kiedy przypłyną na miejsce.

- Boisz się, że nie dadzą sobie rady.

Słyszac sarkastyczny ton w głosie Riordana, Newton odwrócił ku niemu twarz.

- Zabrały ze sobą dziadka. Trudno mu będzie dobrnąć do brzegu bez pomocy.

Riordan natychmiast pożałował swej złośliwości. Z ociąganiem przyłączył się do Newtona. Widząc, że spogląda na niego pytającym wzrokiem, wyjaśnił z wymuszonym uśmiechem:

- Polubiłem Lamberta seniora. Nie chciałbym, aby stało mu się coś złego.

Kiedy dotarli do statku, siostry spuściły już żagle i zbierały broń. Ambrozja pomagała dziadkowi przejść przez burzę.

Zanim starszy pan zszedł do wody, Riordan pochwycił go

i doprowadził do brzegu, a następnie usadowił wygodnie na ciepłym piasku.

Ambrozja, Bethany i Darcy poszły w ślady dziadka i też zaczęły brnąć przez wodę. Skan Anula, przeróbka pona.

Odbierając od dziewcząt broń, Newton zapytał:

- Jak paniom dziś poszło?

Ambrozja wskazała ruchem głowy na dziadka, który uśmiechał się od ucha do ucha.

- Lepiej zapytaj dziadunia.

Riordan nachylił się do starszego pana, wykrzykując pytanie prosto do jego ucha.

- Sądzisz, że twoje wnuczki wyszkoliły się na tyle dobrze, że mogą wyruszyć w morze?

Geoffrey zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył do drugiego ucha.

- O co chodzi? Czy chcę herbaty? Oczywiście. Bardzo chętnie.

- Mówię o wypłynięciu w morze. - Riordan wyteńczył głos.
- Na pokładzie „Nieustraszonego”.

- Hę? Czego chcesz?

Zrezygowany Riordan pokiwał głową.

- Już o nic mi nie chodzi. - Zwrócił się do Ambrozji, która tłumiła chichot. - Zgadzam się z panią Coffey. On słyszy tylko to, co chce usłyszeć.

- Powinieneś zobaczyć moje wnuczki - odezwał się zniemacka Geoffrey. Był wyraźnie podekscytowany. - Nie sądzę, aby znalazł się w Anglii mężczyzna, który byłby w stanie im dorównać w kierowaniu statkiem i władaniu szpadą.

Młode kobiety zajaśniały z dumy, ale Riordan zrobił powątpiewającą minę.

- Czy przyjdiesz na herbatę?! - zawołała za nim Darcy, widząc, że się oddala.

Odwrócił się i zobaczył, że wszystkie trzy siostry uśmiechają się do niego zachęcająco.

- Niedługo będzie kolacja. Szkoda mi czasu. Muszę raz jeszcze sprawdzić wszystkie naprawione miejsca.

- Czy skończyłeś już remont „Nieustraszonego”? - W głosie Ambrozji wyczuwało się z trudem ukrywane podniecenie.

- Tak się wydaje.

- Kiedy można będzie wyruszyć w morze z towarem?

- Dostałem wiadomość, że angielski statek „Dover”, który osiadł na mieliźnie u północnych wybrzeży Kornwalii, wiezie ładunek herbaty i korzeni z Indii.

- Dokąd zmierza?

- Jego portem docelowym jest Land's End. Prosi o pomoc, zanim rozbójnicy zwiędzą się o nim i przywłaszczą sobie ładunek. To krótka wyprawa. Nie potrwa dłużej niż dzień lub dwa. Moim zdaniem to dobra okazja, aby się przekonać, jak „Nieustraszony” sprawuje się po remoncie.

- Świetnie! - wykrzyknęła Ambrozja. - Kiedy wyruszamy?

Riordan nasrożył się, słysząc, iż Ambrozja użyła liczby mnogiej, chociaż się tego spodziewał.

- Zamierzam wyruszyć jutro o świcie.

Ambrozja skinęła potakująco głową.

- Płynę z tobą. Ciągnęłyśmy losy z siostrami. Trafiła mi się najdłuższa słomka. To ja wybiorę się z tobą w pierwszy rejs.

Nie byłby zdziwiony, gdyby okazało się, że pomogła losowi małym oszustwem. To całkiem podobne do Ambrozji. Była gotowa na wszystko, byleby tylko pierwsza mogła skorzystać z szansy.

Przeniósł wzrok na dwóch starszych mężczyzn, którzy stali obok i uśmiechali się. Może oni rzeczywiście mają już sklerozę, pomyślał Riordan. Dwóch starych głupców i trzy młode dziewczyny. To dopiero załoga!

- Świetnie. Chciałbym, żebyś wzięła ze sobą Newtona. Oczy starego marynarza rozbłysły dziecinną radością.
- Nie żartuje pan, kapitanie?
- Nie. Ktoś musi jej pilnować. - Widząc, że Ambrozja zmarszczyła się gniewnie, dodał szybko: - Powiedz pani Coffey, że nie będę na kolacji.
- A gdzie będziesz jadł?
- W tawernie. Muszę podpisać umowy z załogą. - Odszedł, ale po kilku krokach zatrzymał się i powiedział: - Wypływamy o świcie, z pierwszym brzaskiem. Jeśli się spóźnisz, Ambrozjo, „Nieustraszony” odpłynie bez ciebie.
- Przypominam ci, Riordanie, że to ja jestem właścicielką statku.
- A ja ci przypominam, że to ja jestem jego kapitanem. Słowo kapitana to święta rzecz. Jako córka wytrawnego żeglarza, dobrze o tym wiesz,.

Oddalił się szybko. Ambrozja jeszcze przez chwilę spoglądała za nim ze zmarszczonym czołem. Następnie odwróciła się i poszła za siostrami w stronę domu. Zapowiada się zacięta walka, pomyślała. Zobaczymy, kto kogo pokona. Czas najwyższy, aby Riordan Spencer przekonał się, że ona nie należy do tych, którzy przegrywają lub przepuszczają okazję wzięcia udziału w prawdziwej morskiej wyprawie.

Riordan zapakował marynarski worek, włożył kurtkę i stanął w oknie, z którego rozciągał się widok na plażę. Na granatowym niebie jeszcze nic nie zapowiadało świtu. Nie dostrzegął w ciemnościach statku, chociaż „Nieustraszony” kotwiczył niedaleko brzegu. Riordan wiedział, że on tam jest, i serce zabiło mu żywiej w piersi. Zawsze tak było. Ilekroć wybierał się w dłuższą podróż, budził się o właściwej porze. Nikt nie musiał mu przypominać, że czas już wstawać. Nie odczuwał głodu ani

pragnienia. Tęsknota za przygodą, za niezmiernym przestwor-
em oceanu, trawiła jego duszę i wypierała wszystkie inne uczu-
cia.

Zanim wyszedł z pokoju, zdmuchnął świecę. Mijając sypial-
nię Ambrozji, zatrzymał się przed drzwiami, aby posłuchać, czy
nie dochodzą zza nich jakieś szmery, które by świadczyły o tym,
że dziewczyna już nie śpi. Nie usłyszał jednak żadnych odgło-
sów, więc uspokojony, uśmiechnął się i ruszył dalej. Może zre-
zygnowała. A może zasnęła?

Ucieszył się jeszcze bardziej, kiedy zszedł po schodach na
dół i znalazł się na zewnątrz. Skóra mu cierpła na samą myśl
o wściekłości, w jaką wpadnie Ambrozja, gdy się obudzi i zo-
baczy, że wypłynęli bez niej. Znając ją, wiedział, że będzie pluła
i syczała jak mokra kotka zamknięta w płóciennym worku.

Energicznym krokiem przeszedł przez plażę z workiem prze-
rzuconym przez ramię. Kiedy doszedł do łódki, zobaczył, że
Newton już w niej siedzi i czeka z uniesioną do góry latarnią;
miał go zawieźć na statek.

- Dzień dobry, Newtonie. Czy widziałeś Ambrozię?

- Nie, kapitanie, ale nie ma się czym przejmować. Panienska
jest zbyt podniecona podróżą, by się spóźnić.

- Tak sądzisz? - Riordan cisnął worek na siedzenie. - Ja po-
wiosłuję, Newtonie. Muszę się odprężyć.

Kiedy wziął wiosła do rąk i zaczął rozgarniać wodę, Newton
uśmiechnął się domyślnie.

- Cieszy się pan, kapitanie.

- Bardzo. Za długo przebywałem na lądzie. Wszystko we
mnie wrywa się na morze.

- Tak samo jest ze mną. - Stary żeglarz zerknął na ciemną taflę
wody, rozjaśnioną tu i ówdzie smugą księżycowego światła. - Mo-
rze jest dzisiaj spokojne, kapitanie. Czekają nas słoneczne dni.
Przynajmniej na początku.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jeżeli pogoda dopisze, to bez przeszkód dotrzemy na miejsce i szybko wrócimy do domu.

Uniósł wiosła do góry, kiedy zaczęli zbliżać się do burty stojącego na kotwicy statku. Zatrzymali się przy sznurowej drabinie. Riordan wziął do ręki swój bagaż.

- Przewieziesz załogę, kiedy się zejda na brzegu?

- Tak jest, kapitanie. Widzę już ich kaganki. Zaczynają się powoli zbierać. Wkrótce wszyscy stawia się na pokładzie. - Newton chwycił za wiosła.

Zanim Riordan zdążył przejść przez burłę, szalupa z Newtonem zniknęła w ciemnościach. Do uszu Riordana dochodził jedynie plusk rozgarnianej wiosłami wody.

Riordan stał przez chwilę na pokładzie, głęboko wdychając morskie powietrze. Statek pod stopami łagodnie wznosił się i opadał. Dla Riordana nie było rozkoszniejszego uczucia niż to kołysanie. Wziął do ręki latarnię i zszedł do kapitańskiej kajuty pod pokładem.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Postawił latarnię na stole, a potem włożył bagaż do schowka. Następnie z małej szafeczki umocowanej do ściany wyciągnął zrolowaną mapę i rozwinął ją, przyciskając z jednej strony latarnią, aby się nie zwijała. Kiedy schylał się nad mapą, usłyszał za sobą szelest. Obejrzał się i w koi dostrzegł jakąś postać. Błyskawicznym ruchem sięgnął po nóż, który zawsze nosił za pasem, i przyłożył intruzowi do gardła.

- Przestań, Riordanie.

Na dźwięk znajomego głosu zamarł ze zdziwienia.

- Ambrozja? Co ty...

Cofnął się, spoglądając na nią z konsternacją.

Gęste ciemne włosy opadały w nieładzie na ramiona i plecy. Powieki miała nabrzmiałe od snu. Szkarłatna koszula osunęła

się kusząco z jednego ramienia, odsłaniając alabastrowo białą skórę.

Poczuł, że oblewa go fala gorąca.

- Spędziłam noc na pokładzie „Nieustraszonego”.

- Ach tak. - Wciągnął powietrze w płuca, nie wiedząc, czy powinien ją udusić, czy pocałować. Miał ochotę na jedno i drugie.

- Bałaś się, że zaśpisz?

Uśmiechnęła się.

- Może się bałam, że wyruszysz przed umówioną godziną.

- Rzeczywiście, miałem taki zamiar. Ale przecież chodziło również i o załogę. Nie mógłbym bez niej wypłynąć. Inaczej, kto wie, czy zdołałbym oprzeć się pokusie.

- Nie będziesz żałował, że mnie wzięłeś ze sobą, Riordanie.

- Nie. Ale ty możesz żałować. Niektórzy żeglarze są przesadni - wolą nie mieć kobiet na pokładzie.

- Nic na to nie poradzę. Większość tych mężczyzn zna mnie od dziecka. Nie muszę ukrywać prawdy. Mimo to... - Odrzuciła na bok koc i wyskoczyła z koi. Miała na sobie spodnie wpuszczone w wysokie buty. Na wierzch włożyła kamizelkę, która maskowała piersi. Następnie zaczęła owiazywać głowę kawałkiem czarnej tkaniny. Zakryła nią włosy tak ściśle, że ani jeden kosmyk nie wystawał na zewnątrz.

- Na statku będę po prostu Lambertem.

Widząc jego zaskoczoną minę, Ambrozja uśmiechnęła się przebiegle.

- Przyznaj, Riordanie, gdybyś nie wiedział, że jestem kobietą, nigdy byś tego nie odgadł, prawda?

Skinął głową niechętnie na znak potwierdzenia. Nie było sensu przekonywać jej, że ma zbyt piękne rysy i delikatną skórę jak na mężczyznę. Nikogo nie zdoła oszukać przebraniem.

- No dobrze. Może uda ci się ta gra. Pamiętaj jednak, Am-

brozjo. Na pokładzie „Nieustraszonego” nikomu nie wolno się lenić. Każdy musi wypełniać rzetelnie swoje obowiązki.

- Nie przestraszysz mnie. Znam się na żeglarskiej robocie jak mała kto.

- Przekonamy się. - Odwrócił się i pochylił nad rozłożoną mapą.

- Jeżeli skończyłaś się ubierać, to ruszaj do roboty. Zaczynamy od stawiania żagli. Nie mamy czasu do stracenia.

Ubodły ją te słowa. Zrozumiała, że pragnie się jej pozbyć. Przez chwilę zastanawiała się, czy mu nie przypomnieć, że to ona jest właścicielką statku. Szybko jednak doszła do przekonania, że nie byłoby to właściwe. Na morzu Riordan Spencer jest jako kapitan pierwszą osobą po Bogu, i wszyscy bez wyjątku muszą posłusznie wypełniać jego rozkazy. Niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy nie.

- Newtonie, przejmij ster.

- Rozkaz, kapitanie. - Newton posłusznie ujął za koło sterowe. Riordan zostawił go i podszedł do burty. Żagle były spuszczone, a większość załogi spała w hamakach pod pokładem. Miał teraz czas, aby zastanowić się nad wstępnym etapem ich wyprawy. Pierwszy dzień na morzu upłynął spokojnie, bez żadnych zakłóceń. Pogoda była piękna, a lekki wiaterek sprzyjał żeglowaniu i niósł statek wzdłuż brzegów Kornwalii na północ.

Teraz, mając na pokładzie tylko część załogi, będą dryfowali na fali aż do brzasku. Przy sprzyjającym wietrze jutro, późnym popołudniem, powinni dotrzeć do celu - do małej wioski Bretton. Przeładują skrzynie z herbatą i korzeniami i zawrócą do Land's End. Pojutrze wieczorem powinni już być w domu.

„Nieustraszonego” doskonale zdał próbę. Riordan uśmiechnął się w ciemnościach na tę myśl. To świetny statek. Mocny, zwrotny, elegancki.

Kątem oka zobaczył jakiś poruszający się cień na pokładzie. Odwrócił się i zamarł z wrażenia.

Ambrozja stała z podniesioną głową, spoglądając na gwiazdy i wdychając głęboko świeże morskie powietrze. Teraz, kiedy było ciemno i nikt jej nie widział, ściągnęła chustkę i kamizelkę, których nie zdejmowała przez cały upalny dzień.

- Byłem przekonany, że już śpisz. Miałaś ciężki dzień. - Musiał w duchu przyznać, że jej nie oszczędzał. Przez cały czas nie dał jej odpocząć, traktując na równi z mężczyznami. Postąpił tak tylko dlatego, że koniecznie chciał jej udowodnić, iż to nie jest robota dla niej, nie wspominając już o towarzystwie.

- To prawda. Jestem zmęczona. Ale przyjemnie zmęczona. Podeszedł bliżej i zniżył głos.

- Przepraszam cię, Ambrozjo.

- Przepraszasz? Za co Riordanie?

- Za... to, że tak dużo od ciebie wymagałem. Powinienem być bardziej wyrozumiały.

- Nie boję się pracy.

Dostrzegł, że światło gwiazd odbija się w jej oczach i poczuł nagły przypływ pożądania.

- Wiem o tym.

Ambrozja nie wyjawiała, że tylko determinacja i chęć postawienia na swoim pozwoliły jej przetrwać ten dzień. To złość na niego dodawała jej siłę, gdy zmęczone mięśnie protestowały, a ciało wołało o chwilę wytchnienia.

- Spodziewałam się, że tak będzie.

Dotknął ręką jej ramienia i poczuł, że robi mu się gorąco. Było niemożliwością stać przy niej tak blisko i nie czuć podniecenia.

- Uważasz mnie pewnie za okrutnika.

Odwróciła się tak, że jej usta znalazły się prawie przy jego ustach. Riordan z całych sił zapragnął przypomnieć sobie smak

kuszących warg Ambrozji, ale się pohamował. Na dziobie stał przecież Newton. Wprawdzie nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiali, ale za to widział ich bardzo dobrze. Miejsce przy sterze było doskonałym punktem obserwacyjnym.

Uśmiechnęła się w ciemnościach, Riordan zrobił to samo. Mina mu jednak zrzędnęła, gdy usłyszał jej odpowiedź.

- Nie, Riordanie. Jesteś po prostu mężczyzną. Ani mniej, ani bardziej okrutnym od innych. Nikt z was nie chce przyjąć do wiadomości, że kobieta może mężczyźnie dorównać w pracy, że cieszą ją podobne rzeczy i że pragnie tego samego co ooi. Jednak jestem gotowa cię przeprosić, jeżeli uważasz, że niesprawiedliwie cię oceniłam.

Odwróciła się i poszła w stronę luku prowadzącego do pomieszczeń pod pokładem. Zanim zdążyła zstąpić na pierwszy szczebel drabinki, doskoczył do niej i schwycił za ramię, ściskając aż do bólu.

- Dokąd idziesz?

- Pod pokład, na swój hamak.

Zmrużył oczy.

- Między marynarzy?

- Tak jest. Między marynarzy. A czyż nim nie jestem? Czyż nie tego usiłowałeś dowieść z takim uporem przez cały dzień?

- Być może. Zapominasz jednak o swoim wyglądzie. - Ujął w garść jej włosy i w tym momencie poraziło go graniczące niemal z bólem pragnienie, by zatopić ręce w tych cudnych splotach i całować dumnie wydęte usta. Całować dotąd, aż obojgu zabraknie tchu. Kierowany nieodpartą pokusą pochylił się nawet nad Ambrozią, żeby dotknąć ustami jej warg i poczuć, jak smakują. Jej skóra jest na pewno słona od morskiej wody, a usta jeszcze ciepłe od słońca.

Zacisnął palce na jej ramieniu. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Możesz zaprzeczać, ile chcesz, Ambrozjo, ale to zda się

na nic. Jesteś kobietą - piękną, wzbudzającą pożądanie. Jedno spojrzenie na ciebie wystarczy, aby każdy mężczyzna zapomniał o wszystkich naukach, włącznie z zasadami dobrego wychowania.

- Każdy z wyjątkiem ciebie prawda, Riordanie? To chcesz powiedzieć? Jesteś typem przywódcy, a mężczyzna tego pokroju nigdy się nie zapomina.

Wszystko się w nim zagotowało ze złości. Mocniej niż zamierzał, szarpnął do tyłu jej głowę.

- Ostrzegam cię, że z chwilą, gdy zaśniesz, będziesz zdana na łaskę tych wygłodniałych samców. Nie dasz rady im wszystkim.

- Czyżby?

Zaskoczony poczuł zimną stal noża na gardle.

- Pierwszy, który mnie dotknie, przypłaci to życiem. Po czymś takim wątpię, aby pozostali chcieli mi się narazić. Zgadzasz się ze mną, kapitanie?

- Tak jest. - Zmrużywszy oczy, puścił jej ramię i cofnął się o krok.

- A teraz dobranoc, Riordanie.

Burknął coś pod nosem, patrząc, jak schodzi po schodkach pod pokład.

Powrócił na dziób, aby przejąć ster od Newtona. Poczuł mimowolny podziw dla Ambrozji. Nie dostrzegł momentu, kiedy sięgała po nóż, ani gdy przykładała mu go do gardła. Zrobiła to w ułamku sekundy. Jeden zdecydowany ruch, a byłoby po nim.

Kiedy podszedł do Newtona, ten zauważył:

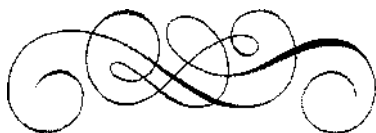
- Widzę, że rozmawiał pan z naszą panienką.

- Rozmawiać? - Stał obok starego żeglarza, czekając, aż jego gwałtownie bijące serce się uspokoi. - Trudno jest rozmawiać z Ambrozją. Znacznie łatwiej jest pojedynkować się z nią na szpady.

- Zawsze była cięta w języku. - Stary żeglarz uśmiechnął

się w ciemnościach. - Wiem jedno. Jeżeli panienka kogoś pokocha, to jej miłość będzie spontaniczna i żarliwa. Mężczyzna, który zdobędzie serce Ambrozji Lambert, dostąpi wielkiego szczęścia; otrzyma dar, którego nie da się kupić nawet za największe skarby świata. Zdobędzie miłość i lojalność, które nie ustaną aż po grób.

- Tak. - Sięgając po ster, Riordan dotknął ręką gardła. Choć skóra nie została zadraśnięta, miał wrażenie, że czuje na szyi ucisk ostrego ostrza. Zapamiętał też spojrzenie Ambrozji - nieustępliwe i lodowate. - Zakładając, że przedtem nie zabije swego ukochanego.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Drugi dzień podróży w niczym nie przypominał pierwszego. Słońce znikło za grubą warstwą ciemnych chmur. Zerwał się ostry północny wiatr, burząc wody oceanu, które z rykiem przelewały się przez pokład. Marynarze poruszali się tylko z pomocą lin, z obawy, że w przeciwnym razie fale natychmiast zmiotą ich do morza. A potem zaczął padać deszcz - rzęsy i ulewny, połączony z hukiem piorunów i trzaskiem błyskawic, które raz po raz rozdzierały pociemniałe niebo.

Kiedy w końcu minęli burzową strefę, okazało się, że wicher zepchnął „Nieustraszonego” z wytyczonego kursu. Stracili przez to kilka godzin, które teraz należało nadrobić.

- Lambert! - wykrzyknął Riordan ze swego stanowiska za sterem na dziobie. Serdecznie żał mu było Ambrozji. Od wielu godzin walczyła mężnie u boku innych marynarzy z rozszalałym żywiołem. Podobnie jak oni, była przemoczona do suchej nitki. Jej ubranie ociekało wodą, przylegając mocno do ciała. Nie mogła już dłużej ukrywać swej płci. Ci którzy dotychczas nie wiedzieli, że mają wśród siebie kobietę, mogli teraz przekonać się o tym, widząc rysujące się pod mokrą koszulą piersi i inne wypukłości. Ale wśród całej załogi nie znalazłby się już marynarz, mający za złe jej obecność na pokładzie. Widzieli, że się nie oszczędza i stara pracować za dwóch.

- Słucham, kapitanie. - Ambrozja uniosła głowę. Wycierała właśnie deski pokładu.

- Fielding potrzebuje pomocy w kambuzie. Trzeba przygo-

tować posiłek dla załogi. - Chciał dać jej przy tej okazji możliwość przebrania się w suche ubranie i wypicia gorącej herbaty.

Oczy Ambrozji zapłonęły gniewem.

- Czy ja wyglądam na kucharza? Niech ktoś inny pomoże Fieldingowi przy pracy.

Riordan zacisnął usta w wąską linię. Czy ona zawsze musi być taka uparta?

- Kwestionujesz mój rozkaz?

- Nie, kapitanie - wysyczała przez zaciśnięte zęby - ale wolę, żeby mnie raczej trafił piorun na maszcie, niż bym miała tkwić w kuchni z Fieldingiem jako szefem.

Kilku marynarzy wybuchnęło śmiechem. Dobrze wiadano, że Fielding zajmował się głównie napychaniem własnego przepastnego brzucha, a pomocników wyzyskiwał bezlitośnie. W tej chwili jednak większość z nich nic by nie miała przeciwko takiej robocie. Przynajmniej mogliby się osuszyć się i najeść.

- Bardzo dobrze. - Riordan zwrócił się do młodego chłopaka, liczącego nie więcej niż trzynaście lat.

- Brandonie, ty pójdziesz do kambuza pomóc Fieldingowi. - Spojrzał na Ambrozię. Jego wzrok nie zachęcał do sprzeciwu. - Marynarzu Lambert, niech będzie, jak chcesz. Wejź na maszt z młodym Randolphem i zacznijcie rozwijać żagle. Musimy nadrobić stracony czas.

Ambrozja usłyszała śmiech. Marynarze cieszyli się, że to nie im przypadło w udziale to nieprzyjemne zadanie. Zadarła wojowniczo podbródek, ujęła za linę i powoli zaczęła się wspinać. Wysokie fale rozbryzgiwały wokół fontanny słonej zimnej wody. Sięgały aż poza burtę, opryskując Ambrozię od stóp do głów. Była zadowolona, kiedy wreszcie wspięła się na tyle wysoko, że woda nie mogła jej dosięgnąć. Jednakże sztywne i mokre liny bardzo dawały się jej we znaki, obcierając aż do krwi skórę na dłoniach. Padający wciąż deszcz dodatkowo utrudniał pracę;

ilekroć spojrzała w górę, musiała zamykać oczy, ponieważ strugi wody zalewały jej twarz i siekły w policzki.

Riordan obserwował Ambrozię. Był zły na siebie. Po raz kolejny dał się jej sprowokować i wbrew własnej woli zachował szorstko i brutalnie. Nie zamierzał narażać jej na niebezpieczeństwo. Ona jednak bezustannie wystawiała na próbę jego cierpliwość i opanowanie.

Obejrzał się na Newtona, który również z niepokojem spoglądał w górę, obserwując, jak Ambrozja uczepiona jedną ręką Uny, drugą walczy z żaglami. Młody marynarz, przydzielony jej do pomocy, miał trudności z rozplątywaniem skłębionych i mokrych powrozów. Widząc jego bezskuteczne wysiłki, Ambrozja przerzuciła się po linie na jego stronę. Kiedy wreszcie wspólnymi siłami rozplątali grube sznury, Ambrozja, uczepiona drugiej liny, zatoczyła w powietrzu łuk i wróciła na uprzednie miejsce.

Gdy Ambrozja i młody Randolph zaczęli wreszcie zsuwać się w dół, Riordan odetchnął z ulgą. Spojrzał na Newtona. Ten mrugnął okiem i wrócił do ścierania wody z pokładu.

Po chwili Ambrozja przystanęła obok Riordana na dziobie.

- Masz coś jeszcze dla mnie do roboty? Jeżeli nie, to zejść do kambuza, żeby się trochę posilić.

W pobliżu znajdowało się kilku marynarzy, więc Riordan ograniczył się tylko do wzruszenia ramionami i krótkiego burknięcia:

- Nie, Lambert. Przynajmniej na razie. - Jednak zanim się oddaliła, dodał cicho: - Świetnie się spisaliście z Randolphem.

Skwitowała milczeniem jego słowa i przeszła przez pokład majestatycznym krokiem.

- Jest tam, kapitanie. - Newton wskazał na majaczące w zapadającym mroku zarysy pogruchotanego żaglowca. Znajdował się kilkaset jardów od brzegu.

- Wciągnij naszą banderę na maszt, Newtonie. Niech wiedzą, że jesteśmy rodakami.

- Rozkaz, kapitanie. - Stary żeglarz rozwinął angielską flagę i zaczął ciągnąć linę, aż bandera załopotąła na czubku masztu ponad żaglami.

Po kilku minutach jeden z marynarzy uszkodzonego żaglowca wspiął się na bocianie gniazdo i zaczął dawać im znaki zapaloną latarnią.

- Proszę, abyśmy weszli na ich pokład, kapitanie. - Newton stanął obok Riordana, który kierował „Nieustraszonego” w stronę brzegu. - Niech pan uważa na tutejsze mielizny i skały podwodne. Są zdradzieckie. Jeżeli na nie wpadniemy, podzielimy los tamtego statku.

- Masz rację, Newtonie. Wyślij kogoś na bocianie gniazdo i każ mu wypatrywać niebezpiecznych miejsc. Innym poleć, aby wspięli się na ożaglowanie.

- Tak jest, kapitanie. - Newton wykonał rozkaz Riordana, po czym zaproponował: - Niech pan przekáže ster panience. Ona zna dobrze to wybrzeże. Opływała je z ojcem od wczesnego dzieciństwa

- Co się stało, Newtonie? Czyżbyś stracił do mnie zaufanie?

- Nie, kapitanie, ale zmarnowaliśmy już dużo czasu. Nie chciałbym, abyśmy tracili go jeszcze więcej. A jesteśmy już prawie u celu.

- Poradzimy sobie, Newtonie. - Ustalił kurs. - Posłucham twojej rady. Wezwij marynarza Lamberta. Dobrze mieć dodatkową parę oczu do pomocy.

- Rozkaz, kapitanie. - Newton oddalił się. Po chwili wrócił z Ambroją.

- Wzywałeś mnie, kapitanie?

Nie odrywał oczu od ciemnej tafli wody przed sobą. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszą nieuwagę. A obecność Ambrozji, niestety, rozpraszała jego myśli.

- Newton twierdzi, że znasz te wody.
- Owszem.
- Wobec tego stań przy mnie. Jeżeli zobaczysz coś podejrzanego przed nami, jakieś niebezpieczne miejsce, rafę lub mieliznę natychmiast krzycz na alarm.

- Rozkaz, kapitanie.

Ambrozja stanęła przy Riordanie, wpatrując się intensywnie w ciemną toń. Trudno jej było się skupić, gdy wiedziała, że on znajduje się tuż obok. Biły od niego moc i siła, które budziły jej niepokój. Poza własnym ojcem, nie spotkała mężczyzny, który by emanował taką pewnością siebie i zdecydowaniem.

- To najgorszy czas na opływanie tych wybrzeży. Po zapadnięciu zmroku trudno jest dostrzec groźne skały i zdradzieckie płycizny. Czy wiesz, że więcej statków osiadło na mieliznie u wybrzeży Kornwalii niż w jakiegokolwiek innej części Anglii?

- Tak, wiem. - Nadal pilnie wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Z przyjemnością słuchał niskiego głosu dziewczyny. - Mówiono mi o tym.

- Podczas przypływu można spodziewać się różnych nieprzyjemnych niespodzianek. Wiele okrętów nie dostrzegło na czas podwodnych pułapek i utknęło na tych skałach bez możliwości ratunku.

- A potem z kolei stawali się łupem piratów, od których aż się roi w tych okolicach. O tym też słyszałem. - Wskazał przed siebie w kierunku butwiejących w wodzie wraków mniejszych i większych statków. Były teraz milczącymi świadkami lekomyślności ich dowódców opływających nieprzychylnie wybrzeża Kornwalii i ostrzegawczym memento dla przyszłych śmiałków i ryzykantów.

- Skała przed nami, kapitanie! - wykrzyknęła Ambrozja, zanim jeszcze marynarze wiszący na linach dostrzegli wystające spod wody zdradzieckie rafy.

Chwilę później Riordan usłyszał z góry podobny okrzyk, który potwierdzał rozpoznanie Ambrozji.

Spojrzał na nią z uznaniem.

- Dobra robota, Lambert.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, kapitanie.

„Nieustraszony” wolno sunął wśród skał w kierunku uszkodzonego statku. Kierując się wskazówkami Ambrozji, Riordan bezpiecznie doprowadził żaglowiec do rozbitka.

- Ahoj, „Dover”! - wykrzyknął. - Tu „Nieustraszony”. Przybywamy wam na pomoc.

- Ahoj, „Nieustraszony”! Zapraszamy na pokład.

Riordan przekazał ster Newtonowi.

- Ambrozjo, zostań tutaj z Newtonem. Wezmę kilku marynarzy *ze sobą na* wszelki wypadek. Musimy się zorientować, jakiej wielkości jest ten ładunek i ilu ludzi będzie potrzebnych do przeniesienia go na nasz statek.

- Też chciałabym wziąć w tym udział, Riordanie - mimowolnie wyrwało jej się z ust.

- Rozumiem cię. - Powstrzymał ją spojrzeniem. - Co do tego nie mam wątpliwości. Do mnie jednak należy podejmowanie decyzji, a moim życzeniem jest, abyś została tutaj, na pokładzie „Nieustraszonego”.

Odszedł, słysząc, jak żali się Newtonowi, że Riordan w dalszym ciągu ją szykanuje.

- Przestań, panienko - odezwał się stary żeglarz zmęczonym głosem. - Kapitan robi, co może, aby dla wszystkich było jak najlepiej.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jak widzę, bierzesz jego stronę, Newtonie?

- Nie, panienko. - Poklepał ją po ramieniu. - Nie biorę niczyjej strony, ani twojej, ani jego. Liczy się tylko to, co jest naj-

lepsze dla całej załogi. Musisz rozumieć, że kiedy za bardzo upierasz się przy swoim zdaniu, wywołujesz przeciwny skutek i w rezultacie następuje między wami gwałtowne spięcie, które nie wychodzi na dobre ani tobie, ani jemu.

Chociaż Ambrozja aż trzęsła się ze złości, pominęła milczeniem słowa Newtona. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru ulegać żądaniom Riordana. Kapitan Spencer musi zrozumieć, że nie jest gorsza od innych członków załogi „Nieustraszonego”.

Na pokładzie „Dover” Riordan przywitał się z kapitanem. Ze zdziwieniem stwierdził, że na statku prawie nie ma ludzi.

- A gdzie twoi marynarze, kapitanie?

- Moja załoga w większości zeszła na ląd - wyjaśnił kapitan Williams. - Zatrzymałem jedynie kilku marynarzy na wypadek, gdyby piraci chcieli zabrać nam ładunek, nim zdołamy go przenieść na pokład jakiegoś angielskiego statku, gdzie będzie bezpieczny.

Riordan przyjrzał się uszkodzeniom.

- Wątpię, czy znajdzie się ktoś, kto zechce połasczyć się na ten statek. To kompletny wrak. Już nie przedstawia sobą żadnej wartości.

- Hm. - Brodaty mężczyzna ze smutkiem w oczach przyglądał się pogruchotanemu masztowi i porwanym żaglom, z których wiele unosiło się na powierzchni wody. „Dover”, niebezpiecznie przechylony, miał ładownię zalaną wodą, a kadłub poważnie uszkodzony.

Riordan wskazał na ładunek, który umieszczono wyżej nad pokładem, by go zabezpieczyć przed wysoką falą, aby ta nie mogła unieść go ze sobą.

- Przenieśmy natychmiast towar na pokład „Nieustraszonego”.

Marynarze zabrali się do roboty. Zaczęli przenosić ciężkie

drewniane skrzynie z herbatą i korzeniami, z jednego pokładu na drugi i składać je w ładowni. Zanim ukończyli pracę, zapadła noc.

- Dziękuję ci, kapitanie Spencer. - Brodaty mężczyzna podał mu rękę.

- Nie ma sprawy, kapitanie Williams. Życzę panu powodzenia - odparł Riordan, ściskając podaną dłoń.

- Ja panu także. - Kapitan Williams uniósł głowę. Ciemne niebo wyglądało jak jednolita granatowa płachta. Nie było na nim ani księżycy, ani gwiazd.

- To nie jest noc na żeglugę, kapitanie Spencer.

- To prawda. Myślę, że poстоimy tutaj do rana.

Kapitan Williams wziął go na stronę. Zniżając głos do szepotu, oznajmił:

- Muszę pana ostrzec. Najlepiej będzie, jeśli korzystając z tego, że noc jest ciemna, odpłynię pan jak najszybciej i jak najdalej od tego miejsca.

- Czy grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, kapitanie Williams?

Williams skinął głową.

- Moi ludzie wytropili w okolicy piracki statek. Nawet gdy zbliżył się do nas na odległość głosu, nie wywiesił flagi. To dlatego przypłynęliśmy tutaj. Chcieliśmy znaleźć się możliwie jak najbliżej brzegu. Przypuszczam, że jedyną rzeczą, która powstrzymała ich od zaatakowania naszego statku i zrabowania ładunku był fakt, że wokół nas roiło się od łodzi rybackich z Bretton; wielu rybaków proponowało, że przewiezie naszą załogę na ląd. Z chwilą jednak, gdy kapitan rozbójników dostrzeże twoje żagle, będzie wiedział, skąd płyniecie i co wieziecie.

- Wątpię, aby rozbójnicy interesowali się herbatą i przyprawami, kapitanie.

- To prawda. Taki towar ich nie interesuje. Jeżeli jednak her-

bata i korzenie są tylko przykrywką, a skrzynie zawierają inny, znacznie cenniejszy ładunek, wówczas użyją wszystkich sposobów, aby je zdobyć.

Riordan zmrużył oczy.

- Co zatem wieziemy, kapitanie? - Widząc wahanie Williamsa, dodał: - Mam prawo wiedzieć, na jakie niebezpieczeństwo narażam statek i załogę.

- To złoto, kapitanie Spencer. Jest przeznaczone dla naszego monarchy. Ma być dostarczone osobistemu przedstawicielowi króla w Land's End, który już zajmie się jego dalszym transportem do Londynu.

- Złoto? - Riordan spoglądał na niego oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. - Po cóż więc ten cały sekret?

- Król Karol potrzebuje pieniędzy, ale są tacy, którzy chcą mu je ukraść. Dążą do osłabienia jego pozycji i zmniejszenia popularności wśród ludu.

- I pan zdecydował się powierzyć mi tę tajemnicę? - Riordan spoglądał badawczo na brodatego mężczyznę. - Dlaczego?

- Powiedziano mi, że jest pan osobistym przyjacielem Jego Wysokości.

- To jest tajemnica, kapitanie Williams. Nikt nie powinien o tym wiedzieć.

- Rozumiem. Zapewniam pana, że potrafię dochować tajemnicy.

Riordan rozejrzał się wokół, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

- Czy pańska załoga wie, jaki ładunek wiozła?

- Nie. Gdyby wiedzieli, mogliby się na niego połakomić. To dlatego, gdy okręt osiadł na mieliźnie, pozwoliłem im zejść na ląd i tam zostać. Zatrzymałem tylko tych, którym mogłem zaufać. Mimo to i tak nie spuszczałem ich z oczu. Nigdy przecież nie można być pewnym, czy żądza zysku nie okaże się silniejsza

niż uczciwość. - Uśmiechnął się. - Doradzałbym i panu również zatrzymać tę wiedzę dla siebie, kapitanie. Niech pan nikomu nie ufa. Gdzieś jest ktoś, kto wie o tym ładunku. Ten ktoś jest gotów zrobić wszystko, aby pana od niego uwolnić.

- Jak nazywa się człowiek, z którym mam się skontaktować w Land's End?

- Jego nazwisko brzmi Barclay Stuart.

- Dziękuję, kapitanie. - Riordan ponownie uściśnął mu rękę, po czym wrócił na pokład „Nieustraszonego”.

- Newtonie! - zawołał głośno. - Każ stawiać żagle.

- Ruszamy, kapitanie? Teraz, przed świtem?

- Tak, Newtonie. Wypływamy natychmiast.

Morski wyga stał przez chwilę w milczeniu, zmrużywszy oczy. Nie wiedział, o czym rozmawiali dwaj kapitanowie, ale domyślał się, że musiała to być poważna sprawa. W przeciwnym razie taki doświadczony wilk morski jak kapitan Spencer nie narażałby siebie i załogi, płynąc nocą po tych zdradliwych wodach. Czy dla ładunku zawierającego herbatę i indyjskie przyprawy podejmowałby ryzyko?

Przez godzinę lawirowali wśród podwodnych raf, pokonując po raz wtóry dopiero co przebytą, niebezpieczną trasę. Nikt nie odezwał się słowem. Oczy wszystkich skupione były na czarnej powierzchni wody, która rozpościerała się przed nimi. Wszyscy myśleli tylko o jednym: jak bezpiecznie opuścić skalne pułapki i wypłynąć na otwarte morze.

- Statek od rufy, kapitanie - rozległ się donośny głos Newtona.

- Może da się go prześcignąć? - zapytał Riordan.

- Jest pod pełnymi żaglami. Płynie bardzo szybko. Nie ma obciążenia. Według mnie dogoni nas gdzieś za godzinę.

Kilkunastu marynarzy natychmiast pobiegło na rufę i zaczę-

ło wyteżać wzrok. Kiedy dostrzegli żagle, ich szepty przeszły w donośny gwar.

- To piraci, kapitanie. Nie mają flagi.

Z góry dobiegł krzyk.

- Armata, kapitanie, z lewej burty.

- Przygotować się do obrony, chłopcy! - wykrzyknął Riordan.

Wśród załogi zapanował nastrój oczekiwania, ale nie było oznak strachu czy też paniki. Dla tych mężczyzn starcia z pirackimi statkami stały się chlebem powszednim. Odślonięto armaty. Marynarze przytroczyli szpady. Za pasem błysnęły noże. Niektórzy zatknęli je za cholewy butów. Kilku mężczyzn wyciągnęło pistolety.

Gdy wrogi statek zbliżył się do „Nieustraszonego”, część marynarzy zaczęła przygotowywać się *do walki, częściowo* pozbywając się ubrania, które mogłoby krępować ich ruchy.

Ambrozja zrzuciła ciężką kamizelkę i cisnęła ją w ką. Przeklinała bufiaste rękawy koszuli, ale wiedziała, że nie będą dla niej przeszkodą w walce. Nie mogła zrezygnować z tej części odzienia, więc po prostu pogodziła się z faktem. Sprawdziła, czy nóż jest na swoim miejscu za pasem. Jeden z marynarzy zaproponował, że weźmie jej szpadę, ale stanowczo odmówiła.

- Nie ma potrzeby. Muszę mieć szpadę przy sobie, a nie gdzieś poza zasięgiem ręki.

- Może panienka tego żałować - ostrzegł stary żeglarz. - Rozbójnicy rzucają się najpierw na tych, którzy mają broń. Nieuzbrojeni mają większą szansę przeżycia.

- Skoro tylko zorientują się, że jestem kobietą, i tak; zrobią wszystko, by mnie pochwyć.

- To prawda, i to najchętniej żywą.

Na myśl o takiej możliwości Ambrozię przeszył zimny dreszcz.

- Dam sobie radę. - Zacisnęła palce na rękojeści szpady i uniosła ją, sprawdzając jej ciężar.

- Jeżeli chcesz, będę trzymać się blisko ciebie, aby w razie czego przyjść ci szybko z pomocą.

Stary żeglarz uśmiechnął się.

- Odważna z pani osóбка. Ciekaw jestem, co pani powie, kiedy walka się skończy.

- Moja szpada wypowie się za mnie.

- Padnij! - rozległ się ostrzegawczy okrzyk.

Ambrozja dostrzegła strumień ognia i usłyszała straszliwy huk, gdy kula armatnia uderzyła w burtę „Nieustraszonego”. Rozległ się trzask pękającego drewna, a pokład pod ich stopami zatrzęsł się i zadrżał. Ich własne armaty prawie natychmiast odpowiedziały na atak salwą, której towarzyszył ogłuszający łoskot i wysoki szept ognia. Dwie kule trafiły w kadłub wrogiego statku, który zadygotał, ale nie zmienił kierunku, tylko w dalszym ciągu płynął prosto na nich.

Następna kula trafiła w „Nieustraszonego”, tym razem wznecając pożar na dziobie.

Strach ogarnął Ambrozię, gdy czarny cień pirackiego statku przesunął się obok miejsca, gdzie stała. Przeraziła się jeszcze bardziej, gdy zbóje z wrzaskiem mrozącym krew w żyłach przesadzili burtę „Nieustraszonego”, atakując każdego, kto stał na ich drodze.

Potem nie było już czasu na strach, bowiem kto żyw rzucił się do walki. I to jakiej walki! Początkowo Ambrozja słyszała jedynie ryk dział i wrzask napastników pędzących do ataku.

Nigdy nie widziała takich oberwańców. W niczym nie przypominali prawdziwych marynarzy. Byli brudni i zarośnięci. Niektórzy z nich nie mieli nawet butów. Inni pookręcali bose stopy szmatami. Ich ubrania przypominały łachmany, włosy mieli splątane i opadające w tłustych kosmykach na plecy. Wy-

wijali szpadami i nożami, klnąc i skrzecząc jak opętani przez złego ducha.

Przy każdym zwycięskim ciosie wydawali dzikie okrzyki. Ambrozja zrozumiała, że zabijanie jest ich żywiołem. Wołali jeden do drugiego i zaśmiewali się, pokazując sobie kolejną ofiarę.

Ambrozja dostrzegła podkradającego się do niej rozbójnika. Groźnie wywijał szpadą. Rozprawiła się z nim jednym pchnięciem, a następnie odwróciła się, aby stawić czoło dwom kolejnym napastnikom. Kątem oka zauważyła starego żeglarza, który trwożnie przycupnął przy koszu z węglami. Udało jej się ugodzić pierwszego z piratów, ale drugi zręcznie uniknął ciosu i dalej na nią napierał. Nim jednak zdążył ją pchnąć, obróciła się z podskokiem i ugodziła go z całej siły w ramię, a następnie przeszła klingą na wylot.

Rozejrzała się i zobaczyła Riordana walczącego z dwoma napastnikami, gdy tymczasem trzeci podkradał się do niego z boku.

- Uwaga na tyły, Riordanie!

Odwrócił się w porę, by odeprzeć cios. Jednym ruchem szpady przeszył wroga na wylot, po czym zajął się pozostałymi przeciwnikami.

- Uważaj, panienko!

Na ostrzegawczy okrzyk starego żeglarza Ambrozja odwróciła się i spostrzegła przed sobą kilku uzbrojonych mężczyzn. Zdążyła pokonać trzech pierwszych, nim stary żeglarz wreszcie przybył jej z odsieczą. Rozprawiała się już z ostatnim przeciwnikiem, kiedy rozległ się potężny huk. Kolejny pocisk armatni uderzył w burłę „Nieustraszonego”. Statek zatrzęsł się pod jej stopami, a spod pokładu zaczęły się wydobywać czerwone języki ognia.

Krztusząc się od gęstego ciemnego dymu, Ambrozja próbo-

wała dojsć do burty. Kiedy już do niej dotarła, przechyliła się, na ile mogła na zewnątrz, usiłując zaczerpnąć w płuca nieco świeżego powietrza. W tym momencie poczuła ostry ból w barku. Ciepła krew pociekła wzdłuż ramienia. Zanim zdążyła podnieść broń, aby odeprzeć atak, zobaczyła, że Riordan jednym pchnięciem odrzucił od niej przeciwnika.

Oszołomiona wyjąkała:

- Nie widziałam go.

- Na szczęście ja go zobaczyłem. - Okręcił się i usunął z drogi dwóch kolejnych napastników, ale nim zdążył zabrać się za trzeciego, Ambrozja podskoczyła i pchnięciem szpady wyrzuciła pirata za burte.

- Newtonie! - Słyszac jej okrzyk, Riordan odwrócił głowę i zobaczył starego żeglarza bohatersko odpierającego ataki całej hordy napastników.

Riordan i Ambrozja równocześnie podskoczyli mu na pomoc. Odwrócenii plecami do siebie, całą trójką stanęli przeciwko wrogom. Zaczęła się walka na śmierć i życie. Błyskały stalowe klingi szpad, ostrza przeszywały ciała napastników, którzy kolejno padali pokonani, aż w końcu ani jeden z nich nie pozostał przy życiu.

Kiedy walka ucichła, Riordan odwrócił się do Ambrozji. Spojrzyał na nią i zmrużył nagle oczy.

- Jesteś ranna.

Dotknęła ręką przesiąkniętego krwią ramienia bluzki.

- To drobiazg.

Riordan postąpił naprzód.

W tym momencie rozległ się przenikliwy krzyk. Spojrzeli i zobaczyli Brandona, młodego chłopca, który usiłował odeprzeć atak brodatego, uzbrojonego mężczyzny. Ten ostatni, chociaż ranny, przypierał chłopca do burty.

- Nie! - wykrzyknęła z rozpaczą Ambrozja i bez wahania natarła na wroga.

Mężczyzna odwrócił się. Uniósł szpadę i podskoczył do Ambrozji. Nim ktokolwiek zdołał ich rozdzielić, dziewczyna i brodacz starli się ze sobą. Szpady krzyżowały się, klingi dźwięczały złowrogo. I chociaż Ambrozja była świetnym szermierzem, jej przeciwnik okazał się równie dobry. Na dodatek był od niej większy i silniejszy. Bezustannie zmuszał ją do cofania się. Znajdowała się coraz bliżej burty. Odgadując zamiary przeciwnika, w porę uskoczyła w bok, unikając śmiertelnego ciosu. Ale ten manewr drogo ją kosztował. Ostrze zbójckiej szpady spadło na jej ramię, zadając kolejną ranę.

- Ambrozjo! - Przerazony Riordan rzucił się jej na pomoc.

Zanim do niej dobiegł, dziewczyna wdepnęła w kałużę krwi i poślizgnęła się. Stopa się jej podwinęła. Straciła równowagę i przechyliwszy się przez burtę wpadła do morza.

Ogarnięty rozpaczą Riordan przeszył na wylot ciało przeciwnika, po czym, odrzuciwszy szpadę, wyskoczył za Ambrozią do wody.

Serce zamarło w nim z trwogi, kiedy wynurzył się z odmetu i rozejrzał dookoła.

Nigdzie nie dostrzegł Ambrozji.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powierzchnia morza wokół Spencera była krajobrazem po bitwie. Pływały deski i kawałki drewna, które posypały się z obydwu uszkodzonych okrętów. Na czarno zabarwionych od strzelniczego prochu falach unosiły się też trupy.

Ogarnięty przerażeniem Riordan dał nurka pod wodę. Penetrował wodną czeluść, dopóki starczyło mu tchu. Nigdzie nie dostrzegł Ambrozji. Wypłynął na powierzchnię, odpychając od siebie szczątki i rozpaczliwie wypatrując jakiegokolwiek znaku, który by wskazywał, że ktoś walczy o życie wśród fal.

- Ambrozjo! - Zwinął dłonie w trąbkę wokół ust, wykrzykując imię we mgle, która zawisła nad oceanem. Dlaczego jeszcze się nie rozwidnia, zastanawiał się. Dlaczego przyroda nie przychodzi mu z pomocą teraz, kiedy on tak bardzo tego potrzebuje?

- Ambrozjo! - Przepłynął między dwoma ciałami, niemal odchodząc od zmysłów z rozpacz. Nie może dopuścić do tego, aby spotkał ją taki tragiczny koniec. Za nic na świecie.

- Riordanie...

Usłyszał słaby głos i odwrócił głowę. Ambrozja znajdowała się od niego na odległość statku. Kurczowo trzymała się kawałka deski. Każda napływająca fala zwiększała tę odległość.

Rozgarniając wodę potężnymi rzutami ramion, dopłynął do niej i troskliwie przyciągnął do torsu.

- Och, Ambrozjo. Tak się bałem.

- Naprawdę? - Z lekkim zdziwieniem dotknęła jego twarzy i zamknęła oczy. Czuła, że lada moment straci przytomność.

- Kapitanie. - Z dziobu „Nieustraszonego” dobiegł ich głos Newtona.

- Tutaj, Newtonie, tutaj. Rzuć linę.

Marynarze zebrali się przy burcie, wyżejając wzrok wśród mgły. Kiedy jeden z nich dostrzegł ciemne zarysy dwóch postaci uczeplone kawałką belki, pozostali wykrzyknęli radośnie. W chwilę później gruba lina śmignęła przez wodę. Riordan złapał ją i przewiązał się w pasie. Przymocował też do siebie Ambrozię. Marynarze zaczęli ich holować.

Kiedy dociągnęli ich do burty, spuszczone sznurową drabinę. Riordan wspiął się po niej na pokład z nieprzytomną Ambrozię w ramionach.

- Znalazłeś ją, kapitanie.

- Tak jest.

- Czy ona...? - Twarz Newtona była tak samo blada jak twarz Ambrozi.

- Żyje, Newtonie. Na razie tyle tylko wiem. - Idąc przez pokład, Riordan zapytał donośnym głosem: - Czy jakiś napastnik uszedł z życiem?

- Żaden, kapitanie.

- A nasi?

- Nikt nie zginął, ale ponad połowa załogi jest ranna. Na szczęście dość lekko.

- To dobrze. To bardzo dobrze. A pożar?

- Ugaszony, ale statek wymaga naprawy. Jest przechylony na lewą burtę. To dlatego panienka znalazła się w morzu. Jest nadzieja, że w kilka godzin usuniemy uszkodzenia. Powinniśmy wyruszyć w drogę późnym popołudniem.

- To dobra wiadomość, Newtonie. Zastąp mnie, a ja tymczasem zajmę się Ambrozię. - Riordan ostrożnie zniósł dziewczynę do swojej kajuty. Tam delikatnie ułożył ją na koi.

Szybko zdjął jej z nóg buty, a następnie wziął nóż i rozciął

ubranie. Na barku miała głęboką ranę, a na ramieniu drugą. Zdezynfekował rany, a następnie przewiązał je kawałkiem czystego płótna. Na koniec owinał ją starannie ciepłym kocem. Gdy się tak krzątał wokół niej, w pewnej chwili jego uwagę przyciągnęły poranione dłonie. Były popękane i starte po wewnętrznej stronie. Mógł to być skutek kurczowego trzymania rękojeści szpady, ale przyczyna mogła być też całkiem inna. Przecież kazał jej się wspinać na maszt podczas silnego deszczu. Sztywne, mokre liny zdarły do krwi delikatną skórę dłoni. Poczował wyrzuty sumienia. Wiedział, że to jego wina, że to on swym bezlitosnym rozkazem zadał jej taki okrutny ból. Cierpiała, ale mimo to, gdy piraci zaatakowali statek, chwyciła tymi poranionymi, spracowanymi dłońmi za szpadę i stanęła do walki z napastnikami na równi z innymi członkami załogi. I jak wspaniale się spisywała!

Widok nieprzytomnej Ambrozji rozdzierał mu serce. Dotknął ręką ogromnego guza na ciemieniu. Niepokoił go bardziej niż rany zadane szpadą. Musiała się silnie uderzyć. Widział marynarzy, którzy przepłacili życiem taki upadek.

Drżącymi rękami napełnił kufel piwem i wypił go jednym haustem. Następnie przebrał się w suche ubranie i przysunął krzesło do koi. Nie odejdzie od niej, dopóki dziewczyna nie odzyska przytomności.

Chociaż nie uważał siebie za osobę szczególnie religijną, w pewnym momencie przyłapał się na tym, że szepcze słowa modlitwy. Ona musi wyzdrowieć. Jeżeli nie wyzdrowieje, nigdy sobie tego nie daruje.

Ambrozja leżała nieruchomo, zastanawiając się, dlaczego wokół niej jest tak dziwnie cicho. Słyszała jedynie łagodne chłupotanie wody, a poza tym żaden inny dźwięk nie dochodził do jej uszu. Statek spokojnie i bezszelestnie kołysał się na falach. Na skołatane nerwy Ambrozji działało to niezwykle kojąco.

Czy bitwa już się skończyła? Czy ona żyje, czy umarła? Poruszyła głową i poczuła ostry ból. Nie, nie umarła, skoro tak bardzo cierpi. Z wolna otworzyła oczy. Dziw nad dziwy, znajdowała się w kajucie ojca, na pokładzie „Nieustraszonego”, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób się do niej dostała.

Ojciec. Wrócił. Uśmiechnęła się i próbowała usiąść. Przeszył ją jednak taki ból, że o mało znowu nie straciła przytomności. Jej głowa. Bark. Ramię. Jęknęła i bezsilnie opadła na plecy.

- Ambrozjo. Dzięki Bogu, odzyskałaś przytomność.

Spojrzała i zobaczyła, że przy jej koi siedzi Riordan Spencer. Miał czerwone obwódki wokół oczu i wyglądał na bardzo zmęczonego. Na jego podbródku czernił się gęsty zarost.

Głos kapitana Spencera brzmiał zadziwiająco czule, kiedy zapytał:

- Widzisz mnie?

- Owszem. - Co za dziwne pytanie, pomyślała.

- Czy widzisz, ile pokazuję ci palców?

Jeszcze dziwniejsze pytanie. Czy on uważa ją za niedorozwiniętą umysłowo? Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Cztery.

Usłyszała, jak westchnął. Zdziwiło ją to westchnienie.

- Czy ja... spałam? - Wydawało jej się, że nie zdoła poruszyć wargami. Znała słowa, ale z takim oporem wydobywały się z jej ust.

Skinął głową twierdząco.

- Przez cały dzień.

Spojrzała na latarnię, która paliła się na stole.

- Czy jest... noc?

- Tak. Spuściliśmy żagle do rana. Jutro wieczorem powinniśmy przybyć na miejsce.

- A piraci?

- Zabici. Ich okręt został trafiony i chyba już poszedł na dno. Przedtem weszliśmy na jego pokład i zabraliśmy, co było do zabrania. Nie posiadali wiele. Następnie naprawiliśmy, na ile się dało, uszkodzenia na naszym statku i płynęliśmy aż do zmroku.

- A chłopiec, Brandon?

- Żyje, dzięki tobie. - Riordan dopiero teraz, gdy Ambrozja się ocknęła, uświadomił sobie, z jak wielkim lękiem czekał na rozwój wypadków. Nie wiedział, czy w ogóle Ambrozja odzyska przytomność, a jeśli tak, to w jakim będzie stanie. Nie spuszczał z niej oka, czekając na najmniejszy przejaw życia. Czuwał i modlił się. Na szczęście Ambrozja wróciła do świata żywych. Należy zatem spodziewać się, że guz na głowie nie jest taki poważny, jak się obawiał. Odetchnął z ulgą, po czym dotknął ręką jej czoła.

- Może chcesz jakiś środek przeciwbólowy?

- Za... chwilę. Opowiedz mi... o bitwie. Czy mamy straty w ludziach?

- Nie. Jest tylko kilku rannych, ale nikt na szczęście nie zginął.

- Ach. - Zamknęła na moment oczy. Kiedy je znowu otworzyła, siedział obok niej na koi, ze szklanką w ręku. Uniósł jej głowę i przytknął naczynie do ust.

Przełknęła trochę płynu i zaniosła się kaszlem. Z obrzydzeniem na twarzy odepchnęła jego rękę.

- To straszne świństwo. Co to jest?

- Piwo. Takiego piwa jeszcze nie próbowałaś. To lekarstwo żeglarzy. Zażywają je, kiedy chcą wygnać z kości zimno Atlantyku. Wypij to. Będzie cię mniej bolało. Albo tak się upijesz, że będziesz jak kawałek drewna, nic nie będziesz czuła i wszystko ci się stanie obojętne.

Przyciskał szklankę do jej ust, zmuszając, by wypiała wszys-

tek płyn, do samego dna. Następnie ułożył ją z powrotem delikatnie na plecach.

- Czy lekarstwo zaczęło już działać?

- Tak - uśmiechnęła się sennie. - Miałeś rację co do... ciepła. Mam wrażenie, jakby moje wnętrzności ogarnął płomień.

Roześmiał się głośno. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek czuł się tak szczęśliwy jak w tej chwili.

- Och, Ambrozjo. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

- Dlaczego?

- Tak bardzo się o ciebie bałem. Lękałem się, że odniosłaś jakieś poważne obrażenia. - Odgarnął kosmyk z jej czoła. - Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało. Dzięki Bogu, wszystko jest na dobrej drodze. Nic ci nie grozi. - Przestał mówić, ponieważ zauważył, że zasnęła.

Ogromna czułość przepełniła mu serce. Obwieścił załodze, że marynarz Lambert odzyskał przytomność i czuje się lepiej, po czym wrócił do kajuty. Zarzucił sobie koc na ramiona i usiadł na krześle, opierając stopy o koję. Zasnął z błogim uśmiechem na twarzy.

Sen Ambrozji był bardzo przyjemny. Śniło się jej, że do Land's End przybył jakiś nieznaną przystojny mężczyzna. Miał ciemne włosy i ogorzałą, wyrazistą twarz. Otaczała go aura tajemniczości. Niektórzy mieszkańcy wioski posądzali go nawet o to, że jest piratem. Kiedy pastor zwrócił się do niego z żądaniem, by się przedstawił, przybysz odmówił wyjawienia swego nazwiska. Oświadczył, że chodzi mu jedynie o Ambrozię Lambert i że bez niej nie wyjedzie z Land's End. Chce do końca życia żeglować z nią po morzach i ma nadzieję, że ona również tego pragnie. „Tak” - wyszeptała we śnie. „Popłynę z tobą. Też tego chcę”. Ciemnowłosa mężczyzna uśmiechnął się na te słowa i przyciągnął ją blisko do siebie. Przycisnął usta do jej warg, po

czym poprosił, aby ona również go pocałowała. Otoczyła ramionami jego szyję i uniosła ku niemu głowę, podsuwając usta do pocałunku.

- Ambrozjo.

Przez mglistą zasłonę snu przedarł się do jej mózgu znajomy głos. Jego głęboki spokojny tembr jak balsam koił jej duszę, choć budził jednocześnie dreszcz w całym ciele.

- Słucham. - Ściągnęła wargi, czekając niecierpliwie, kiedy wreszcie poczuje słodycz pocałunku.

- Ambrozjo.

Poczuła ciepłe wargi na skroni. Oblała ją fala gorąca. Natychmiast otrząsnęła się z resztek snu.

- Riordanie. Śniło mi się...

- Wiem. Miałaś słodki, dobry sen, domyślam się. - Siedział na koi, trzymając ją w objęciach i tuląc do siebie.

- Nie odejdziesz ode mnie, prawda, Riordanie?

- Nie. Chyba że sama tego zażadasz.

- Nie. Nie chcę, abyś odchodził. - Podniosła dłoń i pogładziła go po policzku.

Pod wpływem tego czułego gestu gardło ścisnęło mu się ze wzruszenia.

- Wobec tego zostanę przy tobie. - Wyciągnął się obok niej na koi i ponownie objął ramionami. - No i co? Lepiej teraz?

- Tak jest. - Zamknęła oczy i przyłgnęła do jego torsu, nasłuchując rytmicznego bicia serca. Nie wiedziała, czy rozkoszny sen się powtórzy, ale bliskość Riordana przynajmniej pomoże częściowo zapomnieć o bólu.

Ponownie zapadła w sen. Riordan spoglądał na jej twarz, która w blasku księżycowego światła, sączącego się przez iluminator nad koją, wydawała mu się tak piękna, że aż wstrzymał oddech z zachwyty. Jej włosy były jak niebo o północy. Skórę miała tak białą i delikatną jak piasek wyłócony przez słońce

wzdłuż klifów Dover. A wargi... Gdy patrzył na nie, przenikał go dreszcz pożądania. Te rozkosznie stulone usta były stworzone do pocałunków.

Jak mogła jedna kobieta - uparta, zawzięta, mocna - wyrzeć taki wpływ na jego życie? Nic sobie nie robiła z jego rozkazów. Celowo się im przeciwstawiała, aby wypróbować, jak daleko może się posunąć. Wystawiała się na niepotrzebne ryzyko, narażała zdrowie i życie i niewiele brakowało, by zapłaciła za swą brawurę najwyższą cenę.

A on ją kochał. Beznadziejnie. Rozpaczliwie. Pokochał ją na długo przedtem, zanim poznał ją osobiście. Pokochał ją, słuchając opowiadań jej brata, a swego wiernego przyjaciela, Jamesa Lamberta. James często wspominał o swej irytującej młodszej siostrze Ambrozji, i o tym, jak dzielnie włada szpadą. Pokochał, kiedy po raz pierwszy zobaczył medalion z jej podobizną na szyi jej ojca, kapitana Johna Lamberta. Umacniał się w swym uczuciu, gdy słyszał, z jaką miłością ten ostatni mówi o swoich córkach. A gdy zobaczył Ambrozię, pokochał ją jeszcze goręcej.

Przyglądał się ciemnemu zarysowi postaci pod kocem. Przypominał sobie, że kiedy rozcinał na niej ubranie, aby opatrzyć rany, i zobaczył jej nagą skórę, ogarnął go zachwyty. Jest jeszcze piękniejsza, niż sobie wyobrażał. Nie myślał jednak o urodzie, przejęty obawą o jej życie. Teraz, kiedy znajdowała się już poza niebezpieczeństwem i spokojnie oddychała w jego ramionach, mógł wreszcie dać upust swoim uczuciom. Ambrozja była najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu.

Westchnęła przez sen i wyprężyła się w jego objęciach. Przycisnął usta do jej skroni. Natychmiast się uspokoiła. Przez mały iluminator do kajuty zaglądała szara poświata. Dniało. Riordana również ogarnęła senność. Przepełniało go błogie uczucie szczęścia, że kobieta, którą kocha, będzie niedługo

zdrowa. A jej piękny, dumny „Nieustraszony” już za kilka godzin znajdzie się w swym macierzystym porcie Land's End.

- Riordanie.

Jasne promienie słońca przenikające do kajuty przez małe okrągłe okienko obudziły Ambrozię. Ale to słońce tak grzało ją swoim ciepłem. Ono biło z ciała mężczyzny, który leżał obok niej w koi. Mężczyzna wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła, jak gorący rumieniec oblewa jej policzki aż po szyję.

- Co robisz?

- Patrzę na ciebie. Przyglądam ci się od chwili, kiedy się obudziłem.

- Ale co robisz w mojej koi?

- Zapominasz, Ambrozjo, gdzie jesteś. To jest przecież moja koja. A ty mnie do niej zaprosiłeś. W istocie, nawet nalegałeś na to, abym w niej została z tobą. Nie pamiętasz?

Odwrociła wzrok, zakłopotana.

- Tak, teraz sobie przypominam. To przypuszczalnie wina tego piwa. Musiałam się upić.

- Czyżby? - Uśmiechnął się rozbawiony. - Co za rozczarowanie. Miałem nadzieję, że takie było twoje pragnienie.

- Rzeczywiście, chciałam. Chcę... Ale jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to teraz, kiedy już doszłam do siebie, chciałybym cię prosić, abys wyszedł z kajuty.

- Doszłaś już do siebie? - Spojrzał sceptycznie na siniak czerniejący na jej ślicznym policzku oraz guz na tyle głowy. - Moim zdaniem, daleko ci jeszcze do wyzdrowienia.

- Uważam, że jestem już zdrowa. - Z trudem przybrała siedzącą pozycję, ale zaraz skryła się pod kocem. Uprzytomniła sobie nagle, że jest przecież zupełnie naga, nie ma nawet koszuli.

- Gdzie jest moje ubranie?

- Newton je zabrał, a Fielding rozwiesił na barierce, żeby wyschło.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Spodnie i koszula wiszą na oczach całej załogi?

- Tylko twoje spodnie. Bluzka i koszula były przesiąknięte krwią. Musiałem je pociąć i wyrzucić. Nie nadawały się do niczego.

- Pociąłeś je... - Spojrzała przed siebie z zaczerwienioną twarzą.

Widząc jej zażenowanie, zniżył głos.

- Nie miałem wyboru, Ambrozjo. Krwawiłaś. Musiałem obejrzeć twoje rany.

- Och, nie wątpię, że je obejrzałeś. - Usiadła, otulając się kocem. - Przypuszczalnie będziesz teraz starał się mnie zapewnić, że przez cały czas odwracałeś oczy, aby na mnie nie patrzeć.

Mimo woli uśmiechnął się.

- Nie widzę potrzeby kłamać. Nie tylko, że cię oglądałem, ale również podziwiałem. Niestety, tak byłem zajęty opatrywaniem ran, że nie mogłem napawać się twoim pięknem tyle, na ile bym chciał.

- Moim pięknem? - Wyprostowała się z wrażenia. Przy tym ruchu koc obsunął jej się z ramienia, odsłaniając nagie ciało.

Nim zdążyła go z powrotem naciągnąć na siebie, ścisnęła ją za rękę i przyciągnął ku sobie. Nadal się uśmiechał, ale w oczach zamigotał niebezpieczny ogień.

- Nie udawaj, że nie wiesz, iż jesteś piękna, Ambrozjo.

Spojrzała na niego oczami rozszerzonymi ze zdziwienia. Riordan zrozumiał, że ona nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy jest ładna, czy brzydka. Czyniło to ją w jego oczach jeszcze bardziej pociągającą.

Zniżył głowę i ustami nakrył jej wargi. Objął mocniej jej ramiona i przytulił.

- Jesteś najpiękniejszym, najbardziej ponętym żeglarzem na moim statku. Przez cały dzień i całą noc czuwałem przy tobie i zamartwiałem się o ciebie, więc teraz muszę cię koniecznie pocałować.

- Ty? - Odsunęła się. - Ty się o mnie martwiłeś?

- I to jeszcze jak! Myślałem, że oszaleję, kiedy wpadłaś do morza i początkowo nie mogłem cię odnaleźć. - Znowu przytulił ją do siebie. - Gdy cię w końcu dostrzegłem, broczyłaś krwią i byłaś nieprzytomna. Trudno wyrazić, co się wówczas działo w moim sercu.

Dotknęła dłonią jego torsu.

- Biedne, zmaltretowane serce.

- Wcale nie przesadzam. - Ujął jej rękę i podniósł do ust. - A kiedy ujrzałem te... - pochwycił jej obie dłonie i odwrócił wewnętrzną stroną do góry - gdy ujrzałem skutki swego okrutnego rozkazu, poczułem straszliwe wyrzuty sumienia, Ambrozjo. - Z czułością ucałował obydwie zmaltretowane dłonie. - Czy przebaczysz mi, że kazałem ci wspinać się na maszt?

- Och, Riordanie. - Przytknęła rękę do jego policzka i nie odrywając jej, zajrzała mu w oczy. - To wyłącznie moja wina. To ja cię sprowokowałam.

- Nieprawda. Postąpiłem jak potwór.

- Ale ty byłeś tylko...

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, zawładnął jej ustami, całując je tak żarliwie i namiętnie, że oboje ogarnęła gorączka.

Koc opadł z ramion. Ambrozja była tak oszołomiona pocałunkiem, że nie zwróciła na to uwagi, ale Riordan zauważył jej nagość.

Przycisnął ją do koi i zaczął okrywać pocałunkami jej twarz, policzki, podbródek. Następnie zniżył głowę i przesunął usta wzdłuż szyi ku piersi.

Wydała dźwięk będący ni to protestem, ni westchnieniem.

Wiedziała, że powinni przestać, ale nie mogła wykrzesać z siebie tyle siły, aby go powstrzymać. Jego wargi i ręce wprawiały ją w nie dające się wyrazić upojenie.

- Czy to znaczy, że przebaczasz mi? - wyszeptał.

- Tak jest. W tej chwili jestem gotowa wybaczyć ci wszystko.

- Ambrozjo. - Jego usta zsunęły się jeszcze niżej, odnajdując jędrne i pełne piersi.

Gdy zaczął okrażać językiem nabrzmiąte sutki, Ambrozja napięła się jak struna. Nigdy przedtem nie doświadczyła podobnie odurzających doznań. Wydawało się jej, że cała płonie i że nawet świeże morskie powietrze nie ugasi tego płomienia. Zrozumiała, że pragnie czegoś, o czym aż do tej chwili nigdy nie myślała. Czegoś, czego zarazem pożałowała i się obawiała.

- Nie, Riordanie. - Odtrąciła go i usiadła na posłaniu, okręcając się szczerlnie kocem.

- Chyba żartujesz, Ambrozjo. Chcesz tego tak samo jak ja. - Zmrużył oczy. Oddychał szybko i gwałtownie. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest podniecony i do jakiego stopnia jej pragnie.

- Chyba tak. - Była zbyt uczciwa, aby zaprzeczać. - Ale... potrzebuję trochę czasu. Muszę to przemyśleć.

Opanował się z trudem i wstał z koi.

- Wobec tego zostawiam cię twoim myśłom.

Spojrzała po sobie i uśmiechnęła się kwaśno.

- Mam nadzieję, że zdobędziesz dla mnie jakąś koszulę od kogoś z marynarzy. A może zamierzasz mnie więzić w tej kajucie do końca podróży?

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Sądzę, że znajdę coś dla ciebie. - Otworzył marynarski worek i wręczył jej białą płócienną koszulę. - Jednego jestem pewny. Będzie wyglądała na tobie o wiele lepiej niż na mnie.

Spojrzał na nią przeciągle, po czym wyszedł z kabiny i zamknął drzwi. Zostawszy sama, Ambrozja zaczęła powoli gramolić się z koi. Ale była tak słaba, że aby nie upaść, musiała chwycić się oparcia krzesła. Irytowała ją ta niemoc. Nigdy w życiu nie chorowała. Nie wiedziała, co znaczy być przykutą do łóżka.

Potrząsnęła głową, aby pozbyć się uczucia oszołomienia, i zaczęła się ubierać. Kiedy już się z tym uporała, poczuła się nieco silniejsza. Już pewniej stała na nogach. Załoga „Nieustraszonego” nie może się domyślić, że nie jest jeszcze w pełnej formie. Świadomość, że wiedzą o jej słabości, byłaby dla niej bardzo zawstydzająca.

- Land's End, kapitanie - oznajmił Newton. - Przed nami MaryCastle.

- Widzę, Newtonie - odpowiedział z zadowoleniem Riordan. Morskie powietrze otrzeźwiło go na tyle, że wziął się w garść i zapanował nad rozedrganymi zmysłami. Co nie znaczy, że nadal nie pragnął Ambrozji. Przeciwnie, pożądał jej jeszcze bardziej.

Wynurzyła się z kabiny spokojna i piękna w białej koszuli Riordana i czarnych spodniach wpuszczonych w wysokie czarne buty.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Podobał mu się sposób, w jaki stawiała stopy na pokładzie. Jak urodzony żeglarz. Uśmiechnął się na tę myśl. Ambrozja uniosła twarz, wystawiając ją na morskie powietrze. Głowę miała odkrytą. Delikatny wiaterek igrał swobodnie w odrzuconych do tyłu ciemnych włosach.

Riordan stał przy sterze, gdy podpływali w stronę niebezpiecznych płyczn.

- Na pana miejscu zdwoiłbym uwagę, kapitanie. - Głos

Newtona sprowadził go na ziemię. - Przez najbliższą godzinę niech pan myśli tylko o tym, co pan widzi przed sobą. Niejeden kapitan statku zapłacił wysoką cenę za podobną nieuwagę. Człowiekowi wydaje się, że już dotarł do celu, że już prawie jest w domu, a tu nagle okazuje się, iż statek zaczyna tonać. Powód? Nadział się na podwodną skałę, ponieważ sternik zamyślił się na chwilę. A skał i mielizn wokół Land's End jest naprawdę bez liku.

- Dobrze, Newtonie, będę uważał.

Stary żeglarz przysunął się bliżej, tak by nikt z załogi nie mógł ich usłyszeć.

- Rozumiem, że niełatwo skupić się na prowadzeniu, gdy w pobliżu znajduje się taka piękność jak Ambrozja. Nie sposób oderwać od niej oczu.

- To prawda, Newtonie. Rzeczywiście trudno skupić się w jej obecności na robocie. Jej piękność rozprasza człowieka. Jest najprzyjemniejszą rozrywką dla oczu, jaką można mieć.

Nie zważając na zdziwioną minę starego żeglarza, Riordan odwrócił się i wykrzyknął:

- Lambert!

Ambrozja przeszła przez pokład i stanęła naprzeciwko niego.

- Słucham, kapitanie.

- Weź ster i pokieruj okrętem.

Starąła się nie okazać wrażenia, jakie zrobiło na niej polecenie Riordana.

- Rozkaz, kapitanie.

Ujęła ster. Riordan cofnął się o krok i stanął za jej plecami.

- Dlaczego to robisz, Riordanie? - zapytała półgłosem, tak by inni żeglarze jej nie usłyszeli.

- Pomyślałem sobie, że należy sprawić przyjemność twemu dziadkowi i siostrze. Niech widzą, jak wprowadzasz „Nieustraszonego” do portu. To jest przecież twój statek, bądź co bądź.

Te słowa zabrzmiały w jej uszach jak anielski śpiew.

- Spójrz - powiedział - tam, w górę.

Popatrzyła we wskazanym kierunku i zobaczyła zgromadzoną na tarasie rodzinę. Zręcznie omijając skały, mielizny i rozpadliny, wprowadziła statek do zatoki, by go tam zakotwiczyć.

Dopiero wtedy zauważył, że wyraźnie oszczędza jedno ramię. Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Boli cię?

- Nic takiego. - Potarła ramię. - Trochę dolega.

Widząc, że załoga ich obserwuje, nie dotknął jej. W jego głosie jednak dźwięczał niepokój.

- Powinnaś mi o tym powiedzieć, Ambrozjo. Nie chcę, abyś nadwreżęła bolące ramię.

Zwrócił się do Newtona.

- Każ spuszczać szalupę na wodę. Muszę spotkać się z przedstawicielem króla. Chcę ustalić termin przekazania ładunku.

- Płyniesz ze mną. - Te słowa były skierowane do Ambrozji.

- Do Land's End?

- Nie, do brzegu.

- Nie powinnam raczej zostać z załogą?

- Sami przypilnują statku do mego powrotu. A co do ciebie, to bezzwłocznie powiem pani Coffey, że ma ci natychmiast przygotować ciepłą kąpiel i gorący posiłek.

Ambrozja położyła rękę na ramieniu Riordana i zniżyła głos.

- Wiesz dobrze, że nie lubię, gdy się mnie wyróżnia.

Uśmiechnął się w ten szczególny sposób, który zawsze przyprowadzał ją o szybsze bicie serca.

- Posłuchaj mnie, Ambrozjo. Tyle godzin martwiłem się o ciebie. Teraz, kiedy szczęśliwie dopłynęliśmy do portu, chciałbym, żebyś nareszcie odpoczęła i doszła do siebie jak na-

leży. Potrzebna ci jest troskliwa opieka. To dla mnie bardzo ważne.

- Rozkaz, kapitanie.

Kiedy spuszczano na wodę szalupę, zeszli do niej po sznurowej drabinie.

Kilka minut później wylądowali na plaży. Riordan wyciągnął rękę i pomógł Ambrozji wydostać się na suchy piasek.

Zawahała się.

- Zobaczmy się na kolacji?

- Tak - uśmiechnął się. - Z chwilą gdy przekażę ładunek przedstawicielowi króla w Land's End, moje zadanie będzie zakończone.

- Powiem pani Coffey, że ma ciebie oczekiwać.

Spoglądał za nią, gdy szła przez plażę do domu. Następnie zostawił Newtona przy szalupie, a sam poszedł w kierunku wioski. Cieszyła go myśl, że jego pierwsza wyprawa w roli kapitana „Nieustraszonego”, pomimo nieprzewidzianych przeszkód, w sumie skończyła się pomyślnie.

Radował się perspektywą długiej, ciepłej kąpieli. A także, jeżeli los okaże się łaskawy, możliwością intymnego spotkania z Ambroją. Może wtedy uda się im wreszcie zrealizować to, co zapoczątkowali w kajucie na „Nieustraszym”.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Riordan energicznym krokiem podążał w stronę Land's End. Zależało mu na tym, aby jak najszybciej zakończyć sprawę ładunku i wrócić do MaryCastle. Nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek, dopóki złoto pozostawało w jego rękach. Jak najszybciej musi je zwrócić prawowitemu właścicielowi.

Uśmiechnął się do siebie. Miał nadzieję, że po powrocie znajdzie czas, aby spędzić z Ambroją kilka chwil na osobności. Gotów był nawet wyrazić jej swoje uznanie i powiedzieć, że spisała się dzielnie w roli marynarza. O wiele lepiej, niż się spodziewał. Pracowała ciężiej od innych i czyniła wielkie wysiłki, aby udowodnić zarówno jemu, jak i załodze, a przypuszczalnie również i samej sobie, że nadaje się do tej pracy. Myśląc o tym, uśmiechnął się jeszcze szerzej. To za mało powiedzieć, że ona się nadaje. Ambroja jest urodzonym żeglarzem. Potrafiła także stawić czoło napastnikom. Gdyby nie to, że poślizgnęła się i upadła, nie miałyby na swym koncie ani jednego błędu. A już na szczególną uwagę zasługuje jej spostrzegawczość. To ona pierwsza zauważyła niebezpieczeństwo, jakie groziło Brandonowi, i pośpieszyła mu na pomoc, zanim inni zdążyli choćby kiwnąć palcem.

Naprawdę, zadziwiająca z niej kobieta. Zamierzał jej to powiedzieć. Zaraz po tym, jak ucałuje jej usta. Nie mógł już bowiem ukrywać dłużej przed sobą, że myślał o jej ustach bezustannie od chwili, gdy dotknął ich po raz pierwszy. Prześladowało go przy tym uczucie, że jeżeli ich ponownie nie ucałuje, i to niedługo, z całą pewnością oszaleje.

W gospodzie poinformowano go, gdzie może znaleźć Barclaya Stuarta. Kantor pośrednika wychodził na port. Stało w nim na kotwicy wiele statków. Serce Riordana rosło, gdy na nie patrzył. Nie wyobrażał sobie miłszego widoku.

Pchnął drzwi i wszedł do środka, zamykając je za sobą. Ściany były obwieszane mapami. Widniały na nich starannie zaznaczone szlaki nawigacyjne. Każdy skrawek przestrzeni w kancie wypełniały przedmioty drogie sercu każdego żeglarza. Liny, wiosła, kotwice. Na biurku leżał sekstans okrętowy. Błat pokrywały zwoje pergaminów.

Riordan odniósł wrażenie, że pan Stuart nie dbał zbyt o porządek. Nawet na podłodze poniewierały się papiery.

Nie widząc nikogo za biurkiem, Riordan zawołał:

- Panie Stuart?!

Odpowiedziało mu milczenie.

- Barclay Stuart? - Widząc uchylone drzwi do pokoju, postąpił naprzód, ale zamarł w pół drogi.

Para odzianych w długie buty stóp, wykręconych pod dziwnym kątem, tarasowała przejście. Riordan dał susa do przodu, otwierając drzwi na oścież. W kałuży krwi leżał mężczyzna. Przypuszczalnie został uderzony w głowę jakimś ciężkim narzędziem. Po chwili już wiedział jakim. Obok ciała, na podłodze, porzucono zakrwawione drewniane wiosło.

Riordan przyklęknął i dotknął ręką szyi mężczyzny, chociaż zdawał sobie sprawę, że to zbyteczny gest. Nie wyczuł pulsu. Od początku był zresztą przekonany, że mężczyzna nie żyje.

Teraz Riordan zrozumiał, dlaczego na biurku urzędnika panował taki nieporządek. Ktoś musiał gorączkowo czegoś szukać w papierach Stuarta i dlatego je tak beładnie porzucił.

Kiedy skojarzył sobie wszystkie fakty, poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie z przerażenia. Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Musiał natychmiast wracać na pokład „Nieustraszonego”.

Riordan zawsze ufał swemu instynktowi. W tej chwili miał niezbitą pewność, że jego ludzie znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Barclay Stuart musiał posiadać jakieś dokumenty dotyczące ładunku, który przewoził żaglowiec „Dover”. Jeżeli morderca znalazł ten dokument, będzie starał się dowiedzieć, jakie są dalsze losy królewskiego złota. Prędzej czy później dojdzie po nitce do kłębka i zorientuje się, że ładunek przejęła załoga „Nieustraszonego”.

Riordan zrozumiał w tym momencie, że atak piratów nie był przypadkowy. Piraci wiedzieli, co znajduje się w ładowniach „Nieustraszonego”. A to znaczy, że inni wiedzą również. Nie miał ani chwili do stracenia.

Wszystkie statki pirackie na Atlantyku będą teraz polować na „Nieustraszonego” i jego załogę.

- Jakiś kłopot, kapitanie? - Stary żeglarz zauważył jego niepokój.

- Tak, musimy uzupełnić zapasy na drogę, Newtonie. I to szybko.

- Kiedy wyruszamy?

Riordan spojrzał na słońce zniżające się już ku zachodowi.

- Przed zapadnięciem zmroku, by nie nadziać się w ciemnościach na skały lub mieliznę. - Obrzucił Newtona baczym spojrzaniem. - Myślisz, że zdążysz ze wszystkim?

- Tak, kapitanie. Zaraz wyślę ludzi do Land's End po żywność.

- Przekaż im, aby nic nikomu nie mówili na ten temat. To bardzo ważne.

Newton skinął głową. Był zaniepokojony. Riordanowi wyraźnie zależało na pośpiechu. Dlaczego?

- Dopilnuję tego. Może być pan spokojny, kapitanie. - Popatrzył w kierunku domu.

- A panienska? Czy już o tym wie?

- Właśnie zamierzam jej to powiedzieć.

Szybkim krokiem podążył do MaryCastle. Było mu niezmiernie ciężko na duszy. Wiele by dał, żeby nie być zwiastunem takiej niemiłej nowiny dla rodziny Lambertów.

Jeszcze nie zdążył wstąpić na stopnie, kiedy drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich Ambrozja. W powłóczystej sukni cytrynowego koloru wyglądała jak królowa. Jej śliczna twarz w obramowaniu ciemnych rozwichrzonych loków, podczas ostatnich dni dodatkowo wyzłocona słońcem i wiatrem, przyciągała oczy jak magnes. Była piękna jak obrazek.

- Riordanie. - Odstąpiła na bok, robiąc mu przejście. Następnie zamknęła za nim drzwi i pochwyciła za ramię.

- Wejdz. Dziadek i siostry są w salonie. Z niecierpliwością czekają na opowieść o naszych przygodach.

- Ambrozjo. - Chciał się zatrzymać, ale ona energicznie pociągnęła go za sobą. - Musimy porozmawiać.

- Dobrze, dobrze, porozmawiamy. Ale najpierw... - Otworzyła drzwi do salonu.

- Spójrzcie, kogo tutaj mamy. Przyszedł w samą porę, żeby potwierdzić moją opowieść.

- Kapitan Spencer. - Bethany i Darcy podskoczyły i pochwyciły go za ręce, ciągnąc do miejsca, gdzie siedział ich dziadek. - Ambrozja zdążyła już zdradzić nam trochę szczegółów.

- Bethany i Darcy uśmiechnęły się do siebie. - Czy rzeczywiście było tak wspaniale, jak nam opowiadała?

- Wspaniale? - Zdziwiło go to określenie. - Powiedziałbym raczej, że mieliśmy urozmaiconą podróż.

Oczy Darcy były okrągłe jak spodki.

- Ambrozja mówiła, że „Nieustraszony” został zaatakowany przez piratów. Czy to prawda?

- Prawda.

- Podobno wypadła przez burtę do morza? - spytała Bethany, robiąc przy tym przestraszona minę.

- Zgadza się.

- A pan ją ocalił - dodała dramatycznym tonem Darcy.

- Ktoś musiał to zrobić. W przeciwnym wypadku wasza siostra zginęłaby w morskich odmętach.

- Czy ktoś mówi o koronowaniu? - Geoffrey Lambert przysłuchiwał się rozmowie, zwracając głowę to w jedną stronę, to w drugą. - Kto został koronowany? Czy Karol przestał być królem?

- Wszystko w porządku, dziadku. - Ambrozja energicznie skinęła głową. - Nie obawiaj się. Twój ukochany młody król panuje nadal. Ominął go na szczęście tragiczny los jego ojca.

- Na razie - zauważył półgłosem Riordan.

Ambrozja zmrużyła oczy.

- Co powiedziałaś?

Wzruszył ramionami. Nie wydawało mu się sensowne mówić więcej, niż było konieczne. Przyszedł tutaj, zastanawiając się przez całą drogę, w jaki sposób przekazać Ambrozji wiadomość, że zaledwie wróciła do domu, musi szykować się do następnej wyprawy, i to bezzwłocznie. Ale teraz, kiedy ją zobaczył, zmienił zamiar. Zrozumiał, że jedynym właściwym dla niej miejscem jest MaryCastle, jej rodzinne gniazdo. Żaglowiec nie może być domem dla szlachetnie urodzonej, dobrze wychowanej młodej damy, takiej jak Ambrozja. Kiedy ją ujrzał w pięknej sukni, taką strojną i dystygowaną, w otoczeniu kochającej rodziny, uświadomił sobie, jak bardzo dziewczyna nie pasuje do życia na morzu. Te kilka dni na pokładzie „Nieustraszonego” sprawiły, że zapomniał, jaką przyjemną egzystencję prowadziła na lądzie. W imię czego miałyby zmieniać wygodę kornwalijskiego dworu na prymitywne marynarskie bytowanie?

Ambrozja wręczyła mu szklanicę z piwem.

- Co się stało, Riordanie? Sprawiasz wrażenie, jakby cię coś gnębiło.

- Czyżby? - Wypił piwo jednym długim haustem. Następnie odchrząknął i zwrócił się do reszty towarzystwa. Uważał, że im również należy się wyjaśnienie.

- Mam niedobre wieści.

- Co się stało? - spytała Ambrozja z niepokojem.

- Przedstawiciel króla, Barclay Stuart, nie odbierze od nas ładunku.

- Dlaczego? Z jakiego powodu? - Ambrozja usiadła na kanapie obok dziadka, rozkładając szeroko spódnicę wokół siebie. Miała nadzieję, że Riordan doceni malowniczość jej pozy i że wzbudzi w nim ona chętkę, aby wziąć ją znowu w ramiona i całować do utraty tchu. Zawstydziała się swych nieprzystojnych myśli i zaczerwieniła jak piwonia.

- Ponieważ nie żyje! Został zamordowany.

- Zamordowany? - Podskoczyła z wrażenia. Cała krew uciekła jej z twarzy. - Tutaj, w Land's End? Skąd masz pewność, że to morderstwo?

- Ponieważ widziałem go leżącego w kałuży krwi. Obok porzucono też narzędzie mordu, walało się w pobliżu ofiary na podłodze. - Widząc, że zbladła jak płótno, Riordan ścisnął ją lekko za ramię.

- Posłuchaj mnie, Ambrozjo. Musisz zaraz wysłać posłańca do miasta, aby zawiadomił odpowiednie władze.

- Myślałam, że to już zrobiłeś.

Pokręcił głową.

- Nie było czasu. - W tej chwili też go tracił i to o wiele za dużo. Nie mógł jednak zostawić Lambertów w niewiedzy. Należała im się prawda. Odetchnął głęboko. - Ładunek, który przejeśliśmy na swój pokład z „Dover”, jest przeznaczony dla króla Karola.

- Czy królowi potrzebna jest herbata i korzenie?
- Daj mi powiedzieć. - Dotknął palcem jej ust, ale zaraz go odjął. Odsunął się też od niej na bezpieczną odległość. W obecnej sytuacji nie może sobie pozwolić, aby osobiste sprawy wzięły górę nad obowiązkiem. A stojąc zbyt blisko Ambrozji, wystawiał się na takie niebezpieczeństwo. - To nie jest taki ładunek, o jakim myślisz. To z jego powodu zaatakowali nas piraci i został zamordowany przedstawiciel króla w Land's End, Barclay Stuart. Ktoś zadał sobie trud, aby dowiedzieć się, co „Dover” wiezie i kto w tej chwili jest w posiadaniu jego ładunku. Prędzej czy później któryś z marynarzy „Dover” wygada się i zdradzi nazwę naszego statku. Zanim jednak do tego dojdzie, zrobię wszystko, aby skrzynie dotarły w nienaruszonym stanie do Londynu. Tam przekażę je osobiście królowi. Kazałem już Newtonowi uzupełnić zapasy, i to możliwie jak najszybciej. Za godzinę wypływamy.

Ku jego zaskoczeniu, Ambrozja i jej siostry przyjęły ze spokojem wstrząsającą wiadomość. Bethany wykrzykiwała nowinę do ucha dziadkowi, a Darcy z niewzruszoną miną słuchała słów Riordana.

Ambrozja skinęła głową.

- Masz rację, oczywiście, Riordanie. To najmądrzejszy krok. - Ruszyła w stronę drzwi. - Świetnie. Przebiorę się tylko i za godzinę będę gotowa.

- Zaczekaj. - Schwycił ją za ramię, ale zaraz pożałował tego gestu. Przeszył go bowiem dreszcz rozkoszy, który uświadomił mu, jak wielką namiętność budzi w nim Ambrozja. Nie powinien się teraz rozpraszać, tylko skupić na uratowaniu królewskiego złota. - Tym razem nie popłyniesz.

Uśmiechnęła się.

- Bethany i Darcy też popłyną w swoim czasie. Nie obawiaj się. Nasza wyprawa przecież się jeszcze nie zakończyła. Prze-

rwaliśmy ją w połowie. Skoro tak, to uważam, że mam prawo towarzyszyć ci do końca, aż do miejsca przeznaczenia.

- Nie rozumiesz, Ambrozjo. - Starał się mówić spokojnie i przekonująco, chociaż przychodziło mu to z trudem. - To nie jest taka sobie zwyczajna wyprawa. Zamordowano człowieka. W ładowni „Nieustraszonego” znajdują się skrzynie zawierające wielki majątek. - Kątem oka zauważył, że Bethany i Darcy przytknęły dłonie do ust, słysząc te słowa. Przypomniał sobie, że nie powiedział im jeszcze, o jaki ładunek chodzi, ale zdecydował, że lepiej będzie, jeżeli dziewczęta pozostaną na razie w nieświadomości. - Nie mam wątpliwości, że nim dotrzemy do celu, czeka nas niejedna niemiła przygoda. Możemy się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie. Nie mogę pozwolić, byś narażała życie.

- Nie możesz pozwolić? - Ambrozja zrobiła wielkie oczy. Położyła ręce na biodrach i w wyzywającej pozie stanęła naprzeciwko niego. - Ty mi nie zezwalasz? Od kiedy to jesteś moim panem i władcą, Riordanie Spencer?

- Bądź rozsądna, Ambrozjo. To byłoby świadome wystawianie cię na niebezpieczeństwo, nie wyłączając ryzyka utraty życia. Nie mogę na to pozwolić.

- Pozwolić? Znowu to słowo. - Jej pociemniałe z gniewu oczy ciskały błyskawice. - Przypominam ci, Riordanie, że nie jesteś moim opiekunem.

- Może właśnie potrzeba ci kogoś takiego. - Podszedł bliżej. - Do diabła, kobieto. Staram się zaoszczędzić ci bólu i cierpienia.

- Nie. Usiłujesz jedynie mną rządzić. A nikt, a już najmniej ty, Riordanie Spencer, nie ma prawa mi rozkazywać.

Próbował zapanować nad nerwami, by nie wprawić otoczenia w zakłopotanie, ale w tej chwili wszelkie subtelne względy stały mu się najzupełniej obojętne. Ta egzaltowana, nierozważna dziewczyna wpędzi go do grobu.

- Nie będę w stanie walczyć jednocześnie w twojej i swojej obronie, gdy nas zaatakują. A ta podróż to jedno wielkie niebezpieczeństwo, uprzedzam cię.

- Próżne wysiłki, nie przestraszysz mnie. Pilnuj swojej osoby, Riordanie. Potrafię sama się o siebie zatroszczyć.

- Czy tego nie rozumiesz? - Nie zważał już dłużej na to, że jej dziadek i siostry patrzą na niego jak na człowieka, który nagle postradał zmysły. A może ja rzeczywiście oszalałem, pomyślał. Niewątpliwie straciłem już, jeżeli nie rozum, to panowanie nad sobą. Wiedział, że jeszcze chwila, a wybuchnie. - Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą i twoja obecność na pokładzie rozprasza uwagę i nie pozwala skupić się należycie na pracy. A podczas takiej podróży jak ta nie mogę sobie pozwolić na żadną nieuwagę, Ambrozjo.

- Bardzo atrakcyjna? Tak mnie oceniasz? Jako bardzo atrakcyjną? Wobec tego powiadam ci, kapitanie, co następuje. Pilnuj swego zajęcia, a ja zapewniam cię, że też będę robić to samo.

- Tak właśnie zamierzam postąpić. Przez wzgląd na dobro moje i załogi zakazuję ci płynąć z nami.

- Zakazujesz? Ty zakazujesz mi wejścia na mój statek?

- Tak. Taka jest moja decyzja!

Zdawał sobie sprawę, że krzyczy tak głośno, że słycać go w całym domu. Nie zważał jednak teraz na maniery. Wszystko odbyło się inaczej, niż zaplanował. A winna temu jest ta uparta, irytująca kobieta. Jeszcze raz przekreśliła jego słowa i doprowadziła do takiej furii, że zachował się jak ktoś niespełna rozumu. A przecież jemu chodziło wyłącznie o jej dobro i bezpieczeństwo. Właśnie to miał głównie na uwadze, upierając się przeciwko zabraniu jej w tę niebezpieczną podróż.

- Zabraniam ci wstępować na pokład „Nieustraszonego”. Każdy marynarz dostanie w tym względzie odpowiedni rozkaz. Jeżeli będziesz próbowała wśliznąć się potajemnie na statek,

związę cię i sprowadzę z powrotem na ląd. - Zacisnął rękę wokół jej nadgarstka i przyciągnął bliżej.

- Zrozumiałaś, co mówię?

- Och, rozumiem, dobrze rozumiem. Rozumiem, że jesteś słabeuszem, pozbawionym rozumu tępym kozłem, który próbuje udawać mężczyznę. A teraz zapamiętaj, co ci powiem, Riordanie Spencer. Kiedy wrócisz z Londynu...

- Powiedz raczej, jeżeli wrócę! - Podniósł głos. - W takiej wyprawie jak ta łatwo jest stracić życie.

- Dobrze. Jeżeli powrócisz cało z Londynu, uprzedzam cię lojalnie, nie łudź się, że nadal będziesz kapitanem „Nieustraszonego”. Zamierzam zwolnić cię ze służby.

Zmrużył oczy.

- Zrobisz to?

- Tak. I dodam jeszcze coś. Jest mi obojętne, czy zginiesz na morzu, czy pójdziesz do piekła bądź nieba, Riordanie Spencer. Nie uronię za tobą ani jednej łzy. A teraz mnie zostaw.

Uwolniła się z jego uścisku i pobiegła na górę. Zaskoczony, przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem.

Odwrócił się do jej dziadka i siostr. Cała czwórka, bez wyjątku, spoglądała na niego z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Wybaczcie mi, proszę. Nie mam czasu na bardziej kurtuazyjne przeprosiny. - Odwrócił się i wyszedł szybkim krokiem z salonu, z hałasem zatrzaskując za sobą drzwi.

Przekłęta baba, pomyślał, ale zaraz dodał: równie przekłety jest mój wybuchowy charakter, który tylko pogorszył sprawę.

Czyż Ambrozja nie rozumie, że on nie potrafi znieść myśli, iż może jej przydarzyć się coś złego?! Taka perspektywa jest dla niego nie do zniesienia. Dlaczego ona nie widzi, że już sama jej obecność na pokładzie osłabia jego wolę i czyni podatnym na ciosy wrogów?

Ciężkim krokiem przemierzył plażę w drodze do łodzi, cisząc w przestrzeń serię soczystych przekleństw. Podjął już de-

cyję. Nie ma możliwości powrotu. Teraz jedynie musi tylko *znaleźć* sposób, który pomoże mu wyrzucić z myśli Ambrozię Lambert, albowiem to, co mogło ich połączyć, zostało już na zawsze stracone.

W ciągu godziny „Nieustraszony” wypłynął z portu. Riordan koniecznie chciał opuścić niebezpieczne wybrzeże jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Kiedy już statek znalazł się na pełnym morzu, rozkazał załodze dzień i noc czuwać z dwóch stron, od dziobu i od rufy. Jeżeli piraci ich zaatakują, to przynajmniej zyskają czas, żeby przygotować się do obrony.

Na pokładzie mieli dwie armaty i dosyć broni, by uzbroić każdego mężczyznę.

Riordan stał przy sterze, obserwując chmury przesuwające się po tarczy księżyca. Serce przepeśniał mu ból. Teraz, kiedy już ochłonał i mógł na zimno ocenić sytuację, zrozumiał, że źle rozegrał scenę z Ambrozię. Zranił jej dumę. Wprawił w zażenowanie w obecności tych, których kochała i na których opinii jej zależało.

Powinien się lepiej przygotować do tej rozmowy. Nie miał jednak na to czasu.

Czy szanse zostały bezpowrotnie stracone? Czy Ambrozię będzie w stanie przebaczyć mężczyźnie, który tak dotkliwie obraził ją przy dziadku i siostrach? Wiele by dał za to, aby cofnąć te wszystkie nienawistne słowa. Ale daremne żale. Za późno.

- Może pan odpocznie, kapitanie?

Odwrocił się i zobaczył za sobą Newtona.

- Dziękuję. Wolę mieć zajęte ręce. - Szkoda, że nie mógł znaleźć zajęcia również dla umysłu. Czułby się wówczas znacznie lepiej.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

Newton odszedł, kuśtykając, gdy naraz, z punktu obserwacyjnego na szczycie masztu, rozległ się ostrzegawczy okrzyk.

- Jakiś statek podąża szybko w naszym kierunku, kapitanie. Płynie od lewej burty.

- Ogłoś alarm! - zawołał Riordan.

Na okrzyk Newtona marynarze rzucili się do burty i schwycili za broń.

Prawie godzinę trwało, zanim okręt przybliżył się do nich na odległość głosu.

- Ahoj, „Nieustraszony” - rozległ się w ciemnościach niewątpliwie niewieści głos.

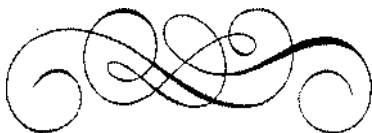
- To Ambrozja! - wykrzyknął Newton. - Rozpoznaję głos panienki, ani chybi.

Riordan zmrużył oczy. On go także rozpoznał.

- Newtonie - rozkazał - przejmij ster.

Stary żeglarz spełnił rozkaz. Widział, jak Riordan przycisnął zaciśnięte w pięści ręce do boków i przesywając wzrokiem ciemności nocy, obserwował „Zew Morza” podpływający do nich na pełnych żaglach.

Panienka dopięta swego, pomyślał stary żeglarz. Musi mieć dobre argumenty na swoją obronę, w przeciwnym bowiem razie być może, iż przyjdzie jej pożegłować z powrotem do Land's End.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy „Zew Morza” zrównał się z „Nieustraszonym”, Riordan zamarł ze zdziwienia. Z otwartymi ustami przypatrywał się postaciom widocznym w świetle latarni.

Ambrozja nie tylko zabrała ze sobą obie siostry, ale również i dziadka. Starszy pan z szeroko rozstawionymi nogami stał pewnie na pokładzie, uśmiechając się szeroko. Zamiast szala, który zazwyczaj nosił na ramionach, miał teraz na sobie ciężki wełniany kapitański płaszcz. Był z niego wyraźnie dumny.

Podobnie jak Ambrozja, Bethany i Darcy ubrały się stosownie do okoliczności. Ich stroje składały się z jaskrawych, kolorowych koszul z bufiastymi rękawami oraz spodni wetkniętych w wysokie buty. Włosy związały szerokimi wstążkami.

Za nimi osłupiały Riordan zobaczył ochmistrzynię, panią Coffey, oraz bojaźliwą starą nianię i guwernantkę, pannę Winifred Mellon. Obie kobiety wyglądały jak damy, które wybrały się powozem na popołudniową przejażdżkę.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład „Nieustraszonego”. - W głosie Ambrozji nie czuło się wcześniejszego gniewu. Wręcz odwrotnie, była czymś radośnie podniecona.

Riordan zmrużył oczy. Co ona znowu wymyśliła? Nieważne. Nie miał zamiaru dać się ponownie wciągnąć w jakąś historyczną scenę.

- Odmawiam wejścia.

Gdy odszedł od burty, usłyszał za sobą na podłodze odgłos stóp odzianych w ciężkie buty. Odwrócił się i zobaczył, że Am-

brozja zignorowała jego rozkaz i przeskoczyła przez poręcz na ich pokład. Zrobiła to na oczach całej załogi.

- Lekceważysz rozkaz kapitana? - wrzasnął, kipiąc ze złości. Był zdecydowany położyć kres tej samowoli. - Marynarzu Lambert, wiedz o tym, że mam prawo zakuć cię w łańcuchy.

- To prawda, kapitanie, ale właściwie nie miałam innego wyjścia. Najpierw musisz mnie wysłuchać. Sądzę, że mój plan jest tego wart.

- Już miałem okazję cię słyszeć. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Proszę, kapitanie. - Zniżyła głos. - Czy możemy porozmawiać na osobności w twojej kajucie?

Już miał na końcu języka odmowną odpowiedź. Przyszło mu jednak na myśl, że przecież zaryzykowała, wypływając nocą na morze i manewrując w napięciu wśród mielizn i niebezpiecznych podwodnych raf. Narażała przy tym zdrowie i bezpieczeństwo własnej rodziny. Dobrze, wysłucha jej. A potem każe zabierać się z powrotem.

- Zgadzam się, marynarzu Lambert. Daję ci minutę, nie więcej. Nie mamy czasu na głupstwa.

Puścił ją przodem, kiedy szli do schodków prowadzących pod pokład. Gdy mijali załogę, zobaczył, że wielu marynarzy się uśmiecha. Widząc to, jeszcze bardziej umocnił się w swym postanowieniu. Nie ulegnie perswazjom i nie zmieni decyzji, w myśl której nie wolno jej wejść na pokład własnego statku. A już w żadnym przypadku nie po tej niesmacznej scenie w salonie MaryCastle.

Gdy znaleźli się w kajucie, zamknął drzwi i oparł się plecami o framugę. Był zdecydowany nie zbliżyć się do Ambrozji. Najlepiej by zrobił, gdyby w ogóle na nią nie patrzył. W ten sposób nie grozi mu, że ulegnie jej czarowi i podda się jej woli.

- Masz minutę, Ambrozjo.

Odetchnęła głęboko, by uspokoić gwałtownie bijące serce. Bała się, że zdradzi się ze swymi uczuciami. Przybyła tutaj zdecydowana układać się z kapitanem Spencerem tak jak z każdym innym. Riordan jednak różnił się od mężczyzn, których dotychczas znała. Nawet wtedy, gdy zranił ją do żywego okrutnymi słowami, nie była w stanie wzbudzić w sobie do niego nienawiści, chociaż bardzo się o to starała. Och, jak bardzo chciała móc go znienawidzić.

- Kiedy wyszedłeś od nas, zaczęliśmy dyskutować z dziadkiem o twoim położeniu. Zgodziliśmy się wszyscy, że twoja decyzja jest bardzo szlachetna, a jednocześnie odkryliśmy błąd w twoim planie.

Podniósł szybko głowę do góry.

- Błąd?

- Tak. Jeżeli, jak twierdzisz, Barclay Stuart został zamordowany przez kogoś, kto pragnął dowiedzieć się, jaki ładunek wiezie „Nieustraszony”, to należy się spodziewać, że ten człowiek zechce teraz za wszelką cenę go przechwycić.

- No dobrze. Ale na czym polega błąd?

- Chodzi o „Nieustraszonego”. Piraci będą na niego polować.

- Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Jesteśmy na to przygotowani. Mamy armaty, broń oraz ludzi gotowych oddać życie za to, by ocalić cenny ładunek.

- Jak już powiedziałam, Riordanie, to co robisz, jest bardzo szlachetne. Jednak twój plan ma słaby punkt. Wrogowie przekonali się już raz, że „Nieustraszony” potrafi dać im radę. Czy sądzisz, że nie wyciągnęli z tej lekcji żadnej nauki? Ty pewno przypuszczasz, że wyślą przeciwko nam kolejny statek?

- Tak jest. A ty sądzisz, że będzie inaczej?

- Nie wyślą jednego statku. Oni wyślą armadę. I chociaż będziecie walczyć mężnie do końca, nie dacie im rady i polegiecie wszyscy, co do jednego.

Zmrużył oczy.

- Uważasz zatem, że powinniśmy oddać im towar bez walki?

- Jeżeli tak myślisz, Riordanie, to znaczy, że mnie w ogóle nie znasz. Tatuś zawsze powtarzał, że jeśli nie możemy wygrać z wrogiem w bezpośredniej walce, to musimy starać się go przechytrzyć.

- Co masz do zaproponowania?

- Proponuję całkowitą zmianę taktyki, zmianę zaskakującą. Piraci spodziewają się, że stawicie zbrojny opór i będziecie walczyć na śmierć i życie. Uważam, że należy użyć „Nieustraszonego” w charakterze przynęty. Niech go sobie ścigają, jeśli chcą. Gdyby się okazało, że napastnicy mają przewagę nad naszą załogą, to powinna zrezygnować z oporu. Powinna się poddać.

- Poddać się? - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. - Tak może mówić tylko kobieta, która nie rozumie znaczenia tego słowa. Teraz wiem, że żartujesz. Ty przecież nie poddałabyś się żadnemu mężczyźnie, Ambrozjo. Walczyłabyś do końca.

- Mylisz się, Riordanie. Może bym się poddała. - Uśmiechnęła się przebiegle. - Gdybym miała wiele do zyskania i nic do stracenia.

- Uważasz, że złoto króla to jest nic?

Zachłysnęła się ze zdziwienia.

- A więc to taki ładunek wiezie „Nieustraszonego”? Złoto dla króla?

- Tak, to prawda. - Zaciśnął rękę w pięść w bezsilnej złości. Ależ bystra z niej dziewczyna. Sprytnie go podprowadziła. Ujawnił sekret, którego przysiągł nie zdradzić nikomu.

- Skoro tak, to nie mamy czasu do stracenia. Nasz plan jest prosty. Trzeba przenieść złoto na „Zew Morza”.

- Zwariowałaś? Ten mały okręcik nie pomieści nawet połowy naszej załogi. A nawet gdyby mógł, nie jest to przecież okręt

wojenny. Nie ma armat ani innego uzbrojenia. Stanie się łatwym łupem.

- Nie rozumiesz mnie, Riordanie. Załoga nie będzie ci potrzebna. Będziesz miał nas. Pomyśl o tym. Czy piraci zwrócą uwagę na mały żaglowiec, na pokładzie którego kilka osób urządza sobie rodzinny piknik? Oni będą ścigać „Nieustraszonego”, przekonani, że w jego ładowniach jest złoto, za zagrabienie którego dostaną sowitą zapłatę.

Umilkła, a on spoglądał na nią ze zdziwieniem.

- Proponujesz użyć „Nieustraszonego” w charakterze wabika? Skinęła głową twierdząco.

Im bardziej zastanawiał się nad tym planem, tym jaśniej widział jego zalety. „Zew Morza”, przy pełnej iluminacji, rzeczywiście wyglądał jak pływający salon. Był to elegancki wycieczkowy żaglowiec, więc wydawało się mało prawdopodobne, by piraci przypuścili atak w tej sytuacji. Niemniej...

- A co z tymi dwiema starymi kobietami na pokładzie? Uważasz, że to uczciwe zabierać je ze sobą pod pretekstem, że urządza na statku rodzinny piknik?

- Czy sądzisz, że byłabym do tego stopnia niełojalna, Riordanie? Postanowiłyśmy z siostrami dopuścić je do tajemnicy, chociaż nie byłyśmy pewne ich reakcji. I nawet sobie nie wyobrażasz, w jakie zdumienie nas wprawiły. Otóż domyślały się, co zamierzamy uczynić. W takiej rodzinie jak nasza trudno utrzymać tajemnicę. Gdy tylko powiedziałyśmy im o naszych planach, natychmiast zgłosiły swoją gotowość.

- Czy rzeczywiście zdają sobie sprawę ze stopnia niebezpieczeństwa?

- Tak jest. Nic ich nie powstrzyma. A teraz co do „Nieustraszonego”...

Skinął głową domyślnie.

- Bez ładunku, który go obciąża, statek może z łatwością

wodziec za nos pirackie okręty przez wiele godzin. Upłyną dni, zanim go dogonią. W razie takiej ewentualności załoga powinna się poddać i pozwolić wejść napastnikom na pokład bez oporu. Dzięki temu uniknie się niepotrzebnych ofiar. Jeżeli rozbójnicy nie znajdą złota, powinni darować im życie, chociaż ryzyko, że postąpią inaczej, zawsze istnieje.

- Ludzie już zgodzili się zaryzykować życie dla ładunku. Jeżeli jest szansa, aby nie zginęli z rąk piratów, uważam, że gra jest warta świeczki.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że taką decyzją przesądzasz los statku twego ojca? Przywłaszczając go sobie, to nie ulega wątpliwości. Możesz już nigdy nie zobaczyć „Nieustraszonego”.

- Myślałam o tym, ale dobro i pieniądze króla Karola są najważniejsze. Jeżeli statek ma być ceną, którą przyjdzie nam zapłacić za uratowanie ładunku, to się na nią zgadzam.

Spolgądał na Ambrozię z podziwem. Była naprawdę godna szacunku. Domyślał się, jaką ciężką walkę musiała ze sobą stoczyć. Kochała „Nieustraszonego”. Kochała nie tylko dlatego, że to statek jej ojca, ale także z tego powodu, iż stanowił dziedzictwo jej i sióstr. Mimo to nie zawahałyby się, gdyby zaszła taka potrzeba, poświęcić go w każdej chwili dla króla i ojczyzny.

- A ty, Riordanie? Czy zechcesz odrzucić swe dotychczasowe uprzedzenia na temat kobiet korsarzy? Czy zechcesz powierzyć nam cenny ładunek?

W ułamku sekundy zrozumiał, że podsunęła mu najlepszą, najprostszą drogę do celu.

- Ambrožio, to wspaniały plan. - Odwrócił się do wyjścia w obawie, że jeżeli zostanie z nią w kajucie chwilę dłużej, to nie zdoła oprzeć się pokusie, tylko porwie ją w ramiona i zacznie całować te kuszące wargi. - Każę załodze przenosić skrzynie.

Po jego wyjściu Ambrožia stała przez moment owładnięta

uczuciem bezmiernej radości. On naprawdę zaakceptował jej pomysł. I na dodatek nazwał go wspaniałym.

A może to tylko sen? Potrząsnęła głową i niechętnie ruszyła się z miejsca. Jeżeli plan się powiedzie, to może pewnego dnia puści w niepamięć tę małą scenę w salonie MaryCastle. Aczkolwiek nigdy jej nie zapomni.

- To już ostatnia skrzynia, kapitanie - zakomunikował Newton, obserwując marynarzy wracających na pokład „Nieustraszonego”.

„Zew Morza” lekko kołysał się na falach tuż przy burcie „Nieustraszonego”. Skrzynie ze złotem umieszczono pod pokładem. Starannie ustawione i przykryte pstrokatymi narzutami z powodzeniem mogły udawać podróżne kufry.

Riordan zaprosił Newtona do swej kajuty i starannie zamknął drzwi.

- Newtonie, co myślisz o młodym Randolphie?

- To świetny żeglarz, kapitanie. Pochodzi ze starej żeglarskiej rodziny. Jego ojciec i dziadek też byli ludźmi morza. Mieli własne okręty, ale piraci im je zrabowali. Chłopak w przyszłości na pewno dorobi się własnego statku. Daję za to głowę. On bardzo dba o „Nieustraszonego”.

- Czy sądzisz, że gdyby został jego kapitanem, też by się z nim dobrze obchodził?

Newton uniósł pytająco brwi do góry.

- Tak, jestem tego pewien.

- Wobec tego przyprowadź go tu do mnie, natychmiast. Muszę z nim porozmawiać.

Stary żeglarz, nie kryjąc zdziwienia, wyszedł z kabiny i po chwili wrócił, prowadząc młodego marynarza.

- Randolphie - zaczął Riordan bez zbędnych wstępów - chcę cię prosić o pomoc.

- Słucham, sir.

- Wyznaczam cię na kapitana „Nieustraszonego”. A teraz usiądź, chłopcze. Musimy omówić kilka spraw.

Newton patrzył i słuchał, a Riordan tymczasem udzielał młodemu człowiekowi wskazówek co do dalszego postępowania. Na koniec dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym Riordan wziął marynarski worek i wstąpił na schodki wiodące na górny pokład.

Newton postępował za nim.

- Co to ma wszystko znaczyć, kapitanie?

Zamiast odpowiedzieć, Riordan uśmiechnął się do niego tajemniczo.

- Newtonie, co sądzisz o tradycji rodzinnych pikników?

- Pikników? - Stary żeglarz podrapał się w głowę. - Muszę przyznać, że nigdy nie bratem udziału w tego typu rozrywkach,

- W porządku. Teraz to sobie odbijesz. Bierz swój worek i chodź, Newtonie.

Załoga przyglądała się ze zdziwieniem, jak Riordan błyskawicznie wylądował na pokładzie „Zewu Morza” wraz ze swym bagażem.

- Skacz, Newtonie! - zawołał do starego żeglarza. - Jesteśmy obecnie członkami rodziny Lambertów. Przynajmniej na czas podróży do Londynu.

Stary żeglarz poszedł za jego przykładem. Ambrozja powitała ich z rękami wspartymi na biodrach i nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Co wam strzeliło do głowy?

- Przyłączamy się do rodziny, marynarzu Lambert - odpowiedział Riordan z szerokim uśmiechem. - Zamierzamy wziąć udział w pikniku na waszym pokładzie.

Ambrozja spostrzegła wesołe ogniki w oczach sióstr, ale sama zachowała srogą minę.

- Na statku jest tylko jedna kajuta i zajmuje ją dziadek. Riordan nie przejął się gniewną miną.
- A gdzie śpisz ty i inne damy?
- W hamakach przyczepionych pod pokładem, w pomieszczeniach dla załogi.
- Newton i ja spędziliśmy wiele nocy w różnych hamakach, na różnych statkach, w różnych częściach świata. Będzie nam wygodnie.

Odwrócił się i pomachał załodze „Nieustraszonego” w chwili, gdy okręty zaczęły oddalać się od siebie. Następnie zwrócił się do starego Lamberta.

- Marynarze Spencer i Findlay meldują się na rozkaz, kapitanie.

Starszy pan rozpromienił się.

- Witajcie na pokładzie. Złóżcie rzeczy i zabierajcie się do roboty.

- Tak jest, kapitanie. - Riordan mrugnął do Newtona i obydwaj znieśli na dół swoje worki. Jeden przy drugim wisiało tam pięć hamaków. Mężczyźni zawiesili swoje legowiska w najbardziej odległym kącie, by zapewnić damom maksimum prywatności. Skrzynie ze złotem stały pośrodku.

Rozglądając się wokół po ciasnym pomieszczeniu, Riordan przyłapał się na tym, że pragnie, aby ich wspólna podróż trwała jak najkrócej. W przeciwnym razie widok śpiącej Ambrozji uczyni jego noce ciągiem nieustającej tortury.

Riordan stał przy sterze, obserwując z przyjemnością, jak statek wdzięcznie pomyka po grzbietach fal. Wybrał nocną wachtę po to, by dać innym możliwość wypoczynku. Spojrzał na gwiazdny baldachim nad głową i, jak zawsze w takich razach, zrozumiał, że dla niego istnieje tylko jeden sposób na życie - żeglowanie.

Pyzaty księżyc wędrował po granatowym niebie. Od czasu do czasu przesłaniały go lekkie, pierzaste chmurki. Gwiazdy wisiały tak nisko, że wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by ich dosięgnąć. Łagodny, lecz w miarę silny wiaterek wdzięcznie wydymał żagle. Czego więcej może człowiek żądać od życia?

Odpowiedź przyszła nieoczekiwanie. Kątem oka dostrzegł, że na pokład weszła Ambrozja. Zatrzymała się przy burcie i wciągnęła głęboko w płuca świeże morskie powietrze. W pewnym momencie odwróciła głowę i napotkała spojrzenie Riordana. Trwali tak przez chwilę wpatrzni w siebie. Niedostrzegalnie chwyciła się barierki. Następnie zrobiła kilka kroków do przodu.

- Jakoś nie mogę zasnąć.

- Znam to uczucie. - Riordan przyglądał się jej uważnie. Jak zwykle już sam jej widok sprawił, że dreszcz podniecenia przebiegł mu po ciele. Była wysoka. Przewyższała wzrostem większość kobiet, a nawet niektórych mężczyzn. Głową dosięgała prawie jego podbródka. Była smukła jak trzcina i miała niezwykle cienką talię, biodra natomiast i piersi kusząco zaokrąglone. Na samą myśl przytulenia do siebie tego gibkiego, młodego ciała oblała go fala gorąca. - To oczekiwanie i niepewność. Nie wiemy, co nas jutro spotka.

- Czy ty też miewasz podobne uczucia?

- Oczywiście. - Skinął twierdząco głową. - Zawsze się tak czuję, od kiedy pierwszy raz stanąłem na pokładzie. To przekleństwo żeglarzy. Gdy raz usłyszysz syreni śpiew morza, nie ma już odwrotu.

- Sądziłam... - Odwróciła wzrok. - Sądziłam, że dlatego nie mogę spać, ponieważ za długo musiałam czekać na spełnienie moich marzeń. Ale kiedy swego czasu zapytałam o to brata, odpowiedział, że on również doznaje podobnych uczuć.

- Często rozmawialiśmy na ten temat z Jamesem. - Riordan trzymał ster pewną ręką. - Obydwaj zgodnie doszliśmy do wniosku, że wolimy raczej umrzeć w młodym wieku, ale na morzu, niż dożywać starości na lądzie.

- Bardzo żałuję... - Urwała i zamknęła oczy.

- Czego żałujesz, Ambrozjo?

Napotkała jego wzrok.

- Tyle czasu hodowałam do Jamesa urazę. Kiedy wracał z ojcem z wyprawy, całymi dniami nie dawałam mu spokoju, tylko kazałam opowiadać sobie o wszystkim, co widział i słyszał. O każdym miejscu, które odwiedził. O każdej nowej potrawie, którą skosztował. Dopiero gdy już opowiedział wszystko, co mnie interesowało, przestawałam go zdręczać. Po czym z kolei rodziła się we mnie pretensja do niego, że on cieszy się wolnością i swobodą podróżowania, a mnie się tego zabrania. Zazdrość do tego stopnia zawładnęła moim sercem, że nigdy nie powiedziałam mu, jak bardzo go kocham i jak bardzo jestem dumna z jego osiągnięć.

- On wiedział o tym, Ambrozjo.

- Skąd ta pewność?

- Stale o was opowiadał. O tobie, Bethany, Darcy. Uwielbiał was. Był z was tak samo dumny jak wy z niego.

- Mówił ci o tym?

- Tak. Setki razy.

Zobaczył, że jej oczy napełniają się łzami. Nie zdążyła na czas odwrócić głowy, by je ukryć. Bezwiednie wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie.

- Nie mogę oprzeć się uczuciu, że to moja zazdrość zabiła Jamesa. A przecież nie chciałam, aby tak się stało. Nie chciałam, aby James zginął; chciałam tylko otrzymać szansę realizacji swoich marzeń. Gdyby to było w mojej mocy, dałabym wszystko, aby mój brat był znowu żywy i zdrowy.

- Cicho już, cicho. - Riordan przycisnął wargi do jej skroni.
- Nie waż się nawet myśleć, że to przez ciebie zginął. Życie już jest takie nieprzewidywalne. Żyjemy. Potem umieramy. Nie znamy czasu ani miejsca naszej śmierci. Wiedz jedno: James umarł, robiąc to, co kochał najbardziej. Ilu mężczyzn mogłoby to o sobie powiedzieć?

Umilkł, a ona ze zdziwieniem podniosła na niego wzrok.

- Nigdy w ten sposób nie pomyślałam. - Pociągnęła nosem i otarła łzy. - Pocieszyłeś mnie, Riordanie. Dziękuję ci za to. Smutno mi, gdy pomyślę, że musiał umrzeć tak młodo. Nie zdążył się ożenić. Nie miał dzieci, które byłyby przedłużeniem jego życia i którym by mógł przekazać nazwisko.

Riordan pomyślał o tym samym. Zwłaszcza teraz, gdy trzymał Ambrozię w ramionach. Żadna kobieta nie wzbudziła w nim tyłu ciepłych uczuć, żadnej nie współczuł do tego stopnia. Kiedy znajdował się blisko niej, przytapywał się na tym, że myśli o sprawach, które dawniej były dla niego jedynie pustym dźwiękiem. Teraz marzyła mu się rola i wiosenny siew. Dom i rodzina. Pracowite i godne życie szlachcica.

Zupełna głupota, wiedział o tym. Urodził się na człowieka morza. Czuł to od samego początku. A jednak przyszedł mu na myśl John Lambert i jego życie. Ojciec Ambroзии umiał pogodzić te dwie pasje. Miał dom z widokiem na chmurne wody Atlantyku. Miał żonę i dzieci oraz szacunek wszystkich mieszkańców Land's End. Tłumy, które wzięły udział w jego pogrzebie, świadczyły najlepiej o autorytecie, jakim się cieszył wśród okolicznej szlachty, chociaż wszyscy wokół wiedzieli, że był przede wszystkim człowiekiem morza, urodzonym żeglarzem i wędrownikiem.

John Lambert był wzorem dla Riordana. Zaczął się zastanawiać, czy i on również nie mógłby ułożyć sobie życia w podobny sposób.

- Przestań rozdrapywać rany i boleć nad tym, czego się nie da odwrócić, Ambrozjo. - Zacisnął rękę na jej ramieniu. - Szanuj pamięć brata i zachowaj w sercu jego obraz jako wspaniałego, szlachetnego człowieka. To wszystko, co mogę ci poradzić.

- Miał tylu przyjaciół. - Podniosła głowę i spojrzała w oczy Riordana. - Przede wszystkim ciebie.

Przyłapał się na tym, że spogląda pożądliwie na jej usta. Wiedział, że powinien powściągnąć pokusę. Ale Ambrozja znajdowała się tak blisko! I tak bardzo jej pragnął!

- Ambrozjo. - Dotknął jej policzka, a ona skwapliwie się przysunęła. Zmrużył oczy, zniżając twarz do jej twarzy. A później wszystkie słowa stały się zbędne, ponieważ zatracił się całkowicie w smakowaniu jej niepokornych, słodkich ust.

Od chwili gdy dotknął ich po raz pierwszy, wiedział, że nigdy nie będzie miał ich dość. Każdy następny pocałunek jedynie wzmagił jego pożądanie, aż w końcu prędeż czy później zapragnie całej reszty. W głowie mu się kręciło, ręce kurczowo ścisnęły ramiona, a wargi żarłocznie wpijały się w jej usta.

Ambrozja nie była w stanie się poruszyć. Nie miała dość silnej woli, by mu się przeciwstawić. Nie ukrywała przed sobą, że łaknie jego pocałunków. Pragnęła ich rozpaczliwie. Pragnęła zmysłowych pieszczot. Rozpływając się w jego objęciach, pomyślała w pewnej chwili, że te pocałunki jakby różniły się od poprzednich. Tamte były rozładowaniem słownych utarczek, wybuchów gniewu, wzajemnych pretensji. Te pocałunki były czulsze, słodsze, pełne uczucia. Mówiły o wzajemnym cierpieniu, o przebaczeniu i wyrozumiałości. O czułości i pragnieniu. O pożądaniu, którego oboje tak długo się wyrzekali.

- Wiesz, że cię pragnę, Ambrozjo? - Ujął w dłonie jej twarz i czułymi pocałunkami zaczął obsypywać skroń, policzki i brodę.

Czyż mogła zdobyć się na jakąkolwiek myśl, gdy pieścił ją tak upojnie?

- A ja pragnę... - Zamknęła oczy. - Och, sama nie wiem, czego pragnę, Riordanie. Nigdy nie czułam się tak jak w tej chwili. Wiem jedno, nie chcę, abyś przerywał to, co właśnie teraz robisz.

Roześmiał się nisko, gardłowo. Śmiech przeszedł w pomruk rozkoszy, gdy otwartymi ustami zaczął wodzić po jej szyi. Muskiał wargami wrażliwe miejsca, czując pod dłonią fale drobniutkich dreszczyków, przebiegających po jej skórze.

Mógłby ją teraz posiąść, skoro tak bardzo tego pragnął. Sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy. Mógł ją mieć. Ale nie miał prawa. Jest taka dobra, taka słodka, taka ufna. A on...

Cóż, jest awanturnikiem, który okrył hańbą swą rodzinę. Wybrał życie pełne podniecających przygód, politycznych spisków i intryg, a nawet, niech Bóg mu wybaczy, skrytobójczych zamachów. Stał się człowiekiem bez korzeni, oderwanym od domu. Ona natomiast to dobrze wychowana, dystygowana młoda dama, osadzona mocno w rodzinie i społeczeństwie.

Gwałtownie uniósł głowę do góry.

- Idź już i spróbuj zasnąć.

- Nie chce mi się odchodzić od ciebie, Riordanie.

Odezwał się głosem ostrzejszym, niż zamierzał.

- Odejdź. Szybko, nim oboje zrobimy coś, czego później będziemy żałować.

Usłyszała naleganie w jego głosie, a w oczach ujrziała niezwykły blask. Były rozplómiowane zmysłową gorączką. Wstrząsnęła się lekko. Czy to dreszcz erotycznego podniecenia? - zastanawiała się. A może tylko obawy?

Podświadomie czuła, że Riordana spala tłumiony żar. Płomień ledwo się tlił, ale podsycony, w każdej chwili mógł buchnąć w górę płomieniem niepohamowanej żądzy. Ekscytowało ją to uczucie, choć równocześnie przejmowało lękiem.

Odeszła od niego z ociąganiem.

- Dobranoc, Riordanie.

Stojąc już na stopniach prowadzących do pomieszczenia pod pokładem, odwróciła się, by raz jeszcze na niego spojrzeć. W rękach znowu trzymał ster. W tych samych rękach, których pieśczoła przesywała jej trzewia dreszczem najwyższej rozkoszy.

Odetchnęła głęboko, nim w końcu zesła pod pokład. Riordan został sam ze swymi myślami, które były tak czarne jak o północy niebo nad Atlantykiem. I równie smutne jak sztormowe chmury zbierające się nad odległym horyzontem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Riordan rozkazał postawić żagle i spojrzął na Ambrozię, właśnie przejęła ster od dziadka. Starszy pan, który chwilowo zastępował wnuczkę, otarł pot z czoła i zasiadł pod płóciennym baldachimem rozpiętym na pokładzie. Pani Coffey i panna Mellon już pod nim siedziały, równie czyste i wyświeżone jak w MaryCastle, i rozkoszowały się morskim powietrzem.

Był piękny letni dzień. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, a lekki wiaterek chłodził twarze. Riordan obliczył, że jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, to za dwa dni przyplyną do Londynu. Jeszcze raz popatrzył na Ambrozię. W stroju marynarza wyglądała prześlicznie. Obracała kołem sterowym z taką gracją i swobodą, jakby urodziła się sternikiem.

- Okręt od lewej burty! - wykrzyknęła Bethany. - Płynię z dużą prędkością.

Ambrozja natychmiast zawołała Newtona i przekazała mu ster. Sama z siostrami zeszła pod pokład.

Riordan przyglądał się nadpływającemu statkowi przez lornetkę. Statek nie odbiegał wielkością od „Zewu Morza” i dorównywał mu elegancją. Odetchnął z ulgą. To nie byli piraci, ale mały wycieczkowy stateczek oznakowany angielską flagą.

Zanim obydwa żaglowce zbliżyły się do siebie na odległość głosu, siostry Lambert pojawiły się na pokładzie. Zdążyły już włożyć wytworne suknie i ozdobić głowy strojnymi czepeczkami. Ambrozja ubrała się na biało, Bethany miała suknię zieloną a Darcy różową.

Pani Coffey pośpiesznie zaczęła przygotowywać lunch. Należało udawać, że zwyczajem wielu rodzin w tej okolicy, Lambertowie urządzili piknik na statku. Winifred Mellon, ubrana w białą suknię z plisowanym dołem, spacerowała po pokładzie, chroniąc się przed słońcem pod białą parasolką.

Siostry pomogły dziadkowi włożyć surdut, po czym zasiadły wokół niego wzorem przykładnych młodych dam.

Riordan pilnował steru, a Newton w tym czasie kazał opuścić żagle. Obydwa statki zmniejszyły szybkość.

Na pokładzie drugiego żaglowca, przy barierce, stali mężczyzna i kobieta. Kobieta przytknęła do ust zwinięte w trąbkę dłonie.

- Ambrozjo, Bethany! Czy to wy?

Ambrozja jęknęła. Poznała ten wysoki, piskliwy głos.

- Wielkie nieba, to największa plotkara w Land's End - Edwina Cannon.

- Co za niespodzianka! - wykrzyknęła Edwina. - Jeżeli pozwolicie, to przejdziemy na wasz pokład z mamą i Silasem.

Ambrozja zmusiła się do uśmiechu.

- Newtonie, pomóż paniom dostać się do nas. - Na boku zaś zauważyła półgłosem: - Mam nadzieję, że powpadają do morza.

- Cicho, Ambrozjo - odezwała się z oburzeniem panna Mellon. - Nie przystoi damie mówić w ten sposób.

- Tak, Winnie, ale jak widzisz, twoje wytworne damy okazały się zupełnie inne, niż myślałaś.

- To prawda. Zupełnie inaczej was sobie wyobrażałam. - Starsza pani krytycznym okiem spojrzała na wychowanice i oceniła ich wygląd. Stwierdziła z ulgą, że ubrały się w suknie stosowne do okazji.

Newton wgramolił się na burtę i złączył liną obydwie statki, by nie oddaliły się od siebie. Następnie podał rękę Edwinie i po-

mógł jej przejść przez barierkę. Później tak samo postąpił z jej matką.

Silas poszedł za ich przykładem; zwinnie przeskoczył poręcz i wylądował na pokładzie „Zewu Morza”. Rozejrzał się bacznie dookoła i zauważył:

- Odpłynęliście dość daleko od domu, panno Lambert.

Ambrozja położyła rękę na ramieniu Geoffreya i odparła ze spokojem:

- Dziadek tęskni za morzem. Ilekroć to jest możliwe, staramy się go zabierać na wycieczki. Zwłaszcza gdy jest taka piękna pogoda jak dziś.

- To prawda. Dzień jest rzeczywiście prześliczny. - Silas odwrócił się do Riordana, stojącego przy sterze.

- A co pan tutaj porabia? Słyszałem, że został pan kapitanem „Nieustraszonego”.

- Słyszał pan?

- Tak. Powiedziano mi, że statek przybił wczoraj do portu, ale niedługo w nim zabawił. Po kilku godzinach odpłynął w niewiadomym kierunku. Myślałem, że znajduje się pan na jego pokładzie.

- Jak widać, został pan mylnie poinformowany - odpowiedział Riordan z przyklepionym do twarzy uśmiechem. - Widocznie ma pan złych informatorów.

Silas ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Marynarze lubią sobie pogadać, zwłaszcza gdy zbiorą się w tawernie nad kuflem piwa.

- Racja. - Zamiast tłumaczyć się przed Silasem, Riordan postanowił zmienić taktykę i sam zacząć pytać.

- A co pan robi na tych wodach?

Edwina położyła rękę na ramieniu narzeczonego zaborczym gestem.

- Lord Fenwick zabiera mnie i mamę do Londynu. -

Z uśmiechem zajrzała mu w oczy. - Mama z początku nie chciała słyszeć o podróży, uważając, że morze jest bardzo niebezpiecznie. Kiedy jednak Silas zapewnił ją, że nic nam nie grozi, bo jego nikt nie odważy się zaczepić, zgodziła się, tym bardziej że Silas obiecał nam audiencję u króla. Bądź co bądź niewielu mieszkańców Kornwalii może dostąpić takiego zaszczytu jak wizyta na dworze króla Karola.

- Czy mowa o śpiewaniu? - Geoffrey Lambert pochylił się, przykładając do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę. - To świetny pomysł, panienko. Zaśpiewaj nam coś.

- Mówimy o królu. Chcę zobaczyć króla.

- Pierścionek? - Starszy pan pochwycił ją za rękę i zmarszczył brwi, oglądając jej palce. - Nie widzę żadnego pierścionka.

Wyrwała dłoń i odwróciła się do matki, wznosząc oczy do góry. Obydwie odeszły z minami, które wyraźnie świadczyły o tym, iż uważają, że stary kapitan jest niespełna rozumu.

Lambert senior uśmiechnął się i przymknął oczy.

Edwina zwróciła się do Ambrozji i jej sióstr.

- Jaka szkoda, że nie możecie popłynąć z nami do Londynu. Silas jest w stolicy ważną osobistością. Mówi, że często widuje króla. Przyznał się nam nawet, iż spodziewa się otrzymać wkrótce stanowisko w radzie królewskiej. - Westchnęła. - No dobrze. Opowiem wam o tym, kiedy się zobaczymy następnym razem.

- Nie wątpię, że o tym nie zapomnisz. - Ambrozja napełniała filiżanki. - Herbaty? Edwino? Pani Cannon?

Obydwie kobiety wzięły filiżanki do rąk. Poczęstowały się też biskwitami posmarowanymi owocową konfiturą.

- Herbaty? Lordzie Fenwick? A może woli pan piwo?

- Poproszę piwo. - Wziął kufel, celowo przy tej okazji przytrzymując palce Ambrozji. Wzdrygnęła się ze wstrętem. Silas uśmiechnął się z zadowoleniem. A więc ta rzekomo nieustra-

szona Ambrozja Lambert wcale nie jest taka, za jaką uchodzi. Są pewne rzeczy, które ją drażnią. Dobrze o tym wiedzieć. Silas wciąż pamiętał, jak Ambrozja go potraktowała, gdy się poznali - wręcz go zbyła.

Nalała drugi kufel Riordanowi, który przekazał ster Newtonowi. Stary żeglarz ujął go pewną ręką. Obydwa żaglowce kołysały się łagodnie na spokojnych wodach oceanu.

Popijając piwo, Silas uważnie przyglądał się Riordanowi.

- Nie mogę uwierzyć, że oddał pan „Nieustraszonego” w obce ręce. Zwłaszcza w tak niepewnych czasach jak obecne.

- Zakłada pan zatem, że mieszkańcy Land's End mają rację, twierdząc, że „Nieustraszonego” rzeczywiście opuścił port?

- Przepływaliśmy obok zatoki, gdzie zwykle „Nieustraszonego” stoi na kotwicy. Nie było go tam.

Zatem lord Fenwick zadał sobie trud przekonania się własne oczy, czy mieszkańcy Land's End nie pomylili się, twierdząc, że „Nieustraszonego” wypłynął z portu. Myśl o tym przejęła Riordana niepokojem. Uświadomił sobie, że na statku Silasa znajduje się więcej marynarzy niż to konieczne.

- Ma pan na pokładzie liczną załogę jak na tak krótki rejs. Silas uśmiechnął się.

- Proszę nie mówić, że nie słyszał pan o piratach grasujących w okolicy.

- Rzeczywiście, słyszałem. - Riordan odwzajemnił uśmiech.

- Wątpię jednak, żeby piratów interesowały takie małe żaglowce jak nasze. Nie mamy nic, co by mogło wzbudzić ich chciwość.

Słowa Riordana obudziły czujność Silasa. Zamilkł i przez chwilę rozglądał się po pokładzie, jak gdyby po raz pierwszy w życiu widział „Zew Morza”. Szybko wypił piwo, po czym zwrócił się do Ambrozji i jej sióstr:

- Czy pozwolą panie, abym się rozejrzał? „Zew Morza” wydaje mi się bardzo udaną konstrukcją.

- Bardzo proszę. - Ambrozja uśmiechnęła się i poczęstowała go biskwitem. - Może najpierw coś pan przekaże, lordzie Fenwick?

- Dziękuję. Piwo wystarczy. - Przespacerował się po pokładzie, przyglądając się takielunkowi. Następnie wszedł do dolnych pomieszczeń.

Ambrozja spojrzała z przerażeniem na Riordana, który szybko odstawił na bok kufel i ruszył za Silasem.

Riordan widział, jak Silas wszedł do kapitańskiej kajuty i rozejrzał się po niej uważnie. Następnie zamknął drzwi i skierował się do pomieszczeń dla załogi.

- Szuka pan czegoś szczególnego, lordzie Fenwick?

Silas odwrócił się gwałtownie.

- Zastanawiam się, ile osób bez poczucia nieprzyjemnej ciasnoty może pomieścić się na takim małym statku.

- Jest nam tu równie wygodnie, jak wam na „Morskim Diable”. Kajutę kapitańską zajmuje Geoffrey Lambert. Jak widać, jest tu wystarczająco dużo miejsca dla nas wszystkich.

Silas zauważył pięć hamaków z jednej strony kajuty i dwa po drugiej.

Uwagę jego zwróciły przyrzucone narzutami skrzynie.

- A to co takiego?

- Kufry - odpowiedział Riordan, podchodząc do pierwszej skrzyni, nim Silas zdążył podnieść przykrycie. - Rozumie pan, co to znaczy mieć pięć kobiet na pokładzie. - Uśmiechnął się wyrozumiale i porozumiewawczo mrugnął okiem. - Nie mam pojęcia, ile kufrow Edwina i jej matka zabrały na wycieczkę do Londynu, ale założę się, że panny Lambert i ich starsze towarzyski zapakowały na ten piknik przynajmniej połowę posiadanej przez siebie garderoby.

- Kufry, powiada pan? Ależ one są za duże na... - Silas próbował odsunąć Riordana na bok.

W tym momencie usłyszeli odgłos szybkich kroków na schodach.

W drzwiach pojawiła się Ambrozja. Zatrzymała się w progu. Riordan otworzył szeroko oczy, widząc błyszczący przedmiot u jej talii. To sztylet wysunął się jej zza paska, ukazując śmieronocionośne ostrze.

Zakaszła ostrzegawczo. Stropiona Ambrozja spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Spojrzeniem wskazał na jej pasek. Początkowo nie mogła zrozumieć, co chce jej nim przekazać, ale szybko się domyśliła. Skrzyżowała ręce na brzuchu, kryjąc w ten sposób rękojeść sztyletu.

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Fenwick - mówiła głosem zadyszczanym z przejęcia. Zbiegła co sił w nogach, omal przewracając się po drodze z pośpiechu. - Przypomniało mi się, że siostry i ja zostawiłyśmy na wierzchu w naszych hamakach niektóre części nocnej garderoby.

Przeszła od hamaka do hamaka, modląc się w duchu, aby znaleźć jakiś dowód na poparcie swoich słów. Szczęście jej sprzyjało - natknęła się na miękką tkaninę. Podniosła przedmiot do góry. Była to cieniutka koszulka haftowana w delikatny wzorek.

- Tego się właśnie obawiałam - oznajmiło głośno. - Panna Mellon zemdłałaby ze wstydu, gdyby się o tym dowiedziała. Ona uważa, że takie rzeczy kompromitują przyzwoite kobiety i świadczą o braku godności.

Policzyła w myślach do dziesięciu, by obydwaj mężczyźni mogli sobie dokładnie obejrzeć koszulę, po czym schowała rękę z bielizną za plecy i przesunęła się tyłem do jednej z przykrytych narzutami skrzyń.

Riordan i Silas obserwowali, jak podnosi przykrycie i wsuwa pod nie koszulę. Wstydliwie odwróciła wzrok, unikając starannie spojrzeń mężczyzn. Postarała się nawet zarumienić. Zwracając się zaś do Silasa, powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie osądzi pan zbyt surowo nieporządku w naszych hamakach, lordzie Fenwick?

- Naturalnie, że nie. - Silas przyglądał się jej uważnie. Widział krwisty rumieniec, który oblał jej policzki, oraz wysiłki, jakie czyniła, by nie napotkać jego spojrzenia. Może rzeczywiście jest taka skromna albo, jak podejrzewał, ma coś do ukrycia.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lambert. Obawiam się, że naruszyłem prywatność szanownych pań. Nie będę wam dłużej narzucał swego towarzystwa. - Ruszył do wyjścia.

Gdy Riordan odwrócił się, aby pójść za nim, zobaczył błysk satysfakcji w ciemnych oczach Ambrozji. Uśmiechnął się z przymusem, choć ogarnęły go złe przeczucia, i mrugnawszy porozumiewawczo do Ambrozji, wspiął się za Silasem na pokład.

Bethany i Darcy z dobrze udawanym zainteresowaniem słuchały, jak ich sąsiadki z Land's End opowiadają o małżeńskich planach Edwiny. Dla pani Coffey i panny Mellon była to jednak prawdziwa uczta. Starwały się nie uronić ani jednego słowa. Geoffrey Lambert drzemał, a Newton pilnował steru.

Silas pośpiesznym krokiem przeszedł przez podkład i zatrzymał się przy grupce kobiet.

- Edwino, pani Cannon. Czas na nas.

Ujął rękę Bethany, a potem Darcy, całując szarmancko koniuszki palców każdej z nich.

- Dziękuję paniom za uroczo spędzony czas.

- Cała przyjemność po naszej stronie, lordzie Fenwick.

Darcy, uśmiechając się z przymusem, uściśnęła Edwinę na pożegnanie.

- Mam nadzieję, że uda się wam uzyskać audiencję u króla.

Edwina zachichotała. Silas podprowadził ją do barierki. Tam zatrzymał się i potrzęsnał ręką Riordana, a następnie podniósł dłoń Ambrozji do ust.

Tym razem także przytrzymał ją dłużej, niż należało. Z napięciem czekał na jej reakcję. Z satysfakcją stwierdził, że podobnie jak poprzednim razem, wzdrygnęła się pod jego dotknięciem. Doszedł do przekonania, że wie już teraz, w jaki sposób wyprowadzić ją z równowagi. Miał zamiar w przyszłości jeszcze wielokrotnie powtórzyć te próby.

- Mam nadzieję ujrzeć panie znowu, kiedy wrócimy do Kornwalii, panno Lambert.

- Ja również, lordzie Fenwick. - Wyrwała pośpiesznie rękę.

- Panno Lambert...

- Słucham?

- Może być pani pewna mojej dyskrecji. Nie powiem nikomu, że zostawiła pani na widoku... intymny szczegół garderoby.

- Dziękuję, lordzie Fenwick. Doceniam pańską dobrą wolę.

Silas uniósł Edwinę i pomógł jej przejść przez barierkę, a następnie to samo uczynił z jej matką. Na koniec zręcznym ruchem sam przeskoczył przez poręcz i dołączył do swoich towarzyszek.

Po chwili zwolnione z uwięzi statki zaczęły się od siebie stopniowo oddalać. Trzy siostry stały na pokładzie i machały rękami na pożegnanie.

- Do widzenia - wołała wesoło Ambrozja. - Szczęśliwej podróży.

Kiedy żaglowce znalazły się w takiej odległości, że nie było słychać głosów, Riordan odwrócił się do Ambrozji.

- Dobra robota. Wykazałaś tam, na dole, błyskawiczny refleks.

Uśmiechnęła się.

- Słyszałam, jak mówiłeś, że pod narzutami są nasze kufrы. Rada jestem, że udało mi się znaleźć koszulę. Ubierałyśmy się w pośpiechu, kiedy ujrzeliśmy ich statek. Byłam pewna, że coś musiało zostać na wierzchu.

Riordan spojrział na nią przeciągle.

- Jesteś bardzo bystrą kobietą, Ambrozjo. Sprawdzasz się zwłaszcza w trudnych sytuacjach. To nie powinno mnie dziwić. Pochodzisz z rodziny odznaczającej się wybitną inteligencją.

Spojrzał na Geoffreya Lamberta. Starszy pan już nie spał.

- Okropnie nudne baby - zauważył, zwracając się do wnuczek. - Pod tymi ozdobnymi nakryciami głowy nie mają nic prócz włosów.

- Kapitanie Lambert - odezwała się pani Coffey z naganą w głosie - jestem do najwyższego stopnia zgorazona pańską uwagą. Nie należy wypowiadać się w ten sposób o dwóch najważniejszych obywatelkach Land's End.

- Niepotrzebne wymówki - wymruczał w odpowiedzi Lambert senior.

- Czy to cię właśnie uspiło, dziadku? Ich nudna paplanina? - zapytała głośno Ambrozja.

Uśmiechnął się do niej filuternie.

- Nie spałem, dziecko. To tylko sposób na niebranie udziału w ich nużącej gadaninie.

Riordan odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się głośno. Do licha! Cóż to za zadziwiająca rodzina. Gotów był się założyć, że starszy pan nie cierpi na głuchotę, a tylko udaje, że niedosłyszany. W gruncie rzeczy przynajmniej do pewnego stopnia kontroluje sytuację.

Widząc jednakże, jak „Diabeł Morski” zmienia kierunek, poważnie się zaniepokoił. Nie mógł pozbyć się uczucia, że ich sprytny manewr nie zdołał zwieść Silasa Fenwicka. Jeżeli jego podejrzania potwierdzą się, to niewykluczone, że piknik może mieć całkiem niewesoły koniec.

Na pokładzie „Diabła Morskiego” Silas Fenwick rozkazał kapitanowi swego statku:

- Zmieniamy kurs, kapitanie Barrow. Proszę się kierować do portu Cairn.

Edwina i jej matka spojrzały na niego ze zdziwieniem.

- Ależ milordzie, czy chce pan narazić nas na niebezpieczeństwo? Słyszałam, że w Cairn roi się od piratów.

Silas uśmiechnął się.

- Też o tym słyszałem. Zapewniam, że nie ma powodu do obaw, pani Cannon. Dopóty, dopóki znajdują się panie w moim towarzystwie, nic paniom nie grozi. To ciekawe miejsce. Interesujące uzupełnienie podróży do Londynu. Warto skorzystać z okazji i przejść się po mieście, a nawet wypić piwo w jednej z ulubionych tawern piratów. - Zwrócił się do Edwiny: - Podo-
doba ci się ten pomysł, kochanie, prawda?

Edwina spojrzała w jego ciemne zagadkowe oczy i posłała mu jeden ze swych najbardziej zalotnych uśmiechów.

- Nie mogę doczekać się chwili, kiedy wrócę do Land's End i opowiem przyjaciółkom, że odwiedziłam miasto będące siedziskiem piratów. Chodź, mamó. Włożymy nasze najładniejsze czepce. Musimy wziąć również parasolki na spacer po mieście. Słyszałaś, co powiedział lord Fenwick. W jego towarzystwie jesteśmy całkowicie bezpieczne.

Odeszły. Z chwilą gdy zniknęły mu z oczu, uśmiech zgasł na twarzy Silasa. Jego oczy pociemniały od tłumionego gniewu.

- Tak jest - mruknął. - Jesteście bezpieczne. Ale nie mogę powiedzieć tego samego o pewnej rodzinie, która sądzi, że mnie wywiodła w pole. Ci głupcy drogo zapłacą za oszustwo.

Ambrozja przewracała się w hamaku, świadoma obecności męzczyzny, który spał w pobliżu. Nawet świeże morskie powietrze i rytmiczny chłupot fali uderzających o kadłub nie były w stanie ukołysać jej do snu.

Czując, że nie zmruży oka, naciągnęła na ramiona koc i wspięła się na pokład.

Newton stał przy sterze, spozierając w ciemność. Nie odwracając głowy, zapytał:

- Nie może panienka zasnąć?
- Po czym poznałeś, że to ja, Newtonie?
- Po chodzie. Panienka stapa cicho jak kot. Co się dzieje?

Powinna panienka wypocząć przed jutrzejszym dniem.

- Nie mogę, Newtonie. - Przeszła się po pokładzie. To przeciągnęła ręką wzdłuż barierki, to przystanąła na chwilę, by złapać się masztu, aż na koniec westchnęła niecierpliwie. Odwróciła się do Newtona i zapytała bez ogródek.

- Co myślisz o Riordanie?

A więc o to chodzi. Powinien się tego domyśleć. Zakochała się po raz pierwszy. Przynajmniej zrobiła dobry wybór.

Stary żeglarz nie od razu odpowiedział.

- Jest wybuchowy. Nie znosi głupoty. Mało mówi. Odzywa się tylko wtedy, gdy ma coś do powiedzenia. Ale jest solidnym i honorowym człowiekiem. Gdyby przyszło mi stawić czoło atakowi piratów, chciałbym go mieć przy sobie.

Newton zamilkł na chwilę, po czym odwrócił się i spojrzał Ambrozji prosto w oczy.

- Riordan Spencer jest mężczyzną, który nigdy nie będzie zwodził i kluczył, tylko wybierze prostą drogę, nawet jeżeli wiedzie ona przez rafy i mielizny.

Wiedziała, że Newton nie mówi o żeglowaniu. On po prostu użył przenośni. Oceniał Riordana jako człowieka. Była to wysoka ocena. Wzruszona prawością wiernego przyjaciela, skinęła głową i odeszła zamyślona.

Stary żeglarz spoglądał za nią, gdy zasiadła przy barierce, aby popatrzeć na gwiazdy. Cofnął się myślą do czasów, kiedy również był młody, nieśmiały i szaleńczo zakochany. Dawno,

dawno temu. Przypomniała mu się dziewczyna o włosach jasnym jak promień słońca i oczach przejrzystych jak światło księżyca. Opłynął już wtedy cały świat i przeżył wiele krwawych bitew i straszliwych sztormów. Niejednokrotnie atakowały go ludożercze rekiny. Ale Newton przed niczym i nikim nie czuł takiego respektu jak przed tą młodą kobietą, która jedyna załadnęła jego sercem. Po pewnym czasie porzuciła Newtona, który sądził, że już nigdy nie wyleczy się z zadanych mu ran.

Miłość ma w sobie straszną moc, jednocześnie niszcycielską i gojącą. Miłość może ranić, ale może również leczyć. Miał nadzieję, że tych dwoje młodych, wspaniałych ludzi mądrze posłuży się jej magiczną siłą.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Było już po północy, gdy Riordan przyszedł na pokład, aby przejąć ster.

- Wszystko w porządku? - zwrócił się do Newtona przyciszonym głosem.

- Na razie ani śladu piratów, kapitanie. Coś mi się wydaje, że mimo to nie zabraknie panu kłopotów. - Stary żeglarz spojrzał wymownie na majaczącą w mroku postać Ambrozji. Siedziała przy barierce ze wzrokiem utkwionym w okrągłą tarczę księżyca.

Usłyszał, jak Riordan zaklął z cicha.

- Dobranoc, kapitanie. - Newton z uśmiechem odszedł od steru i zniknął w otworze wiodącym pod pokład.

Riordan przyglądał się Ambrozji. Przypominała piękny obraz, który kiedyś oglądał w paryskim muzeum. Jej oczy, czarne i przepastne, z głęboką zadumą spoglądały na morze osrebrzone zimnym blaskiem księżyca.

Noc była cicha i spokojna. Najmniejszy wiaterek nie marszczył powierzchni wody. Statek unosił się na niej bezszelestnie jak widmo, popychany silnym podwodnym prądem.

Nie musiał trzymać steru, ale mimo to chwycił go mocniej, gdy dostrzegł, że Ambrozja podnosi się z miejsca.

Owinęła się szelkiewką i powoli zmierzała w stronę Riordana. Poruszała się z gracją, wdzięcznie kołysząc biodrami. Na ten widok poczuł suchość w ustach. Ambrozja podchodziła coraz bliżej. Mgła pełgająca po pokładzie owijała się wokół jej nóg, czyniąc z niej prawie niezemskie zjawisko.

Wyglądała tej nocy inaczej niż zazwyczaj, chociaż nie potrafił określić, na czym polegała różnica. Może chodziło o sposób, w jaki się poruszała. A może o spojrzenie - pełne ciepła i czułości - jakiego dawniej u niej nie widział.

- Riordanie. - Zatrzymała się przed nim. Koc opadł na pokład u ich stóp. Miała na sobie białą suknię, w której chodziła w ciągu dnia.

Wygląda jak panna młoda, pomyślał. Jak piękna dziewczica w dzień ślubu.

- Powinnaś już dawno spać - odezwał się, z trudem panując nad namiętnością wyzwoloną bliskością Ambrozji.

- Nie mogłam zasnąć. - Położyła dłoń na jego ręce, zaciśniętej na sterze.

Zmysłowy dreszcz przebiegł po krzyżu Riordana.

- Dobrze wiesz, z jakiego powodu - dodała po chwili.

- Myślisz o tym, co nas spotka, gdy przyplniemy do Londynu? - zapytał niedbale.

- Jeżeli tak sądzisz, to jesteś głupcem, Riordanie Spencer. A ja dobrze wiem, że nim nie jesteś. - Zajrzała mu w oczy. - To przez ciebie nie mogę spać.

- Nie przejmuj się. Kiedy ta podróż się skończy, zrobię wszystko, by jak najszybciej usunąć ci się z drogi.

- Nie chcę, żebyś się usuwał. - Przesunęła rękami w górę, wzdłuż jego ramion, jednocześnie mocno się przytulając. - Pocałuj mnie, Riordanie.

- Nie sądzę, aby to było rozsądne.

- Nie chcę być rozsądna. Chcę być szalona. Pocałuj mnie.

Położył rękę na jej ramieniu, aby trzymać ją na odpowiedni dystans, ale od razu zrozumiał, że postąpił niewłaściwie. Ogarnęła go nieprzewartą pokusa, aby wziąć ją w ramiona i obsypać pocałunkami. Musiał stoczyć ze sobą prawdziwą walkę, aby się opanować.

- Tobie się wydaje, że wystarczy tylko kiwnąć palcem i rozkazać, a natychmiast otrzymasz to, czego pragniesz. Będziesz się mną bawić dopóty, dopóki cię to nie znudzi lub nie obleci strach. Wtedy odprawisz mnie jak niegrzecznego chłopczyka.

Ogarnęło ją zniechęcenie. Dlaczego on jest takim trudnym człowiekiem? Była gotowa rzucić mu się w objęcia i pozwolić rozkoszować się dowolnie jej ustami. A on ją odtrącił.

- Nie chcę chłopczyka. Chcę mężczyzny. Chcę ciebie.

Zacisnął mocniej ręce na jej ramionach.

- Słyszę, co mówisz. Ty chcesz. Otóż to, chcesz. A co z moimi pragnieniami? Czy pomyślałaś o tym, Ambrozjo? A może to tylko zabawa z twojej strony?

Odsunęła się na tyle, by mógł spojrzeć jej w twarz.

- To nie jest żadna gra, Riordanie. Myślałam na ten temat bardzo dużo.

Tak jak i on. Od momentu gdy ją ujrzał po raz pierwszy. W końcu doszedł do wniosku, że nie zasługuje na taką kobietę. Jej pocałunki są zbyt niewinne. Jej serce zbyt czyste. Nie miał prawa psuć jej opinii dla własnej przyjemności. Wbrew własnym marzeniom i uczuciom postanowił zrezygnować z Ambrozji.

- Przecież pragniesz mnie, Riordanie. Przyznaj się.

W dalszym ciągu trzymał ją od siebie na odległość ramienia, aczkolwiek przychodziło mu to z coraz większą trudnością.

- Owszem. Do tego mogę się przyznać. Ale ty bierzesz za miłość pierwsze porwy kobiecego serca.

Uśmiechnęła się.

- Ach tak. - Niespodziewanie schwyciła jego rękę i przycisnęła do piersi. - Posłuchaj jak bije moje serce, kiedy jesteś obok.

Pożądanie wzięło go we władanie ledwie dotknął jej piersi. Oderwał od niej rękę jak oparzony. Było już jednak za późno. Namiętność, tak długo tłumiona, domagała się teraz ujścia.

- To nie jest miłość, Ambrozjo. - Musiał zadać kłam własnym uczuciom. Gdyby się do nich przyznał, mogłaby z nim zrobić, co by tylko chciała.

- Zatem co to jest?

Wciągnął powietrze w płuca.

- To zwykłe pożądanie. W najczystszej formie.

Strzał okazał się celny. Na twarzy Ambrozji odmalowały się zawód i ból. Riordana ogarnęły wyrzuty sumienia, ale zrobił to przecież dla jej dobra. Tylko przez wzgląd na nią zdobył się na te okrutne słowa.

- Gdyby to była miłość, nie grano by w nią jak w szachy, obliczając naprzód każdy krok. Miłość nie może być przedmiotem rozważań. Nie daje się zaplanować. Ani wymyślić czy zorganizować. Prawdziwa miłość jest pozbawiona sensu. Bywa, że przeszkadza. W istocie jest czasami niewygodna, nie na rękę. A teraz... - Znowu odetchnął głęboko. Był zdecydowany położyć kres tej rozmowie i ostatecznie zniechęcić Ambrozię, jeżeli nie ma innego wyjścia. - Powinnaś udać się na spoczynek. Jutro czeka nas ciężki dzień. Nie ma czasu na niedorzeczności.

- Niedorzeczności? - Wstrząsnęła się, jakby ją spoliczkował. Odstąpiła krok, zaglądając mu w oczy.

- Tak jest, niedorzeczności! A teraz idź spać. - Odwrócił wzrok, spoglądając w ciemność przed sobą. Kątem oka zauważył, że Ambrozja schyla się i podnosi z podłogi koc. Usłyszał odgłos kroków, gdy przechodziła przez pokład. Potem słyszał już wyłącznie ciche chlupotanie wody o kadłub oraz od czasu do czasu samotny krzyk morskiego ptaka.

Wiedział, że postąpił jak człowiek honoru, niemniej nigdy w życiu nie czuł się równie podle.

Podtrzymując koc na ramionach, Ambrozja ruszyła w kierunku schodów. Nim zeszła w dół, odwróciła głowę, aby po raz

ostatni spojrzeć na mężczyznę, który przed chwilą obszedł się z nią tak okrutnie.

Odrzącił ją. Odrzącił jej miłość. Na dodatek poniżył i splugawił jej uczucie, sprowadzając je do zwykłego fizycznego pociągu. Chętnie by go za to znienawidziła. Ale nawet teraz, nawet po tym, jak ją brutalnie potraktował, nie mogła wyrzeszać z siebie nienawiści. Nie potrafiła. Pokochała Riordana Spencera.

Spoglądała na jego wyrazisty męski profil, gdy Riordan czujnie penetrował ciemny horyzont. Może odniosła tylko chwilowe wrażenie, ale wyglądał na bardziej nieszczęśliwego niż ona sama. Powinna czuć z tego powodu co najmniej gorzką satysfakcję. A nie czuła nawet tego. Gdy go obserwowała, niespodziewanie odsłoniła jej się cała prawda o nim.

Teraz, kiedy sądził, że nikt go nie widzi, mógł zrzucić maskę. Jego twarz odzwierciedlała prawdziwe uczucia. Nie było na niej samozadowolenia, była jedynie bezbrzeżna, niekłamana rozpacz.

Skoro tak, to znaczy, że jego słowa i postępowanie nie były szczerze, że myślał i czuł co innego. Czyżby udawał, ponieważ sądził, że tak będzie lepiej, że czyni to dla jej dobra?

To oczywiste. Zrobił to dla niej. Zrobił tak, bo ją naprawdę kocha.

Westchnęła głęboko i ponownie skierowała się w jego stronę. Serce waliło jej jak młotem. Była gotowa zaryzykować wszystko, nawet ponowne odrzucenie, byle uratować ich miłość.

Przecież zawsze marzyła o prawdziwych wyzwaniach. Teraz nadszedł czas próby. Czy zdoła jej sprostać?

- Riordanie... - Dotknęła lekko jego ramienia.

Wstrząsnął się, po czym zrobił krok do tyłu, przyciskając ramiona do boków.

- Ambrozja... Przecież kazałem ci iść spać.

- To prawda. Tak: jak niegrzecznemu dziecku. Ale ja nie je-

stem dzieckiem, Riordanie. Gdyby ten fakt uszedł twojej uwagi, to przyjmij do wiadomości to, co teraz ci powiem -jestem kobietą.

- Musiałbym być ślepcem, żeby tego nie zauważyć.

- Cieszę się, że to przyznajesz. - Uśmiechnęła się i położyła na jego ramieniu drugą rękę. - Jestem kobietą, Riordanie. Kobieta, która pragnie, aby ją przytulono, całowano.

- Wybrałaś niewłaściwego mężczyznę - próbował się bronić, chociaż ogarnęła go silna namiętność.

- Mylisz się. Jesteś właściwym mężczyzną, Riordanie. Powiedziałaś, że miłość jest niewygodna. To przypuszczalnie jedyne prawdziwe słowo, które padło z twych ust dzisiejszej nocy.

- Zarzucasz mi kłamstwo?

- Tak jest. Przypuszczam, że kierowały tobą szlachetne pobudki. Chciałeś mnie oszczędzić; po prostu uznałeś, że tak będzie dla mnie lepiej. Tymczasem jest gorzej. Jestem dorosła i potrafię ocenić, czego pragnę i jakie uczucia żywię. - Objęła go za szyję i przytuliła się z całej siły. - Pocałuj mnie, Riordanie.

Zamierzał ją odsunąć, ale gdy jej dotknął, poczuł, że jest stracony. Mimo to jeszcze raz spróbował:

- Pamiętaj, że mogę cię zranić.

- Jeżeli nawet, to taki jest mój wybór. A ty? Czy chcesz tego? Czy mnie pragniesz?

Nic nie odpowiedział, tylko zanurzył dłonie w jej włosach. Odciągnął do tyłu głowę Ambrozji. Przyglądał się uporczywie jej twarzy. Jego oczy płonęły gorączką pożądania.

- Pragnę cię bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Zapraгнаłem cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem.

- Sądzisz, że nie jesteśmy dla siebie odpowiedni?

- Czy jesteśmy odpowiedni? Jesteś dla mnie aż za bardzo odpowiednia, do tego stopnia, że mnie to przeraża. Ty jednak nie

zrobiłaś dobrego wyboru, Ambrozjo. Jest wielu mężczyzn, którzy zdecydowanie bardziej by do ciebie pasowali.

- Nie chcę innych mężczyzn, Riordanie. Chcę ciebie.

- A ja, Boże zmiłuj się nade mną, pragnę tylko i wyłącznie ciebie. - Następne słowa zmały nieco jej zwycięski uśmiech.

- Muszę cię jednak uprzedzić, Ambrozjo, co do jednej rzeczy. Nie potrafię być czułym kochankiem, a tylko na takiego zasługujesz. Mnie nie wystarczą same pocałunki lub kilka tkliwych, wypowiedzianych szeptem słówek. Jeżeli nie odejdziesz z tego miejsca, nie odpowiadam za siebie. Mówiąc bez osłonek, wezmę cię. Czy zgadzasz się na to?

Chwyliła go za przód koszuli i przyciągnęła do siebie.

- Pocałuj mnie, Riordanie. Dotykaj mnie, zanim umrę z pragnienia.

Jego rozpalone wargi spadły na jej usta z zaborczą zachłannością. Pomiedzy namiętnymi pocałunkami wyszeptał:

- Czy wiesz, ile długich samotnych nocy marzyłem o tobie? O takiej chwili jak ta?

- Mów tak dalej. Potrzebuję takich słów.

- Jest ich za wiele. Wyobrażałem nas sobie w takiej sytuacji i jak będę cię kochać.

- Pokaż mi to, Riordanie. Naucz mnie.

Słowa nie były już więcej potrzebne. Całował ją tak żarliwie i namiętnie, że wkrótce oboje zaczęli chwytać powietrze otwartymi ustami, jak ryby wyrzucone na brzeg. Rozkoszował się jej wargami i wciąż nie miał ich dość. Zachowywał się jak człowiek usychający z pragnienia, któremu nagle podsunęto pod usta dzban czystej, źródlanej wody. Nie zamykał oczu; przez cały czas śledził uczucia malujące się na wyrazistej twarzy Ambrozji. Jej skóra zaróżowiła się od pulsującej gorączkowo krwi. Rzęsy zatrzepotały, a powieki opadły na oczy, gdy pogłębił pocałunek.

Po jakimś czasie podniósł głowę, ale jedynie po to, by znowu ją zniżyć i gradem pocałunków obsypać szyję, aż do zagłębienia między obojczykami. Równocześnie przesuwając rękami wzdłuż pleców Ambrozji. Ta pieśczoć wywoływała w jej ciele nieznanne, cudowne doznania. Nie mogła powstrzymać westchnienia rozkoszy, gdy jego palce, wędrujące w górę, wzdłuż boków, dotknęły stromych pagórków piersi. Wzmocnił pocałunek, gasząc na jej ustach spazmatyczny okrzyk, kiedy poczuła na stwardniałych sutkach jego szorstkie od pracy kciuki. Miała uczucie, że za chwilę zemdleje.

- Riordanie. - Przyłgnęła do niego, wciągając głęboko powietrze w płuca.

- Boisz się?

Widziała jego oczy błyszczące w blasku księżyca.

- Naturalnie, że nie.

- Kłamczucha. - Przycisnął ją mocniej i nim zdołała zaprotestować, przyłgnął ustami do jej piersi. Suknia nie stanowiła dla niego przeszkody. Pieścił i ssał jej sutki przez materiał, aż Ambrozji wydało się, że oszaleje z pożądania.

Uniósł gwałtownie głowę. Zanim uświadomiła sobie, co to znaczy, chwycił za suknię i zdarł ją z niej jednym ruchem, rzucając na podłogę przy stopach. Rozwiązując troczki koszuli, wpatrywał się uparcie w jej oczy.

- Kiedy rozbierałem cię ostatnim razem, umierałem z lęku o twoje życie. Dzisiaj mam zamiar napawać się dłużej tą rozkoszną chwilą.

Widok obnażonego ciała Ambrozji wprowadził go w zachwyty.

- Jesteś taka piękna, że brakuje mi tchu z wrażenia.

Nie musiał już więcej mówić. Dłońmi, ustami i językiem powiedział jej wszystko, co zaprzętało jego umysł i serce. Jego pocałunki mówiły o samotności i tęsknocie, o pragnieniu i pożądaniu.

Czuła nieprzepartą chęć dotykania go w taki sam sposób, w jaki on jej dotykał. Zsunęła koszulę z jego ramion i sięgnęła do zatrzasków u pasa. Nie umiała sobie z nimi poradzić, więc przyszedł jej z pomocą, i po chwili jego ubiór znalazł się obok jej niedbale porzuconej sukni. Mogła już teraz swobodnie przesuwając dłońmi po zwięzłych mięśniach jego grzbietu i barków. Widziała te twarde węzły mięśni błyszczące w słońcu, gdy pracował na pokładzie „Nieustraszonego”. Jakże pragnęła wtedy ich dotknąć, poczuć moc, która z nich emanowała. Wodząc teraz palcami po jego ramionach, doznawała fascynującego uczucia nieograniczonej wolności. Mogła go do woli dotykać, czuć pod palcami. Mogła go mieć.

Ich pocałunki stawały się coraz gwałtowniejsze. Westchnienia i oddechy coraz szybsze. Gdy przywarł wargami do jej piersi, poczuła, że nogi pod nią drżą. Jakby w przewidywaniu takiej reakcji pociągnął ją w dół, na pokład, na koc.

Światło księżyca igrało po ciele Ambrozji, nadając jej skórce odcień złota. Włosy mieniły się w ciemnościach barwą czerni i granatu. Oczy - szeroko rozwarte i świetliste - wpatrywały się w niego z napięciem. Pachniała czysto i świeżo, jak morze. Gdzieś w pobliżu odezwał się ptak. Po chwili z oddali odpowiedział mu głos innego nocnego wędrowcy. Ale ani Riordan, ani Ambrozja nie słyszeli tych głosów. Widzieli tylko siebie. Słyszeli tylko swoje płytkie oddechy oraz oszalałe bicie własnych serc, gdy pogrążeni w rozkoszy, odkrywali najczulsze zakamarki swych obnażonych ciał.

Riordan usiłował powściągnąć pokusę wzięcia jej od razu, jak barbarzyńca. Od tak dawna jej pragnął, marzył o niej i śnił. Ale dał sobie słowo, że nie będzie się śpieszył. Nie chodziło mu o własną przyjemność - miał na względzie Ambrozię. To było jedyne, co mógł jej dać w tym momencie, więc chciał zrobić wszystko co możliwe, aby ich pierwsze fizyczne zbliżenie stało

się dla niej niezapomnianym przeżyciem. Na ile mógł, przeciągał pieszczotę ust. Chciał jak najdłużej napawać się ich smakiem i zapachem.

Ambrozja tajała w ramionach Riordana. Na jego czułość odpowiadała równą tkliwością. Delikatnie wodziła palcem po krawędzi jego warg. Wyciskała wilgotne pocałunki na jego szyi, wywołując jęk rozkoszy. Ośmielona, zniżyła usta do pokrytego gęstym włosem torsu.

W odpowiedzi podciągnął ją do góry, aby przesunąć ustami po policzku, do podbródka, a następnie w dół, do szyi. Uśmiechnął się, słysząc jej zachwycony pomruk i pochylił głowę niżej, do piersi.

W jednej sekundzie Ambrozię zalała fala gorąca. Drzemiąca w niej od dawna tłumiona namiętność uwolniła się teraz z więzów. Pożądanie, tak długo trzymane pod kontrolą, domagało się teraz swoich praw.

Ujął jej twarz w swe wielkie dłonie i zajrzał głęboko w oczy. Spodobało mu się to, co w nich ujrział. W przepastnej głębi płonęła nieukrywana namiętność.

- Taką właśnie cię pragnąłem, Ambrozjo. Nagą i zdecydowaną na wszystko. I moją. Tylko moją.

Jego wargi, język i koniuszki palców pełzały po jej ciele, dotykając go i smakując. Ambrozja znalazła się prawie na krawędzi ekstazy. W końcu nie wytrzymała i poprosiła, by zaprzestał słodkiej tortury - chciała wytchnąć od upajających pieszczot. Ale on nie usłuchał wezwania, tylko zdwoił ich intensywność, tak że prawie załkała z niezaspokojonego pragnienia.

Riordan obiecał sobie, że nie będzie się śpieszył. Chciał, aby ta noc ciągnęła się w nieskończoność, żeby oboje zapamiętali ją na całe życie. Ale teraz, balansując na krawędzi miłosnego szaleństwa, nie był w stanie dłużej czekać.

Przesunął się w dół jej ciała, każdym dotknięciem palców i języka wprawiając ją w coraz większe podniecenie.

Ambrozja leżała bezwolna, napięta jak struna, z łomoczącym sercem, błagając o chwilę ulgi w miłosnych pieśczołach. Całkowicie zapomniła o otaczającym ją świetle. Liczył się tylko ten mężczyzna; jego szorstkie od pracy dłonie, gorące usta; czułość i namiętność, jakie jej okazywał.

Usłyszał, jak krzyknęła cicho przy pierwszym spazmie rozkoszy. Nie pozwolił jej ochłonać, tylko pieścił ją w dalszym ciągu, by po raz drugi wzniecić w niej płomień pożądania,

W głowie jej wirowało, a oczy zachodziły mgłą upojenia. Sięgnęła po niego, ogarnięta potrzebą możliwie największej bliskości.

- Riordanie. Proszę. Pragnę cię. Tylko ciebie.

Te słowa przeważyły szalę. Przekroczył granicę wytrzymałości. Wydawało mu się, że ma na oczach mgłę, która przeszkadza mu widzieć.

Chciał wziąć ją czule i delikatnie, ale to okazało się ponad jego siły. Myślał tylko o jednym - posiąść ją jak najszybciej. Posiąść jej ciało, serce i duszę. Wszedł w nią gwałtownie, ale ona nie zaprotestowała, tylko wtuliła się w niego jeszcze bardziej. Nie do wiary, ale jej ciało od razu dostosowało się do rytmu jego poruszeń, razem z nim wznosząc się i opadając. Wspólnie zaczęli się piąć na szczyt najwyższego uniesienia. Nawet w miłości starała się iść razem z nim, krok w krok.

- Czy wiesz, jak bardzo cię kocham, moja śliczna Ambrozjo? - Wyszeptał jej imię jak modlitwę. Po chwili nie było już miejsca na słowa, bowiem zbudzone z uspienia demony znalazły już drogę i pędziły jak oszalałe do wyjścia.

I nagle Ambrozja i Riordan poszybowali w przestworza miłosnego uniesienia, roztrzęsieni i rozedrgani, by następnie z poczuciem nieskończonej błogości spływać powoli w dół, w realną rzeczywistość.

- Czy... bardzo cię bolało? - Riordan leżał z twarzą ukrytą w zagłębieniu szyi Ambrozji.

- Nie. Czuję się wspaniale - odpowiedziała Ambrozja leniwie, pozostając w stanie niezwykłej błogości. Miała wrażenie, że stała się zupełnie kimś innym, lepszym, piękniejszym. A wszystko z powodu miłości, którą czuła do tego cudownego mężczyzny.

Miłość. To właściwe słowo. Kochała go. Do szaleństwa. A on również ją kochał.

Wyciągnęła rękę, aby odgarnąć mokry kosmyk włosów, który opadał mu na oczy.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Czyżby?

- Nie pamiętasz?

- Coś sobie przypominam. Wydaje mi się jednak, że byłem... zajęty czymś innym.

Roześmiała się, a potem spróbowała głębiej odetchnąć.

- Jestem za ciężki. - Zsunął się na bok i otoczył ją ramionami. - Czy już lepiej?

- O tak. Znacznie lepiej. - Przytuliła się do niego, a on naciągnął na nich koc.

- A ty, czy również powiedziałaś, że mnie kochasz?

Pokręciła głową.

- Nie przypominam sobie.

- Odpowiedz. - Zajrzał jej w oczy.

- Co? - Poweselała raptownie. Drzemiący w niej diabełek podniósł zuchwale głowę. Nie mogła oprzeć się pokusie, aby się trochę nie podroczyć z Riordanem.

- Przyznaj się. Kochasz mnie?

- Nie ułatwiasz mi tego. - Usiadła, zapominając o tym, że jest naga. Długie kędzierzawe włosy opadały jej na ramiona niczym czarny welon.

- Co masz na myśli? - Pociągnął ją za kosmyk włosów.
- Jesteś bardzo wybuchowy, Riordanie. Łatwo wpadasz w gniew.

- Żartujesz chyba. - Uśmiechnął się. - Uchodzę za jednego z najbardziej wielkodusznych i łagodnych wilków morskich. Zapytaj, kogo chcesz, z załogi. Potwierdzą moje słowa.

- W takim razie może moja obecność wpływa na ciebie tak niekorzystnie. Przy mnie wielokrotnie bywasz agresywny i nastliwy.

- Niewykluczone. - Odstąpił zęby w szerokim uśmiechu. - Potrafisz wyzwolić tę gwałtowniejszą stronę mojej natury... i to na różne sposoby.

Przesunęła palcem po ciemnych kędzierzawych włoskach na torsie Riordana.

- Intryguje mnie ta gwałtowniejsza strona twojej natury.
- Uważaj. - Złapał ją za palec, by powstrzymać pieszczotę.
- Czy wiesz, jak działa na mnie twój dotyk?

- Myślałam... - Zajrzała mu w oczy. - Myślałam, że skoro się już pokochaliśmy, to pożądanie więcej nie wróci.

Zaśmiał się krótko. Ten śmiech ukoił jej zmysły i napełnił duszę niewymowną słodyczą.

- Och, Ambrozjo. Pożądanie nie minęło. To tylko chwilowe uspokojenie. Najbardziej niewinny dotyk może rozniecić je na nowo.

- Masz na myśli, że możesz... że możemy?
- Oczywiście. Ale nie odpowiedziałas dotychczas na moje pytanie.

- Na jakie pytanie?
- Czy mnie kochasz?

Milczała przez ułamek sekundy, po czym z uśmiechem odparła:

- Tak jest. Do szaleństwa.

Odetchnął przeciągle.

- Następnym razem nie zwlekaj tak długo z odpowiedzią. Serce może mi stanąć w piersi z niepokoju.

Położyła ukośnie dłonie na jego torsie. Poczwała pod nimi głośne bicie serca.

- Wszystko w porządku z twoim sercem. Bije nawet trochę za głośno, obawiam się.

- To ty jesteś winna, że moje serce bije przyśpieszonym rytmem, i sprawiasz, że dłonie mi wilgotnieją. To twoja bliskość wywołuje takie dziwne objawy.

- Od jak dawna to trwa?

- Od kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Ściślej rzecz biorąc, to zaczęło się już dawniej, zanim cię spotkałem.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Riordanie? Przecież to niemożliwe.

Przeciagnął palcem wzdłuż jej ramienia, podziwiając blask skóry w bladym świetle księżyca.

- Im więcej James mówił o tobie, tym bardziej pragnąłem cię poznać. W mej wyobraźni byłaś najdoskonalszą z kobiet. O takiej właśnie kobiecie marzyłem podczas tych wszystkich ciągnących się niemal w nieskończoność samotnych nocy na morzu. A kiedy cię spotkałem, zrozumiałem, że jesteś jeszcze powabniejsza i doskonalsza niż kobieta z moich snów.

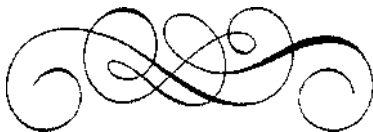
Potrząsnęła głową, ogarnięta nagłym wzruszeniem.

- Cóż to, kochanie? Płaczesz?

- Och, Riordanie. Nie zasługuję na twoją miłość.

- A ja nie zasługuję na twoją. Może nikt nie zasługuje na dobro, które spotyka go w życiu. Ambrozjo, cieszymy się sobą. Długo czekaliśmy na tę chwilę. - Wziął ją w objęcia i ustami ogarnął jej wargi.

A potem, wśród westchnień i czułych słów, odpłynęli w kolejną, cudowną miłosną podróż.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Była jeszcze noc, ale na niebie widniała już zapowiedź świtu. Lekka mgła unosiła się nad oceanem i snuła po pokładzie „Zewu Morza”.

Ambrozja i Riordan leżeli pod kocem, spleceni w uścisku. Niewiele spali tej nocy. Spędzili ją na rozkoszowaniu się szczęściem swej świeżo odkrytej miłości.

W trakcie tej nocy zdarzały się chwile, kiedy potwierdzały się słowa Riordana o mrocznej, gwałtowniejszej stronie jego natury. To drugie, nieznane oblicze ukochanego rozpalało Ambrozię, lecz także przejmowało pewną obawą. Rozwiała ją jednak czułość, którą ukochany jej okazał. Była tak żarliwa i autentyczna, że wzruszenie ścisnęło ją za gardło, a łzy mimo woli zbierały się pod powiekami.

Westchnęła, po czym uniosła powieki, by napotkać utkwione w siebie oczy Riordana. Dotknęła pieszczotliwie dłonią jego policzka. On pochwycił ją i przycisnął do ust.

- Co robisz?
- Przyglądam się, jak śpisz i nie mogę się napatrzeć. Promieniejesz spokojem. Śpisz tak cicho i słodko jak dziecko.
- Nie jestem dzieckiem. - Próbowała się podnieść.
- Wiem. - Pociągnął ją z powrotem na koc i czułymi pocałunkami obsypał policzki, powieki i czubek nosa. - Jesteś kobietą. Trudno o tym przy tobie zapomnieć, jesteś tak piękna i słodka. - Przycisnął usta do jej warg i szepnął: - Moją kobietą.

- Podoba mi się to określenie.

- To dobrze. Ponieważ często będziesz je słyszała. - Obrysował językiem kontur jej ust i poczuł, jak ogarnia go żar namiętności. Kochali się przez całą noc, ale jemu to nie wystarczyło. Chciał więcej. Nigdy nie będzie miał dość tej zadziwiającej kobiety.

- Opowiedziałam ci tyle o sobie dzisiejszej nocy. O moim dzieciństwie. O rodzeństwie.

- To prawda. Z przyjemnością tego słuchałem. Twoja rodzina, kochanie, jest wspaniała i tak różnorodna. Każde z was ma ciekawą osobowość.

- Ale ty niewiele o sobie mówiłeś. Nie opowiedziałeś mi ani o dzieciństwie, ani o swojej rodzinie. Nic nie wiem o tym, jak żyłeś, zanim cię spotkałam.

Powiedziała to, ponieważ wyczuła, że Riordan nie bardzo chce się zwierzać.

- Pochodzę z bogatej i uprzywilejowanej rodziny. Moje dzieciństwo upłynęło pogodnie i radośnie - rzekł po dłuższej chwili milczenia. Odwrócił wzrok i spojrzał w dal przed siebie, jak gdyby pragnął ujrzeć obrazy z dawno minionej przeszłości.

- Z moim bratem Prescottem i przyjaciółmi, Karolem i Jakubem, uczyliśmy się jeździć konno, posługiwać bronią i żeglować po morzu.

- Z Karolem, naszym królem i Jakubem, księciem Yorku? - upewniła się zdumiona Ambrozja.

- Tak. Bardzo się z nimi przyjaźniliśmy.

- Czy to znaczy, że Silas Fenwick kłamał?

Riordan nie od razu odpowiedział. Ambrozja zrozumiała, że zadała mu niewygodne pytanie. Chętnie by się z niego wycofała, gdyby mogła. Ale za późno. Słowa już padły.

- Ojciec nie pochwalał mego stylu życia i w konsekwencji wydziedziczył mnie na rzecz Prescottta.

- Nie rozumiem. Wydziedziczył cię, ponieważ wybrałeś życie żeglarza?

- Nie do końca. Są pewne rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć. - Pomyślał o niebezpiecznych misjach, których podejmował się na rozkaz króla. Politycznych intrygach. Religijnych fanatykach żądnych krwi. Podżegaczach wojennych, którzy starali się wciągnąć monarchę w zbrojne, z góry skazane na przegraną, konflikty. - Są tajemnice, o których wiem tylko ja i król. Zejdą one wraz ze mną do grobu. Nie proszę cię o zrozumienie. Proszę tylko, abyś przyjęła mnie takim, jaki jestem.

Ambrozja zrozumiała, że jest to człowiek, który nigdy nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania. Nawet za cenę miłości.

Objęła go i przycisnęła wargi do jego szyi.

- Tak właśnie zrobię, Riordanie Spencer. Przyjmuję cię takim, jakim jesteś. A teraz... - Próbowała delikatnie wysunąć się z jego objęć. - Lepiej zrobię, jeżeli niepostrzeżenie wrócę pod pokład i ubiorę się, zanim reszta rodziny się obudzi.

- Masz rację - powiedział, ale nie zamierzał jej puścić. Przeciwnie, przyciągnął ją tylko bliżej do siebie. - Zostań jeszcze trochę.

- Riordanie. - Roześmiała się, kiedy zaczął ją pieścić. - Wiesz, co się stanie, jeżeli nie odejdę.

- Masz na myśli... to? - Nakrył ustami jej wargi i pocałował tak mocno, że obojgu zabrakło tchu.

- Tak. - Poczwała, że w głowie jej się kręci. Tylko ten mężczyzna działał na nią w taki sposób. Nikt go nie zastąpi. Nigdy.

- Dobrze. Jeszcze trzy minuty. Potem pozwolę ci odejść. - Przytulił ją mocniej i pocałował po raz drugi.

A potem, w miarę jak ich pocałunek stawał się gorętszy, namiętniejszy, zapomnieli o tym, że czas upływa. Zapomnieli o tajemnicach, z których nie wolno się zwierzyć. Zapomnieli

o całym świecie. Istnieli tylko oni dwoje i cud miłości, który objawił im się w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewali.

Ambrozja ziewnęła, przeciągnęła się i... zamarła z przerażenia. Do jej uszu dotarty hałas spod pokładu. Rodzina już wstała i krzątała się na dole. Gdzie jest jej suknia? Jej koszula?

- Riordanie? - Trąciła go łokciem, aby się obudził.

Przyciągnął ją i pocałował leniwie.

- Riordanie. - Przycisnęła rękę do jego torsu. - Wszyscy się już obudzili. Musimy się co prędzej ubierać.

- Tak jest, kochanie. - Uśmiechnął się i ponownie ją pocałował.

- Wszyscy lada moment przyjdą na górę. A moje ubranie...

Sięgnął ręką za jej plecy i podniósł porzuconą sukienkę. Była w dwóch kawałkach.

- Nie mogę włożyć na siebie tej szmaty. Co ja teraz zrobię?

- Czy masz jakąś inną w zapasie?

- Owszem, ale pod pokładem. Jak ja się im wszystkim pokazę - siostrze, dziadkowi, a także pani Coffey i Winnie?

- Odciągnę ich uwagę. - Zaśmiawszy się cicho, podał jej koc.

- Nie zapomnij tylko przynieść go z powrotem, kiedy już się ubierzesz.

- Dlaczego?

- Będzie mi potrzebny. - Zupełnie nagi, bez cienia zażenowania, podszedł do barierki i wskoczył do wody.

W chwilę później zaalarmowana rodzina pojawiła się na pokładzie. Ciekawi byli, kto kąpie się w morzu o tej porze? Ambrozja, korzystając ze sposobności, szybko zbiegła na dół, aby się ubrać. Wróciła z kocem przerzuconym przez ramię.

- Dzień dobry! - zawołała, przybierając możliwie najswobodniejszy ton. - Newtonie! Daj to Riordanowi, kiedy skończy pływać.

- Dobrze. - Stary żeglarz przyjrzał się jej z uwagą. Ambrozja czym prędzej odwróciła głowę, czując, że rumieniec oblewa jej policzki. Następnie podeszła do grupki kobiet zebranych wokół żelaznego piecyka, na którym gotowano śniadanie.

- Dzień dobry, Ambrozjo. - Bethany przyjrzała się zaczerwienionej twarzy starszej siostry. - Dobrze się czujesz? Nie masz przypadkiem gorączki?

- Czuję się doskonale. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz... - Nie dokończyła zdania. Osłupiałym wzrokiem popatrzyła na Riordana, który, owinięty kocem, przeskoczył barierkę. Przez moment on i Ambrozja spoglądali na siebie znacząco. Tylko oni znali wymowę tego spojrzenia. Ociekając wodą, przeszedł przez pokład i zniknął w luku prowadzącym do dolnych pomieszczeń.

- Musi ci być gorąco, Ambrozjo. Noc była rzeczywiście bardzo ciepła. Zgadzasz się?

- Tak jest. - Ambrozja schyliła głowę, by uniknąć badawczego wzroku sióstr. Nie zauważyła porozumiewawczego uśmiechu, jaki wymieniły Bethany i Darcy.

- Przebudziłam się w nocy. - Darcy zaczęła nalewać herbatę do filiżanek. - Twój hamak był pusty.

- Poszłam na górę, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

- Rozumiem - stwierdziła domyślnie Darcy. - Na zewnątrz jest znacznie przyjemniej niż pod pokładem, prawda?

- Owszem. - Ambrozja zauważyła, że wszyscy przyglądają się jej badawczo. Nawet dziadek spoglądał na nią jakoś dziwnie.

Odsunęła na bok filiżankę i poszła na mostek kapitański. Newton stał przy sterze.

- Zastąpię cię, Newtonie, idź na śniadanie.

- Dziękuję, panienko. - Stłumił uśmiech. Sądząc po wesołej minie kapitana, noc musiała kochankom upłynąć bardzo przyjemnie. Biedna Ambrozja sądzi, że nikt niczego się nie domyśla.

Nie wie, że oczy zdradzają, co dzieje się w jej sercu. Newton stanowczo nie życzył sobie, aby ktokolwiek ją zranił.

Riordan stał przy kole sterowym „Zewu Morza” i patrzył, jak Ambrozja, Bethany i Darcy wdrapują się po maszcie z wprawą, której mogliby im pozazdrościć wytrawni żeglarze. Towarzyszył mu Lambert senior, który, przesłaniając ręką oczy, przypatrywał się dziewczętom.

- Masz wspaniałe wnuczki, Geoffrey.

Starszy pan uśmiechnął się z dumą.

- Potrafią robić wszystko na statku. W niczym nie ustępują mężczyznom.

- Jestem pewien, że przyłożyłeś rękę do ich nauki.

- To prawda. Dzięki temu łatwiej zniósłem rozłąkę z morzem. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdybym w dalszym ciągu był kapitanem, nie miałbym okazji przekonać się, jak wspaniale radzą sobie moje wnuczki.

Rozjaśnionym wzrokiem spoglądał na trzy chichoczące, rozbawione dziewczęta uwijające się na wysokościach pośród wydętych żagli. Następnie odwrócił się i obrzucił Riordana uważnym spojrzeniem.

- Całe życie spędziłem na morzu wśród żeglarzy. Wiem, jak dłużyć się samotne noce na statku, jak przejmująca jest wtedy tęsknota za ciepłym kobiecego ciała. Wiem także i to, że ciągła walka z wodnym żywiołem czyni człowieka twardym i bezlitosnym. Ludzie morza często zapominają o prawach, jakie obowiązują wśród cywilizowanych społeczeństw na lądzie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Riordan oderwał wzrok od Ambrozji i popatrzył na Geoffreya.

- Trudno mi obwiniać mężczyznę za to, że stracił głowę dla jednej z moich wnuczek - kontynuował Lambert senior. Mówił spokojnie i rzeczowo, ale Riordan wiedział, że w razie koniecz-

ności nie cofnie się przed niczym. - Potrafię to zrozumieć, zwłaszcza w odniesieniu do tak urodziwych dziewcząt jak moje wnuczki. Ale jeżeli ten mężczyzna złamie serce którejś z nich, nie będę miał dla niego litości. Będę jak ten rekin, który odgryzł nogę staremu Newtonowi.

Riordan skinął głową ze zrozumieniem.

- Też bym tak postąpił.

Geoffrey Lambert uśmiechnął się z widoczną ulgą. Powolnym krokiem skierował się pod rozpięte płótno, które chroniło przed słońcem, gdzie dwie starsze panie już na niego czekały. Tak jak i on z zaciekawieniem przyglądały się dziewczętom zwinnie uwijającym się pośród żagli i lin.

Riordan uświadomił sobie, że Geoffrey Lambert nie uronił ani jednego słowa z tego, co on, Riordan, mu powiedział. Starszy pan miał umysł tak sprawny jak niejeden młodzik.

- Okręt od lewej burty! - rozległ się podniesiony głos Darcy uwieszanej u masztu. Jej okrzyk odbił się echem na pokładzie. - Nie wywiesił żadnej flagi.

Wszyscy spojrzeli z lękiem na Riordana, który stał przy sterze.

- Poczekajmy, aż się do nas zbliżą. Na razie zachowujcie się tak, jak to na początku uzgodniliśmy - polecił. - Jesteście rodziną, która wybrała się na krótką, jednodniową wycieczkę.

- Jeżeli okaże się, że to piraci, bez broni nie będziemy mieli szansy stawić im czoła! - zawołała Ambrozja, spoglądając na siostry.

Dziewczęta kiwnęły głowami potakująco.

- Jeżeli to piraci, to i tak nie damy im rady - tłumaczył cierpliwie. - Tak czy inaczej, musimy kontynuować grę. Nie mamy żadnych możliwości, aby się przed nimi ukryć.

Kiedy kobiety udały się pod pokład, aby zmienić ubranie, zwrócił się do Newtona:

- Zastąp mnie przy sterze.
- Rozkaz, kapitanie.

Stary żeglarz posłusznie wykonał polecenie. Riordan tymczasem poszedł po broń. Na razie, póki nie miał pewności co to za statek, zdecydował się nie przypinać szpady, więc tylko na wszelki wypadek włożył za pas jeden nóż, a do buta drugi.

Siostry zjawiły się na pokładzie jedna po drugiej, ubrane w kobiece stroje. Ambrozja miała na sobie suknię fiołkowego koloru, Bethany niebieskiego, a Darcy ubrała się na żółto. Pomogły dziadkowi przebrać się w odświętny surduty i zasiadły obok niego pod płótnem służącym jako baldachim. Pani Coffey zajęła się przygotowaniem herbaty, a panna Mellon, jak zawsze w bieli, zajęła miejsce u jej boku, gotowa do pomocy.

Riordan podniósł lornetkę do oczu, aby przyjrzeć się nadpływającemu statkowi. Był to prawie nowy okręt, większy od „Nieustraszonego”. Rozmiarami dwukrotnie przewyższał „Zew Morza”. Na pokładzie dało się zauważyć liczną załogę.

Gdy statek zbliżył się do nich na tyle, że mogli już rozróżnić poszczególne postacie, strach chwycił Riordana za gardło.

Ambrozja podeszła do niego pospiesznie, widząc jego zmienioną twarz.

- Co się stało, Riordanie. Co zobaczyłeś?

Kiedy się odezwał, nie poznała jego głosu. Dźwięczały w nim taki gniew i wściekłość, że przeleżała się nie na żarty.

- Zobaczyłem twarz, którą widuję tylko w koszmarach. Twarz człowieka, który zabił twego ojca i brata. Twarz pirata Eliego Sledge'a.

Przez kilka minut wszyscy tkwili nieruchomo na swoich miejscach. Riordan pierwszy przerwał ciszę, wydając zwięzłe rozkazy.

- Nie damy im rady. Mają nad nami znaczną przewagę w lu-

dziach. Ty, Ambrozjo, wraz z rodziną, możecie spróbować uciec w szalupie. - Skierował się ku rufie, ale zatrzymał go Geoffrey Lambert.

- Nie, kapitanie. Nie uciekniemy i nie zostawimy ciebie i Newtona na pastwę rozbójników. Przetrywamy, a jeśli sądzone nam zginąć, to zginiemy wszyscy razem. - Zwrócił się do wnuczek. - Ambrozjo, sprowadźcie panią Coffey i pannę Mellon na dół i weźcie broń.

- Rozkaz, dziadku. - Ambrozja zwróciła się do starszych pań, które jednak nie ruszyły się z miejsca.

- Nie będziemy chować się, gdy reszta rodziny będzie walczyć z piratami. - Pani Coffey wyprostowała się. - Zawsze byliśmy razem. Wspólnie też stawimy czoło niebezpieczeństwu. Będzie, co ma być.

Stojąca przy niej Winifred Mellon, choć wyraźnie przerażona, przytaknęła jej skinieniem głowy.

Ambrozja odwróciła się i spojrzała pytająco na dziadka.

- Dobrze - rzekł. - Niech zostaną. Przynieś broń.

Zbiegła na dół i powróciła, dźwigając naręcz szpad, noży i pistoletów.

- A teraz szybko - rozkazał dzielny senior rodu Lambertów - bierzcie broń i ruszajcie na pozycje.

- To szaleństwo! - wykrzyknął Riordan, zdając sobie jednocześnie sprawę z jałowości swego protestu.

Jak dobrze wyszkoleni żołnierze, siostry Lambert zajęły wyznaczone stanowiska przy burcie. Dziadek uplasował się między nimi, w środku. Obie starsze panie dostały amunicję do pistoletów i dołączyły do rodziny.

- Zanim wdamy się w walkę, spróbujemy się wymknąć. Stójcie w miejscu. Uprzedzam, że będzie mocno rzucało - zawołał Riordan, który za wszelką cenę chciał uchronić rodzinę Lambertów przed okrutnym losem, jaki niewątpliwie ich czekał.

Piracki statek podpłynął do ich burty. Na widok trzech wystrojonych kobiet, uzbrojonych i gotowych do walki, rozbójnicy ryknęły śmiechem.

- Ahoj - rozległ się ochrypły głos. - Tu mówi kapitan Eli Sledge z pirackiego żaglowca „Trupia Czaszka”. - Uśmiechnął się, wiedząc, że ta nazwa z reguły działa paraliżująco na przeciwnika. - Rzućcie broń i przygotujcie się na śmierć.

W odpowiedzi Riordan dał znak Newtonowi, który szybko wykręcił ster, najeżdżając całym kadłubem na burtę „Trupiej Czaszki”. Uprowadzona przez Riordana załoga „Zewu Morza”, uczepliła się poręczy i dzięki temu zachowała równowagę. Załoga „Trupiej Czaszki” w porę się nie zorientowała.

Nieoczekiwane zderzenie sprawiło, że część marynarzy poprzewracała się na pokład, a ci, którzy stali najbliżej barierki, powpadali do morza w wąską rozpadlinę między dwoma statkami, gdzie kłębiły się wysokie, grzywiaste fale.

Riordan pochwycił koło sterowe i wykrzyknął do Newtona:

- Stawiaj żagiel gniezdny! Potrzebujemy jak największej wiatru.

- Tak jest, kapitanie. - Stary żeglarz, nie bacząc na swój podeszły wiek, wspiął się na maszt, wyciągając żagiel do najwyższego punktu. Manewr się udał, żagle złapały wiatr, który teraz z nową siłą zaczął napędzać statek. „Zew Morza” w szybkim tempie oddalał się od napastników.

- Opuście żagle - doszedł ich rozkaz z „Trupiej Czaszki” - w przeciwnym razie zniszczymy wasz żaglowiec.

Riordan nie zmienił kursu, mając nadzieję, że wiatr pomoże im jeszcze bardziej zwiększyć odległość. Jednak w chwili gdy ponownie skrzył ster, poczuli zapach prochu i usłyszeli huk armatniego wystrzału. Kadłub żaglowca zadygotał trafiony pociskiem.

Newton podbiegł do Riordana i objął, wyteżając siły, wspól-

nie próbowali utrzymać obrany kurs. Uszkodzenia jednak były poważne. „Zew Morza” przechylił się na bok. Oznaczało to, że jeżeli na czas nie dopłyną do brzegu, statek zatonie.

- Nadchodzą, Riordanie! - wykrzyknęła Ambrozja.

Piraci podpłynęli bliżej. Gdy obydwą żaglowce się zrównały, napastnicy zaczęli przrzucać liny.

- Popatrz, Eli - zawołał jeden z piratów - jakie ładne kobiety! Założę się, że przywitają nas całusami.

Odpowiedział mu gromki śmiech. Kiedy Ambrozja zaatakowała pierwszego z napastników, a potem następnego, wytrącając im szpady z rąk, śmiech przeszedł w pomruki zdziwienia i gniewu.

- To jest przystojna dziewczyna! - zawołał kolejny pirat, celując końcem szpady w pierś Bethany.

Nieodrodna córka Johna Lamberta, zamiast płakać i zawodzić, jak spodziewał się napastnik, sięgnęła do tyłu, i zza paska spódnicy wyjęła pistolet. Wycelowała starannie i pociągnęła za cyngiel. Trafiony pirat upadł na deski pokładu z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy. Następnie odwróciła się do Winnie i pani Coffey, które natychmiast podały jej więcej prochu.

- A kim jest ta mała ślicznotka? - drwiąco zapytał inny pirat, wskazując na Darcy.

Trzecia z sióstr bez słowa uniosła rękę i rzuciła w niego małym sztyletem o błyszczącym ostrzu. Wbił się z głuchym stukiem w pierś mężczyzny. Gdy napastnik przewrócił się, Darcy wyciągnęła nóż, spokojnie przestąpiła trupa i pośpieszyła na pomoc dziadkowi, który bohatercko odpierał atak rozbójników.

Riordan pokonał kilku piratów, starając się przez cały czas nie tracić z oczu Eliego Sledge'a. Kapitan „Trupiej Czaszki” był jego głównym celem. Liczył na to, że jeżeli uda mu się zlikwidować herszta piratów, stracą oni ochotę do dalszej walki.

- Uważaj na tyły, Riordanie!

Na głośny okrzyk Ambrozji Riordan odwrócił głowę. Dwaj piraci skradali się do niego z obu boków. Zamierzał właśnie usunąć pierwszego z nich, gdy drugi tymczasem uniósł do góry ciężki miecz i z całej siły opuszczył go na ramię Riordana. Na ten widok pani Coffey i panna Mellon schwyciły po kawałku strzaskananej barierej i rzuciły się na pirata. Przewróciły go i zepchnęły do wody. Po tym czynie starsze panie spoglądały na siebie przez chwilę osłupiałe ze zgrozy. Szybko jednak ochłonęły i ze zdwojoną energią przystąpiły do działania, strącając z pokładu następnego rozbójnika.

Riordan widział krew tryskającą z rozplatanego ramienia, ale zapomniał o bólu, gdy zobaczył, że z drugiej strony pokładu czterech napastników naciera na Ambrozię. Na ułamek sekundy serce stanęło mu w piersi. Nie namyślając się wiele, podskoczył jej na ratunek i zręcznym ruchem szpady przeszył najpierw jednego, a potem następnego przeciwnika.

Ambrozja zwałała na deski dwóch pozostałych rozbójników, a następnie przebiegła przez pokład, aby wesprzeć dziadka, który odpierał atak sporej grupki piratów.

Staruszek wciąż bronił się z dobrym skutkiem, ale powoli zaczynało brakować mu sił. Oddychał głośno i z trudem. Ambrozja przelekkła się nie na żarty, słysząc, jak sapie z wysiłku. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Mrugnął do niej porozumiewawczo i jednym pchnięciem szpady przeszył kolejnego wroga na wylot. Gdy mężczyzna upadł bez ducha na deski, odwrócił się, by stawić czoło trzem kolejnym rozbójnikom. W tym momencie ochmistrzyni i niania wkroczyły do akcji, energicznie wywijając drewnianymi pałkami. W rezultacie dwóch następnych piratów powędrowało do morza.

Ambrozja poczuła ból w ramieniu. Spojrzała na nie i zrozumiała, że jest ranna. Kątem oka dostrzegła błysk obnażonej klingi; ktoś się na nią zamierzał. Nim zdążyła się odwrócić, usły-

szała wystrzał. Uniosła wzrok i zobaczyła dymiący pistolet w ręku Bethany. Mężczyzna, który właśnie unosił nad Ambrosją szpadę, sam zwałił się na podłogę trafiony śmiertelnym strzałem.

Riordan przy barierce walczył jednocześnie z kilkoma napastnikami. Bez trudu usuwał z drogi jednego po drugim. W momencie gdy Ambrosja odwróciła się, zamierzając odejść, spostrzegła pirata, który ukradkiem zachodził go od tyłu. We wzniesionej ręce trzymał ciężką pałkę.

- Riordanie! - wykrzyknęła najgłośniejszym głosem, jaki potrafiła, ale wiatr zagłuszył słowa. Pałka spadła na głowę Riordana. Ambrosja zobaczyła, jak uginają się pod nim kolana i jak pada na pokład. Dwóch piratów podniosło go i wyrzuciło przez poręcz w rozpadlinę między statki, gdzie kłębiły się potężne grzywiaste fale.

- Nie! - Z okrzykiem rozpaczony Ambrosja podbiegła do burty. Szpada wyslizgnęła się jej z ręki i upadła z łoskotem na deski pokładu.

Wspięła się na poręcz i nie myśląc o tym, że ryzykuje życie, skoczyła w spienione odmęty. Raz po raz dawała nurka pod ciałami nieżywych piratów, które unosiły się na powierzchni, wypatrując Riordana. Na próżno. Na koniec, widząc że szansa znalezienia go żywego maleje z każdą sekundą, wciągnęła w płuca tyle powietrza, ile się dało, i zanurkowała pod kadłub „Zewu Morza”.

Woda była ciemna od strzelniczego prochu, ale mimo to wypatrzyła go prędko. Leżał bez ruchu, twarzą w dół. Straciła kilka cennych sekund, nim odpięła miecz, który zaplątał się w rękaw koszuli i ściągał go na dno. Następnie, wyężdżając ostatek sił, wyciągnęła go spod kadłuba i zaczęła wypychać do góry. Płuca pękały jej z braku powietrza i w pewnym momencie wydawało się jej, że dłużej nie wytrzyma. W końcu wynurzyła się na po-

wierzchnię, wciągnęła w piersi bezcenny tlen, a potem chwyciła Riordana za głowę.

- Oddychaj, Riordanie. Oddychaj, proszę - błagała, szlochając żałośnie.

Odetchnął spazmatycznie i otworzył oczy.

- Ambrozja? Co...? Jak...?

- Nie ma znaczenia, kochanie. Żyjesz.

- A inni?

Spojrzała na pokład „Zewu Morza” i zamarła. Statek był przechylony na bok. Pokład stał w płomieniach.

- Dziadek. Moje siostry. Te kochane staruszki. - Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu.

- Tam - pokazał Riordan.

Podążyła wzrokiem za jego ręką. Na pokładzie „Trupiej Czaszki” spostrzegła rodzinę i domowników. Stali przy barierce trzymani pod bronią. Piraci przenosili ostatnie skrzynie ze złotem z tonącego „Zewu Morza” na pokład swego statku. Po Ambrozję i Riordana płynęła już piracka łódź.

- Nie ucieklicie. - Riordan zaklął siarczyście.

- Nie, Riordanie - odparła Ambrozja - ale żyjemy. Ty żyjesz. I jesteśmy razem.

Czyjeś ręce wydobyły ją z wody i cisnęły w róg łódki. Gdy wciągnięto Riordana, piraci zawrócili do „Trupiej Czaszki”.

- Czyż to nie urocze? - Eli Sledge spoglądał zuchwale na młodą kobietę w mokrej sukni oblepiającej ściśle jej kształtną postać.

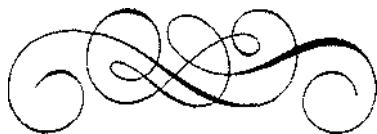
Kapitan piratów był wysokim, potężnym mężczyzną. Wiedział, że jego postura budzi respekt i chętnie wykorzystywał ten fakt. Jego twarz musiała być nawet całkiem urodziwa, ale obecnie szpeciła ją brzydka blizna biegnąca od policzka przez całą szyję aż do obojczyka. Skórę miał szorstką od ciągłego obcowania z wodą i morskim powietrzem. Gęste czarne włosy opa-

dały mu na plecy. Długi kubrak, który niemal w całości zakrywał spodnie, w wielu miejscach nosił plamy krwi. W rękę Sledge trzymał zwinięty pejcz, którym zwykł podkreślać swoje słowa. Dla pokazania więźniom, że umie się dobrze posługiwać tym narzędziem, rozwinął rzemień, odciągnął rękę i uderzył nim o pokład z taką siłą, że wydał trzask przypominający huk wystrzału.

Stał z szeroko rozstawionymi nogami i rękami wspartymi o biodra. Spoglądał spode łba na jeńców, którzy zbici w ciasną gromadkę, we wzajemnej bliskości szukali wsparcia i otuchy.

Rechocząc z zadowolenia, zwrócił się do swoich ludzi, którzy zebrali się wokół i uśmiechali głupkowato.

- Zdobyliśmy wielki łup, tak jak obiecał nasz pracodawca. Skrzynie pełne złota. Kobiety, trzy z nich młode i ładne. Powiedział, że kiedy dotrzemy do Cairn, możemy zrobić z jeńcami, co tylko nam się spodoba. Zabijemy wszystkich, oprócz dziewczyn. A ci, których przeznaczymy na śmierć, będą umierać w mękach, aby zapłacić za ból i cierpienia, które nam zadali. Nasz pracodawca nie określił dokładnie, co mamy zrobić z kobietami, ale ja zdecydowałem, że na razie zatrzymamy je przy życiu - dopóty, dopóki nam się nie znudzą. A zatem w drogę, chłopcy, do portu Cairn. Dziś wieczorem napijemy się piwa, a potem... - roześmiał się ochryple, wpatrując się lubieżnym spojrzeniem w siostry Lambert... - nacieszymy się resztą naszego łupu.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Bethany, Darcy - nakazała szeptem Ambrozja - dajcie mi swoje halki.

Nie zważając na stojących nad nimi strażników, uknęła przy leżącym na pokładzie Riordanie. Ramię miał rozcięte od barku po łokieć i broczył obficie krwią. W wodzie też nie mało jej stracił.

Z pomocą pani Coffey i panny Mellon założyła mu uciskową opaskę, aby zatamować krwawienie, a następnie przewięzała ranę. W pewnym momencie zauważyła, że otworzył oczy. Próbował na dłużej zachować przytomność, ale ramię i głowa dolegały mu tak mocno, że obawiał się, iż za chwilę znowu zemdleje.

- Posłuchaj mnie, Ambrozjo. - Złapał ją palcami za nadgarstek z siłą zadziwiającą u tak poważnie rannego. - Moje życie już się kończy. Słyszałaś, co powiedział Eli Sledge.

- Tak, postanowił zabić wszystkich, z wyjątkiem nas trzech. Zamierzam mu w tym przeszkodzić.

- Co możesz zrobić? Znaleźliśmy się w rękach bezwzględnych i okrutnych ludzi. Musisz zapomnieć o wszystkim i myśleć tylko o tym, jak uniknąć niegodnego losu, jaki przeznaczyły tobie i twoim siostrze.

- Nie ucieknę bez ciebie.

- Naprawdę nie dostrzegasz powagi sytuacji? Nie rozumiesz, że znaleźliśmy się w beznadziejnym położeniu? - Przeniósł wzrok na jej siostry, a potem na dwie stare kobiety. Te

ostatnie zadziwiały stoickim spokojem. Miał nadzieję, że zdoła je przekonać.

- Śmierć będzie lepsza od tego, co ci prostytutki wam szykują. Ambrozja zacisnęła usta i dalej opatrywała ranę. Kiedy skończyła, ujęła jego twarz w dłonie i zajrzała głęboko w oczy.

- A teraz posłuchaj mnie uważnie, Riordanie Spencer. Wiedz, że jesteś mężczyzną mego życia. Kocham cię.

Usłyszała, jak pani Coffey i panna Mellon głośno sapnęły z wrażenia. Pojęła, że ujawniła więcej, niż zamierzała. Ale to nie miało już dłużej znaczenia.

- Nie mam zamiaru cię utracić tylko dlatego, że uwzięła się na nas banda rzezimieszków - mówiła dalej. - Znajdziemy sposób ucieczki taki, który pozwoli nam wyjść cało z opresji. Jeżeli przyjdzie nam zginąć, to umrzemy wszyscy razem. Czy to jasne?

Pragnął ją ostrzec jeszcze przed czymś innym. Przed czymś, co niejasno kołatało się w jego obolałej głowie. Cierpiał jednak tak bardzo, że trudno mu było się skupić. Resztkami świadomości próbował zatrzymać uciekającą myśl.

- Jest jeszcze inny wróg, gorszy od Sledge'a - jego pracodawca. To musi być... - Urwał i zapadł w nicość.

Ambrozja obserwowała, jak piraci cumują statek i zarzucają kotwicę. Wzdłuż wybrzeża, nad samym morzem, rozciągało się miasteczko Cairn, od dawien dawna uchodzące za siedlisko najgroźniejszych piratów grasujących na wodach Atlantyku.

- Przewieźcie więźniów na brzeg - rozkazał swoim ludziom Eli Sledge. - Zaraz potem wracajcie po ładunek.

Pod ostrzem szpad wtłoczono ich wszystkich na łódkę. Dwóch piratów wrzuciło Riordana jak kłodę na dno. Następnie chwycili wiosła i popłynęli w stronę doków. Zaprowadzono ich do przybrzeżnej tawerny śmierdzącej piwem i zamknięto w iz-

bie na górze. Kilka brudnych sienników poniewierało się po równie brudnej podłodze.

Gdy tylko zatrzaśnięto za nimi drzwi i przekręcono klucz w zamku, Ambrozja z Newtonem ułożyli Riordana na jednym z sienników. Bethany i Darcy podprowadziły do pozostałych zmęczonego dziadka i obie starsze panie.

Pokój miał jedno małe okienko, z którego rozpościerał się widok na doki. Ambrozja podbiegła do niego z nadzieją, że ułatwi im ucieczkę. Z rozczarowaniem stwierdziła, że na dole stoi uzbrojony pirat.

- Sledge wystawił straż.

- Tego się właśnie obawiałam - szepnęła Bethany. - Co pocznjemy?

- Nie mam pojęcia - odparła Ambrozja. - Schowałam w bucie nóż. Znając Riordana, przypuszczam, że zrobił to samo.

- Ja też tak zrobiłam - oznajmiła Bethany.

- I ja - odparła Darcy. Uśmiechnęła się po raz pierwszy od kilku godzin. - Nie jesteśmy bezbronne, prawda, Ambrozjo?

- Nie. Jesteśmy też niegłupie. Zrobimy tak, jak uczył nas tatuś. Będziemy pilnie obserwowały rozwój wydarzeń, a kiedy nadejdzie odpowiedni moment, uciekniemy.

- Masz złoto?

Silas stał w mrocznej izbie tawerny, przyglądając się dziewczynie obsługującej gości. Dawno nie miał kobiety. Był zbyt ostrożny, żeby tknąć którąś ze szlachetnie urodzonych pańien z Land's End. To mogłoby popsuć mu szyki.

- Tak, mam. - Eli Sledge wprost tryskał doskonałym humorem. - To był chytry pomysł ukryć złoto w skrzyniach od herbaty.

- Nasi wrogowie stają się coraz bardziej przebiegli. Po każdej przesyłce nabierają większego doświadczenia. Dlatego też

musimy ich zniszczyć, jeżeli chcemy stracić króla z tronu. Każdym swoim ludziom załadować dwie z tych skrzyń na mój okręt. Trzecia należy do ciebie. To zapłata za twoje usługi. - Chciwość mignęła w oczach Silasa. - A co z rodziną, która znajdowała się na pokładzie „Zewu Morza”?

- Są na górze. - Sledge uśmiechnął się. - Kiedy zapadnie zmrok, wyślę człowieka, aby ich zlikwidował. Moja załoga rwie się do kobiet.

- Widziałem je. Szkoda, że tak niechlubnie skończą. Te trzy siostry to jedne z piękniejszych dziewcząt, jakie spotkałem w życiu. - Silas westchnął i wychylił kufel piwa. - Nic nie można na to poradzić. Robimy to wszystko dla Anglii.

Sledge zobaczył wzrok, jakim jego towarzysz wodził za służącą.

- Masz ochotę wziąć sobie na noc dziewczynę, nim wyjedziesz?

- Czego bym nie dał, aby... - Pohamował się w porę i dodał szybko: - Muszę płynąć do Londynu. Moja narzeczona pragnie zobaczyć króla.

- Zamierzasz się ożenić?

- Nie. Obawiam się, że śliczna panienska zginie w wypadku, zanim staniemy przed ołtarzem. Ale była mi potrzebna. Miałem do załatwienia... kilka spraw w miejscowości, gdzie mieszka. Stanowiła dla mnie świetną przykrywkę.

- Rozumiem. Wykorzystałeś ją. - Sledge wypił piwo i stuknął opróżnionym kuflem o stół, na znak, że chce dolewki. Służąca podeszła pospiesznie z pełnym pucharem. Przy okazji spojrzała na jego towarzysza.

Silas zatrzymał dłużej wzrok na pełnych piersiach dziewczyny, wyzierających zza dekoltu zgrzebnej sukienki.

- Mam jeszcze trochę czasu, mogę sobie pozwolić na drugie piwo. - Wyciągnął przed siebie rękę z kuflem, zastrzegając: - Ale masz mi je przynieść do alkowy.

Sledge odchylił do tyłu głowę i roześmiał się głośno, gdy Silas schwycił dziewczynę za nadgarstek i wyprowadził z izby. Następnie wypił trunek, zastanawiając się usilnie, jak spożytkować pieniądze, w których posiadanie dopiero co wszedł.

Riordan otworzył oczy i skrzywił się z bólu. W głowie mu huczało, a zranione ramię pulsowało boleśnie. Po drugiej stronie izby Ambrozja i jej siostry, skupione wokół Newtona, przyciszonymi głosami dyskutowały o czymś zawzięcie.

Pomimo bólu spróbował usiąść. Przez chwilę miał wrażenie, że podłoga się pod nim zapada, ale kiedy nieprzyjemne uczucie minęło, podniósł się na nogi.

- Riordanie, nie męcz się. - Ambrozja podbiegła do niego i schwyciła za ramię, ponieważ potknął się, usiłując zrobić krok do przodu.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Ponad dwie godziny.

Spojrzał na starsze panie i Lamberta seniora drzemających na siennikach.

- A oni ile czasu już tak śpią?

- Mniej więcej tyle samo co ty.

W tym momencie ci, o których rozmawiali, poruszyli się i powoli otworzyli oczy.

- Dziadziusiu! Pani Coffey! Winnie! - Dziewczęta pochyliły się nad nimi troskliwie. - Czy nic wam się nie stało?

- Byłem bardzo zmęczony. Walka mnie wyczerpała. - Geoffrey Lambert pochwycił ręce wnuczki. - Czy ludzie Sledge'a już tu byli?

Ambrozja pokręciła głową przecząco.

- Słyszemy ich głosy na dole, w tawernie. Sądząc po tym, jak się śmieją, muszą już być dobrze podpici.

Riordan wymienił zaniepokojone spojrzenie z resztą rodziny.

- Tego właśnie się obawiałem. Kiedy się upiją, staną się jeszcze bardziej agresywni i brutalni.

- Niekoniecznie. - Ambrozja kiwnęła głową w stronę siostr.

- Właśnie zastanawialiśmy się, co zrobić, kiedy po nas przyjdą.

- Przede wszystkim musicie się trzymać jak najdalej od drzwi - ostrzegł Riordan. - Twój dziadek, Newton i ja będziemy pierwszą linią obrony. Będą musieli przejść po naszych trupach, żeby was dostać w swoje ręce.

- Nie zdołacie bronić się dłużej niż kilka minut. - Ambrozja dotknęła ręką jego ramienia przywiązanego bandażem do piersi.

- Pomyśl, Riordanie. Ile czasu możesz im stawiać opór?

- Dopóki mnie nie zabiją.

- Dobrze. Tak samo jak Newton i dziadek. Chcemy, abyś żył, żebyśmy wszyscy żyli. Proponuję wypróbować najpierw nasz plan.

- Macie jakiś pomysł?

Skinęła głową.

- Czasami najlepiej działać przez zaskoczenie. Myślę, że...

- Uniosła głowę, słysząc ciężkie kroki. - Nie mamy czasu do stracenia. Proszę, dziadku, Riordanie, pani Coffey i Winnie. Kładźcie się na posłania i udawajcie nieżywych. Newton ukryje się pod siennikiem.

Kiedy Riordan zaprotestował, zaczęła go prosić.

- Riordanie, błagam, zaufaj mi.

- Newtonie? - Spojrzył na starego żeglarza, który stał z nią równie niezdecydowaną, jak on.

Newton wzruszył ramionami.

- Nie mam w tej chwili lepszego planu niż ten, kapitanie.

- Ja też nie - oznajmił zmęczonym głosem Geoffrey Lambert.

- Wierzę w swoje dziewczęta - odezwała się z godnością panna Mellon. - Bądź co bądź, to ja uczyłam je myśleć.

- Bardzo dobrze. - Starsi pokładli się na siennikach. Rior-dan swoim ciałem zasłaniał Newtona, ale zamknął tylko jedno oko. Drugie zostawił otwarte. Na wszelki wypadek.

Ambrozja wraz z siostrami pilnie nasłuchiwała kroków na schodach. Ktoś zatrzymał się przed ich drzwiami. Dziewczęta splotły ramiona i stały nieruchomo, gdy odciano rygiel i otwierano zamek.

Na progu stanął brodaty pirat.

- Nie przyszedłem po was - oznajmił. - Przyszedłem po innych. Kapitan Sledge kazał ich zlikwidować, zanim moi koledzy zjawią się po waszą trójkę.

- Za późno. - Ambrozja wskazała na sienniki. - Rany kapitana Spencera okazały się śmiertelne. A co do reszty, to ich stare biedne serca nie wytrzymały straszliwych przeżyć.

Pirat nie krył wściekłości; ominęła go przyjemność mordowania. Widząc to, Ambrozja jeszcze bardziej umocniła się w swym postanowieniu. Pierwotnie zamierzała go jedynie zranić. Teraz musi go zabić, żeby nie ostrzegł innych.

Zmrużył oczy, rozglądając się dookoła.

- A stary marynarz?

- Uciekł. - Wargi Bethany zadrżały. Udało jej się nawet uronić kilka łez. - Wymknął się przez okno i uciekł jak tchórz.

- To niemożliwe. Sledge postawił na dole strażnika.

- Dałyśmy temu tchórzowi trochę złota, aby go przekupił.

- Macie złoto? - Pirat podszedł do nich bliżej.

- Tak. - Darcy potrząsnęła złotymi lokami. - Więcej, niż nam potrzeba. Czyż nie widziałeś skrzyń ze złotem pod pokładem naszego statku?

- Tak, ale powiedziano nam, że to nie wasze złoto. To złoto jest podobno przeznaczone dla króla.

Bethany roześmiała się.

- Może Sledge tak wam tłumaczył, bo chce je zatrzymać dla siebie.

- Piraci tak nie postępują. My dzielimy się łupem sprawiedliwie.

- Skąd wiesz? - zapytała podstępnie Ambrozja. - Czy ty i twoi towarzysze uczestniczą w otwieraniu skrzyń i liczeniu złota?

- Nie, ale dostajemy to, co się nam należy.

- Jesteś pewien? - Ambrozja zrobiła powątpiewającą minę.

- Przypuszczam, że wasz kapitan daje wam tylko tyle, żebyście nie szemrali, a sam bogaci się waszym kosztem.

Ich słowa wyraźnie zrobiły wrażenie na piracie. Zaczął się zastanawiać.

Ambrozja doszła do wniosku, że czas przystąpić do rokowań.

- Chciałbyś być bogaty tak jak Sledge?

- W jaki sposób?

- Nie mamy obrońcy. - Bethany uroniła kolejną łzę. - Gdybyś się zgodził nim zostać, możesz liczyć na naszą wdzięczność.

Bezradność trzech młodych kobiet zachwiała wolą pirata. Wielokrotnie walczył z korsarzami monarchy i odnosił nad nimi zwycięstwa. Dlaczego nie miałby zmierzyć się z własnymi kamratami, gdyby zaszła taka konieczność? Zdrada opłaci mu się sowicie. Dostanie złoto. Tyle złota, że będzie żył jak jakiś książę. Przy okazji zdobędzie wdzięczność tych trzech pięknych dam, które w zamian będą mu służyć na czterech łapkach i spełniać każdy jego kaprys, jak długo sobie zażyczy.

Utwierdzony w poczuciu własnej wartości, pirat minął dziewczęta i postąpił w głąb izby.

- Najpierw muszę sprawdzić, czy pozostali naprawdę nie żyją-

Kiedy schylał się nad pierwszym siennikiem, poczuł nagle

pałacy ból w plecach. Chciał się wyprostować, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Sięgnął ręką do tyłu i poczuł, że w plecach tkwi nóż, wbity aż po rękojeść.

Westchnął spazmatycznie, wydając ostatnie tchnienie i zważył się na Riordana.

Dziewczęta zepchnęły go na bok, a Riordan i Newton podnieśli się na nogi. Geoffrey usiadł na posłaniu, spoglądając z niedowierzaniem na wnuczki. Pani Coffey i panna Mellon odwróciły głowy, nie chcąc patrzeć na trupa.

- Idziemy - ponagłała Ambrozja. - Musimy natychmiast uciekać, zanim zjawią się inni rozbójnicy. Nie mamy chwili do stracenia.

Wyszli pospiesznie z pokoju i zaczęli zbiegać w dół, gdy nagle usłyszeli kroki wstępujących na schody piratów.

Riordan przystanął na chwilę.

- Czy znasz jakiś inny sposób ucieczki? - zapytał Ambrozji. Pokręciła głową przecząco.

- Niestety, to jedyny plan... Ale... Mam pomysł. - Rozejrzała się wokół i następnie wskazała na małą drabinę. - Szybko - wyszeptwała. - Wyjdziemy po niej na zewnątrz.

Newton wspiął się pierwszy i otworzył małe zapadowe drzwiczki prowadzące na dach. W ślad za nim poszły obie starszki, a następnie Bethany i dziadek. Po nich na drabinę weszły Darcy i Ambrozja. Riordan zamykał szereg.

- Mamy tylko kilka minut - ostrzegł Riordan. - Z chwilą gdy piraci spostrzegą, że uciekliśmy, dom i ulica zaroją się od ludzi Sledge'a.

Ambrozja spojrzała na rząd spadzistych dachów, mających w nikłym świetle wieczoru. Następnie uniosła do góry spódnicę, przeklinając w duchu ich długość i obfitość. W takich szatach trudno jest kobiecie swobodnie się poruszać. Żałowała, że nie ma na sobie spodni.

- Pochodzimy ze starej żeglarskiej rodziny. Nasi przodkowie od małości byli uczeni, jak wspinać się po linach i na maszt. Z pewnością mamy radę przeskoczyć kilka dachów, jeżeli to ma być dla nas jedyną drogą do wolności.

Geoffrey Lambert zaśmiał się cicho.

- Masz rację, moje dziecko. - Zwrócił się do Riordana, który spoglądał na nich jak na osoby niespełna rozumy.

- Chodź, chłopcze. Co mamy do stracenia?

- Tylko życie - odburknął Riordan, idąc za trzema kobietami po dachu aż do samej jego krawędzi.

- A pani Coffey i panna Mellon?

- W młodości byłam bardzo silna i sprawna fizycznie - odparta wyniosłe Winifred Mellon. - Sądzę, że kilka dachów nie okaże się dla mnie za wielką przeszkodą.

- A co na to pani Coffey? - zapytał Riordan.

Ochmistrzyni pobladła, ale dzielnie uniosła do góry spódnicę, zdecydowana dotrzymać im kroku.

- Jeżeli panna Mellon może skakać po dachach, mogę i ja.

- Dokąd pójdziemy, gdy już znajdziemy się na ziemi? - spytała szeptem Darcy.

Uciekinierzy zatrzymali się i spojrzeli na Riordana. Ten odpowiedział bez wahania.

- „Zew Morza” spoczywa na dnie oceanu. Co sądzicie o tym, aby zabrać statek Sledge'a, „Trupią Czaszkę”?

- Świetny pomysł. - Ambrozja przycisnęła do boku zaciśniętą pięść. - To sprawiedliwe rozwiązanie.

- Zgadzą się. - Bethany ścisnęła rękę siostry. - Pobiegnijmy do doków i popłynijmy w pław do „Trupiej Czaszki”.

- Tak jest. Musimy odpłynąć, nim nastanie świt. - Riordan spojrzął po twarzach uciekinierów, aby sprawdzić, czy go dobrze zrozumieli. - W przeciwnym razie nie wyjdziemy z tej przygody żywi. Musimy wypłynąć w morze, zanim się rozwid-

ni, nawet jeżeli któreś z nas nie dotrze w porę na miejsce. Zgadzacie się?

- Tak - odpowiedzieli zgodnym chórem.

Przez okienko facjaty usłyszeli wrzaski i przekleństwa piratów. Zbóje właśnie znaleźli trupa swego towarzysza i odkryli ucieczkę więźniów.

- Teraz - rozkazał Riordan - nie ma czasu do stracenia.

Pobiegli na krawędź dachu i skoczyli na drugi dach. Następnie, wyężdżając wszystkie siły przebiegli na kolejny i znowu na kolejny, byle tylko znaleźć się jak najdalej od swoich prześladowców.

- Gdzie Ambrozja? - Riordan uczeplił się krawędzi spadzi-stego dachu, próbując przeniknąć gęstniejący mrok.

Noc zapadała szybko. Dla uciekających więźniów było to zarazem korzystne i niebezpieczne. Ciemności chroniły ich przed pościgiem, ale jednocześnie nie pozwalały dostrzec wszystkich przeszkód.

- Z przodu, kapitanie. - Newton wskazał na spódnicę właśnie znikającą za kominem. - Pilnuje dziadka i starszych dam, aby w razie potrzeby przyjść im z pomocą.

- Trzymaj się blisko nich, Newtonie. Nie chciałbym, aby przydarzyło im się coś złego.

- Dobrze, kapitanie. A co z panem?

- Dam sobie radę.

Newton pobiegł naprzód, a Riordan potrząsnął głową z podziwem. Pół miasta wyległo z domów. Rozsierdzeni piraci przebiegali ulice, klnąc na czym świat stoi i wymachując szpadami. A ta niezwykła rodzina uciekała przed pościgiem, nie tracąc spokoju i nie okazując zmęczenia, które przecież dobrze dawało im się we znaki.

Sam Riordan cierpiał straszliwie. Przy każdym kroku wiro-

wało mu w głowie, a oczy zachodziły mgłą. Rozpłatanie ramię piekło niemiłosiernie. Podtrzymywała go jedynie myśl, że kiedy dotrą do pirackiego statku, będą ocaleni.

Czuł się odpowiedzialny za tę rodzinę. Przysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki nie wyprowadzi ich wszystkich bezpiecznie z tego diabelskiego miasteczka.

Kolejny dach wynurzył się przed nim z ciemności. Zacisnął zęby w przewidywaniu bólu, jaki go czeka przy skoku. Zebrał siły i skoczył, chwytając się przeciwległego komina zdrową ręką. Stał tak przez chwilę, chwiejąc się na nogach, bliski upadku. Po pewnym czasie mgła na oczach ustąpiła nieco i wtedy zobaczył biegnącą przed nim po dachach resztę rodziny.

Już niedługo, powiedział sobie, już niedługo będą bezpieczni. A on wreszcie odpocznie. To była ostatnia przytomna myśl, jaka przebiegła mu przez głowę, zanim świat nie zawirował mu przed oczami. Riordan poczuł, że leci w dół, między domy.

- Trzymaj się, dziadku. - Ambrozja pomogła starszemu panu przeczołgać się dalej. - Jesteśmy już prawie u celu.

- Sam dam sobie radę.

Uśmiechnęła się w ciemności.

- Wiem o tym. Jestem z ciebie niezmiernie dumna, dziadku.

- A ja jestem dumny z ciebie, panienko, ale nie mów hop, póki nie przeskoczysz. To jeszcze nie koniec naszej ucieczki.

- Prawie. - Podprowadziła go do krawędzi dachu, skąd już było blisko do doków.

- Spójrz, dziadku. Jeszcze tylko jeden dach.

Czekała, aż skoczy, a potem poszła w jego ślady. Przeszli przez dach i zatrzymali się na jego skraju, aby spojrzeć w dół. Za nimi postępowali Newton i Bethany, konwojując dwie starsze panie.

- Gdzie Darcy i Riordan? - zapytała Ambrozja, rozglądając się wokół.

- Idą tuż za nami - odparła Bethany. - Jest tylko pytanie, jak teraz zejdziemy?

- Zaczekajcie. - Newton zaczął krążyć po dachu. - Może uda mi się coś znaleźć.

Wrócił po chwili i zaprowadził ich do miejsca, gdzie oparta o odległą ścianę, stała wysoka drabina.

Zsunęli się po niej i co sił w nogach pobiegli w stronę doków. Zanim dotarli do nabrzeża, dołączyła do nich Darcy.

- A gdzie jest Riordan?

- Powinien tu być lada chwila. Szedł tuż za mną.

Newton wskazał na okręt w oddali.

- Nie mamy czasu do stracenia.

- Dobrze. - Bethany zerwała z siebie suknię. Darcy zrobiła to samo.

Starsze panie wahały się. Dzielnie odpierały piratów, wspomagając walczących; uciekały, skacząc po spadzistych dachach, ale rozebranie się na oczach wszystkich! To przekraczało ich możliwości. Wreszcie, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, przemogły się i szybko zrzuciły z siebie suknie i halki.

Bethany i Darcy pierwsze wskoczyły do wody, nie popłynęły jednak, aby w razie potrzeby pospieszyć z pomocą obu starszym paniom i dziadkowi.

Newton zwrócił się do Ambrozji.

- Idziesz, panienko?

- Zaczekam na Riordana.

- Nie powinnaś czekać, panienko. On zaraz się zjawi. Kazał mi iść przodem, abym czuwał nad waszym bezpieczeństwem.

- Dam sobie radę. Oboje damy sobie radę. Idź już, Newtonie. Popłyniemy za tobą.

Stary żeglarz, nie zwlekając, wskoczył do wody.

Ambrozja śledziła go wzrokiem przez jakiś czas, po czym spojrzała na oświetlone miasteczko. Chęć ucieczki walczyła w niej z pragnieniem odnalezienia Riordana. W końcu zwyciężył lęk o ukochanego. Nie mogła go zostawić. Nie byłaby w stanie cieszyć się życiem, nie mając pewności, że on również ocalał.

Zawróciła w stronę miasteczka. Kryła się za budynkami, gdy światło pochodni zbliżało się w jej stronę. Właśnie przemykała się w cieniu tylnej ściany jednego z domostw, kiedy zobaczyła kogoś leżącego na ziemi. Gdy podeszła bliżej, usłyszała jęk. Domyśliła się, że jest to Riordan.

- Och, mój kochany. - Uklękła i dotknęła dłonią jego szyi. Puls był wprawdzie słabo wyczuwalny, ale był; świadczył, że życie nadal kołatało się w piersi kapitana Spencera.

- Czy możesz wstać?

- Uciekaj - wyszeptał z wysiłkiem. Gardło miał tak wysuszone, że nie mógł przełknąć śliny. - Zostaw mnie... Rozkazuję ci...

- Popłynę do statku i sprowadzę pomoc.

- Nie. Zakazuję ci...

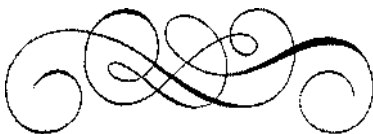
- Cicho. Zaraz wrócę, kochanie.

Podniosła się i zaczęła biec w kierunku doków. W momencie gdy skręcała za róg jakiegoś domu, uderzyła jak w ścianę w czyjaś szeroką pierś.

Silne ręce pochwyciły ją i ścisnęły za ramiona. Głęboki ochryply głos powiedział:

- No, proszę, co za niespodzianka! Widzę, że postanowiłaś wrócić, aby sprawić przyjemność mnie i moim ludziom.

Ambrozja zamarła z przerażenia. Okrutne, drwiące oczy Eliego Sledge'a śmiały się jej prosto w twarz.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ambrozja rozpaczliwie usiłowała uwolnić się z rąk pirata, ale był znacznie od niej silniejszy.

- Gdzie twoja rodzina? - zapytał groźnie.

- Uciekli. - Modliła się w duchu, aby nie zauważył Riordana leżącego w trawie z tyłu, za budynkiem. Następnie inna przerażająca myśl przebiegła jej przez głowę. Jeżeli Riordan będzie jęczał, wskaże tym samym drogę piratom. Zdecydowana ratować go za wszelką cenę wyrwała się rozbójnikowi ostatkiem sił i zaczęła uciekać w przeciwnym kierunku, by jak najdalej odciągnąć go od ukochanego.

Z ciemności doszedł ją świst pejczy, który rozwinięty zniecka, okręcił się wokół jej szyi niczym wąż. Została pociągnięta do tyłu z taką siłą, że zabrakło jej tchu. Co gorsza, nie mogła go odzyskać. Zaczęła się dusić. Chociaż rozpaczliwie wczepiła palce w rzemień zaciskający gardło, nie była w stanie rozluźnić pętli. Czuła, że zaczyna słabnąć. Czarne koła tańczyły jej przed oczami. Gdy wydawało się jej, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej, zacisk bicia osłabł i mogła już złapać trochę powietrza w umęczone płuca. Cienkie strużki krwi pociekły po szyi.

- Niech to będzie dla ciebie lekcją na przyszłość, kobieto. Nie próbuj nigdy uciekać od Eliego Sledge'a. W przeciwnym razie mój wierny przyjaciel wybije z ciebie życie. - Kopnął ją końcem buta. - Słyszysz, co mówię?

- Tak. - Było to jedyne słowo, które mogła z siebie wydu-

sić. Gardło miała tak wysuszone, że nie mogła nawet przełknąć śliny.

- Chodź, kobieto. - Pociągnął ją, aby wstała, i zaczął wlec w kierunku tawerny.

Mijając jednego ze swoich kamratów, zawołał:

- Powiedz reszcie, że znalazłem jednego zbiega! Kobietę. Jeżeli nie złapiemy pozostałych, zapłacą za tych, którzy się nam wymknęli.

Ambrozja nie odważyła się nawet myśleć o tym, jaki los ją czeka w tawernie. Na razie pocieszała się jednym: najważniejsze, że udało jej się odciągnąć herszta piratów od miejsca, gdzie leżał Rior-dan. Teraz chodzi przede wszystkim o to, aby znaleźć w sobie dość siły, by dotrzeć do statku, na którym oczekuje go reszta rodziny.

Pomimo zmęczenia i bólu, Ambrozja starała się w miarę możliwości stawiać równe i pewne kroki.

Kiedy potknęła się, przyciągnął ją brutalnie i pomacał po piersiach. Wzdrygnęła się, nie mogąc powściągnąć uczucia obrzydzenia. Zła była na siebie za ten odruch. Nie powinna ujawniać swoich słabości.

Wyprostowała plecy i dalej postępowała za nim w stronę oświetlonej tawerny.

Zaprowadził ją do małej, bocznej izby i wepchnął do środka. Potknęła się i omal nie upadła. Wziął patyk, przytrzymał chwilę nad ogniem kominka, a kiedy rozjarzył się na dobre, zapalił nim kaganek osadzony w uchwycie na jednej ze ścian. Kazał jej stać, a sam usadowił się na krześle i uniósł do góry wieko skrzyni. Błysnęło złoto. Pirat sięgnął ręką do środka i zaczerpnął pełną garść żółtawych monet.

- Widzisz je, kobieto? To nagroda za to, że uwalniam świat od takich jak wy.

- Myślałam, że robisz to wyłącznie dla przyjemności. Przecież lubisz zadawać ból.

- To prawda. Lubię swoją robotę. Jeszcze bardziej mi się ona podoba, kiedy mi za nią płacą. Teraz mam tyle złota, że mogę kupić za nie każdą kobietę i każdą ilość piwa.

- Tylko tyle oczekujesz od życia?

- Tylko to mnie interesuje. Lubię też płynąć na szybkim okręcie, kiedy ścigają mnie wrogowie.

- Przypuszczam, że masz ich bardzo wielu.

- To prawda. - Odchylił głowę i zarechotał donośnie. - Ale to mi wcale nie przeszkadza. Ludzie mnie nie obchodzą. Są dla mnie niczym. Zabić człowieka to dla mnie tyle, co zabić muchę - rzecz bez znaczenia. - Wrzucił złoto do kieszeni. Następnie opuścił pokrywę, złapał Ambrozię za ramię i popychając przed sobą, skierował się do głównej izby.

Gdy Eli ze swoim więźniem stanęli na progu, piraci uciszyli się natychmiast. Pijackie wrzaski i śmiechy umilkły jak ucięte nożem. Z napięciem czekali na to, co powie Eli.

- Popatrzcie tylko, kogo znalazłem, koledzy - wykrzyknął tubalnym głosem. - Przyjaciele opuścili ją, a sami uciekli. Myślę, że znajdziemy sposób, żeby ją pocieszyć. Co o tym sądzicie?

- Nie wiem, czy będzie taka wesoła, gdy przejdzie przez moje ręce. - Wielki, zwały mężczyzna o siwych włosach opadających w tłustych strąkach na ramiona i żółtych zębach wystąpił naprzód. - Mam na nią wielką ochotę.

- Dlaczego Seton ma ją mieć pierwszy? - zapytał z pretencją inny pirat. - Ja też chcę ją mieć.

- Ciągnijmy losy - zaproponował inny. - To najbardziej sprawiedliwe rozwiązanie, ponieważ każdy z nas chce ją posiadać.

- Dobrze, możecie o nią grać. Niech nikt nie waży się jej tknąć przede mną. Ja będę pierwszy. - Eli Sledge spojrzął po twarzach kamratów, ciekaw, czy znajdzie się śmiałek, który odważy mu się sprzeciwić,

W izbie zapanowała nieprzyjemna cisza.

- Doskonale - rozpromienił się Sledge. - Stawiam wszystkim piwo. Będziemy pili, a ta kobieta będzie nas zabawiać. - Popchnął ją do przodu. - Zatańcz dla nas.

- Tak, tak. Niech dla nas zatańczy. - Mężczyźni zaczęli klaskać i walić kuflami o blaty stołów.

Oszołomiona Ambrozja zrobiła kilka niepewnych kroków, ale zaraz opanowała się i wyprostowała z godnością. Początkowo widziała niejasno jedynie zaczerwienione twarze piratów oraz ich płonący, pożądlivy wzrok. Gdy jej oczy przywykły do panującego w izbie półmroku, uważniej popatrzyła na oblicza otaczających ją mężczyzn. Miała nadzieję, że dostrzeże w ich oczach chociaż cień współczucia lub żalu. Zastanawiała się, czy między zbirami jest chociaż jeden człowiek, który by w razie czego gotów był przyjść jej z pomocą. Jednak im dłużej się im przypatrywała, tym większy lęk ją ogarniał. Zrozumiała, że ci ludzie już dawno stracili poczucie sprawiedliwości, wrażliwość na niedolę innych. Obce im było współczucie czy chęć pomocy. Troszczyli się tylko o siebie i zaspokojenie swych najbardziej wulgarnych, prymitywnych potrzeb.

Wrzaski i śmiechy potęgowały się, w miarę jak w kuflach ubywało piwa. Piraci pili i domagali się więcej trunku. Niektórzy z nich wyciągali do Ambrozji łapska, gdy ich mijała, i szczyпали boleśnie, aż jej twarz czerwieniała z gniewu i upokorzenia. Inni śmiali się i kpili. Jeden nawet kopnął ją tak, że upadła.

- Kazałem ci tańczyć, kobieto.

Na rozkaz Sledge'a Ambrozja zebrała siły i zaczęła kręcić się i przeginać. W pewnym momencie, gdy przechylając się w tańcu, przesuwiała się między stolikami, jeden ze starszych piratów wyciągnął rękę i zadarł jej spódnice do góry. Uderzyła go po łapie z całej siły ku niewymownej radości pirackiej tłuszczy, która aż zawyła z uciechy na ten widok.

Uświadomiła sobie nagle, że to głównie na jej osobie skupia się uwaga zbirów. Gdyby w jakiś sposób udało jej się ograniczyć ich aktywność tylko do picia i patrzenia, być może udałoby się jej uciec. Musiała spróbować ucieczki, niezależnie od ryzyka, jakie ona ze sobą niosła.

Podniosła spódnicę do góry, odsłaniając kostki i zaczęła tańczonym ruchem okręcać się po izbie. Piratów ogarnął szal. Niektórzy doszli do takiego stanu podniecenia, że powchodzili na stoły, żeby ją lepiej widzieć.

Gdy tak wiła się i przeginała, kręcąc między stolikami, zwróciła uwagę na drzwi do izby. Pomieszczenie miało dwa wyjścia. Każdego pilnował jeden pirat. Pierwszy, uzbrojony w nóż, baczynym okiem obserwował otoczenie. Drugi trzymał rękę pod spódnicą służącej. W tej to parze Ambrozja dostrzegła pewną szansę. Niewykluczone, że w jakimś momencie pirat i dziewczyna zechcą poszukać intymnego kącika i przestaną pilnować drzwi. Ambrozja tańczyła dalej, starając się ani na chwilę nie spuszczać z oka czulącej się pary.

Jeden ze starszych piratów przerwał niespodziewanie jej zadumę. Szarpnięciem pociągnął ją ku sobie, złapał za ramiona i pocałował w usta. Zaskoczona, w pierwszej chwili spoglądała tylko na niego osłupiałym wzrokiem. Piraci wrzeszczeli na znak aprobaty i zanosili się od śmiechu. Ambrozja jednak nie puściła zbójowi płazem tego upokorzenia. Zaraz po tym wyrwała kufel z ręki pirata i niewiele myśląc, wylała mu jego zawartość na głowę.

Kątem oka zobaczyła, że Eli Sledge rozwija pejcz. Zesztywniała z przerażenia czekała, kiedy ją uderzy.

Cios jednak nie padał. Gdy rozejrzała się wokół, spostrzegła, że piraci, jak jeden mąż, wstali z miejsc i rycząc ze śmiechu, zaczęli klaskać.

- Brawo, dziewczyno! - wykrzyknął jeden z nich.

- Dobrze mu tak. Dołóż mu jeszcze - dopingował drugi.

Ambrozja obejrzała się na Eliego Sledge'a. Nadal siedział z ponurą miną, ale reakcja kamratów powstrzymała go od wymierzenia kary. Z wolna zaczął owijać z powrotem rzemień wokół ramienia. Ambrozja zdusiła lęk i na nowo zaczęła wić się i przeginać między zatłoczonymi stolikami. Na jakiś czas przynajmniej mogła odetchnąć z ulgą.

Riordan szedł w ciemnościach, potykając się co krok. Świat wokół niego wydawał się niewyraźny i zamazany. Ramię znowu zaczęło krwawić. Krew przesiąkła przez opatrunek i poplamiła koszulę i spodnie. Kiedy sięgnął ręką do twarzy, by otrzeć z niej pot, pozostały na niej krwawe smugi. Nie jest ze mną jeszcze tak źle, próbował pocieszać się Riordan. Mam dwie zdrowe nogi i zdrową rękę. W niej to właśnie trzymał nóż dotychczas ukryty w bucie.

Tym, co dodawało mu sił do dalszego marszu i dopingowało do postawienia następnego kroku, był dochodzący do niego z ciemności głos; głos człowieka, którego obraz prześladował go od czasu tragicznej śmierci Johna i Jamesa Lambertów. Nie mógł dopuścić, aby ten zbir skrzywdził następną osobę z tej wspianiałej rodziny.

Ambrozja. Riordan poczuł, że krew zaczyna tętnić mu w skroniach, gdy zbliżał się do tawerny. Nie dbał o własne życie. Wiedział jedno: jeśli kobieta, którą kocha, zginie z rąk tego zwyrodnialca, to on również nie ma po co żyć.

Podczołgał się do małego okienka i zajrzał przez nie do środka. Widok, który ujrzał, zmroził mu krew w żyłach.

Młody pirat chwiał się na nogach i toczył dookoła dzikim wzrokiem. Jego twarz, ongiś całkiem niebrzydka, została straszliwie oszpecona. W jakiejś walce przeciwnik odciął mu ucho i połowę policzka. Teraz zagradzał drogę Ambrozji, przystawiając jej pistolet do głowy.

- Daj jej spokój, Griff! - wykrzyknął jakiś mężczyzna.
- Nie mogę. Spójrzcie tylko na nią. Ona jest taka piękna.
- Ręka trzymająca pistolet drżała. - Żadna kobieta nie ma prawa być taka piękna. Zwłaszcza teraz, kiedy moja Becky spoczywa w zimnym grobie.
- Ona nie zabiła twojej Becky! - wykrzyknął inny pirat.
- Tamta kobieta była podobna do tej. Tak samo piękna.
- Przycisnął mocniej pistolet do policzka Ambrozji. Poczowała woń strzelniczego prochu. Ogarnął ją paniczny lęk. Gardło miała tak ściśnięte ze strachu, że niemal dusiła się z braku powietrza.
- Odłóż pistolet, Griff - rozkazał Sledge. Mówił nienaturalnie łagodnym głosem.
- Pozwól mi ją zabić, kapitanie.
- Chcesz mi zepsuć zabawę? - Głos herszta bandy nabrał ostrzejszych tonów. - Odłóż broń, Griff, natychmiast. Inaczej będę zmuszony cię zastrzelić.

W końcu strach przed dowódcą wziął górę i ostudził w rozbójniku obłąkańczą żądzę mordu. Odjął broń od policzka Ambrozji, wysypując proch na jej włosy, szyję i ramiona. Mężczyźni roześmieli się głośno. Ambrozja strząsnęła proch, nadal stojąc w miejscu jak skamieniała.

Nigdy nie zetknęła się tak bezpośrednio z ludzkim szaleństwem. Była pewna, że nie wyjdzie żywa spod ręki obłąkańca, i z rozpaczą oczekiwała nieuniknionej śmierci.

Poszturchiwania i kuksańce piratów kazały jej ruszyć się z miejsca i podjąć przerwany taniec.

Zbójce zachowywali się coraz głośniejsze. Ochryple głosy wypełniały izbę nieznośną wrzawą. W przeciwieństwie do swoich kamratów, Eli Sledge siedział samotnie przy stoliku, przyglądając się otoczeniu i dumając. Ilekroć opróżnił kufel, służąca natychmiast podbiegała do niego z pełnym dzbanem. Eli znany

był z tego, że z lada powodu wpadał we wściekłość. Nikt nie chciał narażać się na piekące ukąszenia jego pejcza.

- Dawajcie tutaj tę kobietę! - wykrzyknął.

Śmiechy zamilkły. Kilku zbirów pochwyciło Ambrozię i powlokło ją przez izbę do stołu, przy którym siedział ich herszt.

- Zatańcz dla mnie, kobieto. - Wskazał miejsce końcem pejcza. - Tutaj, na tym stole.

Silne ramiona podsadziły ją do góry. Stała z rękami wspartymi o biodra i nie spuszczała z niego wzroku.

Zrozumiała, że właśnie straciła jedyną okazję do ucieczki. Prawie już dotarła do wyjścia. Teraz wszystko przepadło. Mężczyźni utworzyli krąg wokół stołu i zaczęli klaskać i wykrzykiwać.

Widząc, że dziewczyna nie rusza się z miejsca, Eli zaczął odwijać rzemień.

- Może potrzebujesz zachęty?

Spojrzała na niego z nienawiścią i powoli, tanecznym ruchem obracała się wokół krawędzi stołu.

- Szybciej. Pokaż mi swoje nogi. - Duszkiem wypił piwo.
- Swoje długie, piękne nogi.

Służąca podbiegła z dzbanem, a Ambrozja uniosła spódnice i coraz szybciej kręciła się i wirowała. Na ten widok mężczyźni zaczęli klaskać, poddając rytm.

- Unieś spódnice - rozkazał Sledge.

Ambrozja spełniła polecenie, chociaż przekłęta w duchu swego prześladowcę. Ani na chwilę nie zdejmowała oczu z jego pochmurnej twarzy. Dostrzegła na niej napięcie, którego przedtem nie było. Mroczne oczy płonęły pożądaniem, jakiego nie widziała u żadnego mężczyzny. Przeraziło ją to bardziej niż obłąkańczy wybryk młodego pirata.

Przełknęła ślinę, aby zdławić strach, który zaciskał jej gardło, pozbawiając tchu. Musi być silna. Musi czujnie obserwować to, co się dzieje wokół niej, ażeby, gdy taka możliwość się po-

jawi, rzucić się od razu do ucieczki. Jeżeli nie otrzyma od losu takiej szansy, będzie bronić się do ostatka. Zatopi sztylet we własnym sercu, nim ten potwór weźmie ją w swoje łapy.

- Podejdz tutaj, kobieto. - Podniósł rękę do góry.

Klaskanie natychmiast umilkło. Mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą śmiali się dobrodusznie, dopingując do żywszego tańca, uciszyli się natychmiast. Na sali zapanowała pełna napięcia cisza.

Stojąca na podwyższeniu Ambrozja widziała wszystko, co się dzieje ponad głowami rozbójników. Kiedy dostrzegła w oknie zakrwawioną twarz, omal nie krzyknęła z wrażenia. Powstrzymała się, kiedy zrozumiała, że to Riordan. Jej ukochany Riordan.

W lot uświadomiła sobie, że jakakolwiek zmiana w wyrazie jej twarzy bądź zachowaniu może go narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Kobieto. Kazałem ci się zbliżyć.

Ambrozja wiedziała, że musi zrobić wszystko, aby skoncentrować na sobie uwagę piratów, jeżeli ma ocalić Riordana. Przybierając uwodzicielską pozę, wsparła się rękami o biodra i przeszła wolno po stole w stronę Eliego.

W połowie drogi zatrzymała się. Uśmiechając się z przymusem, powiedziała zaczepnym tonem:

- Jeżeli mnie chcesz, to sam musisz do mnie podejść i wziąć. Proszę, czekam.

- Jak ty... - Zerwał się na nogi i odwinął pejcz.

Piraci, rozgrzani piwem i perspektywą miłosnych igraszek z tancerką, zaczęli go zachęcać okrzykami, wołając:

- Daj jej nauczkę, kapitanie!

- Bierz ją tutaj! A potem daj ją nam!

- Nie zwlekaj dłużej, kapitanie! Bierz się za nią, tutaj, natychmiast!

Sledge odepchnął krzesło ruchem tak gwałtownym, że roz-

trzaskało się o ścianę, po czym wskoczył na stół i stanął naprzeciwko Ambrozji. Na jego ustach igrał szatański uśmiech.

- Przygotuj się, kobieto. Dam ci lekcję, której nigdy nie zapomnisz.

Ponad głową pirata Ambrozja dostrzegła, jak Riordan próbuje przedostać się przez wąskie okienko. Widok ukochanego, jego zakrwawionej twarzy i odzieży sprawił, że serce skurczyło jej się z bólu. Musiał straszliwie cierpieć. A mimo to wrócił po nią, więc ona musi zrobić wszystko, by go nie zawieść.

Wiedziała, że Riordan potrzebuje czasu, aby wstać na nogi i wymierzyć w cel. Koniecznie musiała przeciągnąć obecną sytuację.

- Mówisz do mnie ciągle „kobieto”. Nie możesz się do mnie zwracać po imieniu? Nie interesuje cię, jak się nazywam?

Eli zmrużył oczy.

- Nie czuję takiej potrzeby. Dlaczego niby miałbym to robić? Twoje imię nie ma dla mnie znaczenia.

- Znasz moją rodzinę. Mego ojca. - Wstrząsnęła się z bólu na to wspomnienie. Zdusiła jednak to uczucie i nadal przemawiała do Sledge'a spokojnym i kojącym głosem, mimo że kipiła ze złości. - Mojego brata.

- Znam ich?

- Tak. Nazywam się Ambrozja Lambert. To ty przecież zabiłeś mego ojca Johna i brata Jamesa.

- Lambert. - Eli Sledge podniósł ramię i z całej siły trzasnął pejcem o blat stołu. - To wspaniałe. Dobrze o tym wiedzieć. Zabicie kapitana Johna Lamberta i jego syna sprawiło mi niewymowną przyjemność. Byli wiernymi poddanymi tego cholernego króla Karola, którego już dawno powinno się strącić z angielskiego tronu. Nic mnie tak nie ucieszy jak to, co zrobię z jego córką. Po tym wszystkim będziesz mnie błagała... - Urwał raptownie. Jego oczy nabrały dzikiego wyrazu i prawie wyszły z orbit. Ciało zeszytywniało, a chwilę potem zważyło na podłogę.

Nim wstrząśnięci piraci zrozumieli, że został ugodzony nożem w plecy aż po rękojeść, minęło kilka sekund.

Korzystając z ogólnego zamieszania, Ambrozja rzuciła się do ucieczki. Skakała ze stołu na stół, ponad głowami zbirów, którzy zebrali się wokół ciała zabitego herszta. Jak najszybciej pragnęła dostać się do Riordana. Ten stał, blady jak płótno, chwiejąc się na nogach i ciężko dysząc. Wycelowanie w Sledge'a i rzucenie w niego nożem zupełnie wyczerpało jego siły.

- Chodź, kochanie. - Mimo iż ledwie trzymał się na nogach, pochwycił jej rękę i pociągnął za sobą do wyjścia.

- Nie. - Zatrzymała się i zawróciła.

- Co robisz? Czyż nie widzisz, że w każdej chwili ten rozwścieczony tłum zacznie nas ścigać?

- Owszem, rozumiem, ale przedtem muszę jeszcze wyrównać z nimi rachunki.

Wyciągnęła kaganek z uchwytu na ścianie i przytknęła do drewnianego stołu. Początkowo pełzający leniwie po blacie ogienek wyskoczył nagle w górę wysokim płomieniem w zerknięciu z kałużami rozlanego alkoholu. Ogień rozprzestrzenił się z każdą sekundą, przerzucał się błyskawicznie na coraz inne obiekty, wciąż przybierając na sile.

Sięgnęła do kieszeni sukni i cisnęła w płomienie garścią prochu, aby podsyć pożar.

- Pali się! - wykrzyknął ktoś z tłumu.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze. W tawernie zapanował nieopisany harmider.

- Musimy uciekać. - Riordan chwycił Ambrozię za rękę. Ale i tym razem nie usłuchała jego polecenia.

- Nie. Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy zrobić, kochanie.

Byli już na zewnątrz budynku. Riordan oparł się bezsilnie o pień drzewa. Zastanawiał się, jak długo jeszcze uda mu się zachować przytomność.

- O co chodzi, Ambrozjo?

- Złoto. - Zanim zdążył ją zatrzymać, wpadła do bocznej izdebki i za chwilę pojawiła się, dźwigając przed sobą z trudem ciężką skrzynkę.

- W jaki sposób zamierzasz zaciągnąć taki wielki ciężar na statek?

- Nie obawiaj się. Znajdę jakiś sposób. - Zniknęła w ciemnościach. W niedługim czasie wróciła z małą furką zaprzęzoną w konia.

Uginając się pod ciężarem skrzyni, ostatkiem sił wywindowali ją na wóz. Kiedy już ją na nim umieścili, Ambrozja usadowiła Riordana z tyłu, a sama zasiadła na koźle i potrząsnęła lejcami. Koń ruszył z miejsca.

Ulice Cairn zaroily się od mieszkańców, którzy pędzili w stronę gospody gasić ogień. Była obawa, że pożar przeniesie się na sąsiednie budynki. Nikt nie zwrócił uwagi na niepozorną furkę, zdążającą w kierunku portu.

Kiedy już dotarli na miejsce, Ambrozja rozejrzała się w poszukiwaniu łódki. Gdy ją spostrzegła, pędem rzuciła się w jej stronę. Łódź jednak była zajęta. Siedział w niej jakiś przygarbiony mężczyzna.

Nim zdążyła się przed nim skryć, mężczyzna już ją dojrzał. Podniósł się z miejsca. W ręku trzymał coś błyszczącego. Z rezygnacją czekała, co zrobi dalej.

Wstrząsnęła się z radości, usłyszawszy znajomy głos.

- Czy to ty, panienko?

- Newton - odetchnęła z ulgą. - Och, Newtonie, dzięki Bogu, że to ty.

Schwyciła go za rękę i zaprowadziła do wozu, w którym leżał Riordan. Oddech miał płytki i urywany, a ciało skapanie w pocie.

- Musimy natychmiast przenieść go na łódkę.

- Tak jest, panienko. - Stary żeglarz wyciągnął Riordana z furki, a następnie pomógł mu przejść przez plażę i ułożyć się na dnie łodzi.

Kiedy się odwrócił, zobaczył Ambrozię brnącą z trudem przez piasek i dźwigającą przed sobą ciężkie pudło.

- Co to jest, panienko?

- To złoto, Newtonie. Musimy się śpieszyć. Lada chwila ta banda zbirów rzuci się na nami w pogoń.

Byli tak spięci i zdenerwowani, że załadowanie skrzyni do łodzi szło im dość nieporadnie. Kiedy w końcu stary żeglarz ujął za wiosła, usłyszeli nadciągające od miasta wrzaski i krzyki rozsierzonego tłumu. Były to głosy pędzących w ślad za nimi piratów.

- Ile czasu czekałeś na nas, Newtonie? - zapytał Riordan.

- Przez całą długą noc, kapitanie. Wiedziałem, że jeżeli nie zjawicie się przed świtem, będę musiał wrócić na statek sam. Postanowiłem jednak czekać dopóty, dopóki się nie rozwidni.

A także modlić się za was, dodał w myślach. Przez długie samotne godziny spędzone przy brzegu modlił się tak żarliwie, jak nigdy dotąd.

Teraz też dziękował Bogu, że oszczędził mu takiego dramatycznego wyboru - czekać na Ambrozię i Riordana, czy odpłynąć bez nich.

Reszta rodziny trwała w pogotowiu na pokładzie, aby, gdy dopłyną, pomóc im dostać się na górę. Gdy rozwścieczeni rozbójnicy wskakiwali w porcie do łódek, żeby puścić się za nimi w pogoń, Ambrozja z siostrami stawiały żagle „Trupiej Czaszki” i obserwowały, jak pożar ogarnia coraz większe połacie pirackiego miasteczka Cairn.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ambrozja stała przy burcie „Trupiej Czaszki”, przyglądając się gorączkowej krzątaninie piratów na brzegu. Najwyraźniej nie wiedzieli, co począć: czy gasić ogień, który ogarniał miasto, czy ścigać złodziei, którzy porwali im statek. Niektórzy spuścili już nawet szalupy na wodę i płynęli w ślad za kilwaterem. Nie trudno było je zauważyć, bo długa linia kaganków znaczyła ich drogę we mgle.

Geoffrey Lambert zwrócił się do Riordana:

- Podpalenie miasta to genialne posunięcie, chłopcze.

Riordan uśmiechnął się mimo bólu.

- To nie mój pomysł, Geoffrey. To pomysł twojej wnuczki.

- Powiniennem się tego domyślić. - Starszy pan objął ramieniem Ambrozię i pocałował w czoło. - Zawsze wiedziałem, że niczego nie robisz połowicznie. A teraz, powiedz nam, co się z tobą działo i w jaki sposób odebrałaś piratom złoto.

- Dobrze, dziadku, opowiem. - Odwróciła się do Riordana, który kurczowo przytrzymał się barierki, jak gdyby w obawie, że jeżeli ją puści, to upadnie zemdlony na ziemię. - Najpierw musimy opatrzyć jego rany.

- A jak wyglądają twoje obrażenia? - Geoffrey dotknął palcem jaskrawoczerwonych pręg na szyi. Zobaczył, że skrzywiła się z bólu. - Nimi też się zajmiemy.

Stary kapitan zwrócił się do Newtona:

- Zaprowadzimy ich na dół, do kajuty.

- Ależ to jest twoja kajuta, dziadku.

- Spokojnie, dziewczyno. - Spojrzał na nią z czułym uśmiechem. - Dużo bardziej wolę spać w hamaku, jak to robiłem za młodu. Tak właśnie czuję się w tej chwili, jak młody chłopak przeżywający swoją pierwszą morską przygodę. - Odechnął głęboko. - Teraz, kiedy już jesteśmy bezpieczni, zaczyna mi się to wszystko... podobać. Mam wrażenie, jakbym odmłodził.

Podsunał rękę pod łokieć Riordana i sprowadził go w dół, po czym otworzył drzwi do kajuty, sam zaś dyskretnie odsunął się na bok.

- Opatrzcie rany, a potem oboje prześpijcie się trochę.

Nim zdążyli zaprotestować, oddalił się, nucąc starą marynarską piosenkę, której nauczył się w młodości.

Riordan podszedł do koi i usiadł na niej, przyciągając do siebie Ambrozię. Dotknęła jego rozpalonego czoła.

- Masz gorączkę, musisz wziąć środki przeciwbólowe.

Potrząsnął głową.

- Najlepszym lekarstwem jesteś ty, ukochana. Pomyśleć tylko, ryzykowałeś życie, aby wrócić po mnie. - Pokręcił głową ze zdumieniem. - Był moment, kiedy myślałem, że zginęłaś już z ręki tego potwora... - Urwał. Serce biło mu gwałtownie i czekał, żeby jego rytm trochę się uspokoił. - Nigdy w życiu nie przeżyłem takich chwil grozy jak wtedy, gdy ujrzałem cię zdaną na łaskę tych drani. Upokarzaną, wyśmiewaną, potracaną. Serce mi się krajało, kiedy widziałem, przez jakie piekło przechodziłaś. Wtedy przysiągłem sobie: albo znajdę sposób, żeby cię ocalić, albo zginę, ratując cię. - Ujął jej twarz w dłonie i zajrzał głęboko w oczy. - Moja najdroższa Ambrozjo. Czy zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś wspaniała? Mój zachwyt i podziw dla ciebie nie mają granic. Tchu mi brakuje w piersiach z nadmiaru uczuć, gdy myślę o tobie. Nigdy nie spotkałem równie zdumiewającej kobiety. Mam uczucie, że... - Zabrakło mu słów, więc

tylko objął ją czule i obsypał pocałunkami. Wyraził w nich wszystko, co do niej czuł - całą swą miłość, oddanie i uwielbienie.

Delikatnie próbowała wysunąć się z jego objęć.

- Riordanie, twoje rany.

- Sza. To jest ważniejsze. - Wyciągnął się na koi i przygar-
nął ją do siebie. Po chwili oboje spali już kamiennym snem.

Było późne popołudnie, kiedy Ambrozja i Riordan pojawili się na pokładzie. Obmyli się już z brudu i krwi i przebrali.

- Proszę, proszę. - Stojący za kołem sterowym Geoffrey spojrzął na nich z uznaniem. - Znowu wyglądacie jak ludzie.

- I tak się też czujemy - odpowiedział z uśmiechem Riordan. Rozejrzał się wokół.

- Ile statków nas ściga?

- Naliczyliśmy trzy albo cztery - oznajmiła pani Coffey.

- Ale są dużo mniejsze od naszego i znacznie gorzej uzbrojone - wtrąciła ze znanstwem Winifred Mellon. - Czy wiecie, że na tym pokładzie są aż cztery działa oraz duża liczba szpad i pistoletów?

- To niewiarygodne. - Riordan nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc entuzjazm dźwięczący w głosie obu starszych pań. Sprawiały wrażenie, jakby świetnie się bawiły.

- Jak pani sobie przypomina, panno Mellon, kadłub naszego biednego „Zewu Morza” odczuł na sobie całą siłę tych armat.

Geoffrey Lambert uśmiechnął się lekceważąco.

- Wątpię, żeby piraci zdołali nas dogonić. Szczególnie teraz, kiedy złapaliśmy wiatr z tyłu! Powinniśmy dotrzeć do Londynu jeszcze przed zmrokiem.

- Król przypuszczalnie będzie bardzo zawiedziony, że nie uratowaliśmy całego złota - zauważyła ze smutkiem Darcy.

Riordan uśmiechnął się. Ona i jej siostry przeszły piekło, ale

podobnie jak ich dziadek, zadziwiająco szybko otrząsnęły się ze strasznych przeżyć i odzyskały równowagę ducha. Równie prędko wróciła im energia i zapał.

- Król Karol będzie zły, ale nie na nas. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby przeciwstawić się napastnikom. *Dzięki* odwadze Ambrozji, uratowaliśmy jedną skrzynię ze złotem.

- Jakim sposobem udało ci się tego dokonać? - spytała Bethany.

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. Ciemne loki wdzięcznie zafalowały wokół twarzy. - Byłam wściekła. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że bandyci, zamiast ponieść karę za swe okrucieństwa, otrzymują za nie nagrodę. Myślę, że to gniew dodał mi sił i podsunął te wszystkie pomysły: podpalenie tawerny, zabranie złota i skradzenie fury z koniem.

- Naprawdę to wszystko zrobiłaś? - nie mogła nadziwić się Bethany. - Bardzo żałuję, że mnie tam nie było.

- To wprost nieprawdopodobne. - Darcy klasnęła w ręce. - Musisz nam to wszystko dokładnie opowiedzieć, Ambrozjo.

- Popieram ten pomysł - wtrącił Lambert senior. - Zapoznaj nas z tą niesłychaną historią. Chcemy znać każdy jej szczegół.

- Zrobię to, obiecuję. - Pocałowała go w policzek. - Może jeszcze dziś wieczorem, przy kolacji, teraz bowiem czeka mnie inne zadanie. Chcę wspiąć się na górę i przyjrzeć łodziom, które nam depczą po piętach.

Ambrozja wspięła się na maszt i stamtąd obserwowała morze. Siostry poszły w jej ślady.

Tymczasem Geoffrey Lambert przyglądał się twarzy stojącego przy nim Riordana. Stary kapitan nie miał wątpliwości, że odbijała prawdziwe uczucia młodego człowieka.

- Masz zachwycającą wnuczkę, Geoffrey.

- To prawda, chłopcze.

- Gdyby nie ona, nie byłoby mnie tutaj.
- Ambrozja twierdzi, że ty także ocaliłeś jej życie. - Podał mu rękę. - Do ostatka pozostanę twoim dłużnikiem.

Obaj mężczyźni uroczyście uścisnęli sobie dłonie. Następnie Riordan przeszedł na dziób i zastąpił Newtona przy sterze. Kiedy poczuł na twarzy świeży powiew wiatru, a pod stopami kołyszący się pokład, pomyślał, że znowu jest na swoim miejscu. A przecież jeszcze kilkanaście godzin temu był przekonany, że nie wydobędzie się z pułapki.

Spojrzał w górę i przyglądał się, jak Ambrozja i jej siostry uwijają się pośród lin i żagli. Następnie odwrócił się w stronę dwóch starych żeglarzy, którzy oparli o barierkę, wspominali liczne morskie przygody. Tuż obok siedziały dwie stare damy. Z głowami nachylnymi ku sobie, po raz kolejny odtwarzały w pamięci każdy moment niezwyklej ucieczki. Przepełniało je poczucie dumy, iż nie zawiodły, że okazały się dzielne i odważne i wspomogły Lambertów.

Ten dzień, pomyślały, był prawdziwym darem niebios. Darem, który powinny zachować w sercu i pamięci jak najcenniejszy skarb i czcić jak najcenniejszą pamiątkę. A na doładek, jeśli wszystko pójdzie dobrze, dziś wieczorem zobaczą Londyn.

- Och - syknęła ze złością Ambrozja, ukłuwszy się boleśnie igłą w palec. Zmarszczyła czoło, widząc, że maleńka kropla krwi splamiła tkaninę, z której w wielkim pośpiechu szyła wraz z siostrami. Aż podskoczyła na krześle ze zdenerwowania. - Wiesz dobrze, Winnie, że nie nadaję się do ręcznych robótek. Nie cierpię tego zajęcia.

- Wiem o tym, moje dziecko. Rzeczywiście go nie lubiałaś. Za to, jeśli chodzi o skakanie i wspinanie się, to zawsze byłaś najlepsza ze wszystkich.

Bethany odrzuciła na bok materiał, nad którym pracowała, i tupnęła nogą z rozdrażnieniem.

- Po co to w ogóle robimy? I tak nikt tego nie rozpozna.

- Pytasz, po co to robimy? Nie zapominaj, że to jest okręt piracki - odpowiedziała mentorskim tonem Winifred Mellon. Przez całe życie, gdy zachodziła potrzeba, uciekała się do tego tonu i nigdy jej nie zawiódł. - Chcesz, żeby w Londynie zaczęto do nas strzelać?

Riordan, który spacerował po pokładzie, przystanął i spojrzął Ambrozji przez ramię.

- Co to ma być?

- Angielska flaga. - Ambrozja zauważyła powątpiewanie na jego twarzy. - Przynajmniej takie jest założenie. Żadna z nas, z wyjątkiem Winnie, nie ma talentu do ręcznych robótek.

- Uważasz, że można wywiesić coś takiego?

- Oczywiście. Innej nie mamy. - Guwernantka wzięła robotę wychowanic do rąk i zaczęła ją poprawiać. O dziwo, kiedy skończyła, tkanina przypominała rzeczywiście angielską banderę. - Zbliżamy się do Londynu z pieniędzmi dla króla. Jeśli nie wywiesimy naszych barw, może nas spotkać przykra niespodzianka ze strony straży przybrzeżnej. Przecież to jest piracki statek.

Riordan odszedł, ukrywając uśmiech. Nie było sensu im mówić, że posiada flagę od samego króla Karola. Flagę, która otworzy im każde drzwi w Londynie.

Zmierzchało się już, kiedy „Trupia Czaszka” wpłynęła na wody Tamizy. Przed oczami pasażerów zabłyśły światła stolicy. Widok ten poruszył ich serca. Kochali dom w Kornwalii bardziej niż jakikolwiek inny zakątek na świecie, ale Londyn był miejscem szczególnym. To tutaj urzędował ich monarcha, a splendor królewskiej obecności do pewnego stopnia spływał również i na jego poddanych.

Ambrozja odwróciła się od barierki.

- Czy wiesz, dokąd mamy zawijać, Riordanie? Król ma przecież kilka rezydencji.

- To prawda, ale jego ulubione miejsce to Hampton Court i St. James Palace. Wiem, że często gości swoje przyjaciółki w Whitehall, ale w zasadzie nie lubi tego pałacu, ponieważ łączy się dla niego z przykrymi wspomnieniami z dzieciństwa. To tam stracono jego ojca, Karola Pierwszego.

Ambrozja pomyślała o śmierci swego własnego ojca i poczuła duchowe pokrewieństwo z młodym królem. Był zaledwie chłopcem, kiedy stracił rodzica. Widział jego okaleczone ciało.

„Trupia Czaszka” płynęła powoli w górę Tamizy. W pewnym momencie Riordan wyciągnął rękę, mówiąc:

- Nie widzę wywieszanej flagi. Wygląda na to, że Karol przebywa w Hampton Court.

Ambrozja zapatrzyła się przed siebie.

- Będiesz musiał do niego pojechać i wytłumaczyć, dlaczego nie dowieźliśmy całego złota.

- Tak. - Nakrył ręką jej dłoń spoczywającą na poręczy. Spuszczono żagle i Newton podprowadził statek do nabrzeża.

- Udasz się do niego od razu?

- Tak. Możliwie jak najszybciej, ale najpierw muszę was zawieźć do swej londyńskiej posiadłości.

- Masz tutaj dom? - Uświadomiła sobie, że Riordan nigdy nie wspominał jej o swym majątku. Z wyjątkiem tego, czego dowiedziała się od Edwiny, a co, przyznawał, było prawdą, nie wiedziała nic o jego przeszłości. Pozostała dla niej owiana tajemnicą. Jednak obecna sytuacja nie sprzyjała zadawaniu pytań, zwłaszcza że czas naglił.

Na brzegu Riordan zaprowadził ich na miejsce postoju powozów i tam wynajął jeden z nich. Kiedy się usadowili, zawołał posłańca i wręczył mu kilka rulonów listów oraz trochę pieniędzy. Następnie zajął miejsce obok Ambrozji. Rodzina Lamber-

tów z zaciekawieniem wyglądała przez okna pojazdu. Zafascynowanym wzrokiem spoglądali na rzesze ludzi sunące ulicami miasta. Widzieli eleganckie powozy, w których siedziały pięknie ubrane damy oraz równie wytwornie ubrani mężczyźni. Oglądali sprzedawców, targujących się z pokojówkami i gospościami oraz żebraków natarczywie domagających się jałmużny od mijających ich w pośpiechu przechodniów. Z ciekawością przypatrywali się kramarkom ubranym w długie czarne spódnice i krótkie bluzki oraz miejskim elegantom w satynowych spodniach i jasnych kapeluszach przybranych piórami. Wlepiali wzrok w czarnoskórych mężczyzn w bogato zdobionych nakryciach głowy oraz w ich osobliwe kobiety omotane w wiotkie kolorowe tkaniny zastępujące im suknie. Byli tam przybysze z Indii, Hiszpanii a nawet Dalekiego Wschodu.

- Ostatni raz byłam w Londynie jako mała dziewczynka - odezwała się z zadumą panna Mellon. - Zapomniałam, że to takie ciekawe miasto.

- To prawda - potwierdziła pani Coffey, wciągając w płuca aromat herbaty i egzotycznych przypraw. - I na dodatek jakie kolorowe.

- A jakie brudne. - Geoffrey Lambert zmarszczył z odrazą nos. Ogarniający ich zewsząd tłum ludzi i zwierząt, usiłujący wyminąć się w wąskich ulicach, przejmował go najwyższym wstrętem.

Ambrozja czuła ramię Riordana przyciśnięte do swego boku. Tak mało mieli czasu, aby pobyć sam na sam.

- Poczekasz do rana czy jeszcze dzisiaj pojedziesz do króla?

- Jeszcze dzisiaj. Muszę tylko umyć się i przebrać. A skoro mowa o ubraniu... - Spojrzał na swoje wystrzępione spodnie i wyplamiony płaszcz. - Uważacie, że powinienem przebrać się, idąc z wizytą do króla?

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej - odparła panna Mellon, marszcząc z oburzeniem nos.

Ambrozja dostrzegła swawolny uśmiech na twarzy Riordana i zrozumiała, że sobie z nich zażartował. Do woźnicy zawołała, aby zatrzymał powóz przy Bond Street.

Czekali na zewnątrz sklepu, podczas gdy Riordan załatwiał coś w środku. Wziął ze sobą Geoffreya i Newtona. Po pewnym czasie ze sklepu wyszedł młody subiekt i przytroczył kilka wielkich pakunków do tylnej części powozu. Trzej mężczyźni powrócili do kobiet, uśmiechając się tajemniczo. Riordan powiedział im jedynie:

- Przypuszczam, że panie chętnie by sobie kupiły coś do ubrania. Przecież wasze kufry poszły na dno wraz z „Zewem Morza”.

- Nie mamy pieniędzy - zaprotestowała Ambrozja.

Uniósł brwi do góry.

- Możemy uszczknąć nieco królewskiego złota.

- To niemożliwe. - Siostry były wyraźnie zgorzzone jego propozycją.

Riordan wybuchnął śmiechem.

- Nie przejmujcie się, panie. Moje konto jest do waszej dyspozycji. Londyńskie banki nadal mi ufają.

Nim zostawili za sobą gwar wielkiego miasta, zatrzymali się jeszcze kilkakrotnie - u krawcowych i modystek. Stos pakunków z tyłu powozu rósł w oczach; bezustannie dochodziły do niego nowe paczki.

Toczący się wolno powóz wjechał w końcu do pięknego parku i zatrzymał się przed frontem dobrze utrzymanego budynku. Ambrozja szybkim spojrzeniem obrzuciła twarz Riordana. Jeżeli nawet cieszył się z przyjazdu do domu, nie dał tego po sobie poznać. Powitała ich gospodyni, pani Davies. Natychmiast wydała stosowne rozkazy. Służba rozbiegła się na wszystkie strony obsługiwać niespodziewanych gości. Szykowała pokoje i kąpiele, a także herbatę dla pań i piwo dla panów.

- Co z kolacją, kapitanie Spencer? - spytała pani Davies.

Ambrozja odpowiedziała w imieniu całej rodziny.

- Jest już bardzo późno, a my jesteśmy zmęczeni i wyczerpani. Wolelibyśmy wykapać się i odpocząć, niż biesiadować przy stole. Co ty na to, Riordanie?

Riordan skinął głową ze zrozumieniem. Gospodyni umknęła, zadowolona, że nie będzie musiała nakrywać dla tylu osób w jadalni. Tace z jedzeniem przyniesiono gościom do pokoiów. W ciągu godziny w domu zapadła cisza. Większość służby również udała się na spoczynek. Wiedzano, że pomęczeni podróżni śpią już w łóżkach dobrze zasłużonym, głębokim snem.

Ambrozja siedziała w swym pokoju, grzejąc się przy kominu. Do pełnego szczęścia tej nocy brakowało jej tylko Riordana. Myśl, że być może spożywa w tej chwili kolację z królem, wywołała rozmarzony uśmiech na jej twarzy. O czym on i król mogą rozmawiać? Jak właściwie wygląda rozmowa z władcą Anglii? Próbowała wyobrazić sobie Riordana Spencera, tego, którego znała, na prywatnej audyencji u króla.

Czy rzeczywiście znała swego Riordana? Bezsensowne pytanie. W gruncie rzeczy nie wiedziała o nim prawie nic. Naprawdę nic. Wiedziała tylko tyle, że jest dobry, uprzejmy i uczciwy, że pomógł jej i rodzinie w ciężkich chwilach i ani razu nie wspomniał, iż zamierza ich opuścić.

Usłyszała, że ktoś wchodzi do pokoju. Odwróciła się, przekonana, że to pokojówka. Tymczasem ujrzała Riordana. Cicho zamknął za sobą drzwi, a następnie oparł się o nie i spoglądał na Ambrozię wzrokiem, który sprawił, że serce zabiło jej niespokojnie.

Był ubrany na czarno. Miał na sobie wytworną czarną kamizelkę oraz czarne spodnie wpuszczone w wysokie buty. Na świeżo umytych włosach połyskiwały jeszcze krople wody. Wyglądał tak jak wtedy, gdy zobaczyła go pierwszy raz. Był ciemnowłosym, tajemniczym nieznajomym.

Podniosła się i postąpiła ku niemu.

- Myślałam, że jesteś u króla.

- Zaraz do się do niego wybieram. Przed odjazdem chciałem zobaczyć się z tobą. - Stał ciągle w tym samym miejscu, napawając oczy jej widokiem. Kędzierzawe włosy, umyte i skropione wonnościami, opadały na plecy. Ambrozja miała na sobie biały szlafroczek zakupiony u jednej z krawcowych, gdy jechali do rezydencji Riordana. Miękki materiał podkreślał wdzięczne kształty.

- Byłaś taka zadumana, gdy wszedłem. O czym myślałaś, Ambrozjo?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- O tym, że tak niewiele wiem o tobie, Riordanie.

- Wiesz, że cię kocham. Czy to nie wystarczy?

- Ależ tak, wystarczy. - Podeszła bliżej. Dół szlafrocza fałował wdzięcznie wokół kostek.

Przypomniała mu się chwila, gdy pierwszy raz zobaczył jej bosa stopy wysuwające się spod brzeżka nocnej koszuli. Było to w MaryCastle; szła do swego pokoju. Ogarnęło go wtedy przemożne pragnienie, aby wziąć Ambrozię w ramiona i już jej nie wypuścić. W tej chwili pragnął tego samego.

- Jak długo zabawisz u króla?

- To zależy od Karola. Godzinę albo dzień, a może nawet tydzień. Jego życzenie jest dla mnie rozkazem.

Tydzień? To słowo wzbudziło w jej sercu nagły lęk. Ona i jej rodzina nie zabawią w Londynie tak długo. Za dzień lub dwa będą musieli wrócić do domu, do Kornwalii. Czy uda jej się zobaczyć jeszcze Riordana?

Dotknęła dłonią jego policzka. Zrobiła to niezwykle serdecznie i czule.

- Będzie mi ciebie brakowało, Riordanie.

- Mnie ciebie równie, Ambrozjo. Chciałbym...

Przerwał. Spojrzała na niego pytająco.

- Co chciałbyś?

- Chciałbym zostać tutaj i kochać się z tobą przez całą noc. A także przez cały jutrzejszy dzień. I przez następną noc...

Roześmiała się.

- A kiedy w takim razie byśmy spali? Nie mielibyśmy czasu na sen.

- To prawda, ale miłość lepiej by nam zrobiła niż najdłuższy wypoczynek. - Przygarnął ją do siebie i przycisnął usta do rozwichrzonej gęstwiny włosów na skroni. - Czy wiesz, jak bardzo się bałem, kiedy zobaczyłem cię w tej tawernie, w rękach okrutnych i brutalnych piratów?

- Dobrze to rozumiem. Ja bałam się tak samo, kiedy wrzuciono cię do morza, rannego i nieprzytomnego.

- Przyrzeknij, kochanie, że już nigdy więcej nie wystawisz mnie na podobną próbę.

Odsunęła się nieco i zjrzała mu w oczy.

- Owszem. Jeżeli ty obiecasz to samo.

Westchnął przeciągle, nie wiadomo, z gniewem czy rozpaczą. Ogarnął spojrzeniem wdzięczną postać, kaskadę czarnych włosów, wyniosłe zadarty nos i nabrzmięte wargi. Opuścił wzrok niżej i zobaczył grube przekrwione pręgi szpecące łabędzią szyję.

- Wielki Boże. Wyobrażam sobie, jak bardzo cię to bolało - rzekł urywanym głosem, po czym delikatnie pocałował rannione miejsca.

- Już dobrze. Teraz, kiedy jesteśmy bezpieczni, zapomniam o bólu.

Riordan ślubował sobie nigdy tego nie zapomnieć. Nie spocznie, dopóki wszyscy winni zadania tych tortur, nie zostaną ukarani.

Zapomniał o gniewie, kiedy odnalazł jej usta. Przedłużał pocałunek, napawając się słodkim smakiem jej warg. Po tym przy-

ciągnął ją jeszcze bliżej i całował tak mocno i żarliwie, że oboje zaczęli drżeć z pożądania.

- Bardzo chciałbym zostać przy tobie, ale nie mogę. Rozumiesz to, prawda?

- Tak. - Odetchnęła głęboko, aby uspokoić rozbudzone zmysły.

Usłyszeli odgłos nadjeżdżającego powozu oraz nagłące wołanie gospodyni, pani Davies.

- Jeszcze chwila - wyszeptał Riordan, nie wypuszczając Ambrozji z objęć i raz po raz całując jej usta. Namietność potęgowała się z każdą sekundą i nie pozwalała kochankom odebrać się od siebie.

- Nie mogę już dłużej zwlekać. Król na mnie czeka - rzekł wreszcie, z trudem odrywając się od ukochanej.

- Rozumiem. Wiem, że musisz jechać, Riordanie.

Odwrócił się do wyjścia, po czym wrócił, aby raz jeszcze ucałować Ambrozię.

Ich oddechy stały się chrapliwe i urywane.

- Kapitanie Spencer! - nawoływała z dołu pani Davies. - Pański powóz już zajechał.

Riordan po raz ostatni pocałował Ambrozię. Następnie odwrócił się i wyszedł energicznie z pokoju, jak gdyby w obawie, że się rozmyśli.

Starannie zamknął za sobą drzwi. Jego kroki jeszcze przez chwilę rozbrzmiewały na schodach.

Ambrozja pośpieszyła do okna i patrzyła, jak Riordan wsiaada do powozu. Kiedy konie ruszyły, spojrzał w jej okno i uniósł rękę w geście pożegnania.

Wsuwając się między koce, Ambrozja wciąż czuła na ustach smak jego warg. Marzyła tylko o jednym: aby mieć ukochanego przy sobie, w swych ramionach, w swoim łóżku. W swoim życiu.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Dzień dobry - odezwała się wesoło Ambrozja, wchodząc do obszernej jadalni domu Riordana. Rodzina siedziała już przy stole, czekając, aż podadzą śniadanie.

Wszyscy sprawiali wrażenie wypoczętych i odprężonych. Patrząc na ich twarze, nikt by nie odgadł straszliwych przeżyć, jakie stały się ich udziałem w ciągu ostatnich dni.

- Jak spałaś, moja droga? - Geoffrey Lambert wstał i pocałował ją w policzek. Następnie z galanterią przytrzymał jej krzesło.

- Całkiem nieźle, choć muszę przyznać, że brakowało mi kołysania hamaka.

Staruszek zauważył spojrzenie Newtona.

- Mówi jak prawdziwy żeglarz, nie uważasz?

- Zgadza się, kapitanie.

Ambrozja nie powiedziała rzecz jasna, że jeszcze bardziej brakowało jej Riordana. Wbrew rozsądkowi miała nadzieję, że wróci w nocy i przyjdzie do jej pokoju. Kiedy obudziła się rano, spostrzegła, że jest w łóżku sama. I bardzo samotna.

Gospodyni, pani Davies, wkroczyła do jadalni, prowadząc za sobą kilku służących, którzy zaczęli podawać do stołu.

- Czy kapitan Spencer dał już o sobie znać? - spytała Ambrozja.

- Na razie nie, ale jesteśmy do tego przyzwyczajeni. To bardzo typowe zachowanie dla kapitana. Zdarza się, że wyjeżdża na kilka miesięcy bez słowa uprzedzenia.

Ambrozja położyła na kolanach splecione ręce, starając się nie myśleć o tym, co przed chwilą usłyszała. Miesiący... Nie wyobrażała sobie nawet kilku dni bez Riordana, a co dopiero mówić o miesiącach.

Ktoś zapukał do drzwi. Gospodyni pośpieszyła je otworzyć. Wróciła, trzymając w ręce zwój pergaminu.

- To przesyłka dla pani, panno Lambert.

- To list z królewską pieczęcią. - Ambrozja wpatrywała się w zwój przez dłuższą chwilę, zanim zdobyła się na odwagę, by go rozwinąć.

Kiedy skończyła czytać, oznajmiła z przejęciem:

- Zostaliśmy wezwani do Hampton Court. Król pragnie nas widzieć.

Rodzina spoglądała na nią z niedowierzaniem.

Ambrozja podała list niani i guwernantce w jednej osobie.

- Proszę, Winnie. Przeczytaj, jeśli mi nie wierzysz.

Panna Mellon przebiegła pismo wzrokiem, po czym skinieniem głowy potwierdziła słowa Ambrozji.

- Rzeczywiście jesteśmy... - Urwała i wybuchnęła płaczem. - Wielkie nieba. Jesteśmy zaproszeni przez króla do jego pałacu.

W domu zapanowało nie dające się opisać zamieszanie. Pięć nieprzytomnych z wrażenia kobiet zaczęło się szykować do największego wydarzenia w ich życiu - wystąpienia na dworze królewskim.

Przede wszystkim należało pomyśleć o odpowiednich toaletach. Wybrać suknie, szale i halki, a także czepce i miękkie giemzowe trzewiki; zatroszczyć się o swoje włosy, skóry i cery. Te ostatnie były przedmiotem ich szczególnych zabiegów. Podczas podróży policzki ogorzały od wiatru i pokryły się lekką opalenizną, tracąc blade odcień angielskich róż. Zastanawiały

się, jak się odezwać i ukłonić i jak się zachować wobec licznego zgromadzenia na monarszym dworze.

Oszołomiona rodzina wciąż nie mogła przyjść do siebie z wrażenia, natomiast Ambrozja myślała tylko o jednym. Spotka się z Riordanem. Nic innego się dla niej nie liczyło. Nawet myśl, że na własne oczy ujrzy króla Anglii, była jej obojętna. Poza tym, uzmysłowiła sobie, w salach recepcyjnych pałacu bywało naraz po dwieście, trzysta osób. Kto ich zauważy w takim tłumie?

Wreszcie nadszedł koniec przygotowań. Wszyscy zebrali się w salonie. Wygląd dziadka tak zaskoczył kobiety, że zaniemówiły z wrażenia. W modnych satynowych spodniach i ciemnej kamizelce Geoffrey Lambert wyglądał niezwykle elegancko. Nigdy nie widziały równie wytwornego dżentelmena.

Nawet Newton wystroił się na tę okazję w nową kamizelkę i ciemne spodnie, ale odświętny strój nie wpłynął na jego postawę. Nadal poruszał się jak marynarz, który całe życie spędził na morzu. Odmówił też przyjęcia nowych butów, twierdząc, że nie warto marnować pieniędzy na parę, skoro ma tylko jedną stopę.

Zanim powóz, który miał ich zawieźć do Hampton Court, zajechał przed dom, napięcie wśród rodziny sięgnęło zenitu.

Pani Coffey miała na sobie szykowną czarną suknię oraz efektowny, dobrany kolorystycznie koronkowy szal. Wzór stanowiły pięknie wyhaftowane kwiaty i liście.

Panna Mellon była ubrana jak zwykle na biało. Biały strój harmonizował z kolorem jej włosów, delikatnych i miękkich jak puch kurczęcia. Kolor twarzy starej niani nie odbiegał od całości - była tak blada, jakby za chwilę miała upaść na ziemię zemdlona.

Bethany zamówiła dla siebie aksamitną szmaragdową suknię, która podkreślała głęboką zieleń jej oczu i ogniście rude włosy. Suknia miała głębokie wycięcie przy szyi i długie, zwę-

żające się przy nadgarstkach rękawy. Nie ulegało wątpliwości, że w takiej toalecie Bethany przyciągnie wszystkie męskie spojrzenia.

Darcy wybrała cieniutki jedwab w szafirowym odcieniu, doskonale współgrający z jasnym błękitem jej źrenic. Okragły dekolot odsłaniał ramiona. Jediną ozdobę stanowiły koronkowe wstawki wszyte w bufiaste rękawy. Suknia Darcy była tak prosta i skromna, jak jej młodziutka właścicielka.

Aksamitna toaleta Ambrozji, suto marszczona w pasie, miała się intensywną czerwienią. Została wykończona wysoką stójką, która zasłaniała krwawe pręgi nadal szpecące długą szyję panny Lambert. Szpiczaste zakończenia długich rękawów zachodziły na dłonie. Z ciemnymi kędziorami zebranymi z boku głowy i opadającymi ciężką kaskadą na ramiona i pierś, wyglądała jak prawdziwa angielska lady.

Lambert senior odchrząknął i powiedział z uczuciem:

- Drogie panie. Wyglądacie prześlicznie. Każda z was przypomina piękny, barwny kwiat. Równie pięknych kwiatów nie ma w całej Anglii. Jestem szczęśliwy, że mogę wam asystować w spotkaniu z naszym monarchą.

- Och, dziadku. - Wnuczki uśmiechnęły się radośnie i położyły splecione ręce na kolanach, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy zajadą na miejsce.

Geoffrey widział, że najbardziej podekscytowana z nich wszystkich jest Ambrozja. Bez trudu odgadł przyczynę. Miał nadzieję, że Riordan Spencer tęskni za nią równie mocno, jak ona za nim.

Powóz wjechał w długą, krętą drogę wiodącą do pałacu Hampton Court. Po obu jej stronach stali, tworząc szpaler, żołnierze gwardii królewskiej. Byli ubrani w czerwone, szamowane złotem mundury. W rękach trzymali obnażone szpady.

Przepych i elegancja rzucały się w oczy na każdym kroku. Wspaniale utrzymane ogrody zachwycały bogatą gamą wyszukaną roślinności. Były też fontanny o różnorodnych kształtach. Uwagę gości przyciągnął wreszcie sam pałac, ulubiona siedziba Karola. Król upodobał go sobie nie tylko z powodu pięknego otoczenia, ale także zdrowego wiejskiego powietrza.

Na koniec powóz zatrzymał się. Natychmiast zjawił się lokaj w liberii, który pomógł wysiąść podróżnym. Wprowadzono ich do środka pałacu, gdzie już kłębił się tłum wcześniej przybyłych gości.

Rodzina Lambertów z ciekawością przyglądała się utytułowanym osobistościom oraz damom, które im towarzyszyły. Królewskie salony roiły się od takich osób.

- Boże, ileż tu ludzi - zauważyła Darcy, ściskając rękę Ambrozji dla dodania sobie odwagi.

- Rzeczywiście. Kim są ci ludzie, dziadku?

- Jest tu wielu, którzy pragną wnieść petycję do króla. Inni przyszli domagać się zadośćuczynienia za jakieś doznane krzywdy. Podejrzewam jednak, że większość z nich przybyła tu tylko po to, aby zobaczyć króla i popisać się przed innymi swoją pozycją i wpływami. - Puścił do niej oko. - A zresztą, czy jest inne, bardziej odpowiednie miejsce do tego celu dla naszej arystokracji niż dwór królewski? Tutaj nasi notable mogą pokazać innym, jacy są ważni.

- Chcesz powiedzieć, dziadku, że snują się po salonach przez cały dzień tylko po to, aby się pokazać i być zobaczonymi przez innych? - spytała Darcy, otwierając usta ze zdziwienia.

- Tak przypuszczam. Przynajmniej podczas pobytu króla w pałacu. I wydaje mi się, że nam też nie pozostaje nic lepszego do roboty.

Zaledwie wymówił te słowa, usłyszeli za plecami znajomy piskliwy głos.

- A wy jakim cudem znaleźliście się tutaj? - Edwina Cannon i jej matka niemal do nich podbiegły. Nie ukrywały zaskoczenia ich widokiem w takim uprzywilejowanym miejscu. Nie mogły uwierzyć, że sąsiadki z Land's End również dostały za szczytu przestąpienia progów królewskiego pałacu.

Nim ktokolwiek z rodziny zdołał jej odpowiedzieć, skinęła na Silasa Fenwicka, który stał obok, rozmawiając przyciszonym głosem z grupką jakichś wytwornych dżentelmenów.

- Chodź, Silasie. Zobacz, kto tu jest.

Widok Lambertów w widoczny sposób zaskoczył lorda Fenwicka. Nie zdołał zapanować nad twarzą, która wyrażała niedowierzanie i złość. Natychmiast opuścił swoich rozmówców i pośpieszył do Edwiny i jej sąsiadów.

- Jak to się stało, że jednodniowa wycieczka przerodziła się w podróż do Londynu? - zapytał, siłąc się na uprzejmość. Jego spojrzenie jednak było lodowate.

- Tak nam się spodobało na statku - odpowiedział z uśmiechem Geoffrey Lambert - że postanowiliśmy ją nieco przedłużyć. Byliśmy zdania, że skoro się już wypuściliśmy tak daleko od domu, to wstyd byłoby nie zahaczyć przy tej okazji o Londyn. A kiedy już znaleźliśmy się w stolicy, okazało się, że król nas wzywa do pałacu.

Edwina zwróciła się do Silasa z pretensją.

- Mówiłeś, że tylko utytułowani mają prawo wstępu na królewskie salony.

- Zgadza się. - Pogłaskał ją po rękę, ale jego oczy utkwione były w Ambrozię, nie odstępującą Lamberta seniora. - Rzeczywiście, tak mówiłem. Bywają jednak przypadki szczególne. - Oderwał wzrok od Ambrożji i zwrócił się do Geoffreya.

- Czyżby miał pan jakieś kłopoty, kapitanie? Wspomniał pan, że dostaliście wezwanie?

Starszy pan skinął twierdząco głową.

- Król uwielbia upokarzać publicznie swoich wrogów. Specjalnie urządza takie sceny. Bawi się nimi. Przypomina to czasami teatralne widowisko - poinformował Silas z wyraźną satysfakcją. Z zadowoleniem stwierdził, że jego słowa odniosły pożądaną skuteczną.

Ambrozja zacisnęła rękę na ramieniu dziadka, jej siostry przytuliły się do siebie, a obie starsze panie wyglądały tak, jakby za chwilę miały zemdleć.

- Mam znaczne wpływy u króla. Jeżeli poczuł się jednak czymś dotknięty, może będę w stanie złagodzić jego gniew. Nie ma co ukrywać, że jest surowy dla winowajców. - Po tych słowach Silas podał jedno ramię Edwinie, a drugie jej matce. - Idziemy, drogie panie. Jako specjaliści goście Jego Wysokości mamy miejsca na galerii.

Odchodząc, Edwina obejrzała się jeszcze przez ramię na Ambrozię i jej siostry. Na ostatek, odrzuciwszy głowę do tyłu, zaśmiała się triumfująco i oddaliła wraz z matką i Silasem.

- Chętnie bym udusiła tę żmiję - powiedziała półgłosem Ambrozja.

- Przestań się tak wyrażać - skarciła ją panna Mellon. - Wspomnij na to, czego cię uczyłam. Należy panować nad językiem i postępować zgodnie z zasadami dobrego wychowania.

- To prawda, Winnie, ale uczyłaś mnie również i tego, że nie sposób z ciernia wyhodować róży.

Ambrozja schwyciła dziadka za ramię.

- Słuchaj, dziadku. Może lepiej będzie, jeśli opuścimy to miejsce? Po co mamy czekać, aż nas wywołają i upokorzą na oczach wszystkich zebranych gości?

- Nie, dziecko. Pokażemy tym ludziom, że Lambertowie potrafią z godnością przyjąć wszystko, co ześle im los. Nawet jeżeli cios padnie z ręki naszego ukochanego władcy. A teraz wyprostuj się i nie okazuj tego, co czujesz. Niech się ci wszyscy

dworscy ważniacy przekonają, że nie jesteśmy ulepieni z byle jakiej gliny.

Na sali nagle zrobiło się cicho. Kilkunastu urzędników odzianych w obszerne, długie do ziemi togi, wkroczyło do głównej sali i zajęło miejsca na podwyższeniu. Zaraz po tym jeszcze jedna osobistość w todze stuknęła laską w podłogę i donośnym głosem zapowiedziała nadejście króla.

Obecni na sali mężczyźni skłonili głowy, a kobiety pochyliły się w głębokim ukłonie. Wszyscy spuścili wzrok i unieśli go dopiero wtedy, gdy król zasiadł na tronie. Nawet wówczas, kiedy już wolno było wyprostować plecy i patrzeć, nikt nie odważył się odezwać. Nikt nie kichnął ani nie zakaszłał. W ogromnej sali panowała cisza jak makiem zasiał.

Ambrozja była ogromnie przejęta. Wydawało jej się, że śni. To przecież niemożliwe, że jest tutaj, w tym pięknym pałacu, i widzi siedzącego na tronie angielskiego monarchę. Kiedy popatrzyła po twarzach swoich bliskich, zauważyła, że ich reakcje są podobne. Siostry stały sztywno wyprostowane. Oczy pani Coffey zrobiły się szkliste jak u kogoś, kto zażył dużą ilość odurzającego środka. A biedna stara Winnie pochlipywała, zasłaniając usta chusteczką.

Król głośnym szeptem zwrócił się do jednego z urzędników. Ten wyprostował się i zawołał na cały głos:

- Kapitan Lambert i jego załoga proszeni są o wystąpienie.
- Dziad... dziadku. - Ambrozja tak mocno wpiła się palcami w ramię starszego pana, że aż prawie zsiniało z braku dopływu krwi. Ale on tylko delikatnie pogłaskał ją po rękę i następnie postąpił do przodu wraz z całą rodziną.

Przechodząc koło Edwiny, Ambrozja usłyszała jej chichot i głośny szept:

- Pożaluj się teraz, że nie zostali w Kornwalii, gdzie jest ich miejsce.

Uwagi Ambrozji nie uszedł również wyraz twarzy Silasa Fenwicka. Widniał na niej pełen satysfakcji, isticie diabelski uśmiech.

Geoffrey Lambert i jego rodzina stanęli w miejscu.

- Jestem kapitan Lambert - oznajmił donośnym głosem.
- Proszę iść dalej i złożyć hołd królowi Anglii.

Cała grupa niepewnym krokiem zaczęła posuwać się w kierunku osoby siedzącej na tronie.

Im bliżej podchodzili, tym bardziej uderzał ich majestat tej postaci. Król Karol okazał się młodszy, niż przypuszczała Ambrozja. I znacznie przystojniejszy. Miał delikatną, uduchowioną twarz, smagłą cerę i ciemne włosy, które opadały w długich lokach na ramiona. Ubrany był w purpurową tunikę i tego samego koloru obszerną pelerynę, którą zawadiacko przerzucił sobie przez ramię.

Kiedy doszli do stóp podwyższenia, zatrzymali się. Geoffrey i Newton zgięli się w niskim ukłonie, a kobiety złożyły ceremonialny dyg.

- Powstań, kapitanie Lambert - rozkazał władczym głosem król. - Przedstaw mi swoją rodzinę.

- Rozkaz, Wasza Wysokość. - Geoffrey odstąpił o krok, odsłaniając wnuczki. Dziewczęta stały teraz bezpośrednio przed obliczem króla.

- To są moje wnuczki: Ambrozja, Bethany i Darcy.

Dziewczęta dygnęły, zarumienione z emocji. Król przyglądał się im z uwagą. Ciemnowłosa piękność w szkarłatnej sukni nieco na dłużej przykuła jego wzrok.

- A to jest ich piastunka i guwernantka, panna Winifred Mellon. Ta druga dama to nasza gospodyni, pani Mary Coffey. A to jest Newton Findlay, mój pierwszy oficer z czasów, gdy żeglowałem po Atlantyku.

- A więc to tak. - Król powiódł wzrokiem po sali, obserwu-

jąc zachowanie się tłumu. Podświadomie wyczuwał, że jego poddani doceniają niezwykłość sytuacji i wstrzymują oddech z napięcia.

Przepadał za teatralnością takich widowisk. Kochał wszelką pompę i paradę oraz dramaturgię królewskiego ceremoniału. Sam na tym podwyższeniu czuł się jak aktor na scenie - główny aktor. Doceniał to tym bardziej, że na wiele lat pozbawiono go pałacowego blichtru - od momentu ścięcia jego ojca. Był wtedy dzieckiem. Zapamiętał jednak smak władzy i teraz rozkoszował się nią w całej pełni. Dlatego świadomie przeciągał widowisko, aż wibrujące wśród tłumu nerwowe napięcie udzieliło się także i jemu.

Jego głos zadźwięczał jak dzwon, docierając do najdalszych zakątków olbrzymiej komnaty, gdy przemówił.

- Na pokładzie żaglowca „Dover” znajdował się pewien ładunek. Później te skrzynie przeniesiono na statek nie bez przyczyny noszący nazwę „Nieustraszony”. O ile mi wiadomo, ten statek należał do pańskiej rodziny, kapitanie Lambert?

- Tak jest, Wasza Wysokość. - Geoffrey poczuł, jak Ambrozja wsuwa rękę w jego dłoń.

- Ten ładunek został później przeniesiony na inny z pana okrętów. Statek nazywał się „Zew Morza”. Czy to prawda, kapitanie?

- Tak jest, Wasza Wysokość. - Zniżył wzrok i zobaczył, że palce Ambrozji tak kurczowo ściskają jego palce, że siłą musiał rozluźnić ich uchwyt. Wnuczka pozbawiła go zupełnie czucia w ręku.

- Powiedziano mi, że „Zew Morza” został zaatakowany przez piratów, którzy pojмали pańską rodzinę i zrabowali ładunek.

W tłumie podniósł się głuchy pomruk. Wiele osób wyciągało jak najwyżej szyje, aby dojrzeć ludzi, którzy na własnej skórze odczuli okrucieństwo piratów.

Król ponownie podniósł głos. Tłum uciszył się natychmiast.

- Powiedziano mi również, że nie tylko z narażeniem życia wyrwaliście się z rąk rozbójników, ale na dodatek uratowaliście znaczną część cennego ładunku i uciekliście na okręcie zbrodniczych piratów.

Szmer ludzkich głosów nasilał się. Wiele osób z tłumu uniosło się na palcach, aby przyjrzeć się mężnej rodzinie. Między nimi byli również Edwina z matką i Silas, który stał, słuchając w pełnym zdumienia milczeniu.

- Kapitanie Lambert. - Karol uśmiechnął się po raz pierwszy. - Proszę wejść wraz z rodziną tu do mnie, na podwyższenie.

- Na podwyższenie? - Lambert senior nie był w stanie wydusić z siebie słowa więcej. Kilku uzbrojonych gwardzistów podeszło do nich i pomogło wejść na podium.

Rodzina podchodziła kolejno do władcy i ze czcią całowała jego rękę. Tłum zdziwił się, widząc, że Karol łaskawie dotyka ramienia każdego z nich. Następnie monarcha zwrócił się do zebranych i oświadczył:

- Wdzięczny król dziękuje tym szlachetnym ludziom za ich miłość i oddanie dla ojczyzny.

Minął moment, nim te słowa dotarły do świadomości zebranych. Kiedy członkowie rady królewskiej zaczęli na znak uznania uderzać laskami w drewniany podest, zgromadzony tłum zawtórował im burzą ogłuszających braw.

Ambrozja odwróciła się do dziadka, który stał osłupiały, nie dowierzając własnym uszom. Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o cenie, jaką zapłacił za miłość do ojczystej ziemi. Przez wiele lat jako korsarz bronił wybrzeży Anglii. W walce z wrogami został kilkakrotnie ranny. Dopiero sędziwy wiek zmusił go ostatecznie do zrezygnowania z największej życiowej pasji - żeglowania po morzach i oceanach, w służbie króla i ojczyzny. A po-

tern złożył największą ofiarę. Oddał syna i wnuka. Został odarty z nadziei na przyszłość. Ale ta jedna świetlista chwila wynagrodziła mu wszystkie cierpienia. Opromieniła go na stare lata blaskiem sławy i zyskała wdzięczność ukochanego monarchy, a także uznanie jego własnych rodaków.

Ambrozja spojrzała na swą rodzinę i zobaczyła, że oni również są do głębi przejęci. Bethany i Darcy uśmiechały się, płacząc ze szczęścia. Pani Coffey mocno przegryzała dolną wargę, aby się nie rozpłakać. Winnie łkała cicho w chusteczkę. Nawet Newton nie mógł oprzeć się wzruszeniu i z trudem powstrzymywał napływające do oczu łzy.

Król nie próbował powściągać emocji tłumu. W końcu jednak uniósł rękę do góry na znak, że pragnie przemówić.

- Ta wspaniała rodzina zostanie ze mną tu, na podwyższeniu, do końca, tak aby wszyscy zgromadzeni mieli okazję przyrzec się szlachetnym twarzom ludzi, którym król tak wiele ma do zawdzięczenia.

Członkowie rady królewskiej natychmiast zrobili miejsce przy królu dla rodziny Lambertów.

Król Karol chwycił rękę Ambrozji i nachylił się do niej, szepcząc:

- Jest ktoś, kto przesyła wyrazy żalu, że nie może uczestniczyć w tej podniosłej uroczystości.

- Riordan... - szepnęła. - Gdzie on teraz jest, Wasza Wysokość?

- To tajemnica. Ale mogę powiedzieć coś innego. - Uśmiechnął się. - Teraz rozumiem, dlaczego taki zaprzysięgły samotnik i obieżyswiat jak on stracił dla ciebie głowę, o pani.

- On... powiedział o tym Waszej Wysokości?

Król roześmiał się, a jego śmiech brzmiał głęboko i dźwięcznie.

- Nie musiał. Wyczytałem to w jego oczach. Tak jak teraz czytam w twoich, pani.

Ambrozja zarumieniła się i spuściła głowę. Poczwała się niezmiernie szczęśliwa, jak prawie nigdy dotąd. Właśnie w tej chwili król dodał:

- Muszę panią jednak ostrzec co do jednej rzeczy, panno Lambert. Ludzie tacy jak Riordan niechętnie zapuszczają korzenie. Ich żywiołem jest ryzyko i niebezpieczeństwo. Nie potrafią bez tego żyć. Uważam, że Riordan Spencer jest właśnie tego typu człowiekiem - niepoprawnym ryzykantem i wiecznym wędrownikiem. Nawet obecnie, po tym wszystkim, co przeszedł, bez jednego słowa, na moją prośbę, podjął się misji, która może kosztować go życie.

Ambrozja aż do końca audiencji nie mogła otrząsnąć się z odrętwienia, w które wprawiły ją rewelacje króla. Nie słyszała ani nie widziała ludzi, którzy jeden po drugim zbliżali się do podwyższenia, składając petycję przed królem i jego radą. Niewidzącymi oczami patrzyła na otaczający ją przepych i paradę dworskiego ceremoniału. Obojętnie przyjęła fakt, że kipiący z wściekłości Silas wybiegł z sali, porzucając Edwinę i jej matkę.

Jedyne, o czym mogła myśleć, to Riordan, kolejny raz wystawiający się na niebezpieczeństwo.

Mógł umrzeć, a ona już nigdy nie miałaby okazji powiedzieć mu o tym, jak bardzo go kocha.

Umrzeć. Nagle spłynął na nią spokój. Wstrząs minął. Nie. On nie umarł. Gdyby tak było, ona by o tym wiedziała. Jej serce by to przeczuło. Nie siedziałyby tak spokojnie przy królu, gdyby Riordan Spencer zginął gdzieś tam, w nieznanym miejscu, z dala od niej. Ona bowiem padłaby nieżywa w tym samym czasie co on.

Ambrozja rozejrzała się wokół ze zdziwieniem. Zauważyła, że wszyscy już wstali i kłaniają się nisko wychodzącemu z sali królowi.

- Idziemy, Ambrozjo. - Dziadek podsunął jej ramię.
- Dokąd mamy iść, dziadku?

Uśmiechnął się.

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Król zaprosił nas wszystkich do swoich prywatnych apartamentów. To najwyższy zaszczyt, jakiego mogliśmy dostąpić w życiu. Spożyjemy kolację w towarzystwie króla Anglii.

Jej siostry chichotały uszczęśliwione, a twarze dwóch starszek promieniały nie dającą się opisać radością.

Nagła myśl przemknęła jej przez głowę. A może Riordan także będzie na tej kolacji? Jeżeli nie, to spróbuje namówić króla, by zdradził miejsce jego pobytu. Tak właśnie zrobi. Jeżeli uda się jej wydobyć głos w obecności monarchy, zdobędzie się na odwagę i zapyta go o to wprost.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ambrozja uśmiechnęła się urzekająco, gdy lokaj w liberii zwrócił się do niej ze słowami:

- Zechcą państwo pójść ze mną?

Zaprowadzono ich do salonu w prywatnych apartamentach króla. Znajdował się w nim kominek, na którym płonęły wielkie drwa oraz ustawione w krąg wygodne krzesła.

Wszedł służący z tacą, niosąc herbatę i piwo. Na innych znajdowały się ser i ciasteczka.

Pokój stopniowo zapełniał się gośćmi. Byli wśród nich elegancy lordowie z żonami oraz dwóch przedstawicieli Francji i Hiszpanii, którzy prześcigali się we wzajemnych uprzejmościach: Francuz mówił po hiszpańsku, a Hiszpan po francusku. Przyszedł także kardynał. Nadeszli również członkowie rady królewskiej. Wszyscy przybyli po to, aby pogratulować Geofreyowi Lambertowi i jego rodzinie pomyślnego zakończenia niebezpiecznej wyprawy.

Za każdym razem, gdy drzwi się otwierały, Ambrozja podnosiła głowę i wpatrywała się w nie z natężeniem. Miała nadzieję, że ukaże się w nich ten, na którego czekała: Riordan Spencer. Kiedy jednak okazało się, że to ktoś inny, rozczarowana opuszczała wzrok i ponownie skupiała uwagę na filiżance z herbatą.

Widząc jej zdenerwowanie, Newton nachylił się ku niej, mówiąc:

- Nie martw się, panienko. On nadejdzie.

Starła się uśmiechnąć, ale wargi jej drżały.

- Król powiedział, że wysłał Riordana z niebezpieczną misją.

- Założę się, że nie jest to jego pierwsze zadanie tego typu.

- Poklepał ją po ramieniu. - I nie ostatnie.

- Ale ja tak się o niego boję, Newtonie.

- Niepokój to nieodłączna część miłości, panienko, tak jak zauroczenie.

Niespodziewana myśl zaświtała w głowie Ambrozji. Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Powiedział te słowa z taką żarliwością jak ktoś, kto zna te sprawy z własnego doświadczenia.

- Kim ona była, Newtonie?

Zawahał się na chwilę, lecz w końcu odpowiedział.

- To była Walijka. Nie widziałem ładniejszej od niej dziewczyny. Kiedy ją poznałem, była jeszcze panną, córką rybaka.

- Dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

- Żądała, abym porzucił życie na statku. Ciężko przeżywała każde rozstanie i nie potrafiła znieść napięcia i niepewności, jakie wiązały się z tym zajęciem. Błagała mnie, aby zostałem rybakim, tak jak cała jej rodzina. Ale ja z kolei, nie potrafiłem wyobrazić sobie innego życia niż żeglowanie po morzu. Dla mnie taki osiadły, jednostajny tryb życia byłoby gwoździem do trumny.

- I z tego powodu się rozstaliście?

- Tak jest. Mój okręt miał lada chwila wypłynąć z portu w kolejną długą wyprawę, a ja nie chciałem, aby wyruszyli w tę podróż beze mnie.

- Czy spotkałeś się z nią jeszcze kiedykolwiek?

- Owszem, raz. - Odwrócił wzrok. - Po wyprawie, w której zdarzyła mi się ta przygoda z rekinem, zakończona utratą nogi. Wróciłem, aby jej powiedzieć, że jestem gotów zostać rybakim. Było już jednak za późno.

Ambrozja zniżyła głos do szeptu.

- Chcesz powiedzieć, że nie wyszła za ciebie dlatego, że straciłeś nogę?

- Nie, panienko. - Odwrócił się do niej. W oczach miał smutek. - Gdyby powodem była moja odgryziona noga, w końcu bym się z tym pogodził. Ale wydarzyła się rzecz gorsza. Moja dziewczyna przyznała, że nadal mnie kocha. Została już jednak żoną innego. W dodatku spodziewała się dziecka.

- Och, Newtonie. - Ambrozja ze współczuciem dotknęła jego ramienia.

- Pamiętaj o moim przykładzie, panienko - szeptał jej z przejęciem stary żeglarz. - Prawdziwa miłość zdarza się tylko raz w życiu. Nie wolno zmarnować takiej szansy, zadrećcać się pytaniami o przyszłość, ponieważ możemy później żałować tego przez całe życie. - Stary żeglarz podniósł do ust kufel z piwem, wychylając go jednym haustem. Następnie poszedł po drugi.

Po raz pierwszy zwierzył się komuś ze swoich przeżyć. Wciąż nie mógł zapomnieć pierwszej i jedynej miłości i myśli o ukochanej w dalszym ciągu sprawiała mu ból. Oby panienka wzięła do serca jego radę. Cieszyłyby się, gdyby chociaż w tym wypadku jego bolesne doświadczenie wyszło komuś na dobre.

Rzędy drewnianych stołów ciągnęły się przez całą długość ogromnej jadalni. Goście ustawiali się gęsiego, cierpliwie czekając, aż służba zaprowadzi ich do wyznaczonych dla nich miejsc. Zaproszonych sadzano zgodnie z ich znaczeniem i rangą. Byli tam członkowie rodziny królewskiej, utytułowani arystokraci z małżonkami i wiele innych osób. Nie brakowało ambasadorów obcych państw, mających nadzieję pochlebstwami zdobyć przychyłność angielskiego władcy oraz duchowieństwa i innych ważnych osobistości. Było kolorowo, teatralnie i wytwornie. Karola znano z tego, że uwielbiał takie spotkania. Roz-

kwitał w atmosferze adoracji swoich poddanych i radował się otaczającym go blichтром.

Kolacje z udziałem króla w jego ulubionym Hampton Court były przeżyciem, którego się nie zapomina. Dla rodziny Lambertów okazało się wyjątkowe, ponieważ król zaprosił ich do prywatnego stołu, przy którym zasiadali tylko wybrani goście. Stół stał na niewielkim podwyższeniu, tak aby każdy mógł oglądać monarchę w całej okazałości i odwrotnie, by on sam mógł ogarnąć wzrokiem wszystkich zebranych. Przy okazji mniej ważni ludzie mogli zobaczyć tych, którzy cieszyli się specjalnymi względami króla.

- Pan zasiądzie przy mnie, kapitanie Lambert - oznajmił Karol. Następnie zwrócił się do Ambrozji: - A pani, panno Lambert, usiądzie po mojej drugiej ręce.

- Tak jest, Wasza Wysokość. - Zaskoczona wyróżnieniem Ambrozja usiadła obok króla. Czuła się skrepowana królewskim majestatem, więc odzywała się tylko wtedy, kiedy monarcha zwracał się do niej z bezpośrednim pytaniem.

- Nie powinna mnie zdziwić wiadomość o bohaterskim wyczynie pani rodziny - odezwał się do niej Karol, zniżając nieco głos. - Pani ojciec był jednym z moich najwierniejszych poddanych. Co mnie tylko zdumiało to list, który otrzymałem od pani i jej siostr. Zgłaszacie w nim gotowość kontynuowania dzieła ojca.

- Wasza Królewska Mość otrzymał nasze pismo?

- Tak jest. Bardzo mnie poruszyło. Nigdy nie spotkałem kobiety, która by chciała uprawiać zawód korsarza, nie mówiąc już o tym, że ochotniczek jest aż trzy. A jedna piękniejsza od drugiej. Zastanawiałem się, czy nie odrzucić propozycji, ale zmieniłem zdanie na wieść o waszym bohaterstwie. Ktoś, kto... zna dobrze waszą rodzinę, zapewnił mnie, że wszystkie macie zadatki na to, aby być dobrymi korsarzami i skutecznie służyć

królowi i ojczyźnie. Czuję, że nie mam innego wyboru, jak tylko przyjąć waszą wielkoduszną propozycję.

- Wasza Wysokość. - Oczy Ambrozji rozbłysły zadowoleniem. - Wasza Królewska Mość sprawia nam zaszczyt, pozwalając służyć sobie wzorem naszego ojca.

- Nie, panno Lambert. - Podniósł jej rękę do ust. - Jeżeli już kogoś spotyka zaszczyt, to tylko mnie.

- Wasza Wysokość. - Na dźwięk znajomego głosu Ambrozja uniosła wzrok i ujrzała Silasa Fenwicka zginającego się przed królem w kornym ukłonie.

- Ach, to ty, lordzie Fenwick. - Karol nie ukrywał zirygowania. - O co chodzi?

Silas uśmiechnął się uniżenie.

- Moja narzeczona i jej matka również pochodzą z Kornwalii. Są w istocie bliskimi sąsiadkami i przyjaciółkami rodziny Lambertów. Pomyślałem, że moja narzeczona i jej matka bardzo się ucieszą, gdyby Wasza Wysokość zaszczycił je również zaproszeniem do swego stołu.

Karol znany był ze słabości do płci pięknej i każda ładniejsza buzia mogła liczyć na jego zainteresowanie. Spojrzał z uwagą na młodą kobietę uczepioną kurczowo ramienia Silasa.

- Dobrze, lordzie Fenwick. Przyłączcie się do nas.

Zgodnie z etykietą Edwina i jej matka dygnęły w dworskim ukłonie, po czym zajęły miejsce na wprost króla i Ambrozji. Silas usiadł między nimi.

- A więc znacie się? - Karol uśmiechnął się do Edwiny.

- Od dziecka, Wasza Królewska Mość. - Głos Edwiny pod wpływem napięcia był jeszcze bardziej ostry i piskliwy niż zwykle. Przypominał beczenie jagniąt. Zaczerwieniła się i zachichotała, zaciskając jednocześnie pałce wokół ramienia Silasa Fenwicka z taką siłą, że aż skrzywił się z bólu.

Król zwrócił się do Ambrozji.

- Rzeczywiście jesteście najlepszymi przyjaciółkami narzeczonej Silasa?

Ambrozja zerknęła na Winifred Mellon i widząc jej ostrzegawcze spojrzenie, postanowiła dać królowi możliwie wymijającą odpowiedź.

- Nasze rodziny mieszkają w Lands' End. Czy Wasza Wysokość zna tę miejscowość?

- Tak. Bardzo lubię Kornwalię. Nie przeszkadza mi nawet to, że wielu jej mieszkańców nie uważa się za Anglików.

- Jesteśmy Anglikami, Wasza Wysokość, prawdziwymi Anglikami. - Ambrozja nie mogła się powstrzymać od wyrażenia swego zdania na ten temat, chociaż wiedziała, że nie jest w dobrym tonie poprawiać monarchę. - Jesteśmy bardzo oddani Waszej Wysokości. Wasza Królewska Mość nie znajdzie w całej Anglii bardziej lojalnych i wiernych poddanych niż mieszkańcy Kornwalii.

Spontaniczna reakcja Ambrozji rozbawiła króla. Uśmiechnął się i położył rękę na jej dłoni, ku zdziwieniu wszystkich obecnych.

- Serce króla raduje się, gdy jego poddani zapewniają go o swej miłości i oddaniu, panno Lambert. Przez wiele lat nie miałem okazji cieszyć się dowodami ich życzliwości... poczynając od przedwczesnej śmierci mego ojca.

- Moje siostry i ja bardzo bolejemy nad tą stratą, Wasza Wysokość. My też straciłyśmy ojca. Zginął podczas ostatniej wyprawy razem ze swoim synem, a naszym bratem.

- Wiem o waszym nieszczęściu. - Spojrzał w jej oczy i to, co w nich ujrzał, wstrząsnęło nim. W przeciwieństwie do wielu innych poddanych, którzy niezbyt szczerze zapewniali go o swej solidarności, ból i współczucie tej młodej kobiety były naprawdę autentyczne. Poruszyło go to bardziej, niż przyznawał przed sobą.

- My również jesteśmy lojalnymi poddanymi Waszej Królewskiej Mości. - Piskliwy głos Edwiny przerwał jego myśli.

- Dziękuję. - Odwrócił głowę, aby przyjrzeć się bliżej narzeczonej Silasa. Zdziwił się trochę; znał upodobania młodego arystokraty. Ta młoda panna zupełnie nie była w guście lorda Fenwicka. Niewykluczone, że Silas postanowił się wreszcie ustatkować. Wybierając taką kobietę, z pewnością wziął pod uwagę jej społeczną pozycję, a nie urodę i wdzięk. Karol wstrząsnął się na myśl, że mógłby mieć kiedykolwiek do czynienia z większą liczbą kobiet o takim głosie jak narzeczoną Silasa. Wyobraził sobie jego przyszły dom zaludniony potomstwem o piskliwych głosikach, i skrzywił się z odrazą.

Król odwrócił się do swej sąsiadki. Ta kobieta mogła zawrócić mężczyznę w głowie. Była wybranką jego przyjaciela, Riordana Spencera. Jeżeli instynkt nie zawiódł Karola, to jego młody przyjaciel jest w niej zakochany po uszy.

- Wasza Wysokość. - Silas pochylił się, usiłując zwrócić na siebie uwagę monarchy. - Czy wolno mi poruszyć sprawę, która zaprzęta obecnie uwagę ogółu obywateli?

- Proszę. Mów, lordzie Fenwick.

- Wydaje się, że piraci operujący na wodach Anglii stają się coraz butniejsi. Atakują nawet okręty, które znajdują się pod ochroną Waszej Królewskiej Mości. Może pora utworzyć stanowisko lorda admirała, który by odpowiadał za transport morski i decydował o przyznawaniu zezwoleń na przewóz towarów niezbędnych dla kraju.

- Lorda admirała? - Król przyglądał mu się z uwagą. - Uważasz, że nadajesz się na to stanowisko?

- Tak jest, Wasza Wysokość. Znam się na transporcie morskim i ładunkach.

- Ach tak. O ile wiem, odziedziczyłeś po swym dziadku firmę zajmującą się importem towarów, lordzie Fenwick.

- Zgadza się, Wasza Wysokość, i mogę z dumą stwierdzić, że nie zdarzyło się, by jakiś mój statek wpadł w ręce piratów.

- Silas zniżył głos. - Nie da się tego, niestety, powiedzieć o innych korsarzach, których okręty często stają się pastwą rozbójników, ale za to ich usta pełne są frazesów na temat ofiarności i oddania dla króla i ojczyzny.

Oczy Geoffreya Lamberta zapłonęły z gniewu.

- Mój syn i wnuk polegli w służbie króla. Czy negujesz ich poświęcenie, lordzie Fenwick? Czy twoim zamiarem jest zbrukać ich dobre imię?

- W żadnym wypadku. - Silas uśmiechnął się uprzejmie, ale jego spojrzenie nadal było zimne i wrogie. - Pragnę tylko powiedzieć, że Anglii nie stać na to, aby tracić cenne ładunki, zwłaszcza jeśli mają one zasilić królewską kasę. Jako lord admirał dopilnuję tego, aby angielskie wody raz na zawsze zostały oczyszczone z piratów. Nie będziemy już dłużej potrzebować korsarzy, którzy chociaż pilnują bezpieczeństwa naszych wybrzeży, niemniej czerpią z tego dla siebie niewspółmiernie duże zyski.

Propozycja Silasa zainteresowała króla.

- Rozważę twoją sugestię. Zwołam zebranie rady z twoim udziałem i przedyskutujemy ten temat, lordzie Fenwick. - Uśmiechnął się. - A może powinienem już powiedzieć, lordzie admiralu?

- Pokornie dziękuję Waszej Wysokości - Silas rozejrzał się z zadowoleniem po obecnych. Prawie osiągnął swój cel. Z chwilą gdy obejmie stanowisko, natychmiast zmieni wszystko po swojej myśli. Reszta już sama się ułoży.

Uśmiech zamarł mu na wargach, kiedy zobaczył wysokiego mężczyznę idącego przez jadalnię.

- Riordan. - Twarz Ambrozji zajaśniała radością.

Był tak przystojny, że straciła dech z wrażenia. Ich spojrzenia się spotkały. Przez chwilę wpatrywali się sobie w oczy.

Riordan z trudem oderwał wzrok od Ambrozji i głęboko skłonił się przed królem.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, Wasza Wysokość.
- Nic nie szkodzi, przyjacielu. Znając ciebie, wiem, że za-
trzymała cię wyższa konieczność. - Karol spojrzął po obecnych.
- Znasz wszystkich przy tym stole, jak sądzę?

- Owszem. - Uśmiech Riordana znikł, gdy zobaczył Silasa,
który zajmował miejsce naprzeciwko króla. - Proszę mi wyba-
czyć, Wasza Wysokość. Mam pilną wiadomość do przekazania.
Mogę to zrobić tylko na osobności, najlepiej w prywatnych
apartamentach Waszej Królewskiej Mości.

Karol westchnął i zwrócił się do Ambrozji:

- Monarcha nigdy nie ma spokoju. - Podniósł jej rękę do
ust, uśmiechnął się do jej rodziny i wstał.

Przy stołach zrobił się ruch. Goście odsuwali krzesła, kłania-
jąc się i pochylając głowy, gdy monarcha przechodził obok
nich, opuszczając salę. Tuż za królem postępował roztargniony
i pogrążony w zadumie Riordan Spencer.

Skoro tylko Karol z Riordanem opuścili jadalnię, tłum oży-
wił się i poweselał. W sali zrobiło się głośno. Wyjątek stanowił
Silas Fenwick, który nagle opadł na krzesło i zmarszczył czoło,
wyraźnie czymś zaniepokojony.

Riordan był zbyt podekscytowany, żeby usiedzieć na miejscu.
Spacerował nerwowo po komnacie, przemierzając ją wzdłuż
i wszerz długimi krokami. Król spoglądał na niego, siedząc w wy-
godnym fotelu. Kamerdyner napełnił piwem dwa kufle.

Kiedy zostali sami, Riordan zabrał głos.

- Byłem przekonany, że nikt inny nie mógł dać znać piratom
o naszym ładunku. Jednak nie miałem na to żadnych dowodów.
W końcu je zdobyłem.

- Pojechałeś do Cairn?

- Nie. Nie mógłbym się tam pokazać. Nie po tym, jak Am-
brozja przetrzebiła miasto.

- Panna Lambert?

- Tak jest. - Uśmiechnął się szeroko. - Nim uciekła, zdażyła jeszcze zabrać piratom skrzynkę ze złotem i spalić tawernę. Ogień przerzucił się na inne budynki i strawił prawie połowę miasteczka.

Karol potrząsnął głową.

- Kto by się mógł tego po niej spodziewać? Sądząc po jej zachowaniu, wydaje się bardzo łagodną osobą.

- Łagodną? - Riordan wybuchnął śmiechem. - Nie widziałem lepszego od niej sternika, a miałem wielokrotnie okazję się o tym przekonać. Potrafi także stawić czoło najlepszym szermierzom. A biada mężczyźnie, który próbuje być odmiennego zdania niż ona.

- Założę się, że próbowałeś.

- Owszem. I przegrałem sromotnie.

Mężczyźni roześmieli się.

- Myślę, że oddałeś walkowerem coś jeszcze, Riordanie.

Riordan podniósł kufel i spojrzał na niego pytająco.

- Swoje serce, przyjacielu.

Zapadło milczenie.

- To prawda - odparł po dłuższej chwili Riordan.

Karol roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Myślisz o trwałym związku? Takim jak małżeństwo?

- Rzeczywiście - przyznał Riordan. - Niech Bóg się nade mną zmiłuje. Od kiedy poznałem Ambrozię Lambert, chodzę jak zamroczony. Oczarowała mnie zupełnie.

Król potrząsnął głową.

- A ja jej powiedziałem, że nie należysz do mężczyzn, którzy lubią tkwić długo w jednym miejscu.

- Tak jej powiedziałeś? - Uśmiech znikł z twarzy Riordana.
- Dlaczego?

- Ponieważ znam swego przyjaciela od dzieciństwa. Jest

wagabundą, który by nigdy nie poświęcił swej niezależności dla kobiety. Dla jakiegokolwiek kobiety.

- Ambrozja nie jest jakąkolwiek kobietą. Ona jest... - Tym razem to Riordan potrząsnął głową, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów. - To najbardziej zadziwiająca dziewczyna, jaką spotkałem w życiu. Zeskanowała Anula, przerobiła pona.

- I zamierzasz się z nią ożenić?

- Tak. Jeżeli przyjmie moje oświadczenia.

Król spoglądał na przyjaciela ze zdziwieniem. W końcu odstawił na bok swój kufel, mówiąc:

- Wróćmy teraz do lorda Silasa.

- Dobrze. Otóż interesy firmy, którą Fenwick odziedziczył po dziadku, przedstawiają się nie najlepiej. Co gorsza, Silas związał się z twoim kuzynem, hrabią Humphreym Buckinghamem.

- Buckinghamem? Tym, który uważa, że należy mu się tron?

- Tym samym.

- Masz dowody?

- Tak. Złożyłem wizytę twemu kuzynowi. - Riordan uśmiechnął się. - Wystarczyło, abym wyciągnął szpadę, a on od razu wyśpiewał mi całą prawdę.

- Mały, płacziwy tchórz.

- Tak. Przyznał się do spiskowania przeciwko prawowitemu władcy. Powiedział, że zarówno on, jak i lord Fenwick znajdują się w finansowych tarapatach i potrzebują dużej gotówki, i to szybko. Czyż może być lepszy sposób zdobycia pieniędzy, niż ukraść je prawowitemu królowi, a potem posłużyć się nimi do strącenia go z tronu? To Silas zamordował twego przyjaciela w Land's End. Chciał się dowiedzieć, jak nazywa się statek, który przewozi skrzynie z królewskim złotem.

Król pochylił się do przodu.

- A czyż może być lepszy sposób na okradanie państwa, niż zostać urzędnikiem odpowiedzialnym za przewozy i handel towarami drogą morską?

- Co masz na myśli?

- Lord Fenwick przekonał mnie do pomysłu, aby powierzyć mu stanowisko lorda admirała. Jest sprytniejszy, niż sądziłem.

Mężczyźni umilkli, po czym król zdecydował:

- Zwołam radę i postawię go w stan oskarżenia.

Riordan skinął potakująco głową.

- Musimy działać szybko. Gdy tylko się dowie, że twój kuzyn przyznał się do winy, podejmie próbę ucieczki za granicę. Przypuszczam, że poszuka azylu we Francji, gdzie król Anglii nie cieszy się zbyt dużą popularnością.

Karol podniósł się i uściskał rękę Riordana.

- Po raz kolejny dowiodłeś, że jesteś dobrym i wiernym przyjacielem i że zawsze mogę na tobie polegać. Nie zliczę, ile razy ocaliłeś moją skórę. Nie mówiąc już o tronie. Czy wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczny?

- Mam nadzieję, że twoja wdzięczność znajdzie wyraz w odpowiednio kosztownym prezencie ślubnym.

Karol odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się donośnie.

- Dostaniesz go. Obiecuję ci. Prezent tak oryginalny, że cała Kornwalia będzie o nim mówić przez lata. - Westchnął. - A teraz idź już i ucałuj tę śliczną damę, która skradła ci serce.

Riordan tylko na to czekał. Wypił piwo i postawił pusty kufel na stole. Lekki uśmiech przemknął mu po twarzy, kiedy opuścił królewską komnatę.

Ambrozja leżała w łóżku, nasłuchując zanikających odgłosów domowej krzątaczki. Cieszyła się, że na koniec została sama w sypialni. Dom powoli sztywniał się do snu.

Po powrocie z Hampton Court rodzina przez długi czas nie

mogła otrząsnąć się z wrażeń minionego dnia. Bezustannie powracano w rozmowach do wizyty u króla. Dla mieszkańców zapadłej prowincji było to niezwykle przeżycie. Nie zapomną go do końca życia.

W końcu zmęczenie wzięło górę i wszystkich zaczęła morzyć sen. Wszystkich, z wyjątkiem Ambrozji. Była zbyt podekscytowana, aby zasnąć. Widok Riordana poruszył jej serce i rozpałił zmysły. Nawet przyjęcie u króla nie wywarło na niej takiego wrażenia jak przybycie ukochanego.

Odwiedzi ją tej nocy, była tego pewna. Kiedy tylko skończy tę ważną rozmowę z królem, przyjdzie. A ona będzie na niego czekała. Choćby nawet przez całą noc. Przymknęła powieki, ale nie zamierzała zasnąć. Przecież przysięgła sobie nie spać. Pragnęła jedynie odpocząć przez kilka minut z zamkniętymi oczami.

Wkrótce jednak zasnęła.

Ambrozja śniła, że Riordan przyszedł do jej pokoju. Słyszała ciche skrzypienie kół na zwirowanej ścieżce. Słyszała, jak otwierają i zamykają się drzwi. Wychwyciła przytłumione odgłosy kroków na schodach.

Uśmiechnęła się, kiedy ręką nakrył jej usta. Oszołomiona i zmieszana próbowała usiąść na łóżku, ale coś ostrego nacisnęło jej szyję. Nie mogła przełykać. Nie mogła oddychać.

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą okrutne oczy Silasa Fenwicka. Wczepiła się w rękę naciskającą jej usta, ale ta nie ustąpiła nawet o cal.

- Ani słowa - wyszeptał Silas. - W przeciwnym razie poderżnę twoje piękne gardziółko. Zrozumiałaś?

Przerażona skinęła głową. Nie pozostało jej nic innego.

Powoli odjął rękę od jej ust.

- Co... - Pytanie zamarło na jej wargach, bo Silas jednym

błyskawicznym ruchem przyłożył nóż do jej szyi, przecinając skórę. Pocięła krew.

Z sykiem wciągnęła powietrze w płuca.

- Powiedziałem, ani słowa. Masz nie mówić. Masz tylko słuchać. I być posłuszną. Rozumiesz?

Ponownie skinęła głową.

- Wstawaj z łóżka.

Usłuchała bez słowa. Miała uczucie, jakby kalał ją wzrokiem. Czuła się naga pod jego pożądlivym spojrzeniem, które przez cienką tkaninę nocnego stroju wydawało się obmacywać ją łakomie.

- Weź to. - Rzucił jej szal.

Instynktownie skorzystała z okazji. Zamiast pochwycić okrycie, cisnęła mu je w twarz. Przez ułamek sekundy stał bez ruchu, zbity z tropu i zaskoczony. Wtedy Ambrozja złapała poduszkę i rzuciła się na niego z całym impetem. Niewiele brakowało, a przewróciłaby go na podłogę. Zachwiał się i zanim odzyskał równowagę, ona była już przy oknie, usiłując wydostać się na zewnątrz. Przemocą ściągnął ją z parapetu, ale uchwyciła się kotary, ciężarem swego ciała oddzierając ją od futryny.

Silas odwinął się i uderzył ją w głowę tak mocno, że zobaczyła gwiazdy. Natychmiast jednak schyliła się, podniosła but i uderzyła go nim w skroń.

Rzucił się na nią rozwścieczony. Schwyciła suknię i halki leżące w pobliżu na poręczy krzesła i zarzuciła mu je na głowę. Zaskoczony, wypuścił nóż z ręki. Ambrozja padła na podłogę w nadziei, że pierwsza go pochwyci. Obydwoje na czworakach, jedno przez drugie starali się go dosięgnąć. Silas syknął z bólu, kiedy Ambrozja uderzyła go łokciem w oko. Zanim jednak zdążyła sięgnąć po nóż, otoczył ramieniem jej szyję i zaczął dusić.

Kulała się po podłodze, pociągając go za sobą. Rozpaczliwie próbowała złapać powietrze w płuca, ale czuła, że jej siły słabną

z każdą sekundą. Przypomniała sobie, jak zaciśnięta pętla szpicruty Sledge'a wyciskała z niej życie. Zaprzeżała oporu.

Silas uwolnił ją i pospiesznie schwycił za nóż. Ambrozja leżała na podłodze, dysząc ciężko. Każdy oddech sprawiał jej nieznośny ból.

- No dobrze. - Podniósł się na nogi. - Będziesz robiła to, co ci każę. Inaczej twój kochanek zostanie tutaj zimnego trupa.
- Stał nad nią i rozkazał triumfującym głosem: - A teraz wstawaj. I ani słowa.

Ambrozja najpierw uklęknęła, by następnie, z wielkim trudem, stanąć na nogach.

- Zabieram ci szal. Nic już nie ochroni cię przed zimnem.
- Pochwycił ją za ramię, ciskając na łóżko mały zwitek papieru.

- To wiadomość dla twego kochanka - wyjaśnił ze śmiechem, wlokąc ją w kierunku drzwi.

Wokół panowała cisza; wszyscy spali głębokim snem. Ambrozja wstrząsnęła się, gdy po wyjściu na zewnątrz owionęło ją chłodne nocne powietrze. Dygocąc z zimna, szła z Silasem do czekającego nieopodal powozu.

Dom wydawał się uśpiony, światła wygaszono. Riordan uznał to za bardzo dogodną okoliczność. Uśmiechnął się, wchodząc do środka. Nie będzie musiał z nikim rozmawiać - ani z rodziną Ambrozji, ani ze służbą. Może udać się prosto do pokoju ukochanej.

Wchodząc po schodach na górę, przeskakiwał po dwa stopnie naraz, rozpinając jednocześnie guziki płaszcza. Zatrzymał się przed drzwiami, ale postanowił nie bawić się w grzecznościowe pukanie, tylko od razu wejść do środka. Ambrozja prawdopodobnie śpi. Obudzi ją delikatnie, a potem będą bez pośpiechu kochać się czule przez całą noc.

Otworzył drzwi i wszedł do pokoju, zamykając je za sobą

starannie. Pokój pograżony był w ciemnościach. Ogień na kominku wygasł. Pod warstwą popiołu zostało tylko trochę żaru.

Kiedy postąpił w głąb pokoju, nadepnął na coś twardego. Niewiele brakowało, a by się potknął. Zaklął cicho i schylił się. Już po chwili miał w ręku elegancki giemzowy trzewik. Należał do Ambrozji.

Spojrzał na łóżko. Poduszki były porzrucane; jedna leżała w nogach, a druga walała się na podłodze.

Przeżaszony, zapalił kagarek, po czym podniósł go do góry i rozejrzał się po komnacie. Wszędzie poniewierała się porzrucana odzież. Oddarła od framugi kotara leżała w strzępach przy oknie. Zbliżył się do łóżka. Dopiero teraz zauważył, że leży na nim świstek papieru. Kiedy czytał zawartą na nim informację, poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach.

„Twoja kobieta jest w moich rękach.
Możesz wymienić jej życie na swoje.
Przyjdź sam.

S.F.”

Ogarnięty wściekłością Riordan zmiął w ręku list i cisnął nim o ścianę, po czym odwrócił się i zobaczył coś, co sprawiło, że jego serce na chwilę zamarło.

Krew. Plamy krwi na pościeli.

Wielkie nieba. Ambrozja jest ranna. I na dodatek w szponach szaleńca.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ambrozja dygotała na całym ciele. Nie wiedziała jednak, czy drży dlatego, że jest jej zimno, czy z obawy przed tym, co ją czeka. Silas Fenwick z całej siły okładał biczem konie, które z szybkością błyskawicy pędziły przez ciemne ulice Londynu.

Z ulicy skręcili nagle w prawo, w krętą, wąską drogę prowadzącą do wspaniałej rezydencji. Zatrzymali się przy głównej bramie, gdzie Silas rzucił lejce zaspanemu chłopakowi stajennemu. Następnie, ciągnąc Ambrozię za sobą, powłókł ją w kierunku frontowych drzwi.

Otworzył im niemłody już kamerdyner. Na widok pana, trzymającego mocno za ramię młodą kobietę w nocnej bieliźnie, nie okazał najmniejszego zdziwienia.

- Niech mi pan pomoże - zawołała do niego Ambrozja.
- Powell, możesz iść już spać. Nie będziesz mi więcej potrzebny dziś wieczór.
- Dobrze, milordzie. - Unikając starannie wzroku Ambrozji, kamerdyner odwrócił się z pośpiechem i szurając nogami, wstąpił na schody prowadzące na górę.

Silas tak mocno ścisnął jej ramię, że całkiem zdrętwiało. Zaciągnął ją do pokoju na końcu holu. Tam pchnął ją tak silnie, że padła jak długa na podłogę. Kiedy z wysiłkiem próbowała się podnieść, on podszedł do drzwi i zamknął je na zasuwę. Następnie oparł się o nie i stał, wpatrując się w Ambrozię nienawistnym wzrokiem.

- Dlaczego mnie tu ściągnąłeś, Silasie? Co to ma znaczyć?

- Chodzi o władzę, moja droga panno Lambert. A także o zemstę.

- Nie... rozumiem.

- Ty i twoja rodzina uważacie, że okazaliście dużo sprytu, przeładowując złoto z „Nieustraszonego” na „Zew Morza”. Czy sądzisz, że zdołaliście mnie zwiść? Od razu przejrzałem wasze chytne zamiary.

- Ty? - Wróciła myślą do chwili, kiedy piraci wyciągali ich z morza. Riordan chciał ją wtedy o czymś uprzedzić, ale stracił przytomność. - To ty nasłałeś na nas piratów Eliego Sledge'a?

- Walka z napastnikami tak ją pochłonęła, że ten oczywisty fakt nie przyszedł jej wtedy do głowy.

Silas zacisnął zęby.

- Sledge zasłużył sobie na taki koniec. Głupiec nie mógł sobie poradzić z grupką starców i słabych kobiet. - Zmrużył oczy.

- A także z kapitanem Riordanem Spencerem.

Zaskoczył ją jadowity ton Silasa, kiedy mówił o Riordanie, więc spytała:

- Dlaczego tak nienawidzisz Riordana?

- Dlaczego? On ma wszystko, na czym mi zależy. Gdyby mój plan się powiódł, byłbym równie ważną postacią w Anglii, jak on.

- Twój plan?

- Tak. Dążyłem do tego, żeby na tronie zasiadł kuzyn Karola, hrabia Buckingham. Przy nowym władcy zostałem tym, kim obecnie jest Spencer przy Karolu.

- Czy to znaczy, że Riordan jest kimś więcej niż zwykłym korsarzem?

Fenwick odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Ty naprawdę uważasz, że Riordan jest wyłącznie kapitanem zwykłego korsarskiego statku? Grubo się mylisz. On jest, jak wszyscy wiedzą, najpotężniejszym człowiekiem w Anglii. Bez pomocy Riordana Karol nigdy by nie został królem, co było

jego największym marzeniem. - Zniżył głos. - A Karol potrafi się odwdziaczyć. Słyszałem, że podobno chciał mu ofiarować kilka wspaniałych posiadłości, ale Spencer wciąż z uporem odmawia ich przyjęcia. Jeśli kiedyś zdecyduje się wziąć, będzie jednym z najbogatszych ludzi w królestwie.

- A ty mu tego wszystkiego zazdrościsz?

- Tak. Tego i wielu innych rzeczy. Riordan Spencer pokrzyżował wszystkie moje misterne plany. Tchórz Buckingham przyznał się do winy i siedzi teraz w Tower. Rankiem żołnierze króla przyjdą i po mnie. Ale do tego czasu będę już daleko stąd, z dala od Anglii.

Ambrozja podniosła głowę do góry.

- A jaką ja mam rolę do spełnienia w twoich planach, Silasie? Dlaczego mnie tu sprowadziłeś?

- Ponieważ odkryłem jedyne słabe miejsce nieustraszonego kapitana Spencera. To ty nim jesteś, droga panno Lambert. Kapitan Spencer zawsze pójdzie za tobą, dokądkolwiek się udasz. Mnie zaś chodzi o to, żeby dopaść Spencera. Nie spoczne, dopóki nie zginie tak jak Eli Sledge.

- Wiesz, że on nie jest ani głupi, ani tchórzliwy, więc nie zatańczy tak, jak mu zagrasz, Silasie.

- A jednak zmuszę go do tego. Miłość czyni z mężczyzn głupców. Szlachetny Riordan Spencer nie odrzuci ostatniej szansy, aby wyrzucić wrażenie na kobiecie, którą kocha - odparł Fenwick i zbliżył się do Ambrozji. - A teraz, panno Lambert, niech pani będzie łaskawa i zasiądzie na tym krześle, tak bym mógł panią związać. Ma pani do wyboru: posłuchać mego rozkazu albo wdać się ze mną w walkę. W tym ostatnim wypadku z przyjemnością odetnę pani ręce lub nogi, jeżeli w inny sposób nie uda mi się pani ujarzmić. A kiedy zjawi się pani kochanek, zostaną mu już tylko do wzięcia pozostałe Nieliczne fragmenty pani pięknego ciała.

Była zdecydowana walczyć, ale gdy spojrzała w jego oczy, zrozumiała, że ma do czynienia z szaleńcem. A kiedy postąpił naprzód z obnażoną i gotową do użycia szpadą, pojęła, że jest zdesperowany i zdecydowany na wszystko.

Desperacja i szaleństwo. To zabójcza mieszanka. I chociaż natura Ambrozji buntowała się przeciwko wszelkiej uległości, wiedziała, że nie ma innej drogi, jak tylko się poddać. Przynajmniej na razie.

Riordan wyprowadził konia ze stajni. Nawet go nie osiodłał, tylko od razu wskoczył na grzbiet wierzchowca i pomknął w ciemność.

Wiedział, gdzie znajduje się rezydencja Silasa Fenwicka. Była położona na odludziu, na peryferiach Londynu, pośród imponującego parku zajmującego kilka akrów i porośniętego gęsto starymi drzewami. Pędząc co sił do celu, Riordan nie mógł uwolnić się od pośepnych myśli wywołanych tym, co zobaczył w sypialni Ambrozji - widokiem krwi na jej pościeli. Przekonał się, że Silas Fenwick nie ma żadnych hamulców. Czyż to nie on kazał piratom zaatakować ich okręt, wiedząc, że na jego pokładzie znajduje się pięć kobiet i dwóch starszych mężczyzn, którzy życiem zapłacą za jego chciwość? Mężczyzna owładnięty żądzą władzy i na dodatek pozbawiony sumienia jest podwójnie niebezpieczny.

Wjeżdżając na teren posiadłości Fenwicka i spoglądając na dwór majaczący przed nim w ciemnościach, Riordan dał sobie słowo, że jeśli Silas skrzywdzi w jakikolwiek sposób Ambrozię, zabije go jak wściekłego psa.

Nie dbał o własne życie. Nie obchodziło go, czy będzie żył, czy umrze. Dla niego ważna była tylko Ambrozja. Postanowił zrobić wszystko co w jego mocy, aby uratować kobietę, którą kocha.

Winifred Mellon obudziła się z głębokiego snu i spojrzała na panią Coffey leżącą w drugim łożu i z lekka pochrapującą. Usiadła na pościeli i przez szparę w kotarze popatrzyła na gwiazdy mrugające wesoło na ciemnym niebie. Uśmiech pojawił się na jej twarzy, gdy wspomniała przygody, które przydarzyły się rodzinie Lambertów od chwili, gdy opuścili Land's End.

Kto by to pomyślał? Zostali schwytani przez piratów, uciekli ze złotem króla, bezpiecznie dopłynęli do Londynu, a na koniec zostali przyjęci przez samego Karola, który podziękował im publicznie za odwagę i zaprosił na kolację do prywatnych apartamentów.

To były najbardziej pamiętne dni w całym jej życiu. Nigdy nie przeżyła równie podniecających momentów, a miała już przecież siedemdziesiąt osiem lat. A wszystko to przez te nieokiełznane siostry Lambert. Tryskające niespożytą energią dorosłe już teraz pannice dały się jej mocno we znaki jako małe dziewczynki. Winnie często powtarzała, że wolałaby wychowywać tuzin chłopców niż te trzy żywe dziewczynki, które nie uznawały żadnych zakazów ani autorytetów.

Westchnęła, przypomniawszy sobie, jak wyglądały podczas podróży na statku, jak wspinały się na maszt, szorowały pokład i sterowały okrętem. Zastanawiała się również, czy jej własne życie nie ułożyłoby się bardziej pomyślnie, gdyby nie trzymała się sztywno konwenansów. W ciągu tych kilkunastu dni poczuła się młodsza, żywsza i bardziej energiczna niż kiedykolwiek przedtem.

Wysunęła się z łóżka i na palcach przeszła przez pokój. Miała pragnienie i zamierzała zejść na dół, aby napić się wody.

Gdy mijała pokój Ambrozji, zauważyła ze zdziwieniem, że drzwi sypialni jej wychowanki są otwarte na oścież, a na nocnym stoliku pali się świeca. Skonsternowana, zatrzymała się

w progu i rozejrzała wokół. Uwagę jej zwróciła oderwana od framugi kotara oraz rozrzucone w nieładzie ubranie i pościel. Pomyślała, że sypialnia Ambrozji wygląda tak, jakby stoczono w niej jakąś zażartą walkę.

Zrobiła kilka kroków w głąb pokoju. Zobaczyła ślady krwi na prześcieradłach oraz pomięty list leżący na podłodze. Wyglądziła papier i przeczytała treść. Następnie z przeraźliwym krzykiem wyfrunęła z sypialni i pobiegła przez hol do komnaty, którą zajmował Geoffrey Lambert.

Odrzucając na bok zasady dobrego wychowania, otworzyła drzwi i wykrzyknęła:

- Kapitanie Lambert! Proszę się natychmiast obudzić!

Starszy pan usiadł na łóżku, spoglądając na białą postać w progu.

- Co się stało, panno Mellon?

- Chodzi o Ambrozię. Jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Niech pan się natychmiast ubiera i budzi resztę rodziny.

Silas przyłożył dłoń do oka, w które Ambrozja uderzyła łokciem podczas bójki w sypialni. Było podpuchnięte i bolało pod dotykiem.

Spojrzał w lustro i ogarnął go gniew. Był człowiekiem próżnym i nie znosił, by cokolwiek szpeciło jego nieskazitelne, arystokratyczne rysy.

- Zapłacisz mi za to - warknął do jej odbicia w lustrze.

- Uważasz, że za mało już zapłaciłam? - Tak mocno związał jej nadgarstki i kostki u nóg, że przy każdym poruszeniu powróż wrzynał się głęboko w ciało.

Silas umieścił krzesło z Ambrozię naprzeciwko otwartych drzwi; gdy Riordan wtargnie do domu, natychmiast zauważy ukochaną. Na stoliku obok postawił zapaloną świecę, ale reszta pokoju tonęła w ciemnościach. Silas stanął z boku. Obnażona szpada leżała w pobliżu, na stole. W ręku błyszczał nóż.

- W jaki sposób zamierzasz się wytłumaczyć ze swego postępowania przed Edwiną i jej matką? Z pewnością zdenerwują się na wiadomość, że ich drogi lord Silas we własnym gabinecie splamił ręce ludzką krwią.

- Nie dbam o to, co myślą te dwie idiotki. Obie wracają jutro do Kornwalii. Ich statek ulegnie katastrofie, w wyniku której moja narzeczona i jej matka zginą.

- Zamierzasz je zabić?

- Dlaczego tak się zmartwiłaś? Wiem przecież, że nie darzysz ich specjalną sympatią.

- Mogę uważać Edwinę i jej matkę za niezbyt mądre osoby, ale nie życzę im nic złego. Zabijać je? Jak możesz być tak okrutny?

- Spełniły rolę, którą im wyznaczyłem.

- Role?

- Musiałem mieć jakiś pretekst, aby przyjechać do Land's End. Chciałem się dowiedzieć, jak nazywają się kapitanowie statków, które przewożą tajne przesyłki dla Karola.

- Barclay Stuart. - Oczy Ambrozji rozszerzyły się z przejęcia. - Ty go zamordowałeś.

- Jesteś bardzo bystrą dziewczyną, moja droga. Ciebie również trzeba będzie zgładzić, podobnie jak Edwinę i jej matkę.

- Ilu ludzi zamierzasz zamordować, by osiągnąć swój cel?

Roześmiał się.

- Tylu, ilu będzie trzeba.

- Jesteś obłąkany.

- Zamknij się. - Zbliżył się do niej i uderzył ją na odlew w twarz. Uderzenie było tak silne, że na policzku zostały ślady palców. - Jeżeli nie będziesz trzymała języka za zębami, będę zmuszony ci go odciąć. - Spojrzał na nią i zmrużył oczy. - Prawdę mówiąc, zrobię to z ogromną przyjemnością. Dość się już od ciebie nasłuchiwałem.

Uniósł do góry nóż. Ostrze zamigotało groźnie w blasku księżyca.

- Kiedy skończę z twoim kochankiem, wezmę się za ciebie. Zapłacisz mi za wszystko.

- Nie boję się śmierci, Silasie.

- Jest wiele sposobów umierania, moja droga Ambrozjo. - Iskra szaleństwa zapłonęła w jego oczach. - Dopilnuję, abyś umierała długo, w powolnych męczarniach. Widok twego cierpienia sprawi mi niewymowną rozkosz.

Nagle Ambrozja wyczuła obecność Riordana. Uprzedził ją o tym szósty zmysł.

Kiedy jego cień zamajaczył w drzwiach, wykrzyknęła ostrzegawczo:

- Nie! Riordanie, wracaj. To jest pułapka.

Cień powiększył się i nabrał kształtów. Riordan zatrzymał się na progu, trzymając w gotowości obnażoną szpadę.

- Czy on ci zrobił krzywdę, Ambrozjo?

- Riordanie, odejź. Jemu chodzi o twoją osobę.

- Wiem o tym. Powtarzam: czy on cię skrzywdził, Ambrozjo?

- Nie, Riordanie.

Po raz pierwszy spojrział na Silasa stojącego tuż za plecami Ambrozji.

- Uwolnij dziewczynę, a ja dam ci słowo, że rzucę broń i dam ci się zabić bez oporu.

- I bez tego dostąpię tej przyjemności. - Silas uśmiechnął się złowieszczo i pochwycił Ambrozię za włosy. Odciągnął do tyłu jej głowę i przyłożył ostrze noża do jej szyi.

- A teraz rzuć szpadę, Riordanie. Inaczej dziewczyna umrze.

Riordan zawahał się. Widząc to, Silas roześmiał się szyderczo.

- Byłoby grzechem przeciąć to ładne gardziołko po tym, jak się już tak ładnie zagoiło. - Przycisnął mocniej ostrze, a Ambrozja wciągnęła ze świstem powietrze.

- O co chodzi, moja droga? Czyżbym sprawił ci ból?

- Pozwól jej odejść. - Riordan odrzucił na bok szpadę i postąpił kilka kroków w głąb pokoju. - Wiem, że to moja osoba budzi twoją chęć mordy. Oddaję się w twoje ręce.

- Z przyjemnością. - Silas szybkim ruchem wznosił broń i rozplątał bark Riordana. Z satysfakcją obserwował, jak jego twarz okrywa się bladością. Na krzyk Ambrozji, odwrócił się do niej z uśmiechem. - Czy uważasz, że odbiorę mu życie tak szybko? Jeżeli tak sądzisz, to znaczy, że nie słuchałaś mnie zbyt uważnie. Powiedziałem ci już, droga Ambrozjo, że jest wiele sposobów umierania. Zamierzam zademonstrować je tobie i twemu kochankowi.

Kiedy Riordan gwałtownie szarpnął się do przodu, Silas zgrabnie odstał na bok i ponownie przyłożył nóż do szyi Ambrozji. Tym razem zaciął ją do krwi.

- Ostrzegałem cię, Spencerze. Masz się poddać bez walki. Nie będziesz mnie atakował. Jeżeli nie posłuchasz, zranię tę piękną damę. To będzie, jak sądzę, największa dla ciebie kara.

Riordan znieruchomiał. Widok Ambrozji, bezbronnej i krwawiącej, sprawiał mu większy ból niż własny bark rozplątany szpadą Silasa. Wyprostował się. Zbierał siły na kolejne czekające go tortury.

- Nigdy nie widziałam Winnie w takim stanie. - Bethany całym ciężarem oparła się o Darcy, gdy szybko jadący powóz niespodziewanie przechylił się na bok. Kiedy odzyskała równowagę, wyciągnęła pistolet i zaczęła ładować do niego proch.

Newton siedział na koźle, powożąc, a guwernantka tkwiła za jego plecami, przynaglając do pośpiechu. Pani Coffey, wyrwana

z głębokiego snu, wciąż wygląda na niezbyt przytomną. Siedzący przy niej Geoffrey przypinał szpadę do boku i wsuwał nóż za pas, zupełnie jak korsarz, którym był w młodości.

- W jaki sposób odnajdziemy dom Silasa Fenwicka, dziadku? - spytała Darcy, sprawdzając ostrze sztyletu, który trzymała w ręku.

Lambert senior podniósł wzrok do góry.

- Czy wiesz, gdzie jechać, Newtonie?

- Nie, panie, ale panna Mellon twierdzi, że król będzie wiedział.

- Król?

Wszyscy w powozie zaniemówili z wrażenia.

Bethany odezwała się pierwsza.

- Czy jedziemy do pałacu?

- Tak jest. - Blade zazwyczaj policzki Winnie były teraz czerwone z emocji. - Nie czas na nieśmiałość. Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby ocalić Ambrozię i kapitana Spencera.

Ambrozja stłumiła krzyk, gdy Silas zadał kolejną straszliwą ranę jej ukochanemu. Tym razem ciął go w ramię.

- Jeszcze trzymasz się na nogach, Spencerze? - Silas roześmiał się szatańsko. - Wkrótce padniesz przede mną na kolana i będziesz błagał, żebym cię dobił. Jeszcze na to za wcześnie. Najpierw muszę nacieszyć się twoją męką.

Podszedł do Ambrozji i przyłożył nóż do stanika jej nocnej koszuli. Rozciął go jednym ruchem, odsłaniając częściowo piersi.

- Ten widok będzie cię teraz kusił, Spencer. Zaostry twój apetyt. Zresztą mój także.

Roześmiał się jeszcze bardziej przerażająco. Ambrozja wstrząsnęła się, zdjeta lękiem. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie ulegało wątpliwości, że mają do czynienia z szaleńcem.

Kiedy Silas zwrócił się do Riordana, Ambrozja zauważyła, że na stoliku za jej plecami leży jego nóż. Po raz pierwszy od kilku godzin wstąpiła w nią nadzieja. Jeżeli uda jej się odsunąć z krzesłem do tyłu, być może pojawi się szansa ratunku.

Poczekwała do momentu, kiedy Fenwick wznosił szpadę do góry, aby ponownie zranić Riordana. W chwili gdy przecinał mu bluzę na torsie, przesunęła się z krzesłem do tyłu. Ruch był nieznaczny, niemniej umożliwił jej osiągnięcie celu. Wymacała nóż i wzięła go w palce. Poczowała ostry ból. Nie zwracała jednak na to uwagi, tylko mocniej zacisnęła palce wokół noża i dopóty nim manipulowała, dopóki nie przecięła sznura krępującego rękę. Poczowała, że sznur ustąpił i przestał wpijać się w nadgarstki. Złapała go, nim zdążył upaść na podłogę i ścisnęła w palcach, w dalszym ciągu trzymając z tyłu rękę.

Riordan pilnie obserwował Ambrozię. Kiedy zorientował się, że podjęła próbę uwolnienia się z więzów, postanowił skupić uwagę Silasa na sobie.

- Gdybyś rzucił szpadę - odezwał się - pokazałbym ci, że mimo ran nadal jestem od ciebie silniejszy. A może boisz się stanąć przede mną bez broni?

- Bać się ciebie? - roześmiał się szyderczo Silas. - Ledwo trzymasz się na nogach. Dlaczego miałbym się ciebie bać?

- Udowodnij to. Odrzuć szpadę i zmiierz się ze mną jak mężczyzna z mężczyzną.

Twarz Silasa Fenwicka pociemniała z wściekłości.

- Chcesz się popisać przed swoją kobietą, czyż nie tak, Spencer? Chcesz uchodzić przed nią za bohatera? - Odrzucił broń. - Z ogromną przyjemnością.

Riordanowi udało się uniknąć pierwszego ciosu, ale kiedy spróbował unieść do góry pięści, stwierdził, że to zadanie zupełnie ponad jego siły, mięśnie odmówiły posłuszeństwa, a ramiona bezwolnie opadły.

Za drugim razem dostał w szczękę. Zatoczył się do tyłu na ścianę. Oparł się o nią, czekając, aż minie szum w głowie. Gdy nadeszło następne uderzenie, był już na nie przygotowany. Udało mu się szczęśliwie tak wykręcić w bok, że pięść Silasa uderzyła w ścianę. Później jednak nie poszło mu już tak dobrze. Rozwścieczony Silas popchnął go, a następnie wtłoczył pięść w żołądek.

Riordan upadł na kolana i czekał, aż odzyska zdolność widzenia. Kiedy na koniec krwawa mgła ustąpiła mu sprzed oczu, zobaczył szpadę wymierzoną w swoją pierś.

- Mam już dość tej walki. Postanowiłem ją zakończyć. Jak również skończyć z tobą, Spencer. Kobietę zostawię sobie na ostatek. Muszę mieć jeszcze energię, aby się nią nacieszyć, nim poślę ją w ślad za tobą do grobu.

Fenwick cofnął ramię, by zamachnąć się i ostatecznie już zatopić szpadę w sercu Riordana. Nagle poczuł palący ból między łopatkami. Szpada wypadła mu z ręki. Odwrócił się i zobaczył Ambrozię, która stała naprzeciwko niego po drugiej stronie pokoju. Pokoju, który nagle zaczął wirować mu przed oczami.

Ciało odmówiło posłuszeństwa. Upadł na kolana, wciąż próbując dosięgnąć rękojeści noża, który wystawał mu z pleców. Na koniec, westchnąwszy spazmatycznie, runął na podłogę twarzą w dół.

Ambrozja podbiegła do Riordana.

- Och, mój kochany. - Objęła go ramionami, przycisnęła do siebie i tak trzymała. Krew broczyła obficie z ran Riordana. Mgła bólu zasnuwała mu oczy. Przeraziła ją jego bladość.

- Nie umieraj, ukochany. Błagam, nie umieraj.

Tak ich zastali ludzie, którzy w kilka minut później przybyli na pomoc. Król i jego żołnierze wdarli się do domu przez frontowe drzwi. Bethany i Darcy z resztą rodziny, nie wyłączając obu starszych pań, weszły przez okno wychodzące na taras.

Gdy zobaczyli zalaną krwią podłogę, zrozumieli, że tych dwoje tylko cudem uniknęło śmierci. Tymczasem w całym domu zapanował harmider i zamieszanie. Żołnierze króla, z bronią w rękę, przeszukiwali pokój po pokoju, sprawdzając, czy nie ukrywają się w nich inni zdrajcy.

Ambrozja przez cały czas tuliła do siebie Riordana. Jej łzy mieszały się z krwią płynącą z jego ran. Przycisnęła usta do jego skroni i błagała, aby nie umierał, żeby jej nie opuszczał.

To są, pomyślał ostatkiem świadomości Riordan, najmiłsze słowa, jakie słyszałem w życiu.

Podczas gdy inni stali, bezradnie spozierając na krwawe ślady zaciekłej walki, Winnie bez zwłoki przystąpiła do działania. Nie uznającym sprzeciwu głosem zaczęła wydawać polecenia.

- Bethany. Potrzebuję wody. Natychmiast. Darcy, zdobądź jakieś czyste płótno do przewiązania ran kapitana Spencera. Geoffrey i Newton niech go przeniosą na szeszląg. Dobrze. Pani Coffey, proszę się postarać o środki dezynfekcyjne i przeciwbólowe.

Ambrozja nie dała się odciągnąć od Riordana nawet wtedy, kiedy jej dziadek wraz z Newtonem przenosili go na szeszląg i delikatnie na nim złożyli.

Kiedy rodzina rozbiegła się po domu, aby spełnić polecenia Winnie, do salonu weszły Edwina i jej matka. Były w nocnych strojach, oszołomione i zaniepokojone widokiem żołnierzy chodzących po pokojach z obnażonymi szpadami.

- Silasie! - zawołała Edwina, nieświadoma biegu wydarzeń.
- Czy możesz wyjaśnić mamie i mnie, co to wszystko ma znaczyć?

Rozejrzała się wokół. Salon wyglądał jak pobojowisko. Podłoga była zakrwawiona, a wszystko wokół porozrzucane. Zamarła, ujrawszy Silasa leżącego w kałuży krwi.

- Silasie, mój ukochany.

- Ten ukochany jest zdrajcą - odezwała się pani Coffey, która właśnie wróciła z zapasem środków dezynfekcyjnych i przeciwbólowych.

- Zdrajcą? - Edwina złapała matkę za ramię. Osłupiałe z wrażenia kobiety spoglądały na siebie w milczeniu.

- Tak jest. Planował również zamordować i was w drodze powrotnej do Kornwalii - oznajmiła Ambrozja.

- To niemożliwe. - Edwina z płaczem padła w ramiona matki. - On... mnie kochał. Mieliśmy się pobrać.

- On planował ucieczkę z kraju - oświadczył rzeczowo król, powtarzając to, co przed chwilą usłyszał od Ambrozji. - Zamierzał zgładzić wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć o jego zbrodniczych planach i zdradzie. Wy, panie, byłyście tylko pionkami w jego grze. Wykorzystał was, aby móc; przebywać w Kornwalii. Jego głównym celem było zgładzenie Barclaya Stuarta. Chciał skraść dokumenty, które zawierały listy statków trudniących się przewozem tajnych ładunków dla króla.

Usłyszawszy te słowa, Edwina i jej matka padły na podłogę zemdłone.

Nikt nie miał czasu, aby się nimi zająć. Wszyscy pośpieszyli pomagać Winnie, która dezynfekowała i przewiązywała rany Riordana.

Nim skończyła go opatrywać, Riordan otworzył oczy. Zaciśnął zęby, żeby nie jęczeć z bólu.

Król przechylił się przez oparcie szezlonga i spojrzał na przyjaciela.

- Żyjesz jeszcze pod tymi opatrunkami?

W odpowiedzi usłyszał paskudne przekleństwo.

- Czy w taki sposób mówi się do króla?

Padło kolejne przekleństwo wypowiedziane niewyraźnym głosem, tylko jeszcze bardziej dosadne.

Karol uśmiechnął się do Ambrozji.

- Wyliże się z tego, moja droga. Zapewniam cię. Mówię to na podstawie jego... soczystego języka. W przeszłości odnosił groźniejsze rany niż te, a mimo to przeżył. - Zwrócił się do Riordana: - Wyglądasz okropnie. Wiesz, stary przyjacielu, że naprawdę powinieneś dołożyć starań, aby w lepszej formie występować przed królem.

Karol obrzucił wzrokiem Edwinę i jej matkę, wciąż leżące bez zmysłów na podłodze.

- Niech ktoś ożywi te dwa padłe wróbelki. Teraz, moim zdaniem, wszyscy powinniśmy wrócić do Hampton Court. Jest już rano i pora na śniadanie. Przy posiłku panna Lambert i mój stary przyjaciel, Riordan Spencer, opowiedzą nam szczegóły swej ostatniej przygody. Może powinienem dodać: bardzo niemiłej przygody.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Orszak zdążający do pałacu przedstawiał raczej nietypowy widok. Król nalegał, aby Ambrozja i Riordan wsiedli do jego karocy. Za nimi zdążyły dwa powozy wiozące pozostałych członków rodziny Lambertów oraz Edwinę i jej matkę. Po bokach cwałowali na koniach żołnierze króla, ubrani w czerwono-złote uniformy. Obnażone szpady przytroczone do boków, podskakiwały w rytm końskiego galopu. Stalowe klingi lśniły w promieniach słońca.

Riordan z przyjemnością wciągał w płuca rześkie poranne powietrze. Rozjaśniało mu umysł, chociaż nadal zdarzało mu się tracić na chwilę przytomność. Usadowiono go w kącie powozu, przy Ambrozji. Król siedział naprzeciwko, niezmiernie podekscytowany całym wydarzeniem.

- W jaki sposób Wasza Wysokość się tutaj znalazła? - Riordan odchylił głowę, rozkoszując się ruchem powozu. Miał uczucie, jakby znajdował się na pokładzie statku.

Karol uśmiechnął się na wspomnienie minionej nocy.

- Rodzina Lambertów wtargnęła do pałacu, czyniąc wielki raban i podnosząc wszystkich na nogi. Żądali widzenia się z królem. Służba jednak nie chciała się na to zgodzić i próbowała ich wyrzucić, jak jakichś żebraków. Ale ta energiczna gubernantka nie dawała za wygraną i koniecznie domagała się rozmowy z monarchą.

- Czy Wasza Królewska Mość mówi o Winnie?

- A więc ma na imię Winnie? Przedstawiła się jako panna

Mellon i dowodziła, że stracę dwóch swoich najbardziej lojalnych poddanych, jeżeli natychmiast nie wyślę żołnierzy do rezydencji Silasa Fenwicka.

- Winnie. - Ambrozja uśmiechnęła się. - Kto by pomyślał, że ta niepozorna, słodka staruszka jest zdolna do takich rzeczy?

- Ta słodka staruszka przypominała psa, któremu chcą odebrać kość. To szalenie zajadła osóbką. - Karol się uśmiechnął. - Z jaką energią zaczęła wszystkimi komenderować, kiedy zobaczyła ranego Riordana. Wprost niewiarygodne!

- Tak jest. Mam wrażenie, że ona nabiera coraz większej odwagi.

- To chyba rodzinne. - Przyglądał się siniakom i cięciom na szyi Ambrozji, widocznym pod ciepłym szalem, który guwernantka narzuciła na nią, by ukryć jej podarty negliż.

Gdy przybyli do Hampton Court, na pałacowym podwórku czekała już służba w postawie na baczność.

Wyniosła ochmistrzyni donośnym głosem natychmiast zaczęła wydawać służbie stosowne rozkazy. Służący rozbiegli się na wszystkie strony, by wykonać jej polecenia. Rozkazano im zadbać o jak największą wygodę gości monarchy. Należało przyszykować dla nich kąpiel i rozdać świeżą odzież, jak również przygotować obfity posiłek.

Edwina, w dalszym ciągu błada jak upiór, rozglądała się wokół ze zdziwieniem.

- Czy to znaczy, że my również będziemy gośćmi Waszej Wysokości?

- Owszem. Dopóki nie załatwi się wam bezpiecznego powrotu do Kornwalii - odparł król i odszedł, ale zawrócił, słysząc piskliwy okrzyk panny Mellon.

- Niech ktoś je podtrzyma!

Edwina i jej matka zemdlały po raz drugi. Kiedy służba pośpiesznie wносиła je do środka, stara guwernantka zauważyła:

- Zawsze uważałam, że pani Cannon i jej córka są zbyt wątłe, przynajmniej jak na mój gust.

Ambrozja i jej siostry przykryły usta dłońmi, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Najwyraźniej - szepnęła Ambrozja - Winnie zapomniała już o tym, jak mdlała za każdym razem, kiedy sprawy nie układały się po jej myśli.

- Nie przypominajmy jej o możliwości. - Bethany złapała za rękę Darcy i dwie siostry tanecznym krokiem wbiegły na schody pałacu. - Podoba mi się nowa Winnie.

- Dziadek jest podobnego zdania - półgłosem zauważyła Darcy.

Siostry stanęły w miejscu jak wryte.

- Co to znaczy? - zapytała Ambrozja.

- Zobaczysz sama.

Geoffrey Lambert na oczach trzech wnuczek z galanterią podał ramię guwernantce.

- Chodź, Winnie. Czas, abyśmy się pokrzepili.

- Dziękuję, Geoffreju. - Położyła rękę na jego ramieniu i stąpając lekkim krokiem, odeszła wraz z Lambertem seniorem.

Ambrozja zwróciła się do sióstr:

- Czy tylko mi się wydawało, czy rzeczywiście zauważyłam lekki rumieniec na białych policzkach?

- Nie mylisz się. - Bethany potrząsnęła głową ze zdziwieniem. - Przekonasz się wkrótce, że Winnie porzuci biel i zacznie ubierać się na różowo, niebiesko, a nawet na czerwono.

- Niemożliwe. - Ambrozja położyła ręce na biodrach. - Ślubowała przecież, że dopóki nie straci dziewictwa, będzie ubierać się tylko na biało.

Bethany podniosła brwi do góry.

- Nie myślisz chyba, że ona i dziadek...

Bethany nie dokończyła zdania; gromki śmiech siostr był wystarczającym komentarzem.

- Chodźcie, panienki - przywoływała je do porządku podkcytowana pani Coffey. - Jak widzę, to na mnie głównie spadnie obowiązek opiekowania się tymi głupimi paniami Cannon.

Przemknęła obok, musnąwszy panny Lambert suknią w przelocie. Siostry ponownie zaniosły się śmiechem. Czyżby się przesłyszały? Czy rzeczywiście ochmistrzyni nazwała panie Cannon głupimi? Zważywszy na to, że przez wiele lat usilnie zabiegała o ich względy, trudno w to było uwierzyć.

Doprawdy, niespodzianka goniła niespodziankę.

Karol zatrzymał się przed wejściem do swoich apartamentów.

- Oczekuję od ciebie pełnego sprawozdania, przyjacielu.

Riordan skinął głową.

- Tak jest, sir.

Kiedy już odchodził, król zawołał:

- Dostaniesz ten kosztowny ślubny prezent, o który prosiliś. Nikt nie zasłużył na niego bardziej niż ty.

Riordan odwrócił się na te słowa.

- Nie będzie potrzebny - odparł urywanym głosem.

- Coś ty powiedział? - Karol potrząsnął głową, nie wierząc własnym uszom. - Zaprzeczasz, że kochasz tę dziewczynę?

- Nie zaprzeczam, ale przygoda z Silasem dała mi sporo do myślenia. Mój tryb życia sprowadzi na żonę wyłącznie zmartwienia.

- I dlatego chcesz zrezygnować z panny Lambert?

- Tak. Nie wypada zrobić inaczej, jeżeli chce się postąpić uczciwie. A ja nie zawsze postępowałem w życiu uczciwie.

Karol położył mu rękę na ramieniu.

- Zbyt surowo siebie osądzasz, przyjacielu. To, co zrobiłeś, uczyniłeś dla króla i ojczyzny. Bez ciebie nie byłoby mnie tutaj. A Anglia nie byłaby wolna od takich łajdaków jak Silas Fenwick.

- Nie zrozum mnie źle, Wasza Wysokość. Nie żałuję tego, co zrobiłem. Każda cena jest dobra, by pomóc naszemu władcy i krajowi. Nie chcę jednak wciągać w to Ambrozji. Ona zasługuje na lepszy los.

- Mówisz poważnie? Naprawdę taka jest twoja decyzja?
Riordan przytaknął ruchem głowy.

- Może jeszcze zmienisz zdanie. Zastanów się.

- Podjąłem już decyzję. - Riordan skłonił się. - A teraz pozwól, Wasza Wysokość, że się oddalę. Muszę się przebrać.

- Nawet gdybyś był brudny i w łachmanach i tak nie byłoby dla króla miłszego gościa od ciebie.

Karol pograżył się w myślach. Przez dłuższą chwilę odprowadzał wzrokiem postać swego najwierniejszego przyjaciela, który zniknął w głębi wielkiego korytarza.

Miłość, pomyślał, to sprawa skomplikowana. Nawet najsilniejsze i najodważniejsze serce nie zawsze jest w stanie z nią sobie poradzić.

- Spójrzcie tylko na nią. - Bethany i Darcy zatrzymały się przed drzwiami pokoju siostry w drodze do prywatnych apartamentów króla, gdzie miały zjeść śniadanie z monarchą.

- Czy nie uważasz, że ta suknia jest trochę za śmiała? - Ambrozja cofnęła się nieco.

- Nie. - Bethany schwyciła siostrę za ręce i obejrzała ze wszystkich stron.

Ambrozja miała na sobie szkarłatną suknię z połyskliwej satyny, miękko zaokrągloną przy szyi. Długie rękawy zwięzały się przy nadgarstkach.

- A jak wam się podoba moja fryzura? - Wskazała ręką ciemne zwoje spadające na ramiona. Odgarnęła je z twarzy na boki, spinając zalotnie kunsztownymi grzebieniami z perłowej macicy. - Czy nie wydaje się wam zbyt frywolna?

Darcy roześmiała się.

- Ambrozjo, wyglądasz przepięknie. Dlaczego się tak de-nerwujesz?

- Nie wiem. - Ambrozja dotknęła ręką czerwonej wstążki, którą przewiązała szyję, aby ukryć skaleczenia zadane nożem Silasa. Miało to być jej pierwsze spotkanie z Riordanem, poczynając od owej straszliwej nocy, kiedy walczyli o życie z szaleńcem. Ambrozja pragnęła, aby nic nie zmaćło tej szczęśliwej chwili.

- A czy powodem tego nie jest pewien kapitan? - zapytała chytrze Bethany.

Słaby rumieniec wykwitł na policzkach Ambrozji. Dziewczęta spojrzały na siebie z błyskiem zrozumienia w oczach. To dzisiaj Riordan Spencer poprosi Geoffreya Lamberta o rękę wnuczki. Dla nikogo, oczywiście, nie będzie to niespodzianką. Tylko ślepy mózg nie zauważył uczucia, jakie łączy tych dwoje.

- Chodźmy. - Bethany otworzyła drzwi i tanecznym krokiem przebiegła korytarz, kierując się do apartamentów króla.

Podążająca za nią Darcy spytała szeptem:

- Czy mamy się modlić o jeszcze jeden cud?

- Tak. - Bethany pociągnęła ją za sobą.

Ambrozja szła za nimi nieco wolniejszym krokiem. Oczekiwała, że Riordan przyjdzie do jej pokoju, ale się nie zjawił. Domyślała się, że podobnie jak ona za długo się szykował. Cóż w tym dziwnego? Wszak zakochani zawsze tak postępowali, kiedy chcieli wyrzeć jak najlepsze wrażenie.

Serce waliło jej w piersi jak młotem, gdy wkraczała na wspa-niałe pokoje, do których wstęp mieli tylko wybrańcy i najbliżsi przyjaciele angielskiego monarchy.

To tutaj Karol zwykł jadać posiłki, gdy pragnął ograniczyć się do najbliższego grona. W komnacie mogło się pomieścić około pięćdziesięciu osób. Okna przesłaniały eleganckie kotary, a wygodne krzesła i kanapki, rozstawione w różnych miejscach, umożliwiały prowadzenie swobodnej rozmowy w mniejszych grupach. Na kominku płonął ogień, stwarzając w całym pomieszczeniu ciepły i pogodny nastrój. Na środku pokoju znajdował się wielki stół zastawiony kosztowną porcelaną, kryształami i srebrem, które lśniły w migotliwym blasku niezliczonych świec. U szczytu stołu znajdowało się krzesło dla króla, przy którym czuwał lokaj w liberii.

Ambrozja przyjęła kielich grzanego wina z korzeniami i poczuła, jak miłe ciepło rozlewa się po jej ciele.

- Ambrozjo. - Panna Mellon stojąca obok pani Coffey, Edwiny Cannon i jej matki przywołała ją ruchem ręki. - Wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję, Winnie. - Ambrozja uśmiechnęła się. - Widzę, że udało ci się znaleźć białą suknię.

- Te krawcowe w pałacu są nadzwyczajne - zauważyła półgłosem pani Cannon. - Mają taki wybór pięknych strojów, że nie wiedziałam, który wybrać. Nie mogłam wprost uwierzyć, że jestem tutaj, w Hampton Court, i że będę jeść śniadanie z królem. Ale w końcu wybrałam.

- Doświadczyłam podobnych dylematów - przyznała Ambrozja.

- Dobrze wybrałaś, moja droga. - Guwernantka poklepała wychowankę po ręce i podniosła głowę do góry, spoglądając na nią z uśmiechem. - A oto twój dziadek i Newton. - Przywołała ich skinieniem ręki. - Geoffreju, Newtonie! Zobaczcie, jak nasza Ambrozja ślicznie wygląda. Nie widać ani śladu strasznych przeżyć.

Geoffrey Lambert cmoknął wnuczkę w policzek.

- Nie mogłaś wybrać lepszego stroju, dziewczyno.
- Dziękuję, dziadku. - Rozjaśniła się na widok wchodzącego do sali Riordana. Za nim szedł król.

Natychmiast wszyscy umilkli. Mężczyźni skłonili się, kobiety dygnęły.

- Oto jesteście. - Karol podniósł rękę, witając zebranych, i zasiadł na swoim miejscu u szczytu stołu.

Goście poszli na jego przykładem. Kamerdyner króla wskazywał każdemu, gdzie ma usiąść.

- Riordanie, zasiądziesz po mojej prawej ręce. Ambrozja usiądzie z lewej strony.

Geoffrey Lambert z satysfakcją skonstatował, że dostał miejsce naprzeciwko króla. Po prawej stronie miał Winifred Mellon, a po lewej panią Coffey. Newton siedział między Bethany a Darcy. W pewnej chwili powiedział do nich szeptem:

- Czuję się niczym wieloryb między dwiema rybkami. - Rozśmieszył je tym żartem do tego stopnia, że zachichotały, przestaniając dyskretnie usta dłonią.

Po drugiej stronie stołu siedziały Edwina z matką. Były tak blade, że wszyscy obawiali się, iż lada chwila znowu zemdleją. Ręce im drżały, kiedy podnosiły kielichy do ust, i poza suchą kromką chleba nie tknęły żadnej potrawy. Reszta gości tymczasem raczyła się do woli soczystym rostbefem, łososiem, pieczenią baranią, pieczonym ptactwem i gorącymi biskwitami z owocową konfiturą. Była to prawdziwie królewska uczta, na dodatek uświetniona obecnością samego monarchy, który siedział między nimi, rozmawiając i żartując, jak gdyby znał ich od dawna.

Ambrozja przez cały czas spoglądała przez stół na Riordana, który, pogrążony w głębokiej zadumie, odpowiadał tylko wtedy, kiedy się do niego zwracano.

Może to dobry znak, pomyślała. Bądź co bądź, oświadczyły to niecodzienna rzecz - każdy mężczyzna z pewnością czuje się

zdenerwowany. Jej ojciec często opowiadał córkom o swoich oświadczeniach. Po stoczeniu zwycięskiej bitwy z piratami, nie zważając na szalejący sztorm, dotarł na pokładzie „Nieustraszonego” do Londynu, gdzie natychmiast, głodny i niewyspany, pomknął ulicami miasta do domu swej ukochanej Mary, aby poprosić ją o rękę.

- ...zdrowie was dwojga.

Słowa króla wyrwały Ambrozię i Riordana z zamyślenia. Podnieśli szybko głowy do góry. Ich spojrzenia się spotkały. Ambrozja posłała ukochanemu uśmiech.

Riordan zwrócił się do króla.

- Przepraszam, Wasza Wysokość. Zamyśliłem się.

Karol uśmiechnął się.

- Wznoszę toast za was dwoje. Za zdrowie mego drogiego przyjaciela Riordana Spencera i Ambrozji Lambert oraz jej rodziny i przyjaciół. Dzięki waszej dzielności i odwadze wody Anglii są wolne od wrogów. - Podniósł do góry kielich. - Wdzięczny król pije wasze zdrowie.

Ambrozja zarumieniła się, gdy rodzina wzniosła w toaście kielichy.

Karol odchrząknął.

- Niestety, muszę z przykrością oznajmić, że mój drogi przyjaciel Riordan znowu nas opuszcza.

- Wyjeżdża? - Ambrozja spoglądała to na króla, to na Riordana.

- Muszę go znowu... wysłać z kolejną misją. - Królowi zrobiło się żal Ambrozji, ale Riordan, który go nigdy o nic nie prosił, tym razem wręcz domagał się wyjazdu. Nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić.

Kiedy rozmawiali na ten temat Riordan nalegał na jak najszybszy wyjazd. Nie ma lepszego rozwiązania jak szybkie, odpowiednio uzasadnione rozstanie, dowodził. Ambrozja bę-

dzie cierpiała, to prawda, ale tylko na początku. Czas goi rany, a on tym postępkami zaoszczędzi jej cierpień w przyszłości. Przekonywał króla tak żarliwie i z taką mocą, że tym apelem do głębi go poruszył.

- Kochasz ją mocniej, niż myślałem - zauważył półgłosem. Riordan nie odpowiedział.

Teraz, widząc wzburzenie rodziny Ambrozji, Riordan zwrócił się do króla:

- Jestem posłusznym sługą Waszej Wysokości. Mogę wyjechać choćby w tej chwili.

- Już w tej chwili? - Ambrozja postawiła ze stukiem kielich na stole. - Ależ, Riordanie, nie możemy... nie możesz... - Zaciśnęła ręce na kolanie, walcząc ze wzburzeniem. Zrozpaczona, zwróciła się do króla.

- Wasza Wysokość, proszę pozwolić, abym wyruszyła wraz z nim. Moja rodzina zaświadczy, że jestem dobrym sternikiem, a szpada władam nie gorzej od wielu mężczyzn.

Król wyczuł wzrastające przy stole napięcie. Riordan spoglądał przed siebie pustym wzrokiem, zaś na twarzach bliskich Ambrozji malował się gniew. Szczególnie srogą minę przybrał Lambert senior i Newton. Karol zrozumiał, że jeśli nie podejmie od razu jakiejś decyzji, to lada chwila może dojść do awantury.

Zwrócił się do Geoffreya Lamberta.

- Oddaję do waszej dyspozycji statek, którym popłyniecie z powrotem do Kornwalii. Wyrusza za godzinę.

- A co z „Trupią Czaszką”? - zapytał Newton.

- To świetny statek. Piraci z Cairn musieli nieźle naruszyć skarbiec królewski, aby zbudować to cudo. Dałem go w prezencie Riordanowi, aby go używał dla dobra korony. Będzie to rekompensata za jego żaglowiec, który został zatopiony przez piratów. - Po tych słowach król podniósł się z krzesła, przecinając tym samym w zarodku dalsze pytania. - Przyjdę się z wami po-

żegnać, kiedy będziecie wsiadać do powozu, który zawiezie was do przystani - powiedział, po czym zwrócił się do Riordana: - Mamy jeszcze sporo spraw do omówienia przed twoją wyprawą.

Wyszedł szybko z pokoju z wiernym przyjacielem u boku. Pozostała w sali rodzina spoglądała za nimi w osłupieniu.

Riordan spakował marynarski worek, a potem podszedł do okna i wyjrzał na piękne ogrody otaczające pałac. Pomyślał, że nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek perspektywa nowej przygody tak mało go interesowała. Nie czuł w sobie nawet śladu owego upajającego uczucia podniecenia, które zawsze towarzyszyło mu w przygotowaniach do morskich wypraw. Był ogromnie przygnębiony.

Brzydził się sobą. Odrzucił Ambrozię, kobietę, która dwa razy uratowała mu życie, piękną, oddaną, kochającą. W pełni zdawał sobie sprawę, że sprawia jej ból. Będzie jednak bezpieczna. A to stało się dla niego najważniejsze: świadomość, że nic jej nie grozi.

Po jakimś czasie otrząśnie się z szoku i wróci do normalnego życia. Spotka mężczyznę, który nie będzie szukał przygód. Założy z nim dom, rodzinę. Będzie miała dzieci.

Przycisnął czoło do zimnej szyby. Rany, które otrzymał z ręki Silasa Fenwicka, były niczym w porównaniu z cierpieniem, które rozdzierało jego serce. Myśl o Ambrozji szczęśliwej w ramionach innego mężczyzny, kochającej go, rodzącej mu dzieci, była dla niego torturą nie do zniesienia.

- Riordanie.

Odwrócił się na dźwięk swego imienia. Spojrzał i osłupiał z wrażenia. Wydawało mu się, że śni. Ale to była ona. Stała w drzwiach ubrana w spodnie wsunięte w wysokie cholewy korsarskich butów. Do tego miała na sobie bluzkę z bufiastymi

rękawami. Włosy przewięzała kolorową szarfą. W ręku trzymała szpadę.

Gdyby to się działo w innych okolicznościach, uśmiechnąłby się tylko na ten widok.

- Czy przyszedł się ze mną zmierzyć?
- To zależy.
- Od czego?
- Od odpowiedzi na pewne pytanie.
- Nie mam czasu na żarty, Ambrozjo.
- Ani ja. Karoca króla już czeka na dziedzicu.

Zesztywniał. Jeszcze minuta, a serce pęknie mu z bóleści.

- Co to za pytanie?
- Czy ty mnie jeszcze kochasz, Riordanie?

Początkowo chciał zaprzeczyć. Jedno małe słowo, wykręt, a pozbędzie się Ambrozji na zawsze, wiedząc jednocześnie, że znenawidzi go za to do końca życia. Ale był jej winien prawdę.

- Tak. Z całej duszy.

Ambrozja zamknęła oczy. Nigdy żadna droga nie wydała jej się tak długa jak ta, która wiodła od jej pokoju do komnaty Riordana. Bała się odpowiedzi. Co będzie, jeżeli powie, że jej nie kocha? Co będzie, jeżeli to wszystko okaże się kłamstwem? Musiała jednak wiedzieć. Teraz już wiedziała.

Odetchnęła z głębi piersi.

Nim zdążyła się odezwać, odwrócił się do wyjścia. Jeszcze tylko dorzucił przez ramię:

- Ale to nie zmienia sytuacji, Ambrozjo. Nadal zamierzam brać udział w tej niebezpiecznej grze, którą prowadzę dla dobra króla i ojczyzny.

- Wobec tego będziemy ją prowadzić razem.

- Nie. Nie zniosę znowu takiej męki, jaką przeżywałem wtedy, kiedy widziałem cię w szponach Silasa Fenwicka.

- A ja nie zniosę, ażeby ktoś cię znowu tak okrutnie torturował jak on.

- Nie wolno mi narażać ciebie na takie życie. Uświadomiłem to sobie, gdy ujrzałem cię w twoim pięknym domu, na tle rodziny, otoczoną miłością mieszkańców Land's End. Tak właśnie powinno wyglądać twoje przyszłe życie, Ambrozjo. Zaslugujesz na męża, który stworzy ci prawdziwy dom; męża, z którym będziesz miała dzieci.

- A ty nie chciałbyś tego, Riordanie?

- Bardzo. Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

- Wobec tego znajdziemy sposób, aby to wszystko mieć. Pozwól mi sobie towarzyszyć. Pływać z tobą po morzach. Walczyć za króla i ojczyznę.

Pokręcił głową.

- Niepokój i obawa zawładną nami i prędzej czy później zmuszą do rozstania.

- Pewien mądry człowiek powiedział mi, że niepokój na równi z zauroczeniem towarzyszy miłości.

- Za bardzo cię kocham, Ambrozjo. Nie zniósłbym...

Dotknęła palcem jego warg, by go uciszyć. Próbował zdusić w sobie przemożne pragnienie pochwycenia jej w ramiona. Cofnął się o krok.

Stanęła przed nim, wysuwając wojowniczo podbródek.

- Ten sam mądry człowiek powiedział mi również, że prawdziwa miłość zdarza się tylko raz. Nie wolno marnować szczęścia, zastanawiając się, co przyniesie przyszłość. Do końca życia można później żałować tej decyzji.

Trzymał ręce ściśle wzdłuż boków, walcząc z chęcią przytulenia Ambrozji do siebie.

- Nie będę mężem, który wspólnie z żoną organizuje tańczące herbatki. Nie mogę porzucić służby u króla, nawet jeżeli to oznaczałoby konieczność wyprawienia się do Nowego Świata i z powrotem.

- Nigdy nie żądałabym tego od ciebie. Nie będę żoną, która poświęci się plotkom i swataniu panien. Wiesz, że potrafię żeglować nie gorzej od innych, Riordanie, a gdy zajdzie potrzeba mogę również wesprzeć cię w walce swoją szpadą. Czy to nie wystarczy?

- Czy nie wystarczy? - Głos Riordana zabrzmiał weselszą nutą. - Nie jesteś wprawdzie typem kobiety, o jakiej myśli mężczyzna, kiedy poszukuje kandydatki na żonę, niemniej stwierdzam, że twoja propozycja jest bardzo kusząca.

- Jeżeli ci to nie wystarczy, to powiem coś więcej. - Śmiało ujęła jego twarz w dłonie i zadrżała mu w oczy z takim uczuciem, że zadrżał ze wzruszenia.

- Będę walczyć za ciebie, Riordanie. Jeżeli padniesz, podniosę cię. Jeżeli poniesiesz klęskę, zostanę przy tobie i nigdy cię nie opuszczę. A przede wszystkim będę cię kochać, Riordanie. Żadna kobieta nie będzie cię kochać równie mocno, jak ja. Razem będziemy się starzeć - szeptała przejmująco. - Będę cię kochać do ostatniego tchnienia i jeszcze dłużej, przez całą wieczność.

- Na litość boską, Ambrozjo. - Moc uczucia, rozbrzmiewająca w głosie Ambrozji sprawiła, że dreszcz przebiegł mu po skórze. Myślał, że zdoła się jej oprzeć, odsunąć od siebie i nadal prowadzić życie samotnika, które sobie wybrał. Ale nie znał Ambrozji do końca. Ta cudowna, odważna i namiętna kobieta jest w stanie złamać wszelki opór.

A więc pozostaje mu ulec. Wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej skroni.

- Nie będę dłużej zaprzeczał. Uwielbiam cię, Ambrozjo Lambert, i będę cię kochał do końca moich dni.

Zawładnął jej ustami i pocałował namiętnie.

- I pobierzemy się? Razem wypłyniemy w morze? Razem będziemy walczyć za Anglię?

- Tak, ukochana. Wspólnie stawimy czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Zawsze będziemy razem.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Och, Riordanie. Czy wiesz, jak długo czekałam na te słowa? A teraz chodźmy i powiedzmy o tym mojej rodzinie. Szybko, zanim powozy odjadą do przystani. A także królowi. Będzie chciał wiedzieć.

Riordan roześmiał się głośno. Było mu tak lekko i radośnie na duszy jak nigdy w życiu.

- O tak, Karol będzie chciał wiedzieć. A także twój dziadek. Przypuszczam, że zaczął już rozważać, jak dobrać się do skóry mężczyźnie, który ośmielił się zadać ból jego ukochanej wnuczce. Powiemy im wszystkim, ale poczekajmy z tym jeszcze przez chwilę. Najpierw pozwól mi cię kochać, Ambrozjo. Tak długo na to czekałem. Za długo. - Pocałował ją znowu, tak gorąco i żarliwie, że obojgu zabrakło tchu.

Kiedy przeżywali na nowo cud swej miłości, Ambrozja pomyślała o żeglarzu, który przybył do nich z ostatnim pożegnaniem Johna Lamberta. Czy ojciec, zlecając mu to ciężkie posłannictwo, przeczuwał, że Riordan Spencer zostanie mężczyzną jej życia?



EPILOG

Wydawać by się mogło, że prawie cała Kornwalia zebrała się w małym, kamiennym kościółku w Land's End na ślubie Ambrozji Lambert i kapitana Riordana Spencera.

Również król postanowił uświetnić tę uroczystość swoją obecnością. Jego biało-złota karoca zaprzężona w szóstkę białych koni ogniskowała na sobie zachwycone spojrzenia wszystkich mieszkańców miasteczka.

Pastor stał w drzwiach kościoła z młodym wikarym, witając wiernych. Ołtarz został przybrany polnymi kwiatami, które siostry panny młodej zerwały jeszcze tego samego ranka. Ich upajająca woń unosiła się w całym kościele, przywodząc na myśl piękne zielone łąki, które wiły się i opadały wdzięcznie ku morzu wzdłuż całego wybrzeża Land's End.

Ambrozja marzyła, aby wziąć ślub na pokładzie „Nieustraszonego”. Było to możliwe, ponieważ statek pod dowództwem młodego Randolpha wyszedł z wyprawy po pirackich wodach cały i nieuszkodzony. Rodzina jednak przekonała ją, że powinna wziąć ślub tam, gdzie ślubowali jej ojciec i dziadek.

Geoffrey Lambert, dumnie wyprostowany, stał w kościelnej nawie, obserwując tłum, który z każdą chwilą coraz szersze wypełniał świątynię. Ci sami ludzie, którzy nie tak dawno zgromadzili się tutaj, aby pożegnać Johna i Jamesa Lambertów, mieli teraz okazję nacieszyć oczy szczęściem Ambrozji.

Koło się zamknęło. Ze śmierci poczęło się nowe życie, pomyślał Geoffrey. Był już starym człowiekiem i wydawało mu

się, że nic więcej nie czeka go w życiu dobrego. Widział przed sobą już tylko śmierć. Aż nagle, wraz z przybyciem nieznajomego, odnalazł w sobie nowe siły.

Winifred Mellon uśmiechnęła się do niego promiennie. Odwzajemnił jej uśmiech.

- Czy mówiłem ci już, jak porywająco wyglądasz w tej różowej sukni, Winnie?

Jej policzki kolorem upodobniły się do sukni.

- Dziękuję, Geoffreju. Ty, w swoim kapitańskim mundurze, także prezentujesz się wspaniale.

Podał jej ramię z galanterią, a ona przyjęła je i tak już we dwójkę weszli do zakrystii, gdzie Ambrozja z pomocą sióstr wkładała welon. W drzwiach przyłączyła się do nich pani Coffey, która koniecznie chciała pomóc Ambrozji w ubieraniu się do ślubu.

Siostry, korzystając z okazji, że są same, rozmawiały i cieszyły się sobą.

- Och, mój Boże. - Oczy Winnie napełniły się łzami, kiedy zobaczyła całą trójkę.

Bethany włożyła suknię w kolorze zielonym. Rude włosy miała upięte wysoko na kształt korony. Stała po lewej ręce Ambrozji, uśmiechając się przez łzy.

Suknia Darcy była bladoniebieska. Złote loki opadały na ramiona. Trzymała Ambrozję za lewą rękę, ściskając ją lekko. We włosy, podobnie jak Bethany, wpięła bukieciki polnych kwiatów.

Ambrozja na swój wielki dzień wybrała ślubną suknię swojej matki. Koronki zdobiące strój wykonano nadzwyczaj kunsztownie. Ciemne włosy panny młodej spływały na plecy połyskliwą kaskadą. Welon przytrzymywała wysadzana drogocennymi kamieniami wspaniała tiara - prezent od króla.

- Nigdy już nie będzie między nami tak jak przedtem, prawda? - szeptem zapytała Bethany.

- A dlaczegoż by nie? - zdziwiła się Ambrozja.

- Ponieważ teraz masz swojego Riordana. On będzie stał między nami.

- Nie. Nigdy. - Stanowczy ton Ambrozji wykluczał wszelkie wątpliwości. - Jesteśmy siostrami. Nic tego nie zmieni.

- Myślisz, że nadal będziemy razem żeglować? - Darcy otarła oczy koronkową chusteczką.

- Tak. I razem się trzymać. I walczyć razem. Kiedy jesteśmy razem, wszystkie trzy, któż jest nas w stanie pokonać?

- Nikt - odparła z mocą Bethany.

- Tak jest. Nikt. - Darcy pochwyciła rękę Bethany i trzy siostry uściskały się serdecznie.

Dziewczęta obejrzały się i zobaczyły, że rodzina je obserwuje.

- Wyglądasz jak zjawisko, moja panienko. - Geoffrey Lambert podszedł do wnuczki i ostrożnie, aby nie pomiać sukni, objął ją i pocałował w policzek.

- Dziękuję, dziadku. Czy widziałeś Riordana?

- Tak. - Zaśmiał się krótko. - Wygląda jak człowiek, który szykuje się na ścięcie.

Wszyscy się roześmieli.

- Czy rzeczywiście aż tak z nim źle?

- Tak. Ale przeżyje, nie martw się. Przeżył już gorsze rzeczy. Król go pociesza. Piwo też jest w tym pomocne, jak mi się wydaje.

Pani Coffey zamrugała powiekami, aby powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Ambrozjo. Dużo bym dała za to, aby wasz ojciec i brat mogli cię teraz zobaczyć.

Ambrozja objęła ochmistrzynię za ramiona i przycisnęła swój gładki policzek do jej pomarszczonej twarzy.

- Oni są tu teraz z nami, pani Coffey. Wierzę w to niezachwianie.

Na te słowa obie starsze panie wybuchnęły płaczem, a siostry zaczęły przełykać łzy.

- Myślę, że najlepiej zrobię, jeśli wyprowadzę obie damy na świeże powietrze - zaproponował Geoffrey.

- Pójdziemy z tobą. - Bethany pochwyciła Darcy za rękę.
- Dzisiaj w Land's End zebrała się niemal cała Kornwalia. Dobrze będzie się rozejrzeć, czy pośród przybyłych nie ma jakichś dziarskich kawalerów.

- Możesz się rozglądać, jeśli chcesz - odparła Darcy. - Oni na pewno będą się tobie przyglądać. Co do mnie, to nie mam zamiaru oddawać nikomu serca.

- Oprócz Grahama Bartona - wyszeptała Bethany.

Darcy najpierw zarumieniła się lekko, po czym zachichotała z zakłopotaniem. Wzięły się pod rękę z Bethany i ucałowawszy raz jeszcze pannę młodą, wyszły z zakrystii.

Ambrozja zobaczyła przed drzwiami zerkającego do środka Newtona. Kiwnęła do niego ręką, zapraszając żeglarza.

- Czy to wypada, panienko? Nie chciałbym zakłócać panience spokoju. To ostatnie chwile, kiedy panienka jest sama.

- Och, Newtonie. - Podbiegła do niego i ujęła go za rękę.
- Chcę, żebyś był ze mną. Wspaniale się prezentujesz.

Spojrzał lekceważąco na swój surdut i spodnie.

- To zasługa pani Coffey. Powiedziała, że nie mogę przynosić wstydu rodzinie Lambertów, pokazując się jak stary, wyliniały wilk morski. Zmusiła mnie nawet do tego, abym kupił sobie nowe buty.

Ambrozja roześmiała się i uściśnęła go serdecznie.

- Doceniam twoje poświęcenie w dniu mego ślubu.

- Zrobiłbym dla panienki wszystko. Panienka dobrze o tym wie.

- Zrobiłeś więcej, niż się domyślasz, Newtonie. To ty dałeś mi tę radę wtedy, w Hampton Court. To dzięki tobie bierzemy dzisiaj ślub z Riordanem.

- Nie ma w tym mojej zasługi. Panienka dostrzegła swoją szansę i zrobiła z niej użytek. Nigdy nie wątpiłem, że panienka tak postąpi. - Schylił się i pocałował ją w policzek. - Życzę dużo szczęścia.

- Dziękuję, Newtonie. Będę szczęśliwa, na pewno.

- Wystarczy, abym swą przyszłą żonę zostawił samą, a już znajduję ją w ramionach innego mężczyzny - rozległ się głos Riordana.

Obok Riordana stał król. Nie wyglądali jak monarcha i jego wierny sługa, ale raczej jak dwóch starych przyjaciół, którzy wychylili po kielichu i teraz żartobliwie gawędzą.

Newton uśmiechnął się szeroko. Podszedł do Riordana i potrząsnął jego ręką.

- Życzyłem szczęścia pannie młodej. Tobie też tego życzę, kapitanie.

- Dziękuję, Newtonie. - Riordan ujął w obie dłonie rękę starego żeglarsza i spojrzał mu prosto w oczy. - Dziękuję za mądrą radę.

Riordan odwrócił się do Ambrozji i zaniemówił z wrażenia.

Król skorzystał ze sposobności, aby zabrać głos.

- Rozumiem, że dzisiejszy dzień jest dla was dwojga szczególnie radosny. Wydawało mi się jeszcze niedawno, że dla mnie będzie to smutna chwila, że stracę starego przyjaciela, z którym piłem, grałem w karty i gawędziłem. Po namyśle doszedłem do wniosku, że nie tylko nie stracę starego przyjaciela, ale zyskam nowego.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Będę wiernym przyjacielem.

Ambrozja pochyliła się, by dwornie dygnać przed Królem, ale Karol powstrzymał ją, chwytając za rękę.

- Nie, droga pani. Dziś ja się przed tobą kłaniam. Zdobyłaś serce najwspanialszego mężczyzny w całej Anglii. - Spojrzał na Riordana. - Oprócz twego króla, oczywiście. - Pochylił się

ku niej i pocałował w policzek. - Powtórzę to, co powiedział stary marynarz. Bądź szczęśliwa, o pani. Życzę ci tego, ponieważ uczyniłaś mego przyjaciela najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. A teraz zostawiam was samych.

Opuścił izbę i poszedł wzdłuż nawy, gdzie zgromadzony tłum wspinał się na palce, by chociaż przelotnie rzucić okiem na swego monarchę.

Narzeczeni trwali przez chwilę w milczeniu. Po chwili Ambrozja zwróciła się do Riordana.

- Dziadek powiedział, że masz minę skazańca idącego na śmierć. Denerwujesz się, kochany?

Roześmiał się.

- Aż do tego momentu. Teraz... - Potrząsnął głową. - Teraz i zastanawiam się tylko, dlaczego tak długo zwlekałem. - Przy-; ciągnął ją do siebie i pocałował.

- Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to przeraża.

- Ja się nie boję, Riordanie. Tak długo, jak będziesz mnie kochał, niczego nie będę się bała.

- Mój nieustraszony mały korsarz. - Przycisnął czoło do jej czoła i głęboko wciągnął powietrze w płuca, by uspokoić gwałtownie bijące serce. Następnie odsunął się od niej i wziął ją za rękę. - Chodź, kochana. Nie mogę się doczekać, kiedy ta przyszłość się zacznie.

Gdy weszli do kościelnej nawy, Ambrozja ujrzała bogatych i utytułowanych gości, siedzących w ławach pospołu z marynarzami i służbą. Ujęła ramię dziadka i czekała, aż Riordan podejdzie do ołtarza i przyłączy się do pastora i wikarego. A kiedy dźwięki harf stały się głębsze, mocniejsze, a wzruszony tłum wstrzymał oddech z przejęcia, ruszyła naprzód wolnym krokiem. W stronę swego męża, w stronę swojej przyszłości. Żadne z nich nie wiedziało, jaka ona będzie, ale przeżyją ją razem. Ambrozja z Riordanem.

A potem nie było już czasu na myślenie. Zaczęli wypowiadać słowa odwiecznej przysięgi - przed Bogiem, królem i rodziną, która promieniała ze szczęścia i dumy, ocierając łzy radości. Przysięgli kochać się i nie opuszczać aż do śmierci, i zawsze stanowić jedność - ciała i duszy.